

Almanach

PROWINCJONALNY

Wewnątrz m.in.:

Głosy z miasta

z Wilna do
komunistycznego więzienia
ze wspomnień por. Stala - cz. 2

ks. Jerzy Szymik
wierszem

Z ziemi polskiej do włoskiej
ks. J. Szymik, M. Fita, M. Rapnicki,
J. Nowak, K. Gładkowski,
ks. A.M. Wierzbicki

Krzysztof Lisowski, Jacek Mołęda
wierszem i prozą

Sławomir Janowski
prozą

o Zbigniewie Herbercie
i jego twórczości

Jaromír Šavřda, Miroslav Černý
wierszem

Wspomnienie o Ryszardzie Kinclu

Bolesław Stachow
fotografie

Raciborskie Centrum Kultury
Racibórz – Listopad 2005



RYS. JANUSZ RZODECZKO

OGRÓD W MILANÓWKU, KONIEC LISTOPADA

Śnieg już pada – przez ogród idzie zima sroga
Kosmos jest jak Vivaldi i nie ma tam Boga

Zima szara królowa idzie w szarych szatach
Wokół niej czarny gawron jej posłaniec lata

Gra przestrzeń to na różku to na rekorderze
Przez śnieg i ciemność idą małe ślepe jeże

Szare szare obłoki jak skądinąd znaki
Szara królowa śniegu jej szare orszaki

Kosmos jest jak Vivaldi jak jego zagadka
W listkach pod mirabelką w rdestu białych kwiatach

Idzie zima – w kompoście małe myszy płaczą
Świecie świecie czy one jeszcze Cię zobaczą

Kosmos jest jak Vivaldi jego ruda głowa
Bóg który jest gdzie indziej który gdzieś się chowa

Vivaldi jak Bóg który sam sobie się przyśnił
W mirabelkach i w rdeście w czarnych listkach wiśni

Śnieg pada – już zaczyna się konanie myszy
Konanie jeży – jęki których nikt nie słyszy

Ciemno ciemno od trzeciej ciemno od południa
Powrót szarych obłoków wielki powrót grudnia

Wielki kosmos muzyka z wielkiego milczenia
Śnieg pada pozbawiony wszelkiego znaczenia

KONIEC LISTOPADA 2000
JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ



...ILEŻ BARW I ODCIENI PROWINCJI!

Wczesną wiosną, pośród smutku po Przejściu Jana Pawła II, złożyliśmy Państwu, naszym Szanownym Czytelnikom, obietnicę ponownego spotkania „na łamach” późną jesienią.

Słowa dotrzyaliśmy! Oddajemy do Państwa rąk drugi numer „Almanachu Prowincjonalnego”. To dla nas niezwykle ważny sprawdzian, bowiem, jak twierdzą wytrawni znawcy dziennikarskiego rzemiosła, drugi numer w o wiele większym stopniu aniżeli pierwszy świadczy o jakości periodyku. Bez fałszywej skromności stwierdzić możemy, że nasz debiut został nad wyraz dobrze przyjęty. Otrzymaliśmy wiele pochwał i pochlebnych recenzji. Bardzo za nie wszystkie dziękujemy. Szczególnie cenimy sobie opinie formułowane przez osoby spoza środowiska raciborskiego, spoglądające z oddali, a więc bardziej obiektywnie, na nasze przedsięwzięcie. Serdeczne i ciepłe słowa kierowane pod naszym adresem traktujemy przede wszystkim jako wielkie zobowiązanie. Pragniemy sprostać rozbudzonym oczekiwaniom i mamy nadzieję, że drugi numer „Almanachu Prowincjonalnego” jest tego naszego pragnienia rzetelnym dowodem.

Dziękujemy także za wszystkie opinie krytyczne (możemy z czystym sumieniem zapewnić, że było ich bardzo niewiele). Niektóre sugestie uznaliśmy za słuszne i wzięliśmy je pod uwagę przy redagowaniu kolejnego numeru.

Zdarzało się nam usłyszeć, że wydawany przez nas periodyk jest za mało „raciborski”. Ośmielamy się zakwestionować ten zarzut. Po pierwsze dlatego, że specyficzny „duch raciborski” jest obecny na stronach „Almanachu” i każdy nieuprzedzony czytelnik to potwierdzi. Po drugie zaś - pojmujemy tytułową „prowincjonalność” bardzo szeroko i nie utożsamiamy jej wyłącznie z okolicami naszego pięknego grodu. Wszak prowincją jest Prowansja, której wspaniałe wiersze poświęcił ks. Jerzy Szymik. Urok włoskiej prowincji ukazali w ciekawym dwugłosie dwaj członkowie redakcji, Marek Rapnicki i Michał Fita. Czytelnik znajdzie w nowym numerze „Almanachu” rozważania o czeskiej prowincji. A jeszcze Kraków i Lublin, Gdynia i Opole. Ileż barw i odcieni prowincji! W gruncie rzeczy wszyscy nasi autorzy są prowincjuszami w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Drugi numer naszego półrocznika zdominowany został przez bardzo szeroko rozumianą tematykę papieską, staraliśmy się jednak unikać tekstów (jakich wiele ukazuje się po śmierci Sługi Bożego Jana Pawła II) powielających pewne schematy myślowe. Proponujemy także solidną dawkę materiałów związanych z twórczością Księcia Poetów, Zbigniewa Herberta.

Ponadto publicystyka - kulturalna, społeczna, religijna, stałe felietony, dalszy ciąg wspomnień Pana Franciszka Stala, recenzje, dużo poezji i wiele pięknych zdjęć.

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do wydania drugiego numeru „Almanachu Prowincjonalnego”: Leszkowi Wyce, dyrektorowi Raciborskiego Centrum Kultury, za ogromną serdeczność okazywaną pismu, wszystkim członkom Rady Programowej, autorom i współpracownikom. Najbardziej cieszy nas to, w jak obfity sposób potwierdziło się nasze przypuszczenie, iż w Ziemi Raciborskiej istnieje olbrzymi potencjał myśli humanistycznej; gdyby nie jej różno-

rodne emanacje (wspomnienie, artykuł naukowy, esej, rozprawka krytyczno-literacka, wiersz, dzieła z dziedziny fotografii i grafiki) - „Almanachu” po prostu by nie było.

Ponawiając słowa zachęty do współtworzenia periodyku, pragniemy zapewnić, że od następnego numeru „Almanach” otworzy się szeroko na współpracę ze środowiskiem Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu – zarówno przed pracownikami naukowymi raciborskiej uczelni, jak i jej studentami.

Liczymy na Państwa uwagę i życzliwość!

REDAKCJA



RACIBÓRZ: OAZA, PUSTYNIA, . . . ?

W PIERWSZYM NUMERZE NASZEGO PISMA, WIOSNĄ TEGO ROKU, ZADALIŚMY PUBLICZNIE PYTANIE, CZYM JEST RACIBÓRZ. CZY JEST MIEJSCEM, W KTÓRYM CHCEMY ŻYĆ I ROZWIJAĆ SIĘ, CZY TEŻ PRZECIWNIE – MIASTEM, Z KTÓREGO PLANUJEMY JAK NAJSZYBCIEJ UCIEC. WYWOŁANA PRZEZ NAS DYSKUSJA W DOŚĆ NIEOCZEKIWANY SPOSÓB SKIEROWAŁA UWAGĘ CZYTELNIKÓW GŁÓWNIEM NA PROBLEMY RACIBORSKIEJ KULTURY. DZIŚ PREZENTUJEMY KOLEJNE WYPOWIEDZI.

Monika Janowska

Poszukiwanie swojego miejsca na ziemi zawsze kończy się sukcesem – oby jednak nie dopiero po śmierci – głosi jedna ze współczesnych sentencji. Pragnienie, by osiąść u siebie i cieszyć się z krajobrazu przed własnym oknem, zmieniającym się zgodnie z rytmem pór roku, nie odstępuje większości ludzi, którzy wiedzą, czym jest wewnętrzna harmonia i prawdziwy spokój.

Lubię miasto Racibora. Ze względów sentymentalnych. Przyglądam się wieżom kościoła farnego, z daleka witającym przyjezdnych, przypominającym o świetnych czasach grodu nad Odrą. Cieszą oczy odrestaurowane kamienice na rynku piękniejszym niż w czasach mojej szkolnej młodości. Ulice, którymi odbywałam codzienną wędrowkę do szkoły, odzwierciedlają gospodarność ich właścicieli i potwierdzają, że czas może wysubtelnić obraz przedmiotów, uczynić je piękniejszymi. Zmieniły się też twarze ludzi z tamtych lat, nabrały charakteru, niektóre zaś zniknęły na zawsze – taka kolej rzeczy.

W tle moich rozważań o centrum świata, do którego należę, i jako przeciwwaga dla ukrytych na dnie osobowości pragnień o zdobywaniu nieznanych lądów, znajduje się opowieść o królu Pyrrusie, który przygotowywał się do wyprawy na Italię. Aby uzmysłowić swemu władcy bezcelowość zamiarów, jego mądry nadworny sługa Cyneas rzekł: „Panie w jakim celu szykujesz tak potężną wyprawę?” „Aby zostać królem” – odparł władca. „A co potem Panie?” - nie ustępował sługa. „Potem zdobędę Galię i Hiszpanię i podbiję Afrykę.” „A później?” „Potem odpocznę i będę rozkoszował się spokojem i pięknem krain.” „Ależ Panie – powiedz mi – jeśli łaska, co stoi na przeszkodzie, abyś już teraz zakosztował owego błogostanu, do którego jak mi się zdaje dążysz, nie wystawiając się na wyroki fortuny i niebezpieczeństwa czyhające w obcych krajach? Może więc mając na uwadze znaczenie pyrrusowych zwycięstw, docenić posiadane wartości.

Joanna Guział

OAZA CZY PUSTYNNIA

Racibórz – moja mała ojczyzna, skrawek ziemi, który zawsze był, jest i będzie mi bliski; nawet wtedy, gdy jestem daleko stąd. To miejsce, z którym wiąże się moje dzieciństwo, dojrzewanie, młodzińcze szaleństwa, pierwsze przyjaźnie i miłości. Moja mała arkadia, w której nabieram sił, by stawiać czoła coraz to nowym życiowym trudnościom.

Choć przez ostatnie cztery lata większość czasu spędzałam w Opolu, gdzie przyszło mi studiować, Racibórz nadal pozostaje miastem, w którym chciałabym na stałe zamieszkać. I mimo tego, że wielu moich znajomych wyrwałoby się jak najszybciej z tego „zadupia”, prowincji, w której nic się nie dzieje, ja wiem, że Racibórz nie jest pustynią, on żyje.

Naszego miasta nie sposób nazwać rozkwitniętą, pełną życia oazą, ale nie dajmy sobie wmówić, że mamy do czynienia z jałową ziemią. Wciąż są tu obecni ludzie, którzy, mimo wielu przeszkód, dbają o kulturowy rozwój miasta. Raciborskie kina, domy kultury, zespoły tańca ludowego, raciborskie zespoły teatralne, wydawane pisma, takie jak „Almanach Prowincjonalny”, którego numer właśnie trzymacie w rękach, to niektóre z instytucji walczących o to, by Racibórz nie zamienił się w pustynię, by dążył do stania się oazą. Również istnienie rozmaitych subkultur młodzieżowych, o których działalności dowiadujemy się, patrząc m.in. na miejskie odrapane mury zamieniające się w uliczne galerie sztuki, świadczy o rozwoju Raciborza.

Faktem jest, że organizowane imprezy kulturalne nie są szczytem naszych marzeń. Gdy bierzemy w nich udział, wydawać nam się może, że Racibórz nie jest ani pustynią, ani oazą, tylko fatamorganą, której czar szybko pryska. Jednak ich zaistnienie, starania ludzi, którzy wiele trudu wkładają w to, by w Raciborzu coś się działo, świadczą o tym, że nasze miasto nie jest pustynią, i że dąży do tego, by stać się prawdziwą oazą. A my, jako jego mieszkańcy, nie możemy tylko narzekać i marudzić, że jest źle. Winniśmy zadbać o to, by z biegiem czasu Racibórz stawał się naszą oazą, nie przekształcał się w pustynną jałową ziemię, do której nikt z nas nie ma ochoty powracać. To, czy Racibórz będzie postrzegany jako pustynia, czy jako oaza, zależy tylko od nas.



WWW. RACIBORZ. KULTURA — PRAWDA CZY FAŁSZ?

Od jakiegoś czasu trwa w naszym mieście dyskusja wokół jego życia kulturalnego. Nieskromnie dodam, że zapoczątkowała ją ankieta umieszczona, w wydany przez RCK, „*Almanach Prowincjonalnym*” w kwietniu br. Zadaliliśmy wówczas przewrotne pytanie - Racibórz: oaza, pustynia...! W ślad za nami Stowarzyszenie ASK sprowokowało debatę „o kulturalnej śmierci miasta”. Szkoda tylko, że nasi młodzi przyjaciele nie powiadomili o spotkaniu wszystkich organizatorów życia kulturalnego w mieście. Wówczas może udałoby się wypracować jakieś kierunkowe tezy. Ale nie szkodzi, warto rozmawiać o kulturze, bowiem ta sfera życia społecznego jest bardzo ważna dla rozwoju naszego miasta. Wymiana zdań pozwoliła stwierdzić, że z jednej strony środków na kulturę jest mało, ale z drugiej strony nawet przy takich nakładach powstają ciekawe imprezy, tworzy się amatorski ruch artystyczny, powstają stowarzyszenia o ambicjach kulturotwórczych.

Atoli „najciekawsza” debata odbywa się na forum internetowym WWW.RACIBÓRZ.COM.PL - portal miasta i okolic. W społeczeństwie obywatelskim każdy ma swobodną i nieskrępowaną możliwość wypowiedzi. Nawet w formie e: maila.

Janusz Głowacki w swej książce pt. *Jak być kochanym* stawia tezę, iż ostoją PRL-owskiej „wolności słowa” były szalety publiczne - „[...] człowiek przymknięty w kabinie na haczyk miał tę chwilę wolnego czasu, czuł się bezpiecznie, uruchamiał wyobraźnię i mógł na dodatek tanio, bo przy pomocy ołówka kopiowego albo długopisu dać wyraz najrozmaitszym frustracjom albo tęsknotom”.¹

Współczesny Polak, obywatel demokratycznej III Rzeczypospolitej, zamienił ołówek kopiowy na klawiaturę komputera, a niewygodny szalec na miejsce w tzw. „wszędzie” (dom, biuro, kawiarenka internetowa, laptop etc.)

Stąd też „forumowicz”, który siedzi przed monitorem swego PC-ta, czując się w pełni zwolonym ze stresu publicznego występu, lęku i różnego rodzaju obaw, naciska klawiaturę i głosi swój pogląd o raciborskiej kulturze.

Tyle, że dysputa o kulturze w mieście skupiła się właściwie na działaniach Raciborskiego Centrum Kultury. Raz wspomniano Muzeum, trzy razy MDK, a o Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej zapomniano!? RCK postawiono pod pręgierzem opinii publicznej. Troszkę śmiesznie i troszkę strasznie? I tak i nie. Ale nie uprzedzajmy faktów. Z grubsza poglądy internautów (między 13 a 22 maja br.) można podzielić na trzy grupy:

- a) personalistycznie krytyczną (49 wypowiedzi),
- b) instytucjonalnie krytyczną (22 wypowiedzi),
- c) instytucjonalnie obronną (10 wypowiedzi).

W swej wypowiedzi pominę **GRUPĘ PIERWSZĄ**, jako nie wnoszącą nic ciekawego do tematu, oprócz naruszania dóbr osobistych, wulgaryzmów i pieniactwa. Pomijam również podpisy niektórych „forumowiczów”, jako, że one również naruszają dobro osobiste osób mieszkających w naszym mieście.

DRUGĄ GRUPĘ uczestników dyskusji stanowiły osoby, które negatywnie postrzegają działalność kulturalną w mieście, a przede wszystkim w RCK.

Wymieńmy główne zarzuty jakie padły pod adresem RCK:

- **brak inicjatywy,**
- **stagnacja,**
- **za duże zatrudnienie,**
- **wynajmowanie pomieszczeń** („Większość imprez odbywających się w RCK-u nie jest ICH”),
- **brak stałych spotkań z zespołami amatorskiego ruchu artystycznego** („... istnieją one raczej same dla siebie i tylko dowiadujemy się, że zajęły jakieś tam miejsce na konkursach”),
- źle dobrana misja działania,
- brak polityki kulturalnej miasta.

Raciborskie Centrum Kultury jest instytucją upowszechniania kultury powołaną decyzją uchwały Rady Miasta z lipca 2001 r. Powstało z połączenia dziewięćdziesięcioletniej tradycji Domu Kultury „Strzecha” i pięćdziesięcioletniej tradycji Raciborskiego Domu Kultury.

Do głównych celów działalności statutowej RCK należą:

- rozpoznawanie, rozbudzanie i zaspakajanie zainteresowań oraz potrzeb kulturalnych raciborskiej społeczności,
- przygotowanie do właściwego odbioru różnych form działalności artystycznej,
- kształtowanie wzorów świadomego i aktywnego tworzenia wartości kulturowych,
- propagowanie kulturalnych, społecznie pożądaných form wypełniania czasu wolnego dzieci, młodzieży i dorosłych,
- kultywowanie kultury lokalnej, w tym tradycji regionalnej, animacja społeczno-kulturalna.

Tak szeroko postawione zadania determinują nas w działaniach na rzecz organizacji i prowadzenia m. in.:

- zespołów amatorskiego ruchu artystycznego oraz zespołów zainteresowań,
- konkursów i przeglądów artystycznych,
- imprez artystyczno – rozrywkowych,
- działalności kulturalno – oświatowej,
- usług filmowych,
- zespołów folklorystycznych, obrzędowych a także imprez nawiązujących do tradycji regionu,
- warunków do rozwoju społeczności obywatelskiej.

STĄD TEŻ NA TERENIE OBU BUDYNKÓW RCK DZIAŁAJĄ NASTĘPUJĄCE ZESPOŁY AMATORSKIEGO RUCHU ARTYSTYCZNEGO:

I. ZESPOŁY TAŃCA NOWOCZESNEGO:

1. Zespół wokalnie-taneczny

II. ZESPOŁY FOLKLORYSTYCZNE:

1. Zespół Pieśni i Tańca „Strzecha”,
2. Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Strzecha”,
3. Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Mini Strzecha”,
4. Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca „Przedszkolaki”,
5. Młodzieżowy Zespół Pieśni i Tańca „Strzecha”.

III. ZESPOLY TANCA TOWARZYSKIEGO:

1. Klub Miłośników Tańca Towarzyskiego,

IV. ZESPOLY MUZYCZNE:

1. Zespół Jazzowy „Grupa Bez Nazwy”,
2. Raciborska Orkiestra Kameralna,
3. Kapela Ludowa,
4. Zespół rockowy „Amen On”.

V. ZESPOLY WOKALNE:

1. Chór Mieszany „Strzecha”,
2. Zespół wokalny „Septyma NOVA”,
3. Klub Poezji Śpiewanej „Atlantyda”,
4. Zespół poezji śpiewanej „Głos Wołającego”.

VI. ZESPOLY TEATRALNE:

- A. Teatr Poezji,
- B. Teatr „Tetraedr I”,
- C. Teatr „Tetraedr II”,
- D. Teatr „Tetraedr III”
- E. Młodzieżowy Zespół Teatralny „Agrafka I”,
- F. Młodzieżowy Zespół Teatralny „AgrafkaII”,
- G. Teatr „Beztroski”
- H. Grupa Teatralna

VII. GRUPY PLASTYCZNE:

1. Pracownia Rzeźby,
2. Malarstwo i rysunek.

VIII. GRUPY FILMOWE:

1. DKF „Puls”,
2. Szkolna Akademia Filmowa.

Łącznie - 27 form amatorskiego ruchu artystycznego, przy liczbie 703 członków, w tym dzieci i młodzież to 581 osób.

Ponadto RCK jest siedzibą następujących stowarzyszeń i grup hobbyistycznych:

1.	Polski Związek Filatelistów	1970	20
2.	Związek Hodowców Kanarków i Ptaków Egzotycznych	1970	20
3.	Polski Związek Numizmatów	1970	15
4.	Kurs Tańca Towarzyskiego	1976	300
5.	Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej	1995	20
6.	Związek Żołnierzy AK	1996	30
7.	Stowarzyszenie Artystów i Podróżników „Rosynant”	2001	25
8.	Raciborskie Stowarzyszenie Kulturalne ASK	2004	19
			449

Łącznie 1.152 osoby uczestniczą w stałych formach na terenie RCK

Zamieszczone w tabeli nr 2 wyniki działalności RCK nie potwierdzają ani braku inicjatywy ani stagnacji instytucji. Wykaz zorganizowanych w obu budynkach imprez, między lipcem 2001 r. a lipcem 2005 r., świadczy raczej o wielkiej żywotności placówki. W 898 imprezach zorganizowanych

wanych w tym okresie uczestniczyło 286.687 osób. Średnia roczna wynosi zatem: 224,5 imprezy przy widowni liczącej 71.671 osób. Statystyczny raciborzanin przynajmniej raz w roku bywa w RCK. A zatem na przestrzeni minionych czterech lat był w RCK cztery razy. Statystyczny zaś mieszkaniec powiatu był w RCK, w ciągu tego okresu, dwa razy.

POWSTAJE PYTANIE: DUŻO TO, CZY MAŁO?

Oczywiście jest to wycinek działalności kulturalnej miasta. Pewnie w skali wszystkich instytucji miejskich obraz ten nieznacznie się zmieni. Skala uczestnictwa w kulturze mieszkańców naszego miasta i powiatu nie odbiega od norm ogólnopolskich. Musimy pamiętać, iż w skali kraju bezrobocie dotyka co piątą osobę w wieku produkcyjnym, zaś co dziewiąta osoba żyje poniżej minimum egzystencji. Taka sytuacja powoduje, iż potrzeby kulturalne spychane są przez potrzeby elementarne, takie jak wyżywienie, ubranie, mieszkanie czy zdrowie. W 2003 r. mieszkańcy naszego województwa zmuszeni byli ze względów finansowych zrezygnować z wybranych form uczestnictwa w kulturze:

- kino - 34,9%,
- teatr, opera, operetka, filharmonia, koncert - 38,04%,
- muzeum lub wystawa - 34,20%,
- zakup książki - 32,15%,
- zakup prasy (gazet, tygodników, miesięczników) - 27,19%.²

Jak zauważa autor raportu „w warunkach gospodarki rynkowej uczestnictwo w kulturze w skali masowej to wybór między dobrym i droгим oraz tanim i tandetnym. To drugie częściej i skuteczniej wygrywa”.³

Bardzo wymowne są fakty statystyczne, tym razem z roku 1990. Wówczas to statystyczny Polak:

- raz na 6-7 lat chodził do kina,
- raz na 12-13 lat oglądał spektakl operetkowy,
- raz na 26 lat był w operze,
- raz na 22 lata słuchał koncertu w filharmonii,
- raz na 8-9 lat oglądał wystawę,
- raz na 3-4 lat był w cyrku,
- raz na 3 lata uczestniczył w widowisku estradowym.⁴

W tym samym czasie oglądalność telewizji wynosiła 98,7% badanych. Ponad 80% ankietowanych była przekonana, że telewizja może zastąpić kino, 67,7% - teatr, 67% - gazety, 45,9% - książkę, 37,3 % koncert muzyki poważnej. Nic nie wskazuje na to, aby ta tendencja zmniejszała się.

Istnieje wiele czynników tworzących zagrożenie braku uczestnictwa w kulturze.

Do tych najważniejszych zaliczamy:

- **CORAZ BARDZIEJ WZMACNIAJĄCA SIĘ STRATYFIKACJA SPOŁECZNA** (wzrastająca marginalizacja społeczna, poszerzające się pole ubóstwa społecznego i materialnego, bieda jako cecha dziedziczna);
- **ROZCHWIANIE WZORCÓW ELEMENTARNEGO UCZESTNICTWA W KULTURZE**, będące efektem ograniczenia awansu edukacyjnego, a także zmniejszającej się możliwości dalszego kształcenia;
- **ROZPAD KULTURALNY MIESZKAŃCÓW WSI** (tworzy go m.in. próg edukacyjny w postaci gimnazjum, spłykanie reform oświatowych);
- **PERMANENTNE ZANIKANIE SIECI PLACÓWEK USŁUG KULTURALNYCH**, szczególnie na wsi, małych miastach i na peryferiach miast.

W 1991 roku notujemy w Polsce 2.343 domy i ośrodki kultury, w których zorganizowano 231 tys. imprez. Średnio 98 imprez na jedna placówkę (8,1 imprez na miesiąc). Po dziesięciu latach, czyli w 2001 r., istnieje tych placówek 2.246, czyli o 97 mniej (181 tys. imprez czyli średnio 80 na jedna placówkę, co daje nam 6,6 imprezy na jedna placówkę w skali miesiąca).

- **STARZEJĄCE SIĘ WYPOSAŻENIE PLACÓWEK** przez co wydają się one być mniej atrakcyjne;
- **NIEJASNA, MAŁO CZYTELNA I NIE ZNANA PUBLICZNIE POLITYKA KULTURALNA.** Faszadowość resortu kultury ograniczona jedynie do pierwiastków „narodowych” i „dziejstwa”. Interesują go jedynie wielcy artyści, wielkie instytucje, wielkie festiwale.
- **WZMAGAJĄCA SIĘ EKONOMIZACJA RYNKU DÓBR, USŁUG I WARTOŚCI KULTURALNYCH.** Cokolwiek nie działałyby się w kulturze to ogranicza się do walki o środki finansowe. To sprawia, iż rynek ten zdominowany jest przez wytwory schlebiające niskim instynktom i małym gustom.
- **PRZEKAZ KULTURY MASOWEJ UKIERUNKOWANY JEST NA WZÓR „IDOLA”.** Kanały radiowe i telewizyjne w pogoni za tzw. „ogładalnością” animują i organizują programy rozrywkowe nastawione na „konfrontację do zwycięstwa”. Pokazują one wzorzec szybkiej kariery, co przy olbrzymiej stratyfikacji naszego społeczeństwa jest bardzo niepokojące. Programy te, nastawione na walkę pozbawioną wszelkich reguł, „rozkładają” odbiór kultury w sposób absolutny, co w konsekwencji spowodować może nieodwracalne straty.
- **POSTĘPUJĄCE ODSUWANIE KULTUROTWÓRCZEJ ROLI SZKÓL W ŚRODOWISKU LOKALNYM.** Likwidacja szkół podstawowych na wsiach, ograniczanie bibliotek szkolnych, brak jakichkolwiek szans na pogłębianie osobistych zainteresowań kulturalnych i twórczość artystyczną.

Nie jest ambicją autora dogłębna analiza zagrożeń stojących przed uczestnictwem w kulturze w skali ogólnopolskiej, lecz ukazanie owego zagrożenia w naszym mieście. Procesy zauważone w skali ogólnopolskiej mają też miejsce w Raciborzu.

Wydaje mi się, iż warte jest zacytowanie najpoważniejszego zagrożenia, którego widmo stoi również przed nami, raciborzanami: *„Tym zagrożeniem jest analfabetyzm funkcjonalny, który atakuje wszystkie klasy i warstwy społeczne, obejmuje wszystkie dziedziny życia i co gorsza, w odróżnieniu od innych zagrożeń, jest bezbolesny i niewyczuwalny, a jego przejawy można dostrzec dopiero >po fakcie<. W przypadku uczestnictwa w kulturze oznacza postępującą nieumiejętność odczytywania przekazu kulturalnego, ograniczanie się do prostych treści masowych form przekazu, bierny odbiór, uleganie stereotypom, modom i prymitywnym schematom.”⁵*

Zespoły amatorskiego ruchu artystycznego RCK istnieją z jednej strony dzięki potrzebie samorealizacji jej uczestników, a z drugiej dzięki wyspecjalizowanej kadrze zatrudnionej w RCK. To właśnie te dwa elementy decydują o istnieniu amatorskiego ruchu artystycznego RCK. Część tych form działa w oparciu o animację społeczno-kulturalną, a część nie.

Nie można zatem mówić o braku stałych spotkań z zespołami amatorskiego ruchu artystycznego, bo one przede wszystkim istnieją właśnie same dla siebie.

Ale nie miałyby sensu ich istnienie, gdyby nie chciały pokazać swego dorobku, gdyby nie chciały skonfrontować go z działaniami innych podobnie działających zespołów. Stąd prezentacja przed publicznością w Raciborzu i na różnego rodzaju przeglądach i festiwalach. Proces tworzenia (spektaklu, wystawy, prezentacji tanecznej) trwa czasami cały rok kulturalny (od września do czerwca) i przeznaczony jest przede wszystkim dla jego uczestników.



Uzewnętrznienie przeżyć wymaga odpowiednich środków artystycznych. H. Plessner ujmie to tak: „Ekspresja jest celem sama w sobie, spełnia się sama w sobie, zgodnie ze swą istotą nie jest na nic celowo nastawiona. {...} ekspresja w ujęciu fenomenalnym, czyli zawsze w warstwie zachowań {...} - zaczyna brzmieć i wybrzmiewać, nie przebywając żadnego odcinka czasu. {...} Ekspresja jako obraz wypełniony sensem, ma wartość bytową...”⁶

W innej części dzieła jakby dopowiada H. Plessner: „Autointerpretacja i doświadczenie samego siebie dokonuje się za pośrednictwem innych ludzi i rzeczy. Droga do wewnątrz wymaga punktu oparcia na zewnątrz. Czy droga ta wiedzie przez świat zmarłych, marzenia senne, odbicie w lustrze, praktyki magiczne czy refleksyjną kontemplację - to zależy od koncepcji świata zewnętrznego i konstytucji społecznej. Ale trzeba tę drogę przebyć, a ta konieczność i zarazem szansa ugruntowana jest w ludzkiej osobowości, która otwiera się i staje się bezpośrednio dostępna tylko w procesie realizacji”⁷.

MISJA RCK PRZEDSTAWIA SIĘ NASTĘPUJĄCO:

Wsparci dowodami naukowymi psychologów, pedagogów, antropologów kultury oraz socjologów kultury, nadto wzbogaceni o własne doświadczenie, wiemy, iż potrzeby kulturalne nie wytwarzają się same z siebie. Są one wynikiem intensywnego i systematycznego kształcenia. Wspierają się trudem samego ich budzenia.

Kulturowy wymiar życia człowieka nie jest prostym uczestnictwem w formach zewnętrznych zachowań przypisanych do instytucji i działań, w sposób tradycyjny kojarzonych z kulturą. Nie wystarczy „chodzić do kina”, „słuchać muzyki”, „czytać książki”.

W swej istocie jest kultura świadomie podejmowanym kultem wartości. Rola nas jako społeczeństwa polega na tym, abyśmy określili, czy chodzi o wszelkie wartości, czy też raczej głównie a może jedynie o te, które człowieka - jednostkowo i społecznie - wzbogacają, umacniają w jego człowieczeństwie. W dobie agresywnej kultury masowej kształcone są przede wszystkim potrzeby najprostsze, zadawalające się łatwą rozrywką, stymulowaniem najprostszych emocji (często negatywnych). Kształcenie uczestnictwa w kulturze wymaga prowadzenia wielostronnej edukacji, prze-

myślanego mecenatu wspierającego trudniejsze treści i formy, cierpliwego proponowania ambitniejszych ofert kulturalnych, niezależnie od statystycznych wskaźników ich popularności. Nie możemy dopuścić do sytuacji, w której na jednym poziomie traktuje się wartościowe spektakle teatralne, koncerty symfoniczne, wieczory poetyckie, wybory Miss środowiska czy walki w kisielu. Bez rzetelnego porównywania i oceniania nie ma kultury i tworzącej jej podstawy edukacji.

Dlatego też postrzegamy Raciborskie Centrum Kultury jako sferę silnie związaną z pogłębianiem uczestnictwa w kulturze poprzez już istniejące formy umożliwiające rozwijanie różnych zdolności, zainteresowań i zamiłowań. Zatrudnieni w nim specjaliści - animatorzy nie tylko prezentują bardzo wysoki poziom w swych dziedzinach, ale także skupiają wokół siebie ludzi zapalonych do pracy z innymi, wyzwajających w innych ich ukryte możliwości.

Troska o kulturę oznacza dla nas przede wszystkim systematyczną edukację kulturalną. Świadomi tego, iż kultura i edukacja naszego miasta są ze sobą nierozzerwalnie związane i wzajemnie się warunkują, już wiele lat wcześniej podjęliśmy próbę współpracy ze szkołami. Dzisiaj są tego wymierne efekty w postaci wspólnych spektakli, warsztatów i projektów. Uczestnicy amatorskiego ruchu artystycznego wywodzą się z konkretnych, działających w mieście, szkół.

Przyjmujemy w swym działaniu edukację kulturalną jako podstawowe zadanie Raciborskiego Centrum Kultury, bowiem nie jest ona dla nas jedynie społecznym luksusem, ale najbardziej znaczącym elementem strategii rozwojowej naszego miasta.

Cytuję ją w całości ze strony internetowej RCK i pozostawiam bez komentarza, z nadzieją na życzliwą ocenę czytelnika.

Trzecią grupę stanowią osoby, które starały się dostrzec w raciborskiej kulturze (również w RCK) jakieś dobre strony. To osoby przekonane, że one również, jeśli nie przede wszystkim, mają wpływ na życie kulturalne swego miasta poprzez uczestnictwo bierne i czynne. Znalazła się tutaj także wypowiedź Dawida Waclawczyka dotycząca wzajemnej, dobrej współpracy RCK ze stowarzyszeniem „Rosynant” oraz spojrzenie na tzw. „opłacalność imprez”. Są również głosy nawołujące do racjonalnej dyskusji („Nie ma geniuszu gdzie istnieje tylko negacja albo tylko sama rozpacz”, „Jak coś nie pasuje, to najlepiej zmienić, zwolnić, zdymisjonować i wywalić”). Jest również wypowiedź osoby, która wie gdzie i czego szukać - „Jak mam chwilę wolnego to zawsze coś znajdę dla rozrywki”.

Krytyka bez pointy - to mówienie „nie bo nie”. Jeśli zaś takową posiada, to zowie się krytyką konstruktywną. Niestety w całej dyskusji na forum padło jej niewiele.

Z racji ich niewielkiej ilości zacytujemy wszystkie:

1. „[...] zorganizować chociaż co 3 tygodnie spotkanie teatralne”,
2. „[...] zorganizować coś wspaniałego, co może przejść na stałe do kalendarza imprez kulturalnych w naszym mieście”,
3. „[...] najrychlejszej zmiany warty we władzach kultury”,
4. „[...] zorganizować jakąś stałą imprezę w RDK-u, która będzie hitem”,
5. „[...] przeprowadzić ankiety z zapytaniem czego oczekują mieszkańcy Raciborza od RCK”,
6. „[...] jedynym rozwiązaniem zreformowanie raciborskiej kultury jest wymiana elit”.

Wszystkie wymienione pomysły są autorstwa dwóch internautów. Razi w nich schematyzm i bardzo spłaszczone postrzeżenie działalności domów kultury.

Ale spróbujmy odnieść się do pomysłów.

A więc, zgodnie z **PIERWSZYM POSTULATEM**, spróbujmy zorganizować w Raciborzu „chociaż co trzy tygodnie spotkanie teatralne”. W związku z tym, iż pomysłodawca nie określił o jaki rodzaj teatru chodzi, a wcześniej skrytykował, skądinąd dobre i nieodpłatne spektakle ope-

rowe i operetkowe, zatem musimy domniemywać, że chodzi o każdy inny teatr. Trzeba przyznać, że od strony technicznej nie ma problemu w organizacji spektakli teatralnych nawet co tydzień. Problem leży w finansach i ewentualnej publiczności. Zaczniemy od finansów. Dobry, premierowy spektakl, w wykonaniu dobrego zespołu teatralnego (np. Stary Teatr w Krakowie im. Heleny Modrzejewskiej, Teatr Dramatyczny Miasta Stołecznego Warszawy, Teatr Ateneum im. Stefana Jaracza w Warszawie, Teatr Narodowy w Warszawie, Teatr Polski we Wrocławiu czy Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach), zakładając oczywiście, że sceny te podróżują z premierowym spektaklem, kosztuje od kilku do kilkudziesięciu tysięcy. Do oglądania zawodowej sceny teatralnej w Raciborzu, jak wynika z naszej wiedzy, dąży około 200 osób. Wówczas bilet kształtowałby się na poziomie 80 do 120 złotych. Kto zechce tyle wyłożyć, jeśli taniej kupi bilet w Krakowie, Katowicach czy w Warszawie? Bilety mogą być oczywiście tańsze jeśli będzie ktoś do nich dopłacał. Pytanie brzmi - kto? RCK nie może, bo musi przynosić dochody! Więc kto?

Żeby nie było wątpliwości - spektakle teatralne w RCK mają miejsce. Odbywają się one w ramach edukacji teatralnej. Od lipca 2001r. do połowy roku 2005 odbyło się ich 43, co daje średnią roczną - 8,6 spektakli. Obejrzała je widownia licząca 23.440 osób, co daje średnią widownię spektaklu na poziomie 545 osób! Spośród 43 spektakli - 20 to bajki dla dzieci. Pozostałe spektakle przeznaczone były dla młodzieży i osób starszych. Gościliśmy sceny teatralne z Krakowa, Lublina, Opola, Elbląga, Jeleniej Góry, Łodzi, Czeskiego Cieszyna, Koszalina, Wrocławia, Bielska Białej, Warszawy i Łodzi.

RCK udostępnia salę uzyskując stałe dochody (kwota dużo zaniżona, aby nie uderzać w kieszeń młodego widza), teatr ma widza a widz przeżycia duchowe.

Ale z przykrością należy podkreślić, że nieliczne szkoły Raciborza w nich uczestniczą. W większości jest to widownia z powiatu a także powiatów przyległych (np. głubczyckiego). RCK z kolei organizuje widownię (na własne ryzyko) wokół spektakli kameralnych, monodramów i amatorskiej sceny teatralnej. Dodać należy, nie zważając na malkontentów, że RCK właśnie amatorskim teatrem słynie. Ma ku temu warunki i tradycję. Wspomnieć tu należy Atanazego Pomagajbę, który w latach 50-tych i 60-tych tworzył pełnoobsadowe spektakle, Andrzeja Pisarka (aktora Teatru Nowego w Zabrze), który pod koniec lat 60-tych założył w RDK-u pierwszy w Raciborzu Teatr Małych Form, Marię Woźniak, która w latach siedemdziesiątych prowadziła elitarną Estradę Poetycką nagradzaną wieloma wyróżnieniami za spektakle oraz nagrody indywidualne. Wspomnieć należy również Elżbietę Popławską, Janusza Nowaka, Korynę Opalę-Wnuik i Teresę Adamską, która do dziś pracuje w RDK prowadząc swą Grupę Recytatorską. Dzisiejszą amatorską scenę teatralną RCK z powodzeniem prowadzą Grażyna Tabor, Jolanta Dzumyk i Anna Jegerska.

DRUGI POSTULAT domaga się, aby „[...] zorganizować coś wspaniałego, co może przejść na stałe do kalendarza imprez kulturalnych w naszym mieście”.

Raciborskie Centrum Kultury jest organizatorem następujących stałych imprez wpisanych do kalendarza kulturalnego miasta:

1. (XIX) „Wieczór Kolęd” (styczeń),
2. (XV) Koncert Noworoczny (styczeń),
3. (III) Warsztaty artystyczne „TFURCY” w ramach akcji „Zima w mieście” (styczeń),
4. (IV) Wystawa Pracowni Rzeźby (styczeń),
5. (50) Ogólnopolski Konkurs Recytatorski (marzec),
6. (I) Ogólnopolski Festiwal Teatralny „Podglądacie” (marzec),
7. (XI) ZPiT „Strzecha” i jego goście - „Koncert wiosenny” (marzec),
8. (XV) Konkurs poezji młodych „Nadzieja” (kwiecień),
9. (IV) „Tworzenie na scenie” - Wiosenny koncert zespołów amatorskiego ruchu artystycznego (kwiecień),

10. (V) „Rock co rok” Festiwal Muzyki Pogranicza (maj),
11. (V) Miejskie obchody rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja (maj),
12. (III) „Prowincja matecznik słowa”. Projekt artystyczny. (wrzesień – grudzień),
13. (II) „Dni Filmu Polskiego” (wrzesień),
14. (XI) „Biesiada Folkloru” (wrzesień),
15. (VI) Warsztaty Folklorystyczne „Taniec, śpiew, muzyka” (październik),
16. (V) Miejskie obchody Święta Niepodległości (listopad),
17. (V) Koncert Sylwestrowy (grudzień).

Ponadto RCK współorganizuje następujące wydarzenia:

1. (V) „Betlejki” Powiatowy Przegląd Inscenizacji Bożonarodzeniowych (styczeń),
2. (IV) Wystawa malarstwa i rysunku inwalidów słuchu (styczeń),
3. (IV) Przegląd Filmów Kina Niemieckiego (luty),
4. (V) „Filmotrada” – czyli Objazdowy Festiwal Filmowy (marzec),
5. (V) Powiatowy Przegląd Szkolnych Zespołów Artystycznych (kwiecień),
6. (III) Festiwal Moniuszkowski (czerwiec),
7. Akcja „Lato w mieście” (sierpień),
8. „Dni Raciborza” (wrzesień),
9. (XIV) Przegląd Piosenki Religijnej „Spotkałem Pana” (październik),
10. (V) „Bajtel Gala” Biesiada Śląskich Szkół Specjalnych (listopad),
11. (XIV) Festiwal Pieśni do słów J.v. Eichendorffa (listopad),
12. (IV) Międzynarodowe Ornitologiczne Mistrzostwa Ziemi Raciborskiej (listopad),
13. (XIII) powiatowy Festiwal; Piosenki Dziecięcej „Malujemy nasz świat piosenką” (grudzień).

Była możliwość realizacji pięknego projektu pn. Szkolna Akademia Filmowa. W latach 2001 - 2004 odbyło się wiele projekcji artystycznego kina polskiego i zagranicznego, ale wewnętrzna sytuacja szkół sprawiła, że po dwóch latach inicjatywa upadła. Kto winien? Oczywiście RCK.

TRZECI I SZÓSTY POSTULAT oparte są zdaje się o tezę, że nie jest ważne co robi RCK, tylko kto w RCK „robi”. Z takim argumentem trudno polemizować.

Ja jednak spróbuję. W wielu wypowiedziach słowo animator kultury brzmi niemal jak przekleństwo. Nie będziemy więc mówili animator, a użyjemy starego słowa - instruktor bądź pracownik merytoryczny. Raciborskie Centrum Kultury zatrudnia 32 osoby, które tworzą 29,5 etatów, co z grubsza daje nam 16 osób na placówkę, w tym: 11 osób (11 etatów) - pracownicy merytoryczni pełnozatrudnieni (włącznie z dyrektorem), 5 osób (3,25 etatu) - pracownicy merytoryczni niepełnozatrudnieni, 2 osoby (2 etaty) - pracownicy administracji, 12 osób (12 etatów) - pracownicy obsługi pełnozatrudnieni, 2 osoby (1,25 etatu) - pracownicy obsługi niepełnozatrudnieni.

Spośród pełnozatrudnionych instruktorów 8 posiada wykształcenie wyższe - kierunkowe oraz studia podyplomowe z zakresu teatru, zarządzania i tańca. Pozostałe osoby posiadają wykształcenie średnie specjalistyczne, różnego rodzaju kursy i doksztalcenia wsparte wieloletnią praktyką.

CZWARTA PROPOZYCJA dotyczy tego, aby „[...] zorganizować jakąś stałą imprezę w RDK-u, która będzie hitem”. Dla jednych wydarzeniem będzie piknik, dla kogoś innego walka w kisielu, a dla jeszcze kogoś innego koncert Anny Marii Jopek. Myślę, że wykaz imprez zamieszczony wyżej spełnia owe kryteria, co wcale nie znaczy, że nie można wprowadzić nowości.

PIĄTA PROPOZYCJA sugeruję „[...]przeprowadzić ankiety z zapytaniem czego oczekują mieszkańcy Raciborza od RCK”.

Ta propozycja jest jak najbardziej godna realizacji. Co wcale nie oznacza, że dotychczas nie było takiej możliwości. Można zgłosić swoją propozycję choćby na stronie internetowej RCK, gdzie znajduje się opcja pod hasłem „napisz do nas”.

Na pewno będziemy korzystali z takich sugestii. Raciborskie Centrum Kultury nie pracuje bowiem w oderwaniu od rzeczywistości. Nie istnieje samo dla siebie i nie zaspokaja potrzeb własnych. Jego celem jest przede wszystkim praca na rzecz społeczeństwa raciborskiego.

Sugestia ta ma jednak kontekst o wiele szerszy. Otóż potwierdza ona, od lat wielu propagowaną przeze mnie, konieczność badań socjologicznych społeczeństwa raciborskiego, szczególnie pod kątem uczestnictwa w kulturze i potrzeb kulturalnych mieszkańców Raciborza i jego powiatu. Z mojej wiedzy wynika, iż takich szerokich badań nigdy nie przeprowadzono, ani w mieście ani w powiecie.

Aczkolwiek w 1994 r. Zofia Gałązka i Urszula Szecówka⁸ przeprowadziły badania sondażowe wśród uczniów szkół raciborskich. Dotyczyły one m.in. uczestnictwa w kulturze. Ponieważ od wspomnianych badań, obejmujących wąską grupę respondentów, minęło 11 lat, istnieje potrzeba powtórzenia ich w szerszym wymiarze.

MUSIMY PAMIĘTAĆ, ŻE „Potrzeby kulturalne są pochodną poziomu intelektualnego społeczeństwa (...) Dlatego z punktu widzenia upowszechniania kultury istotne znaczenie ma polityka oświatowa a zwłaszcza poziom, treść programowa i powszechność nauczania”⁹.

Animacja społeczno-kulturalna jest bardzo delikatną materią realizowaną przez nadwrażliwców z pasją działania. Między nimi a odbiorcami tworzą się relacje o kapitalnym znaczeniu dla rozwoju życia kulturalnego w naszym mieście. Dlatego też nie bez znaczenia jest atmosfera otaczająca ich działania. Warto wspierać nawet drobne działania, które służą rozwojowi osobowości twórczej choć dla zasady, że „małe jest piękne”.

Byłbym skłamał gdybym powiedział, że jest idealnie, że nie ma się czego przyczepić, że nie wolno nas krytykować i oceniać. Wprost przeciwnie nie żyjemy przecież w oderwaniu od rzeczywistości. Ale ocena powinna być rzeczowa i oparta o prawdę. Powielanie schematów i brutalnych kłamstw ani nie posuwa nas do przodu ani nie służy rozwojowi. Obalaniu mitów i kłamstw ma służyć moja wypowiedź.

PRZYPISY

1. J. Głowacki, Jak być kochanym, Świat Książki, Warszawa 2005, s. 7.
2. W. Lagodzinski, Szanse i zagrożenia uczestnictwa w kulturze w latach 1990 – 2003 w świetle wyników badań Głównego Urzędu Statystycznego, NCK, W-wa 2004 r., s. 49.
3. op. cit. s. 9.
4. W. Lagodzinski, op. cit. s. 11.
5. W. Lagodzinski, op. cit., s. 29.
6. H. Plessner, Pytanie o conditio humano, Wybór pism w opracowaniu Zdzisława Krasnodębskiego, PIW,W-wa 1988, s.154-155.
7. op. cit. s. 86.
8. Z. Gałązka, U. Szecówka, Aktywność społeczno-kulturalna [w:] Dzieci i młodzież Raciborza. Analiza biomedyczna i pedagogiczno-społeczna pod red. A. Szecówki, Wrocław 1994, s. 93.
9. Z. Pirozynski, Finansowe aspekty rozwoju i upowszechniania kultury [w:] Problemy organizacji i ekonomiki kultury. Finansowanie działalności kulturalnej, W-wa 1974 r.)



Bolesław Stachow urodził się 1940 roku w Grzymałowie na Podolu. Od 46 lat mieszka i pracuje w Raciborzu. Studia socjo-pedagogiczne ukończył na WSP w Opolu, a fotograficzne w Studium Fotografii i Filmu w Warszawie.

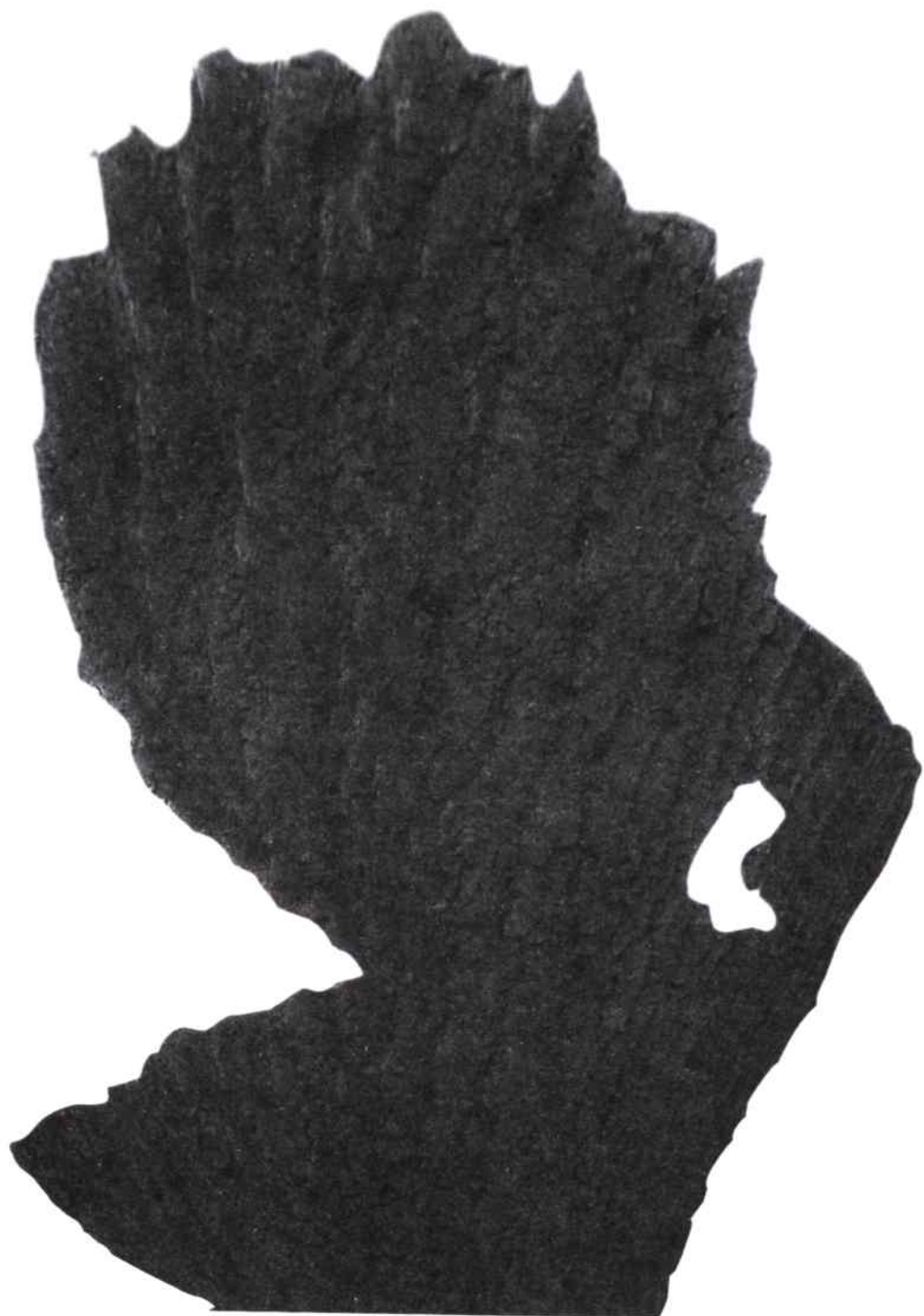
Od 1974 roku należy do Związku Polskich Artystów Fotografików. Jest autorem oryginalnej teorii fotografii jako języka rzeczywistości, jako języka przedmiotów, zjawisk i pojęć.

Jego prace inicjowały ogólnopolskie sympozja fotograficzne: „Problem języka w fotografii” oraz „Obraz i słowo”. W pracy twórczej największą uwagę poświęcił swoim wystawom indywidualnym, w każdej z nich prezentował ważne dla siebie i sztuki problemy i starał się przyczynić do ich wyjaśnienia.

W 1985 r. M. M. Auerowie umieścili jego sylwetkę w „Międzynarodowej encyklopedii fotografów” wydanej w Genewie, w 1999 r. J. Lewczyński w „Antologii fotografii polskiej”, a w 2000 r. Paweł Pierścinski w almanachu „Mistrzowie polskiego pejzażu”.

W latach 1994 i 1998 ukazują się jego autorskie albumy fotograficzne „Racibórz”, w 2001 roku album „Ziemia Raciborska”, w 2004 roku album fotograficzno-poetycki „Poeta ziemi naszej”.

W roku 2002 zainteresował się fotografią cyfrową i w tej konwencji powstają pierwsze prace do wystawy „Wspomnienia z pobytu na Ziemi”. Postanowił również dokończyć swoją książkę teoretyczną „MÓWIĆ OBRAZAMI”.





WYSTAWY INDYWIDUALNE

OBRAZY NA TEMATY LUDZKIE 1974

Wizja sytuacji człowieka wśród innych ludzi, przyrody i wytworów cywilizacji. Poetyckie i narracyjne realizacje fotograficzne na temat losu człowieka

PSYCHOPENETRACJE 1975

Fotograficzna analiza psychiki człowieka. Badanie możliwości fotografii dokumentalnej w rejestracji oraz możliwości fotografii kreatywnej w rekonstrukcji procesów psychicznych człowieka.

PROCESY I STRUKTURY 1976

Rejestracja procesów i struktur rzeczywistości, przykłady obrazowych struktur myślenia autora o tej rzeczywistości. Prezentacja utworów fotograficznych jako struktur rzeczywistości i umysłu.

FOTOGRAFIA AKTYWNA 1976

Poszukiwania nowych płaszczyzn współpracy z odbiorcą w kształtowaniu utworów fotograficznych. Autor proponuje odbiorcy wypowiedzenie określonych własnych myśli, dając mu do dyspozycji przykładowy zestaw zdjęć przedmiotów i zjawisk realnego świata.

FOTOJĘZYK 1977

Fotografia - język wzrokowego poznawania rzeczywistości.

Fotografia - język świadomości wzrokowej.

Fotografia - sposób rejestracji i kreacji wizualnych.

Fotografia - język przedmiotów, zjawisk i ich relacji między sobą i w przestrzeni.

OBRAZY I SŁOWA 1978

Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie jakie zależności zachodzą między fotograficznymi obrazami rzeczywistości a słowami tę realność opisującymi.

MIEJSCE URODZENIA 1981

Wspomnienia i dzień dzisiejszy, protest przeciwko niszczeniu wartości kultury materialnej w Grzymałowie na Podolu.

FOTOGRAFIA ŚWIADOMOŚCI NARODOWEJ 1983

Fotograficzna rejestracja i kreacja aktualnych stanów świadomości narodowej.

OBRAZY Z POLSKI 1983

Wystawa w Getyndze pomyślana jako forma prywatnego procesu normalizacji stosunków polsko-niemieckich pokazująca zabytki i krajobrazy Dolnego i Górnego Śląska

FOTOGRAFIA INTERWENCYJNA 1984

Głos w obronie internowanych i zmuszonych do emigracji.

Głos protestu przeciw totalitarnemu systemowi panującemu w Polsce.

Z RACIBORZA NA GÓRĘ ŚW. ANNY 1984

Rejestracja kapliczek i krzyży przydrożnych z raciborskiego Rynku do Klasztoru na Górze Św.

Anny. Wyraz hołdu Kościołowi Katolickiemu w Polsce jako bojownikowi o wolność, kulturę i tożsamość narodu.

JĘZYK OBRAZOWY 1985

Kontynuacja "Fotojęzyka" – wystawa formułowała fotograficzne jednostki i reguły językowe, traktowała fotografię jako język przedmiotów i zjawisk w pierwszym odczuciu oraz jako język pojęć i myślenia w drugim głębszym rozumieniu.

FOTOGRAFIE NIEZNANYCH LUDZI 1985

Kupiony na targu w pudełku po butach stos zdjęć pamiątkowych stał się pretekstem akcji fotograficznej, polegającej na odtwarzaniu przez uczestników akcji losów nieznanych dwóch rodzin polskiej i niemieckiej.

MANHATTAN / BROOKLYN 1985

Pokaz diapozytywów stamtąd z „dachu świata”.

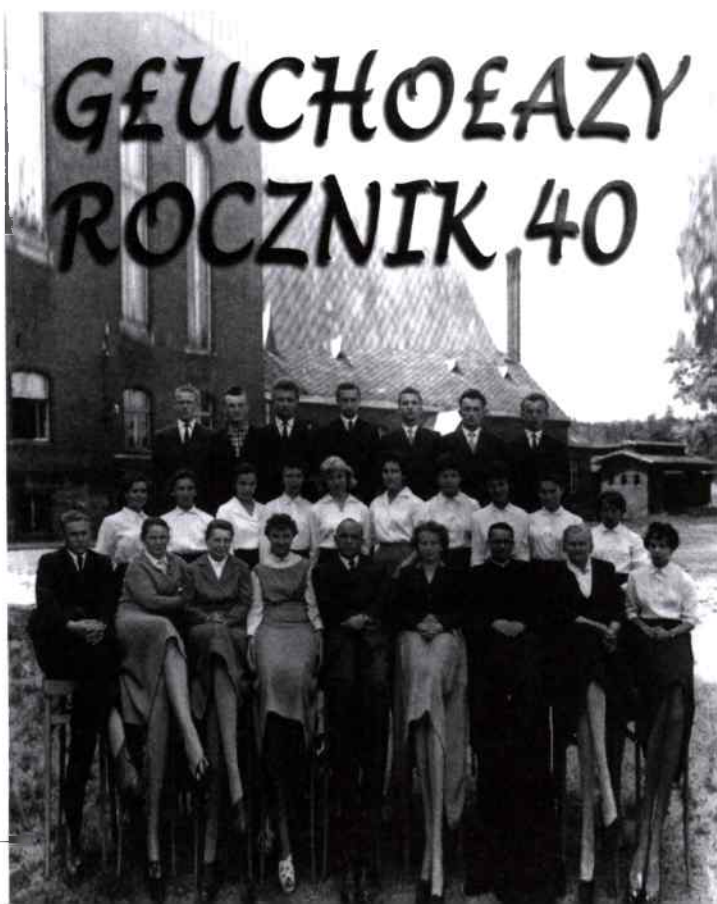
POEZJA REALNA 1986

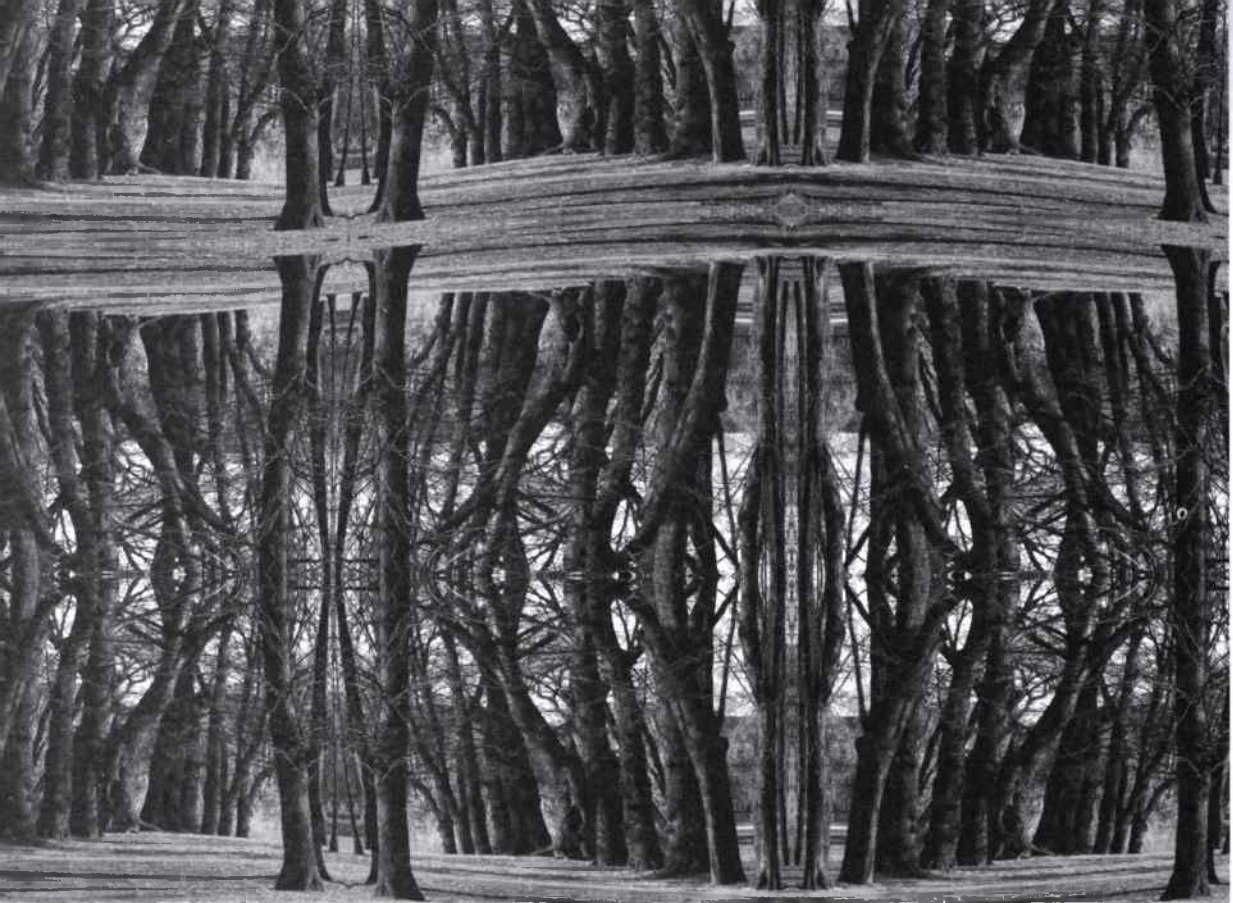
Była: - refleksją egzystencjalną,

- ekwiwalentem napięć psychicznych,
- pokazem możliwości fotografii jako języka,
- tomikiem utworów u ludziach przedmiotach, nastrojach i refleksjach,
- wyjściem poezji poza przekaz słowny.

PAMIĘTNIK FOTOGRAFIKA 1986

Autor traktuje tą wystawę jako podsumowanie dotychczasowych wypowiedzi po których nastąpił okres milczenia spowodowanego „wypaleniem się”, „rezygnacją”, brakiem inspiracji. W takiej sytuacji można było tylko pisać pamiętniki.







MIEJSCE ZAMIESZKANIA 1992

Wystawa pokazuje upływ czasu. Autor sfotografował stare widoki miasta na tle aktualnych. W ten sposób powstały obrazy w obrazach. W obu z nich wystąpiła tożsamość miejsca i widoczna odległość czasowa. Pomiedzy nimi skokowo upłynął czas.

OBRAZY DZWIĘKÓW 1997

Dźwięki muzyki i wokalu jazzowego zastygłe w fotografiach.

ZIEMIA RACIBORSKA 1998

Krajobraz, architektura i ludzie Ziemi Raciborskiej.

KSZTAŁTY ENERGII 1999

Tam w fabryce gdzie powstają urządzenia do wytwarzania energii.

POWRÓT DO ESTETYKI 2001

Stylizacja malarska w fotografii.

Powrót do fascynacji wartościami estetycznymi takimi jak: forma, treść, światło, czy punkt widzenia...

POETA ZIEMI NASZEJ 2002

Współczesne fotografie nawiązujące do treści i nastrojów wierszy J. von Eichendorffa.

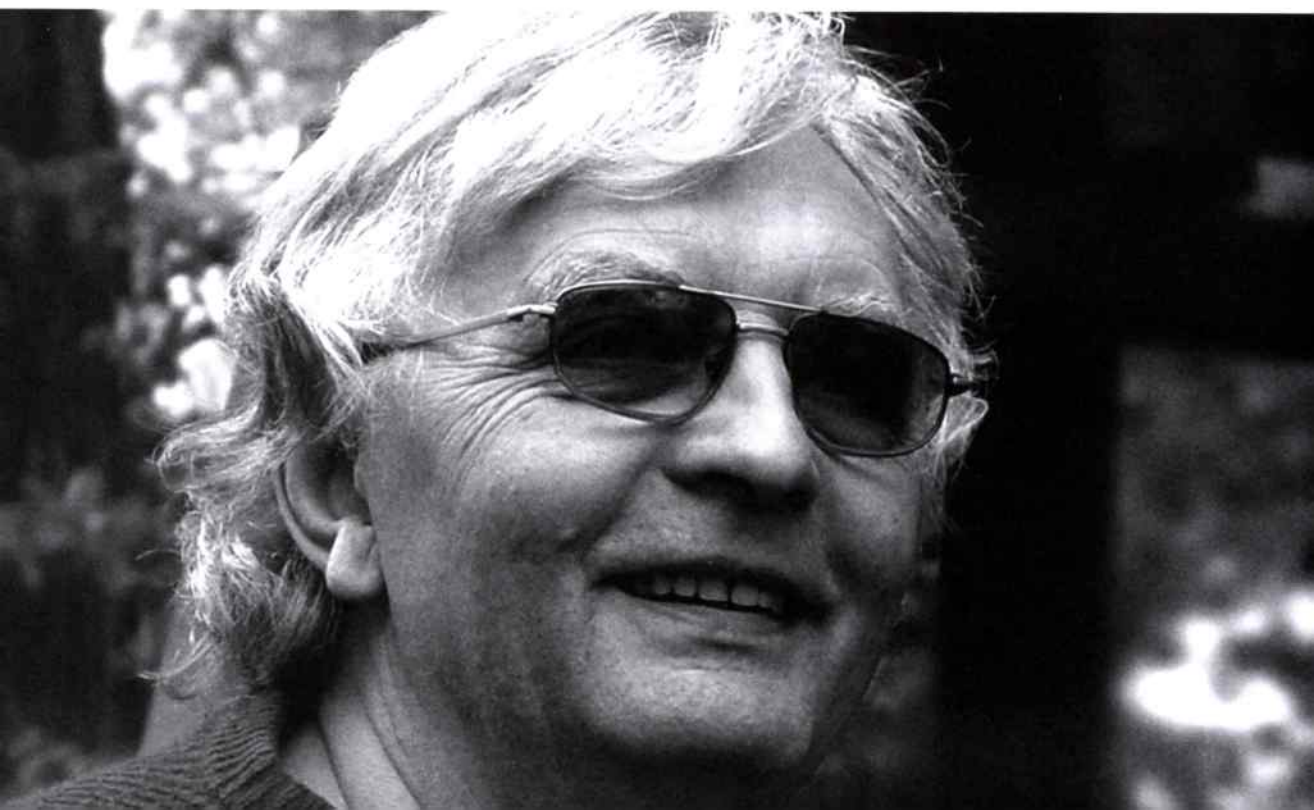
MATECZNIK SŁOWA 2003

Wystawa oddająca atmosferę i pokazująca ludzi realizujących projekt literacko - teatralno - muzyczny pt. "Prowincja - matecznik słowa".

KLASA STEFANII 2005

RACIBÓRZ – CZTERY PORY ROKU 2005

Projekcje multimedialne, w których występuje współbrzmienie muzyki i obrazu.



Z WILNA DO KOMUNISTYCZNEGO WIĘZIENIA

ZE WSPOMNIENIĘ PORUCZNIKA STALA
– CZĘŚĆ DRUGA

KONTYNUUJEMY OPowieść PORUCZNIKA FRANCISZKA STALA, Z KTÓRYM W PIERWSZYM NUMERZE AP PRZEŚLEDZILIŚMY KAMPAJĘ WRZEŚNIOWĄ I DOTARLIŚMY DO ZAJĘTEGO PRZEZ BOLSZEWIKÓW ŁWOWA. PRZESKAKUJĄC W CZASIE PROPONUJEMY CZYTELNIKOM FRAGMENT DOTYCZĄCY TZW. REPATRIACJI Z WILNA NA ŚLĄSK I PIERWSZE SPOTKANIE AUTORA Z KOMUNISTYCZNYM APARATEM REPRESJI. (RED)

Mjr dypl. Mieczysława Potockiego ps. Kamień, Węgielny miałem okazję spotkać kilkakrotnie. Pamiętam dobrze taki epizod. W czasie mego dyżuru w Łabunach przepuszczałem właśnie pociąg wojskowy na front, w kierunku na Dukszty. W środku transportu, z budki hamulcowej wychylił się kolejarz w niemieckim uniformie (takie nosiliśmy) i na migi pokazał mi, by w Duksztach zatrzymać mu pociąg. Poznałem pasażera – był nim Węgielny. Na sąsiedniej stacji dyżur pełnił dyżurny ruchu Raczkowski, znaleźliśmy się tylko z widzenia, a mimo to na moją prośbę rozkaz majora został spełniony. Następne spotkanie mjr Węgielnym miało miejsce po akcji na wagon niemiecki; doszło do niego w Wilnie, gdzie na melinie, Węgielny serdecznie pogratulował mnie i chłopcom brawurowej akcji i cennej zdobyczy w postaci broni i amunicji. Jeszcze jedno spotkanie miało miejsce krótko przed akcją „Ostra brama”, w Podbrodziu na folwarku braci Kozłowskich.

Ostatnie spotkania z Węgielnym odbyły się już w PRL; on już zdążył „zaliczyć” sowieckie łagry, a ja – Mokotów. Pierwszy raz widzieliśmy się w jego mieszkaniu w Łodzi. Moje poranne pukanie do drzwi gospodarz odebrał początkowo jako zapowiedź kolejnej wizyty „smutnych panów”, bowiem nieustannie był nękanym przez UB. Po raz ostatni widzieliśmy się u Jadzina w Warszawie z okazji poświęcenia sztandaru Zgrupowania Węgielnego.

Mjr Węgielny odmeldował się na wieczną wartę. Wymęczony konspiracją i trudami powojennej egzystencji zmarł chyba w Krakowie u kogoś z rodziny.

Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był kpt. c.c. Smela, ps. Lipek, Janusz. Poznałem go w okresie, kiedy był zastępcą dowódcy V Odcinka „Wachlarza”. Pochodził z Rzeszowszczyzny, był zawodowym oficerem; nad czołem miał dużą bliznę, co nie ułatwiało jego działalności podziemnej.

Wspomniałem poprzednio, że przez pewien czas byłem inkasentem wileńskiej elektrowni i miałem rejon Łosiówka i Śnipiszki. Tamże właśnie była ulica Lwowska. W jednym z mieszkań przy Lwowskiej, sprawdzając licznik, zastałem przy stole grających w szachy mężczyzn. O tym, że Janusz był zna-



Franciszek Stal

– urodził się 2 czerwca 1912 roku w Borku w powiecie bocheńskim jako syn Stanisława i Marii z d. Pniak. W 1933 zdał maturę w gimnazjum humanistycznym w Bochni, po czym odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie i w 31 p.p. Strzelców Kaniowskich w Łodzi; Wojsko Polskie opuścił w stopniu podporucznika rezerwy. Naukę kontynuował w Instytucie Administracyjno-Gospodarczym w Krakowie, który ukończył w 1936. Jako miejsce swojej pracy wybrał Wileńszczyznę, gdzie pracował w PKP, najpierw w Wilnie, a od 1938 na stacji Ignalina jako dyżurny ruchu.

W kampanii wrześniowej brał udział jako dowódca taborów batalionu 206 zapasowego p.p. z Nowej Wilejki. Walczył w obronie Lwowa. Po kapitulacji na rzecz Niemców gen. Langnera i zdradzieckim wkroczeniu Armii Czerwonej podjął ucieczkę ze swojego rozbrajanego przez Sowieców oddziału, przez co uniknął Katynia. Po wielu dniach tułaczki powraca do Ignalina, tam pracuje w lesie; po zajęciu Litwy przez Sowieców w czerwcu 1940 zostaje rozpracowany przez NKWD i uchodzi do Wilna, gdzie zatrudnia się jako inkasent liczników elektrycznych.

Tam zostaje zaprzysiężony jako żołnierz ZWZ przez kpt. KOP Jerzego Bronikowskiego. W 1941 wraca do Ignalina z zadaniem utworzenia siatki konspiracyjnej ZWZ. Zorganizowana i kierowana przez niego struktura wchodzi w skład Obwodu Święciani; do jej głównych zadań należy monitorowanie trans-

portu kolejowego na linii Wilno-Dyneburg, współpraca z komórką wywiadu w Wilnie oraz działania zmierzające do utworzenia patrolu dywersyjnego. Już w lutym 1942 oddział może poszczycić się znacznymi sukcesami w dywersji na szlaku kolejowym Nowe Święciany-Pokretonka. Po reorganizacji Okręgu Wileńskiego AK ppor. Stal ze swoim oddziałem znajduje się w granicach Inspektoratu "B", kierowanego przez mjr. dypl. M. Potockiego, ps. Węgielny. W nowej strukturze ppor. Stal obejmuje dowództwo ośrodka dywersyjnego o kryptonimie OD-23, który operuje na 50-kilometrowym szlaku kolejowym od Pohulanki do Podudzia. OD-23 składa się z 5 patroli, które obok akcji dywersyjnych gromadzą broń, kolportują prasę konspiracyjną, prowadzą intensywne szkolenie wojskowe; w końcowej fazie działalności oddział składa się ze 100 żołnierzy. Po podstępny aresztowaniu Komendy Okręgu Wileńskiego AK 17 lipca 1944 wraca do ścisłej konspiracji i otrzymuje nominację na komendanta Obwodu Święciany z siedzibą w Podbrodziu. Tam działa do początku 1945. W związku z nasileniem represji NKWD zostaje przesunięty do pracy w punkcie repatriacyjnym w Wilnie, działającym na Pohulance. W Wydziale Transportowym organizuje przerzut wielu ściganych żołnierzy AK włąb Polski, poza granicę jałtańską; zdekonspirowany, ukrywa się i w końcu sam, w sierpniu 1945, zostaje przetrzucony przez granicę. Osiedla się w Nysie, gdzie pracuje w urzędzie skarbowym.

Franciszek Stal nadal utrzymuje kontakty z ostatnim komendantem Okręgu Wileńskiego AK, ppłk. Antonim Olechnowiczem, ps. Pohorecki, któremu pomaga ukrywać się przed polskim UB; jest zresztą członkiem Komendy Wileńskiego Ośrodka Mobilizacyjnego. W końcu czerwca 1948 zostaje aresztowany. Po procesie w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Katowicach dostaje 10 lat więzienia za "wrogi stosunek do Polski Ludowej i szpiegostwo". Po 6,5 roku więzienia spędzonych na Mokotowie i we Wronkach zostaje zwolniony dopiero w 1956 roku. Zamieszkuje w Raciborzu i tu pracuje jako dyżurny ruchu, znosząc szykany i inwigilację ze strony organów bezpieczeństwa PRL. W 1976 przechodzi na emeryturę. Dopiero 24 października 1991 wyrok stalinowskiego sądu uchyla Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. Porucznik Franciszek Stal jest kawalerem Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari (przyznany w 1990 na wniosek Komendanta "Węgielnego" za akcje dywersyjne w czasach okupacji).

(mr)

komitym szachistą, dowiedziałem się dużo później. Wtedy zaś wystawiłem rachunek i wyszedłem. Jakież było moje zdziwienie, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w lokalu konspiracyjnym w Ignalinie. Obydwaj byliśmy tak samo zdumieni. - Skąd my się znamy? - zaczął Janusz. Wtedy przypomniałem sobie ten drobny epizod z ulicy Lwowskiej. Później widywaliśmy się wielokrotnie. Janusz, mając miejsce postoju w Topolce, za każdym razem po przyjeździe z Wilna, zatrzymywał się u mnie lub Żelobowskiego, aby potem - via Widze - dotrzeć do swojej bazy. Nasz dowódca w sposób mistrzowski doskonalili wrodzony dar mimikry. W społeczności, składającej się w 90% z Litwinów, potrafił przemieszczać się niezauważony. Trzeba przyznać, że pomagał mu w tym noszony ubiór - jak wszyscy miał ubranie samodiałowe, buty szyte na wsi i popularny w tamtych czasach kaszkiet. Janusz był zawsze pogodny, uśmiechnięty i bardzo koleżeński - nigdy nie dał poznać, że jest zwierzchnikiem i może właśnie dlatego nigdy nie musiał obawiać się o brak szacunku z naszej strony.

Z Jadzinem, moim zastępcą z czasów okupacji, odwiedziliśmy naszego dowódcę w Rzeszowie. Już nie czuł się dobrze; choć nie miał w zwyczaju uskarżać się na zdrowie, dokuczała mu duszność. Mieszkał blisko dworca i po spotkaniu odprowadził nas do pociągu. Jadzin odjechał pierwszy ja zaś oczekiwałem na pociąg w stronę Krakowa. Spacerowaliśmy po peronie trzy kwadransy. Kiedy nadjechał pociąg pożegnaliśmy się jak bracia, przycisnął mnie do siebie i mocno ucałował, po chwili jeszcze raz podszedł do mnie i podał dłoń ze słowami „na ostatnie pożegnanie”. Niestety było ono naprawdę ostatnie i tę chwilę, choć minęły lata, mam do dzisiaj przed oczami.

Czas oczekiwania na przerzut do Polski spędziłem w Ponarach, gdzie przygotowano mi lozum. Tak się złożyło, że pomieszczenie, które zajmowałem, za okupacji był kwaterą kpt. Jerzego Bronikowskiego, który odbierał ode mnie przysięgę AK-owską. Doszły mnie wieści, iż kpt. w czasie przebijania się przez nową granicę został zastrzelony przez Sowietów. Pozostawił żonę i syna, których nie udało się odnaleźć.

Ponary były miejscowością letniskową, mieszkali tu przeważnie wyżsi urzędnicy, a okazałe wille były pobudowane z drzewa. Właścicielem domu, w którym zamieszkałem, był Franciszek Turło. Osobiście się z nim nie zetknąłem, natomiast kilka razy rozmawiałem z panią Turło. Gospodarze doskonale wiedzieli, iż ukrywają osobę spaloną, zatem zdawali sobie sprawę, czym ryzykują. Ja sam zajmowałem kuchnię, natomiast do pokoju - na domiar złego - sprowadziło się czterech enkawudzistów. Sowietci wychodzili na cały dzień i wracali nocą. Właśnie noce były najgorsze: nie mogłem na tapczanie zrobić najmniejszego ruchu, o kaszaniu nie było nawet mowy. Każdy nieopatrzny dźwięk mógł zdradzić moją obecność. Tak więc przeżywałem męki Tantalusa. Ponary się wyludniały. Szalał czerwony terror; powrócił czas kiedy znajomi nawzajem unikali się. Z twarzy ludzkich zniknął uśmiech. Dostawałem wiadomości, że jestem poszukiwany w każdym transporcie ewakuacyjnym. Wiedziałem, że koledzy nie zapomną o mnie, ale przedłużający się pobyt w Ponarach groził dekonspiracją, a więc śmiertelnym niebezpieczeństwem mnie i moim gospodarzom. Na ogólny nastrój zastraszenia i psychozy nakładała mi się myśl o tym, że moja żona w Krakowie czeka na rozwiązanie. Godziny wlokły się w

nieskończoność, żyłem w maksymalnym napięciu nerwowym i muszę przyznać, że miałem w tamtych dniach myśli samobójcze.

Jednak Matka Boska Okulicka, Ta, z którą przeszedłem Kampanię Wrześniową, czuwała nad moją rodziną i nade mną. Pewnego dnia pani Turło, z którą rozmawiałem może 2 – 3 razy, prosi mnie na rozmowę; wychodzimy do lasu, ona prosi, abym słuchał uważnie tego, co powie i bym zastosował się do zaleceń. Jutro w godzinach południowych z Wilna wyjedzie transport Polskiego Urzędu Repatriacyjnego, ja mam czekać w Landwarowie (ok. 5 km. od Ponar); mniej więcej w środku transportu, od strony peronów, zostanie wywieszony biały ręcznik i tam właśnie mam się niepostrzeżenie dostać. Pociąg będzie stał kilka minut. O reszcie dowiem się w wagonie. Ostatnie słowa pani Tarło, to było „Szczęść Boże!”

Nocą nie zmrzyłem oka. Ze łzami w oczach pożegnałem moją gospodynię, która pobłogosławiła mnie na drogę. Z duszą na ramieniu ruszyłem w stronę Landwarowa i około 8.00 byłem już na swoim posterunku; czas oczekiwania spędziłem na modlitwie. Do głowy przychodziły mi najdziwniejsze przypuszczenia, np. czy to wszystko nie jest prowokacją NKWD. Jedno było pewne: dłużej w stanie takiego zawieszenia nie mogłem trwać! Godziny oczekiwania wydawały mi się wiekami, oczy wychodziły mi z orbit. Dochodziło już południe, kiedy zobaczyłem, że semafor wjazdowy daje sygnał „droga wolna”. Może to mój utęskniony transport? I dalej następuje sekwencja wydarzeń jak z banalnego filmu akcji, wszystko stało się tak jak zapowiedziała pani Turło. Z daleka widzę nadjeżdżający pociąg, ja w pogotowiu do skoku, pociąg hamuje, z jednego z wagonów powiewa biały ręcznik; nurkuję pod wagon, przedostaje się do otwartych drzwi (wagon był towarowy, tylko takie luksusy czekały na „repatriantów”), wskakuję do wagonu. Wewnątrz widzę same kobiety w różnym wieku, witają mnie słowami: - Chwała Bogu, że pan jest! Czekaliśmy w napięciu, czy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Kiedy pociąg ruszył, moje nowe towarzyszkę podróży ukryły mnie za meblami, które ze sobą wiozły. Za stertą skrzyń, szaf i pudeł czułem się dość bezpiecznie. Dojechaliśmy do granicznej stacji Łosośna, gdzie miała się odbyć „prowierka dokumentów”. Moje współtowarzyszkę dobrze znały mentalność sowieckiego urzędnika i już miały w pogotowiu poczęstunek łącznie z nieodzowną butelką. Przez ścianę słyszałem, że NKWD jest już w sąsiednim wagonie, za chwilę weszli do naszego; usłyszałem dźwięk nalewanego samogonu i słowa „a eto same stariki”. Kontrola, która dla mnie trwała wieczność, odbyła się dosłownie w kilka chwil. Natomiast zdumiało mnie skomlenie psa, który jednakże niczego nie wyczuł. Po kilku godzinach postoju w Łosośnej nasz pociąg opuścił „nie ludzką ziemię”. Moje panie uwolniły mnie z kryjówek; na pytanie o psa pokazały mi specjalne perfumy, które obniżyły zdolności węchowe zwierzęcia. Oto do jakiej perfekcji został zaplanowany i przeprowadzony przerzut mojej skromnej osoby.

Po bardzo krótkim postoju na stacji Sokółka, już po polskiej stronie, ruszyliśmy w kierunku Białegostoku. Moja wdzięczność wobec współpasażerów nie miała granic. Starszy dystyngowany pan, wyglądający na wileńskiego arystokratę, rzekł - „Szanowny Panie! Ja w podobnych warunkach opuszczałem sowiecki „raj” w dwudziestym trzecim”.

Gdy dojechaliśmy do Białegostoku, wyskoczyłem na peron, aby umyć się pod żurawiem wodnym i wpadłem niemal wprost w objęcia... niejakiego Łaskiewiczza, kapusia NKWD, o czym wiedział cały PUR w Wilnie. Osobnik ten był moim podwładnym, no i miał na pewno zadanie węszyć za mną. Po chwili obustronniego zdumienia Łaskiewicz oddalił się w kierunku stacji w wiadomym celu, mnie zaś nie trzeba było dwa razy powtarzać co mam czynić. Pod wagonem mojego składu, przeskakując skład na sąsiednim torze, oddaliłem się na bezpieczną odległość; niestety, mój skład odjechał. Po paru godzinach, bez żadnych dokumentów, pociągiem osobowym dostałem się do Warszawy. Wiedziony instynktem doświadczonego kolejarza, stację opuściłem nie przez budynek dworca, lecz idąc wzdłuż torów do miasta. Jak uwierzyć, że to przypadek, że idąc rampą kolejową nagle stanąłem twarzą w twarz z moim najwierniejszym przyjacielem,

adiutantem Jadinem, czyli – Stachem Szostakiem. Od tej chwili to on przejął przewodnictwo mojej wyprawy. Dowiedziałem się, że cała Komenda Wileńska AK mieści się w Kutnie. Tam też wyjechaliśmy obydwaj. W budynku PUR spotkałem mjr Olechnowicza, kpt. Łozińskiego i kilku innych. Zapytałem Olechnowicza, kim była staruszka w Ponarach, która przysłała do mnie z poleceniem wyjazdu. Odparł mi: - To nie Twoja sprawa. Grunt, że wszystko zagrało! Z tych słów zrozumiałem, że była to osoba z głęboko zakonspirowanej jednostki wywiadu. Jak można się domyślać, koledzy nie zostawili mnie na pastwę losu. W Kutnie zaopatrzone mnie w „lewą” kartę repatriacyjną i różnymi pociągami dotarłem do Katowic, skąd w składzie z węglem przedostałem się, po wielu przygodach, do Krakowa. Tam znalazłem się 23 sierpnia rano, a wieczorem urodził się mój syn, Staś. Któż mógł wtedy przewidzieć, jak ciężkie koleje losu go czekają w najbliższych latach. Po kilku dniach przeniesiliśmy się do mojego rodzinnego Borku. Tak więc jesień i bardzo ostrą zimą 1945/46 spędziłem na mojej ojcowiznie. W marcu lub kwietniu odwiedził mnie Jadin z wiadomością, że w bardzo pilnej sprawie mam zameldować się w miejscu, którego w tej chwili już nie pamiętam. Tam dowiedziałem się, że mjr Olechnowicz jest poszukiwany przez UB i chce u mnie zamieszkać. Oczywiście, moją odpowiedzią na tę propozycję było wyrażenie zgody. Tak więc zająłem się konwojowaniem majora z Kutna do Borku, gdzie mój szwagier, Wojciech Przepiórka, sekretarz gminy Rzezawa, wystawił mu „lewy” dowód. Niestety, w tak małej miejscowości, jak Borek – w której wszyscy się znają – obcy wzbudza natychmiast zrozumiałe zainteresowanie. Nie dało się tam pozostać długo.

Następnym etapem tułaczki mjr Olechnowicza stała się Leśnica u stóp góry Św. Anny, gdzie na PKP pracował jeden z moich żołnierzy, Michał Danilewicz. On właśnie załatwił pracę Olechnowiczowi w charakterze kancelisty. Jak się później dowiedziałem, major miał wyjechać na kontakt z gen. Kopańskim do Paryża. (...)



Wstał piękny słoneczny dzień 29 czerwca 1948 r., dzień ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. Obudziłem się po koszmarnej nocy; śniła mi się beczka pełna mięsa, robactwo itd. Trudno było zlekceważyć to makabryczne prorocstwo. Po obiedzie udaliśmy się na pływalnię z żoną i synkiem, który miał wtedy prawie trzy lata. Pamiętam, że byłem dziwnie podenerwowany, wydawało mi się, że ktoś mnie obserwuje. Po kolacji uspiłem Stasia, a żona wybrała się do kina. Około 21.00 usłyszałem dzwonek do drzwi i wyszedłem otworzyć, myśląc, że to wraca żona. W drzwiach stali mężczyźni z bronią. Dalej wydarzenia potoczyły się szybko, w myśl tak dobrze znanej procedury. Ręce do góry, kajdanki... Dziecko smacznie śpi pierwszym mocnym snem. Ja, już skutą, przez okno widzę, że na ulicy stoi ubek. Chcą mnie wyprowadzać, protestuję stanowczo, ostrzegam, że będę krzyczał na cały głos, nie ruszę się do puki nie wróci żona. Nie dopuszczałem myśli, że mogę chłopca zostawić samego w domu. Gdy weszła żona, wylegitymowana na progu, jej spazmatyczny płacz obudził dziecko. Staś zapytał mnie: - Tatusiu, gdzie Ty idziesz?! Tych kilka słów towarzyszyło mi przez długie, ciężkie lata więziennej poniewierki.

Na ulicy czekał samochód, którym przewieziono mnie do piwnic UB. Nazajutrz rano siłą przebrano mnie w mundur gestapowca i skutego, w towarzystwie dwóch ubowców, przewieziono mnie przez Katowice i Częstochowę do Warszawy. Niedaleko przed Warszawą znów przebrano mnie w prywatne ubranie i tak znalazłem się na ulicy Koszykowej w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Po paru godzinach zostałem przewieziony do więzienia mokotowskiego, do pawilonu XI. Kiedy otworzyły się drzwi celi zobaczyłem pięć białych, niemal przezroczystych twarzy; ludzie ci siedzieli w tych warunkach już od blisko roku. Nastąpiła wzajemna prezentacja i muszę przyznać, że te nazwiska pamiętam do dziś. Byli to: pan(dr?) Redke, członek Sodalizacji Mariańskiej, mgr Stolarski, pracownik górnictwa, Młodzianowski, kuzyn byłego prezydenta Zalewskiego, Zbysiu Krajka z Gliwic (za przenocowanie incognito człowieka, którym okazał się Adam Doboszyński, adwokat, organizator marszu na Myślenice) oraz Rysiek Widelski, organizator zasadzki na min. Radkiewicza z MBP, już skazany na karę śmierci. Zachowywał się z wielką godnością, swoją postawą wpływał uspokajająco na kolegów z celi; kiedy pomimo zabiegów ojca, kucharza w ambasadzie angielskiej, wyrok wykonano, Rysiek miał około 30 lat.

To, czego nie udało się zrobić Niemcom, mistrzowsko wykonali komuniści rękami aparatu Urzędu Bezpieczeństwa. Potrafili stworzyć rozbudowany siatkę konfidentów i sprawny, choć celowo działający wiele miesięcy, system śledczy. Jeśli w gestapo śledztwo trwało kilka lub kilkanaście dni, ubowcy robili to nawet latami doprowadzając więźniów do szaleństwa. Azjatyckie metody tortur wiernie zapożyczano od mocodawców z NKWD. Na Mokotowie nazwiska kapuściów były znane i przekazywane z celi do celi za pomocą alfabetu Morse'a. Także dobre wiadomości przekazywano błyskawicznie. W celi, do której trafiłem dość szybko, zostałem zaakceptowany i po wieczornym apelu moje nazwisko systemem łączności więziennej zostało przekazane dalej. Pamiętam, że w sąsiednim „apartamencie” przebywał Mieczysław Pszon, późniejszy redaktor „Tygodnika Powszechnego”.

Chyba już następnego dnia wzięto mnie na tzw. Przesłuchanie. Koledzy już ostrzegli mnie, że najgorsze są właśnie pierwsze przesłuchania; oprawcy znają życiorysy, zaskakują drobiazgowymi pytaniami i ważne jest, aby zachować zimną krew „nie puszczać farby”. Jako preludeum stosuje się bicie, by zmiękczyć delikwenta. Po wejściu do sali przesłuchań pokazano mi kilkadziesiąt fotografii, bym wskazał, które z nich znam – Traktuj to, ty ch..., już jako zeznanie świadka, za złożenie fałszywych zeznań grozi ci kara do pięciu lat! Oprócz Olechnowicza i Łozińskiego nikogo nie rozpoznałem, ale i tak zostało to moją słodką tajemnicą. Do celi wróciłem mocno pobity i zmaltretowany.

Podjejrzałem, że był to dopiero prolog. Zwyrondnialcy z UB, bardzo często niewykształceni lub wręcz niepiśmienni, dziwnym trafem mieli znakomicie opanowaną anatomię ludzkiego ciała. Np. słynny Bochenek miał słabość do bicia i kopania po nerkach, inny do sadzania na

nodze od stołka (aby się nie podeprzeć nogą, trzeba je było położyć na kiblu). Na ogół specjalizowano się w przesłuchaniach nocnych. Jeszcze inny z oprawców miał słabość do stawiania ludzi na noc w karcerze, gdzie otwierano okno i nieszczęśnik w zimie był co parę godzin polewany wodą. Po takiej „obróbce” więzień nieprzytomny z bólu i zmęczenia na ogół podpisywał wszystko, co mu podsunęto.

Postrachem całego Mokotowa był karcer, mała niska komórka pod schodami, gdzie wtlaczało „pacjenta”, który siedział w pozycji kucznej nieraz i tydzień, załatwiając czynności fizjologiczne pod siebie. Co parę dni zjawiał się tzw. oficer śledczy, który sprawdzał, na ogół używając wulgarnego słownictwa, czy więzień chce zeznawać. Ja osobiście miałem styczność z oficerem śledczym, zbirerem, który specjalizował się w przysiadach; kazał nieszczęśnikowi ustawić się twarzą do ściany, tak by czubki butów dotykały tynku i kazał robić przysiady. Jest oczywiste, że nie dało się robić przysiadów w ten sposób, więc oprawca stał z tyłu i kopał po genitaliach. Był też specjalista od życiorysów. Zrywał więźnia wyłącznie nocą i półprzytomnemu kazał pisać życiorys. Po kilku dniach to samo i biada nieszczęśnemu, jeśli treść obu różniła się. Grasował także niejaki Szymański, który awansował szybko do stopnia kapitana, choć nie był oficerem śledczym. Na ochotnika rozstrzeliwał skazańców, zaś jeśli spotkał więźnia na korytarzu, nie przeszedł bez kopnięcia lub uderzenia w twarz.

Nie będę tu opisywał swojego śledztwa, gdyż po prostu nie stać mnie na to psychicznie. Powiem tylko, że nie byłem w „czołówce”, ani też w „ogonie” wśród przesłuchiwanym. I tak wyszedłem z tego względnie obronną ręką – nie zostałem trwałym inwalidą. Co prawda mam nadwyróżoną lewą nerkę i zniszczony system nerwowy, ale ominęło mnie najgorsze. Pamiętam dobrze – kiedy już wyprowadzano nas na tzw. „spacerniak” - jak współwięźniowie na rękach wynosili akowca z przetrąconym kręgosłupem; krążyła fama, że to ofiara rzeszowskich przesłuchań z ostatniej Komendy WIN-u.

Przy końcu zimy 1948/49 r., był to może marzec lub kwiecień, zostałem w obstawie dwóch ubowców przewieziony pociągiem osobowym do Katowic, do więzienia przy ulicy Mikołowskiej. Tam już panowały względnie „dobre” warunki – jeśli to słowo może być adekwatne do sytuacji z tamtych lat. W celi były podłogi (na Mokotowie beton), wyżywienie było znośne. Jako oficera śledczego przydzielono mi niejakiego Szumlewicza, bardzo słabo mówiącego po polsku z wyraźnym wschodnim akcentem. Znałem go już, bowiem przesłuchiwał mnie na Mokotowie w sprawie Zenona Winika, ps. Śrut. Ów Szumlewicz „specjalizował się” w biciu nogą od krzesła. Musiał się nią często posługiwać, gdyż dawała się bez oporu wyjmować z mebla. Okładał tą nogą bez opamiętania, nie patrząc gdzie bije...

Do końca życia pamiętał będę ten straszliwy szok, kiedy wchodząc do celi zobaczyłem wśród więźniów harcerzyka w wieku około 17 lat o nazwisku Bolesław Król. Przesympatyczny chłopiec, pełen wigoru i uśmiechu, paradoksalnie swoją obecnością dodawał nam otuchy. Okna naszej celi wychodziły na Plac Andrzeja. Boluś zwinny jak kot często podpatrywał życie na zewnątrz przez okienną blendę. Pewnego dnia zauważył kobietę z małym dzieckiem przechadzającą się pod murami więzienia i spoglądającą ukradkiem w nasze okna. Kiedy zorientowałem się, że to moja żona, omdlałem z wrażenia.

Po dziesięciu przesłuchaniach wyczuwałem, że śledztwo ma się ku końcowi. Nastąpiło to chyba z początkiem czerwca 1950 roku, a na początku sierpnia zostałem wyciągnięty z celi, ale nie poprowadzono mnie do tzw. pokoi przesłuchań, lecz w stronę administracji więzienia. Wprowadzono mnie do pomieszczenia, gdzie oczekiwał mnie człowiek o nazwisku Zalewski, z Warszawy, lat około 50, który przedstawił się jako mój obrońca z wyboru, posiadający pełnomocnictwo w tej sprawie od mojej żony. Rozmowa była raczej cierpka, po pierwsze dlatego, że funkcjonował podsłuch, a po wtóre nie miałem pewności czy sprawa nie jest sfingowana, by wydusić ze mnie więcej informacji. W tym też miesiącu odbyła się moja „rozprawa”. Oskarżał szef Prokuratury Wojskowej w Katowicach, mjr Henryk Ligęza, a sądził mjr Wiktor Adamski (pierw-



szy pochodził z Krakowa, natomiast Adamski – Altschiller, był Żydem ze Stanisławowa). Stawił się również mój obrońca, Zbigniew Zalewski. Na „procesie” była moja mama i żona, na korytarzu siostra z trzyletnim synkiem. Kiedy prokurator zażądał piętnastu lat więzienia, na sali rozpraw powstało zamieszanie: moja mama zemdlona upadła na podłogę. Po dłuższej chwili „wysoki sąd” zebrał się ponownie i odczytano mi wyrok – 10 lat. W tym czasie był to wyrok należący do niskich. Jeszcze pozwolono mi wziąć Stasia na ręce i ucałować go i zaraz trzeba się było żegnać, z rodziną i „Śrutem”, który w tych dniach zdał swój egzamin celująco. Miał bardzo ciężkie śledztwo. Nie przyznawał się do znajomości z mjr Olechnowiczem, nie wiedząc, że Komendant miał go w swoich spisach, które znalazły się w rękach ubowców. Był wzorem godności żołnierskiej.

Znów przewieziono mnie do więzienia, gdzie czekał na mnie mój śledczy, półanalfabeta Szumlewicz, który przywitał mnie słowami: - Co, myślisz, że wykpisz się 10 latami!!!! Ja tu wydaję wyroki, a sąd jest tylko od ich odczytywania! Będziesz miał drugą rozprawę!

W istocie druga rozprawa, tzw. „kiblowa”, czyli bez wychodzenia z celi, odbyła się 20 sierpnia 1949 roku. Skład „sądu” był ten sam, natomiast prokuratorem był Marek Szauber, tym razem Żyd lwowski. Kiedy zapytałem o mgr Zalewskiego, dowiedziałem się, że jest chory; zastępował go z urzędu Włodzimierz Wielgus. Na pytanie czy zna moją sprawę, odpowiedział dosłownie tak: - Tak głośną sprawę zna cała Polska. Mimo, że Szumlewicz, tak jak za pierwszym razem, ostentacyjnie wtrącał się w przebieg procesu, utrzymano wyrok 10 lat. Rozpiętość kar w tym okresie oscylowała pomiędzy 15 lat, a karą śmierci. W swej skołatanej duszy czułem po raz kolejny, że oprócz śledczych „interesuje się” mną Matka Boska Okulicka.

Po kilku tygodniach przewieziono mnie do Więzienia Centralnego Wronki, miejsca o potwornym reżimie. Swoistym wkładem w rozwój metod walki z wrogiem ideologicznym (tzw. reakcją) był fakt, iż śledztwo nie kończyło się z chwilą otrzymania wyroku, trwało nadal! W każdej celi znajdował się przynajmniej jeden kapuś. Człowiek był prowokowany i zmuszony do życia w ustawicznym napięciu. Nie można było zdradzić się żadnym słowem, czy gestem. To wszystko stanowiło dodatkową karę. Właśnie w czasie mojego pobytu we Wronkach, 30 listopada 1950 r., wojskowy sąd Rejonowy w Warszawie skazał na karę śmierci ppłk. Antoniego Olechnowicza ps. Pohorecki, mjr. Zygmunta Szendzielarza, ps. Łupaszka, por. Lucjana Minkiewicza, ps. Wiktor, por. Henryka Borowskiego, ps. Trzmiel. Wyrok wykonano 8 lutego 1951 roku. Sprawa wymienionych oficerów łączy się ze mną o tyle, że występowałem jako ostatni ze świadków na ich procesie. Przyznałem się tylko do znajomości z podpułkownikiem, choć znałem bardzo dobrze Henryka Borowskiego, który w czasie mojej pracy w PUR dostarczał mi karty repatriacyjne, znakomicie podrabiane przez naszą komórkę legalizacyjną. Po procesie Olechnowicza zostaliśmy przeniesieni na tzw. Ogólniak. Była to duża cela, w której upychano na siłę około 30, a może i więcej więźniów, oczekujących po wyroku na transport do innych więzień. Kogo ja tam nie spotkałem! Na tych kilkunastu metrach kwadratowych poniżenia zebrano elitę narodu polskiego. Był tam kpt. Ryszard Krzywicki, ps. Jamont, adiutant wszystkich komendantów AK, Wiesław Chrzanowski, żołnierz powstania warszawskiego, przyszły marszałek sejmu, Zbyszko Bednorz – poeta, brat przysłego ordynariusza katowickiego; wymieniam tylko nieliczne nazwiska. O ironio losu, w tej celi spotkali się też dwaj bracia- Adam Borzobohaty, oficer ostatniej Komendy AK Okręgu Wileńskiego i płk Wojciech Borzobohaty, szef sztabu kieleckiej Komendy AK.

W rogu celi w dzień układano pryzmę z sienników, które na noc były rozkładane na podłodze. Przy tej czynności w celi panował półmrok od kurzu, jaki wydobywał się z sienników. Prawem tradycji najgorsze miejsce, to znaczy przy kiblu, otrzymywał ostatni wchodzący do celi. Spaliśmy poukładani jak sardynki; przechodzący w nocy za potrzebą deptali śpiących, a od kibla roznosił się niesamowity fetor. Obok naszej celi znajdowała się cela KS, czyli pomieszczenie, w którym przetrzymywano skazanych na śmierć. Choć była ściśle izolowana, docierały do nas, skromne wprawdzie, ale wiarygodne wiadomości. Ilość osób zmieniała się od 20 do 30. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wieczorem po apelu wyprowadza się tych najlepszych synów ojczyzny na rozstrzelanie.

Ale nawet ci, których nie skazano na KS, warunki mieli makabryczne. Na przykład na Mokotowie, gdzie przed wojną siedziało kilku komunistów, po jednym w celi, nas upychano po pięciu. Izolacja więźniów była kompletna, nie znaliśmy dat, nie wiedzieliśmy kiedy wypadają święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. W XI Pawilonie Mokotowa siedziałem około 8 miesięcy i ani razu nie byłem w łazience. W X Pawilonie była woda i klozety, nam wodę przynoszono w dzbankach. Nad oknami zawieszono były blindy – kosze, które uniemożliwiały widoczność. Kalifaktorami byli niemieccy żołnierze Wehrmachtu i muszę przyznać, że ci odnosili się do nas ze współczuciem. Ich stan ducha można było rozpoznać wyłącznie z wyrazu twarzy, gdyż zachowywali pełne milczenie, sami niewątpliwie obawiając się o swój los. Przy wydawaniu paczek od rodzin szalała oddziałowa – sadystka, która tak badała paczkę, że po paru chwilach zostawały z niej strzępy i okruchy; nazywaliśmy ją Sabina. W związku z tym, że każdy funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa był prześwietlany do kilku pokoleń wstecz, przeto nie mogło być mowy o zatrudnianiu ludzi przypadkowych. Nadzór nad sprawą Komendy Wileńskiej sprawowali oficerowie NKWD, np. Serkowski, który w 1945 r. pojawił się na Mokotowie w stopniu podporucznika, a już w 1948 r. był pułkownikiem (wynikałoby z tego, że oprawcy „za zasługi” awansowali mniej więcej co pół roku). Wszystkie departamenty UB poobsadzone były w większości przez Żydów, którzy z premedytacją niszczyli biologiczny i duchowy kręgosłup narodu; wystarczy przypomnieć najważniejszych w tym resorcie ludzi, takich jak Radkiewicz, Różański, Fejgin, Światło itd.

PROWANSJA WIERSZE

SIERPIEŃ—LISTOPAD 2003 R.

BOTTICELLI, DZIEWICA I DZIECKO (LA VIERGE ET L'ENFANT)

Na sekundę przed podaniem piersi.

Dziewica ma twarz kobiety naznaczonej połościem, świadomej mocy
i pozaziemskiego wdzięku.

Twarz kobiety, na której widok się wstaje i przerywa jakiegokolwiek zajęcia.
Dla której zostawia się wszystko i zmienia życie.

Twarz, w świetle której los Józefa staje się zrozumiały.

Twarz renesansowej dziewczyny ze słonecznej Florencji, zaś dłonie starej
kobiety z wilgotnej Północy. Jedną dotyka Dziecka, drugą piersi.

Zapamiętać tę twarz na tle jasnego błękitu, tę obolałość ciała po porodzie,
cynobrową suknię, ciemnoniebieski płaszcz.

Być jak Chrystus, skupionym na Matce: od Jej bliskości zależy życie.

Wysokie czoło Madonny; jej tokańska uroda; jej smutne oczy przeczuwające
wszystko.

Czyste, bolesne piękno.

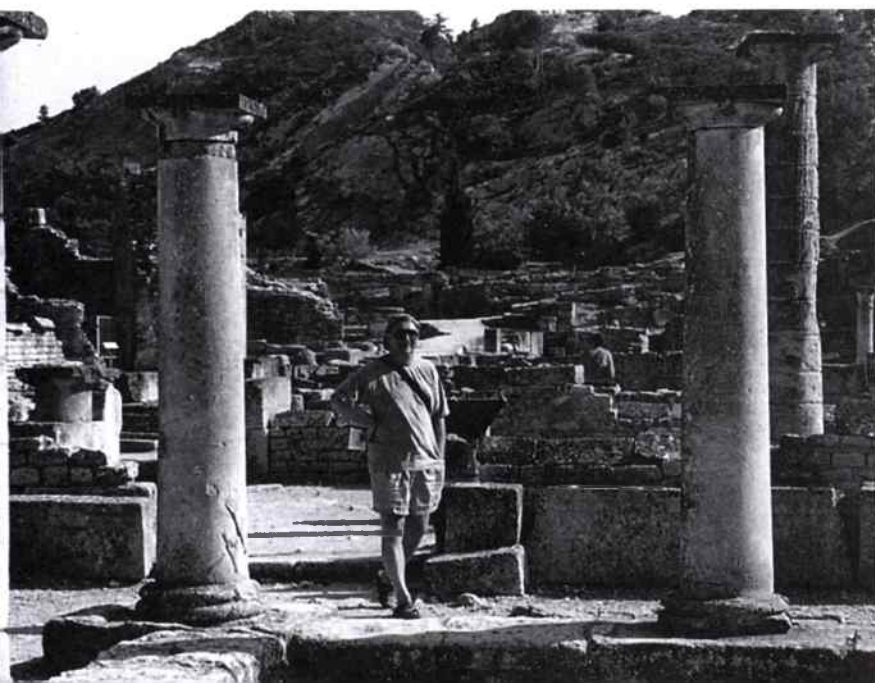
AVIGNON, MUSÉE DU PETIT PALAIS, 30/31 VIII 2003 R.

PSZÓW, 11 X 2003 R.



Ks. Jerzy Szymik

Prof. teologii KUL, poeta, publicy-
sta, autor rozpraw naukowych i tomów
poezji; ostatnio na Wydz. Teologii Uni-
wersytetu Śląskiego; stale współpracuje
z AP.



GLANUM. LEKCJA HISTORII

Niczego się nie nauczyli z lekcji historii właściciele *Taberna Romana*, stojącej na ruinach rzymskiego Glanum, w Prowansji, u podnóża *les Alpilles*. Nazwali lokal *La Dulcia*, a jako specjalność domu polecają „słodczyce rzymskie”. W prawym górnym rogu menu (*Dulcia, Mi-Figue Mi-Raisin, Moretum etc.*) umieścili zdanie Persa Anonima z 60 roku po Chrystusie: „Jedzmy słodczyce, bo nie mamy niczego poza czasem naszego życia”.

A wokół
roztrzaskane kolumny, żwir z kamieni atrium,
sporo znaków, że krew wlewano tu w ziemię hojnie.
I nie mało słońca.

Oto przepis na słodycz nad Śródziemnym Morzem.

Pusto po tamtych:
ciepły mistral, głos cykady, woń ziół.

Pracują żarna czasu.
Dwa cyprysy cicho stoją
na straży zabitego miasta.

Sięgam po rodzynki i figi w ciemnym miodzie.
Słodko być nieukiem w gorzkiej szkole.

GLANUM – PSZÓW,
SIERPIEŃ – PAŹDZIERNIK 2003 R.

MYŚLĘ O NICH Z CZUŁOŚCIĄ

„Skwapliwie znów się z bólem brata
nieubłagane piękno świata”
J. Pollakówna, *Pieta Belliniego*

Przynajmniej tego jednego byli pewni:
szczęścia. Skąd o tym wiedzieli?
To proste: nosiła się nad nimi
luna. I bardzo ich bolało.

Pożar i cierpienie,
Jego ślady na ziemi: „rzucić ogień na ziemię”,
„pot jak gęste krople krwi,
sączące się na ziemię”.

A teraz już czas łagodności,
pora wyrzeczeń;
nadchodzi wieczór,
zaczyna się jesień,

kochać mniej boli.

Pszów, 20 VII – 12 X 2003 R.

CHWILA JASNOŚCI. „CIEMNOŚĆ JEJ NIE OGARNEŁA” (J 1,5)

*Arkadiuszowi, Markowi, Tomaszowi
„to nas łączy: utrwalona chwila zachwytu”
Miłosz o przyjaźni z Kotem-Jeleńskim*

Przed katedrą w Aix-en-Provence,
na ciepłych kamieniach, półleżąc,
po wizycie w pracowni Cezanne’ a

kryształki światła,
grudki błękitu,
migotliwa jasność.
Brodzili po kostki
w liściach platanów
na Cours Mirabeau

Ale teraz smakują chwilę, półleżąc.
W oknie kobieta w kwiecistej sukience
siedzi plecami do światła. I do nich.
Kasztan włosów, szczupłość ramion, linia szyi,
smukły cień.

Dzień się domyka,
wstają, odchodzą.

Już nigdy
nie ujrzą
jej twarzy

AIX-EN-PROVENCE – PSZÓW, SIERPIEŃ – 14 PAŹDZIERNIKA 2003 R.



AUTOSTRADA

Bliskim

„Autostrada zamieniła się w Morze Czerwone.

Jechaliśmy w burzy jak w stromej dolinie.

Ty prowadziłaś; patrzyłem na ciebie z miłością.”

I. Zagajewski, Burza

Z nami było wówczas, w połowie sierpnia, podobnie:
autostrada, burza, strome doliny, morze,
nawet miłość w oczach.

Ale też inaczej:
było nas czterech, prowadził Arek.
Rozumieliśmy, że nasza przyjaźń jest
nieuchronna jak jesień, która zbliżała się
szkarłatnymi nitkami błyskawic.
Że samotnym dana jest miłość prostsza.

Pośród grzmotów przyglądał nam się bacznie Bóg.
Czy rozpoznał swoich?

CHIEMSEE – SZYMOCICE – PSZÓW
14 VIII – 18 VIII – 15 X 2003 R.

ZNAK DROGOWY

Późnym popołudniem, już pod koniec drogi,
w Pelissanne, pod platanami, kosze liści
zamienionych w złote wióry przez
bezlitosne tego lata słońce.

I małe pole lawendy
na środku ronda.

I znak:

Cédez le passage. Vous n'avez pas la priorité.

Znak na późną fazę drogi:

ustąp pierwszeństwa,
zdejmij nogę z gazu,
używaj hamulców,
weź oddech, głęboki.
Rozejrzyj się wokół.
O sobie na podium
myśl z czujną pogardą.

ARLES – PSZÓW, 11 SIERPNIA – 22 LISTOPADA 2003 R.

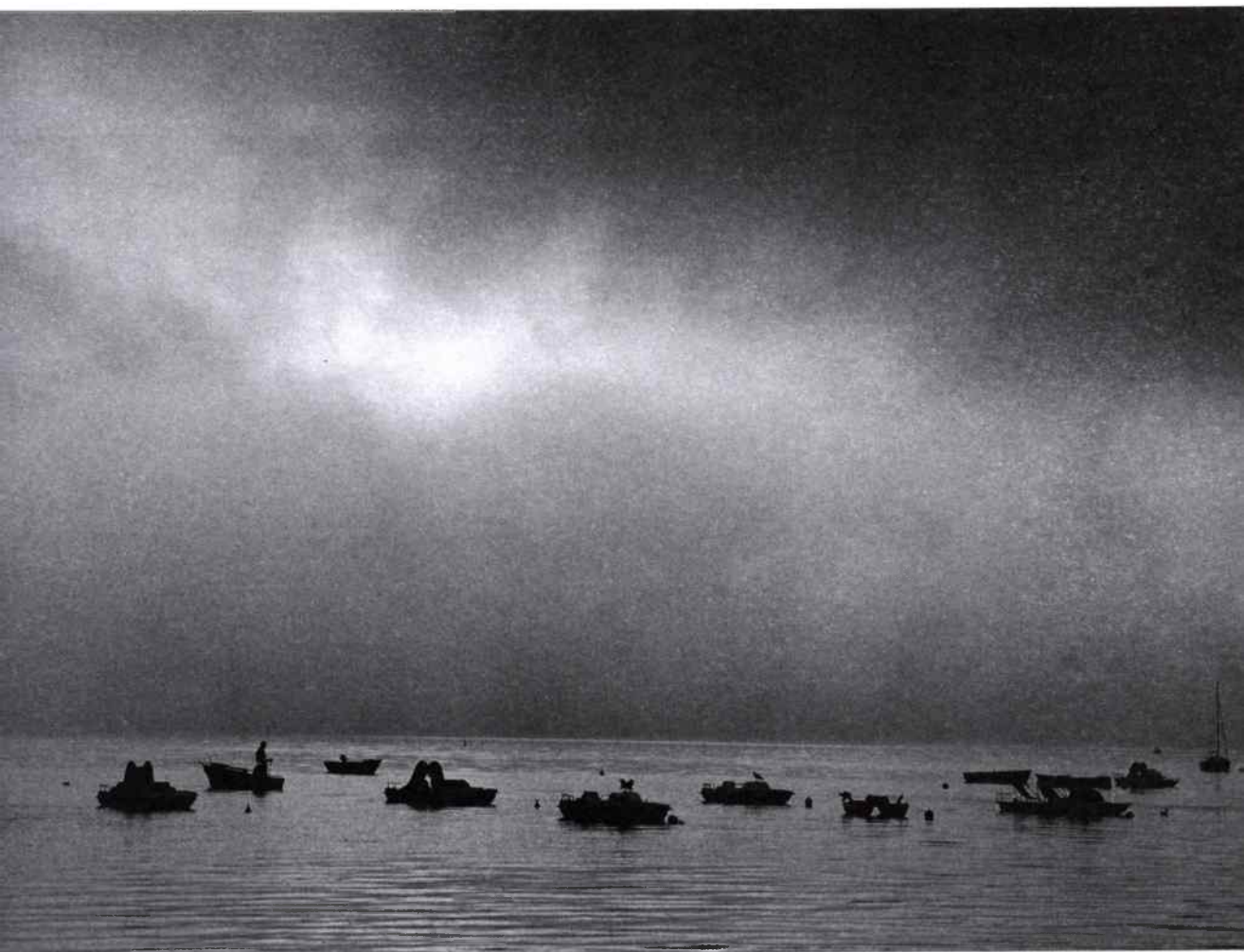
WIECZÓR NAD MORZEM

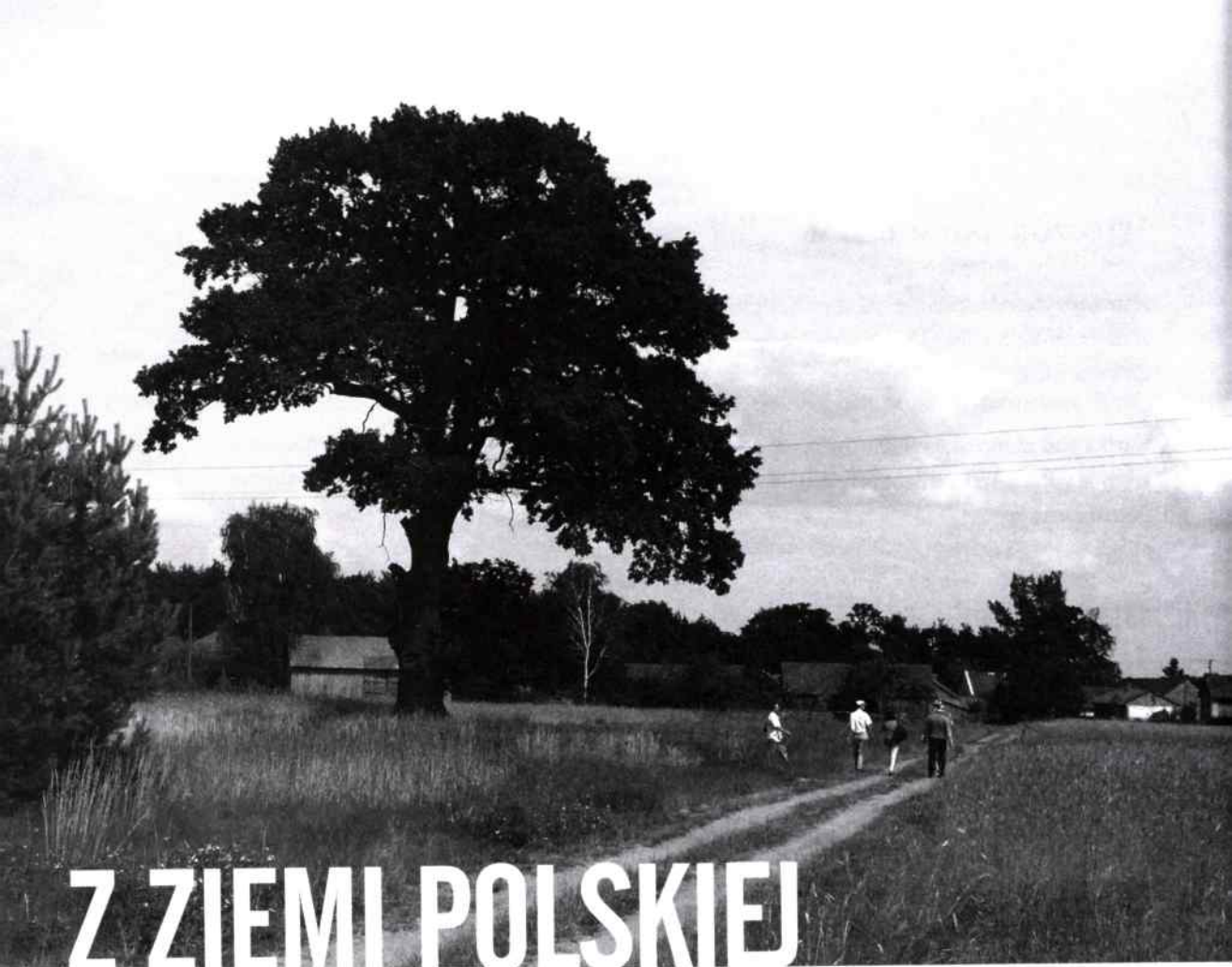
Z małego głośnika ciemne vibrato Nory Jones.
Z morza rosa. Na wargach, rzęsach, włosach.
Z drzew liście.

Kartka pod moim długopisem zwija się
jakby ją bolało. Teraz wilgotna bryza,
potem czeka ją
ogień.

Bo jak to wszystko nazwać, pojąć, pokochać?

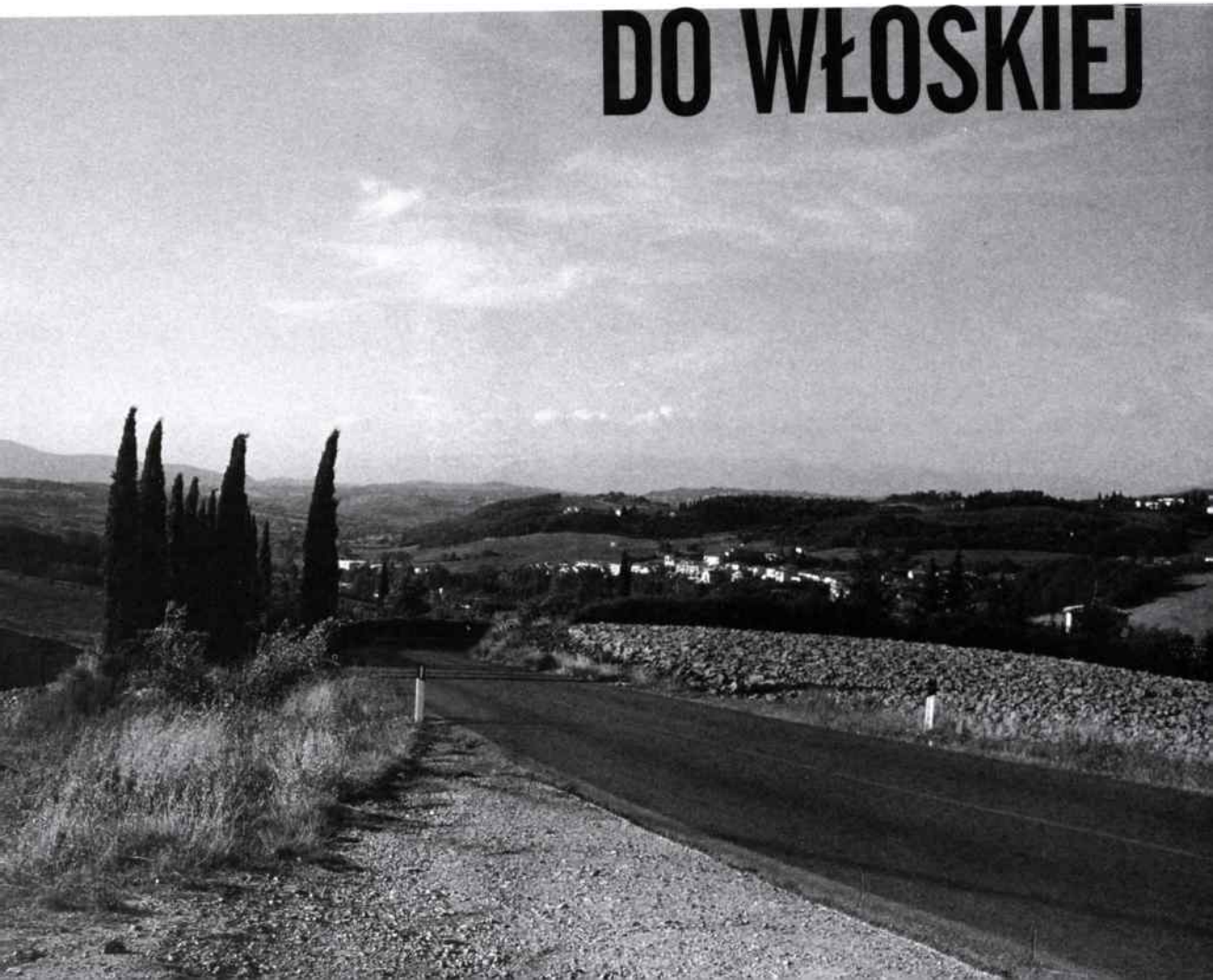
ST-MARIES-DE-LA-MER – PSZÓW
8 SIERPNIA – 22 LISTOPADA 2003 R.





Z ZIEMI POLSKIEJ

DO WŁOSKIEJ



21.37

To jest ten czas -

To jest ta pora,
kiedy zęgnie się harde kolano.

To jest ten wichler,
który drzewa ludzi wyrывa i zięje pustką gołoborze win.

To jest ciężar, homąto bólu,
które wyzwala ze zbędnych trosk.

To jest okno, pusty oczodół,
skąd nieustannie slychać non abbiate paura!

To jest ta noc,
która się w nasze dni przemyka.

To taka utrata,
co rozmnaża ciepło obecności.

To jest ten napój, w stągwiach trwogi,
który nam pić aż do wyschnięcia pychy.

To jest ta księga,
której karty rzymski wiatr przewraca.

To jest ten szloch,
z tamtego życia płynące oddychanie, w którym moc.

To jest ten dąb,
który się w miliony kładek podzielił.

To jest ten smak, uczta,
po której nie cieszy już żadna potrawa.

To jest ojciec, ten Ojciec,
który obie półkule osierocił.

To są sztandary,
w kolorach dumy, które nie ranią nikogo.

To jest ten król, idący od prawdziwego Władcy,
który się schyla i trzewiki zwątpienia nam zapina.

To jest ta trawa, ziele wiary,
które się podnosi, zgięte z bólu.

To pieśń Miłosierdzia, lekcja z pożółkłych ksiąg,
której nam nie dość i nie dość.



To jest triumf wędrowca,
który nie miał nic, a panem był wielmożnym.
To są zielone pastwiska, łąd naszego przeznaczenia,
w który wkraczamy ze śpiewem.
To są te rekolekcje,
naczynia dni, ciszy pełne.
To jest ta śmierć,
wreszcie taka śmierć – małe przejście z życia do życia.
To jest ten dar, siła,
co się a naszych ścięgnach rozchodzi jak chleb.
To jest ten czas, nasze dzisiaj i wieczność,
w jeden chorał splecione.
To jest ta godzina, kiedy przybywa posłaniec -
niech to będzie Michał – i mówi: “ludzie się stadami nawracają!”
To są wszystkie stany, Stany Zjednoczone
Miłości, pieśń zapomniana.
To jest ta góralska sosna,
co uschła z tęsknoty.
To jest ta nagroda, ta pewność,
przed którą uciekałeś, pożądając.
To ta chwila, chwila oczyszczenia,
która Cię wkręca w posadzkę.

8 KWIETNIA 2005, MR



KARTKI Z ITALII

(DWUGŁOS REDAKCYJNY O WYPRAWIE MARZEŃ)

DOKĄD, DOKĄD?

MAREK RAPNICKI: - Idzie jesień – czas już pogrzać się w blasku nieodległych wspomnień! Pora powyciągać zapiski i karteluszkę i pogadać o tym, co – jak przeczuwam – zmieniło i Twoje postrzeżenie świata i ludzi, w myśl słów Starego Mędrca, że „podróże kształcą... wykształconych”...

MICHAŁ FITA: - Cóż, to, co dla Ciebie tak nieodległe, u mnie zdążyło pokryć się roczną mgiełką niepamięci, ale mam nadzieję, że nie na tyle, bym nie mógł opisać wrażeń, przeżyć i gorączki uczuć, jakie towarzyszyły mi i moim towarzyszom w podróży. Jedno jest pewne - ze wspomnieniami jest podobnie jak z *chianti* - im starsze, tym więcej w nich smaku...

MR: Kiedy Ty wrócisz, ja rozpocząłem intensywne przygotowania, które trwały – nomen omen – dziewięć miesięcy, i chwilami zdawało mi się, że ja już TAM byłem. Tylko posłuchaj...

PRZED ODLOTEM

Więcej pereł nie pamiętam. To się już nigdy nie powtórzy.
To będzie wyprawa życia, na koniec bedekerów.

*Santa Maria dei Miracoli.
San Zeno Maggiore.*

Marszruta marzeń, porwana przez przypadki. Deklinacja tętna. Zamiast słońca świecą mi rozety.
Przeliczam cyprysy twoich rzes. Soldy ugru i fioletu.

*Santa Maria delle Grazie.
Porta Soprana.*

Z przewodnikami gadam. Luka e Jacopo. Fra Angelico.
Padre Stanislao. Federico da Montefeltro.
Wszyscy nie żyją.

Pakujemy kufry. Na dno niepokój. Z wierzchu
trochę pewności. Złoto „Zwiastowania”.

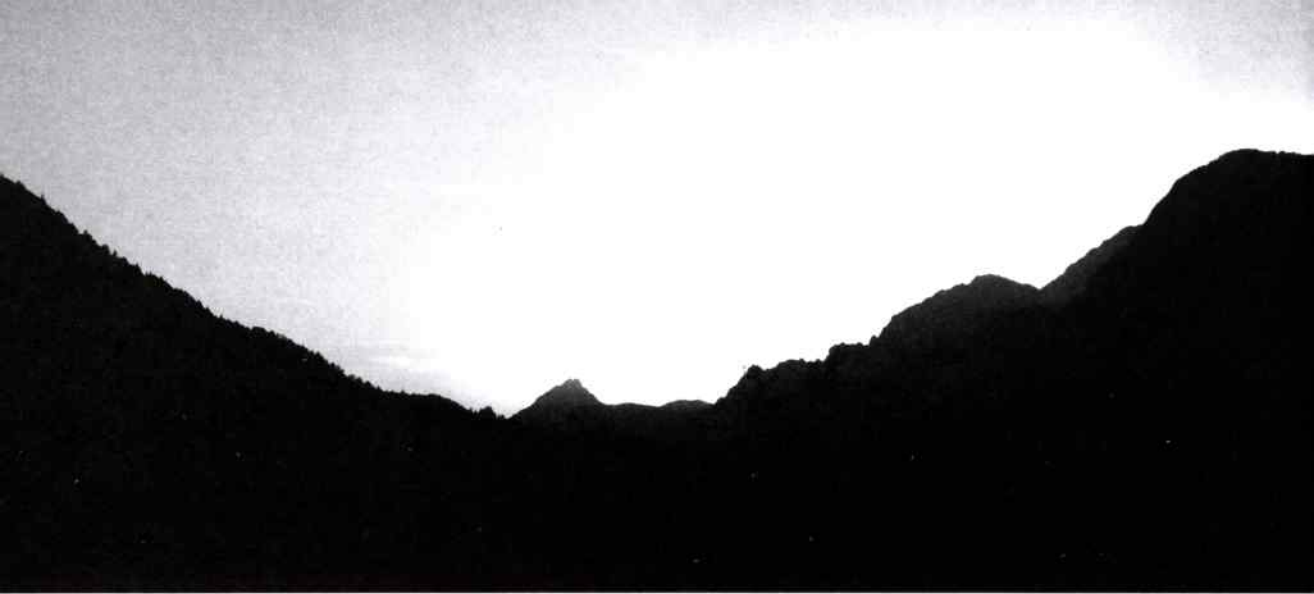
Kompas z porfiru. *Torre del Mangia.
San Miniato al Monte.*

Liczmy dni do odlotu. Życie
jak mapa. Nadzieja ma znowu imiona.
Portale i sklepienia. Szmer trawertynu.

Belcanto podgórskich serpentyn, nasz dom.

Jeszcze *San Giovanni Fuorcivitas. Il Santo.
E tutte belle santissime ragazze.*

W źrenicach was uniesiemy. Damy się wyprowadzić
w pole pamięci. Ciche i niepokonane.



Wiersz, który już znasz, wiele z moich przeczuć i nastrojów wyjaśnia... Dopowiedzmy wreszcie, że nasza rozmowa dotyczyć będzie Italii. Czy to nie banalne, Michał?! Włochy, a nie np. Tajlandia, Borneo, czy chociażby swojskie Seszele, w najgorszym razie – Meksyk?

MF: Hmm... Marku, dla wielu rozmowa dwóch gości o nieodległej przecież Italii może być banałem, aczkolwiek przecież pretekstem do tej właśnie dyskusji nie jest ani kolejne zero na liczniku kilometrów, ani też to samo zero zwiększające debet na koncie bankowym, ale bogactwo kulturowe, jakiego obaj doświadczyliśmy w naszych – jakże krótkich – wyprawach.

Dla mnie wyprawa ta miała podwójne dno. Po pierwsze chciałem zobaczyć kraj o niesamowicie bogatej historii – właściwie kraj dzieciństwa i młodości kultury europejskiej, kraj o wspaniałej architekturze – szczególnie tej sakralnej, wreszcie – miałem nadzieję spotkać ziomków Świętego Franciszka i... Moniki Bellucci.

Po drugie i najważniejsze: jechałem tam z prośbą o błogosławieństwo dla mojego młodego małżeństwa, była to nie tylko wycieczka, ale i swego rodzaju pielgrzymka. Zresztą, o ile mi wiadomo, Ty też nie jechałeś tylko po to, żeby poczuć zapach Wenecji?

DO WENECJI!

MR: ... zapach, który – notabene – tak wielu turystom nie odpowiada... Wenecja, Asyż, Toskania, – miasta, krainy-samograje, obejrzone i opisane przez miliony mniej i bardziej uważnych turystów oraz pielgrzymów – od pewnego czasu intrygowały mnie zachęcając do konfrontacji własnych przeżyć z morzem cudzych zachwyty, jak też z własną wiedzą z geografii i historii sztuki. Ale przyznam na wstępie, iż bezpośredni powód mojej eskapady tkwił w samym sercu Wenecji; wymarzyłem sobie, aby w tym szczególnym dla mnie roku pielgrzymować do miasta mojego patrona, św. Marka Ewangelisty, z którym – odkryjemy wreszcie karty – czuję się bardzo związany. A kiedy już przekroczyliśmy Alpy, aby zdobyć lagunę... całe Włochy stały otworem, przynajmniej teoretycznie, gdyż, jak zauważyłeś, ograniczały nas pieniądze, a także czas.

MF: Właśnie z powodu pieniędzy wybraliśmy się jednym samochodem w pięć osób – Paulina i Jakub Michalakowie, podobnie jak moja żona Monika i ja, byli młodym małżeństwem, to była nasza wspólna podróż poślubna.

MR: ... i trochę moja, choć nie poślubna, bo..

MF: ... bo uwzględniłem większość Twych rad wykorzystując Twój znakomity... GPS!... Ze sobą zabraliśmy jeszcze Kasię Dulian, siostrę Pauliny; swoją drogą teraz mogę powiedzieć w

męskim towarzystwie, że spałem z Mistrzynią Polski i piątą kobietą na świecie w pływaniu w stylu klasycznym na dystansie 200 m. (śmiech). Co drugą noc spędzaliśmy w samochodzie, a co drugą na kempingu w namiotach, lub – jak to było w przypadku Rzymu – w Domu Pielgrzyma, w każdym razie w miejscach gdzie mogliśmy skorzystać z kąpeli. W sumie cała podróż, łącznie z wstęпами do muzeów i galerii, paliwem i noclegami, ale również z winem i pizzą, kosztowała Monikę i mnie 280 euro. Ten koszt, jak widzisz – nie jest wielki, a wynika to z zastraszającego wręcz tempa i rygoru, jaki sobie narzuciliśmy. Po całonocnej jeździe staraliśmy się w kilka zaledwie godzin nasycić widokami Wenecji, a tam... to wszystko, o czym mi opowiadałeś, znane – jak powiedziałeś – wszystkim turystom i pielgrzymom *San Marco*, *Canale Grande*, *Pałac Dożów*, ale także wiele zakaMARKÓW.

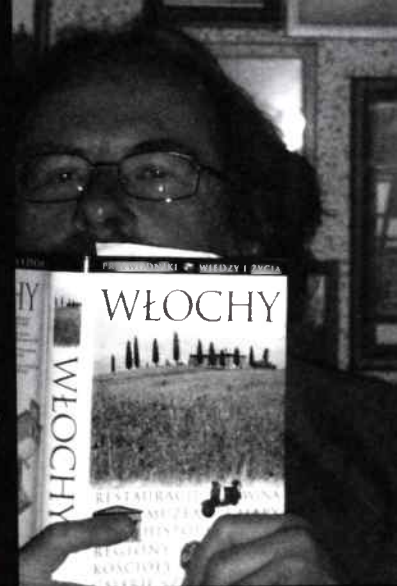
MR: Opowiadałem, wierząc na słowo tym, którzy tam byli przed nami!

MF: Dziwne to uczucie, kiedy na własne oczy oglądasz coś, o czym tylko słyszałeś lub czytałeś – to tak, jakbyś naraz dotknął legendy. Aparat fotograficzny był moim „trzecim okiem”, właściwie co krok jakiś detal, sytuacja, niepowtarzalne wydarzenie. I gdy już wydawało się nam, że jesteśmy nasyceni (podkreślam: „wydawało się”), ruszyliśmy do Padwy, z wizytą do Świętego Antoniego. Ogromnym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że na tabliczkach informacyjnych w Bazylice, zwanej przez Włochów *Il Santo*, umieścili oni również napisy w języku polskim. Zapewne ze względu na znajdującą się w świątyni kaplicę św. Stanisława, o czym wcześniej zupełnie nie miałem pojęcia. W każdym razie miło było zobaczyć poprawną polszczyznę na południu Europy.

MR: Miło też być zaskoczonym żywą polszczyzną w sklepie z portmonetkami nieopodal Mostu *Rialto*, kiedy kobieta, która ostatnie 25 lat spędziła w Italii i najczęściej spotykała polskich turystów pędzących od straganów przy *Rialto* w kierunku *Placu Św. Marka*, by zdążyć przed zmierzchem ze zrobieniem zdjęcia pt. „Byłem w Wenecji!”, witała w nas wytrawnych podróżników, wracających od *Madonny dell'Orto*, z matecznika *Tintoretta* (który wielkim malarzem był). Zresztą, nabieram przekonania, że Wenecja jest najmniej poznanym spośród słynnych miast. Doświadczylem tego, że wystarczy zejść z głównego szlaku turystycznego i – jak opowiadał Lech Majewski – pozostać sam na sam z cudami architektury weneckiej. Miasto odpowiada miłością na prawdziwą miłość i pokazuje swoje tajemnice – mam nadzieję, że mówią o tym moje zdjęcia.

MF: Łatwo Ci powiedzieć, ale ja, nie dość, że byłem kilka godzin, to przecież z bardzo młodą żoną...

MR: Więc tym bardziej słuchaj, bo teraz chcę Ci powiedzieć, że szacunek, tak, szacunek dla mojego Patrona i wielomiesięczne ślęczenie nad planem *Serenissimy*, kazały nam spędzić w tym mieście trzy doby. I mogę powiedzieć, że chodząc po wszystkich dzielnicach według mojej marszruty zdołałem się z Wenecją p r z y w i t a ć! Tym bardziej, że codziennie przenosiliśmy się z naszego namiotu w samo serce tego cudu nad laguną za pomocą *vaporetto*, czyli weneckiego tramwaju wodnego. Przez dwadzieścia minut Wenecja rosła



WENECJA



PADWA





WENECJA



SIRMIONE



w oczach, jakby to ona szła do nas! Powiadam Ci – nigdy nie zapomnę chwili, kiedy pierwszy raz wyszliśmy na ląd na bulwarze *Zattere*, obok kościoła *Gesuiti*, gdy w jednej sekundzie Nieosiągalne stało się Realne, a mimo to pozostało – jak miałem tego doświadczyć – do końca w mgłę tajemnicy. Drugim kluczowym momentem pielgrzymki do Miasta Św. Marka była dla nas msza święta w bazylice... Znam trochę kościołów w Europie, ale ta cudowna grota z ciepłego złota przekroczyła wszystkie nasze oczekiwania. Blask, który nie oślepia, przepych, który nie powala! - tak bym to ujął. Zresztą, tylko dzięki naszej obecności na mszy wyniosłem stamtąd unikalne zdjęcia, których, cyt!, nie wolno w bazylice robić. Ale zachwyty i chęć ocalenia tych chwil były silniejsze...

A co dla Ciebie stanowiło węzłowe chwile podróży? Pytam, choć wiem, że było ich wiele...

MF: Podróży w ogóle? Czy też tego ulotnego fragmentu, tj. Wenecji? Bo jeśli masz na myśli samą Wenecję, to rzeczywiście Bazylika Świętego Marka robi niesamowite wrażenie. Ja też trafiłem na mszę, ale w kaplicy bocznej Bazyliki. Pilnujący tam ochroniarze wpuścili nas jako ostatnich i strasznie głupio było mi stamtąd wychodzić, ale jak już pisałem, czas naglił. Stojąc w środku Bazyliki, pomyślałem sobie, ileż nóg zdeptało tę „pływającą“ posadzkę.

A jeśli myślałeś o podróży w ogóle, to pozwól, że „wisienkę“ pozostawię na sam koniec... Tymczasem, pierwszy dzień pobytu we Włoszech, pomimo ogromnego zmęczenia (nieprzespanej nocy za kierownicą samochodu), cały wrył się w moją pamięć. Z Padwy pociągnęliśmy dalej na zachód.

NA ZACHÓD: SIRMIONE, VERONA.

Niestety, Weronę musieliśmy podziwiać przez szyby samochodu i z powiekami podtrzymywanymi palcami, tak by nie zasłaniały miasta najsztywniejszych kochanków. Swoją drogą jestem pełen podziwu dla Włochów, robiących w tym mieście biznes dzięki Anglikowi, który pewnie nawet Werony nie widział. Ale my tu gadu- gadu, a tymczasem razem z towarzyszami mojej podróży dotarliśmy do Sirmione – kurortu nad *Lago di Garda*. Właściwie położyliśmy się spać, ale następnego dnia właśnie zawiązaliśmy kolejny węzełek. Tuż po wczesnej pobudce i spakowaniu namiotów ruszyliśmy zobaczyć to, co dotąd znałem z Twoich opowiadań i albumów o architekturze. Może najlepszym podsumowaniem tego, co tam zobaczyliśmy, jest podpis pod zdjęciem, jaki umieściła moja żona: „moje ulubione Sirmione“.

MR: To zabawne, ale ja – reklamując Tobie Sirmione – sam opuściłem je i skupiłem się... właśnie na Weronie! Tu jak na dłoni widać, że nasza „przegubowa“, wczesnojesienna(to Ty)-wiosenna(ja) eskapada analizowana łącznie daje dopiero pełnię doznań. Swoją drogą sama Wenecja mogłaby wypełnić tę rozmowę, ale jak tu nie wspomnieć choćby Werony właśnie, miasta, które dało kiedyś schronienie Dantemu, miasta wytwornego i pięknego urokiem kobiety niezapuszczonej nadmiarem komplementów. Cóż, starsza siostra Wenecji ma się dobrze, co mogłem stwierdzić pod romańską katedrą, na cudownym *Piazza dell' Erbe*, na *via Mazzini*, wreszcie spacerując wokół Areny, ukończonej w 30 r. n.e., która – po *Colosseum* i Kapui pod Neapolem – jest trzecim co do wielkości rzymskim amfiteatrem.

MF: ... jakbym go widział...

MR: Jeśli jesteśmy w Weronie, warto przytoczyć jeszcze następującą historię: jak wiadomo miasto przez pewien czas należało do Republiki Weneckiej, lecz u schyłku świetności, w obliczu zagrożenia zewnętrznego, Wenecja zwołała (!!!) z przysięgi wierności mniejsze zagrożone miasta, oczywiście, dla ich bezpieczeństwa, a gdy to minęło, nie pamiętam po ilu latach, obywatele Werony dobrowolnie, przy triumfalnych śpiewach i okrzykach na cześć Wenecji, przywrócili na pierwotne miejsca poukrywane onegdaj insygnia *Serenissimy!* I dzisiaj w Weronie co krok spotykamy lwy Św. Marka, które bez znajomości owej historii muszą trochę dziwić. Wyjaśnia ona bowiem fenomen panowania Wenecji nad innymi miastami przez tak długi okres i to – w przeciwieństwie do dominacji Florencji nad Toskanią – bez agresji, natomiast z wykorzystaniem pierwiastka dobrowolności.

MF: Wywołujesz we mnie zmienne emocje, bo to rzeczywiście zabawne, że tak się to wszystko ułożyło, ale teraz nieco mi smutno, że opuściłem Weronie. Jednakże w tym miejscu pragnę podziękować Ci właśnie za Sirmione. Drugiego dnia eskapady, wyspani, udaliśmy się w głąb Jeziora Garda. Stare miasto Sirmione leży na półwyspie o długości 4 km i z trzech stron otoczone jest wodą, z czwartej oddziela je od reszty półwyspu fosa. W XIII wieku ród Scaligerich wybudował tu zamek, swym wyglądem przypominający mi ilustracje z książeczek, które czytała mi mama.

MR: Kto by z nas przypuszczał, że bajki kiedyś zapełnią nam realny świat!



ZAPACH

MF: No, właśnie. To taki wynurzający się bezpośrednio z wody strażnik miasta. Surowy i masywny, choć nieco przyozdobiony - baszty i mury obronne przyodżiane w jaskółcze ogony skojarzyły mi się z orkiestrą symfoniczną panów we frakach, kłaniających się po koncercie. Do środka fortecy nie wchodziliśmy. Całe miasteczko – sieć uliczek, zadbanych kamienic i pałacyków, placów pełnych drzew, krzewów i przeróżnego, różnokolorowego kwiecia, wypełniającego powietrze słodkawym zapachem owoców południa zmieszanego z charakterystycznym, niesionym wiatrem zapachem wody jeziora... Pomimo, że Sirmione jest malutkim miasteczkiem, chciałoby się zostać tam jak najdłużej, by rozkoszować się tymi zapachami i widokiem gór na przeciwległym brzegu *Lago di Garda*...

MR: Tak, czuję to, czuję! Dodajmy jeszcze, iż chodzi o ten sam ród, który panował w Weronie przez pół XIII i całe XIV stulecie; to właśnie na zaproszenie Cangrande I Scaligeri przebywał na jego dworze Dante, wypędzony przez przeciwników politycznych z Florencji.

A skoro już wspomniałeś o zapachach, powiem tylko, że największe chyba estetyczne zaskoczenie we Włoszech trafiło do mnie przez... nos. Tyle napisano o kształtach i kolorach, a nic prawie o zapachach! Otóż Italia w maju jest jednym wielkim ogrodem: od najpiękniejszych pałaców po... wychodki, na placach i w zaułkach poruszamy się w cudownym woalu, wytwarzanym przez dziesiątki najczęściej nieznanych roślin. Ze wszystkich szpar, pęknięć, z klombów i trawników wyrastają, często niepozorne, krzewy i kwiaty, które trudno nazwać inaczej jak przyjaciółmi wędrowców. Dzięki nim bowiem zakochany w malarstwie i architekturze podróżnik nagle i niespodziewanie uzyskuje swoiste turbodoładowanie swoich doznań. Odczułem to tak bardzo wyraźnie, kiedy poprzez Apeniny przedarliśmy się nad Morze Liguryjskie, w okolice

CINQUE TERRE



Cinque Terre. Ta specyficzna gama zapachów pozostaje w głowie na długo i jeszcze dziś umiła wspomnienia!

MANTOVA, MODENA

MF: No, niestety nie miałem szczęścia być na *Cinque Terre*. Z Sirmione, błędząc podrzędny drogami, udaliśmy się na południe i dojechaliśmy do Mantui, pięknego miasta nad rzeką Mincio. Mantua ma bardzo długą metrykę, bo już w czasach starożytnych była to osada etruska. W mieście znajduje się mnóstwo zabytkowych kamienic w klimacie takim jak lubię – szczerym, czyli mówiąc wprost mocno zaniedbanym, aczkolwiek kiedy idę ulicami pamiętającymi przejazdy księcia Gonzagi, wyobrażam sobie, że fasady tych kamienic odbijały tętent końskich kopyt idących w orszaku i gdyby przyłożyć ucho do odsoniętej w ścianie cegły można by jeszcze niejedno usłyszeć. Oczywiście nie można ominąć w Mantui licznych kościołów, pałaców *San Giorgio* i *Ducale*, ale przede wszystkim XI-wiecznej rotundy *San Lorenzo*. Wyobrażasz sobie?! Ona tam stała 4 wieki wcześniej, nim Jagiełło rozgromił Krzyżaków w bitwie pod Grunwaldem i co najważniejsze - nadal tam stoi! To w jej okolicach powstała ta sympatyczna fotografia, którą zatytułowałeś „Złodzieje rowerów“...

MR: ...tak, tak, a za plecami macie słynny renesansowy kościół *Sant'Andrea* Albertiego, w którym do dziś odpoczywa wielki mantuańczyk, Andrea Mantegna! Nawet jeśli nie mieliście tej świadomości – na Waszych twarzach widać prawdziwe ludzkie szczęście, dziecko uczucia i młodości. Każde z miast, o których wspominamy, warte było serdecznego przywitania, to jest przynajmniej całodniowego pobytu.

MF: Znów chcesz mi zrobić przykrość? Jakiego całodniowego, my tego samego dnia odwiedziliśmy jeszcze Modenę (i nie tylko), ale w pamięci szczególnie zapadła nam chwila, gdy w drodze do Modeny, zatrzymaliśmy się wśród pól, aby... zjeść arbuza! Tak, to był najpyszniejszy arbuza w moim życiu. Znów mógłbym rozwodzić się na temat smaku i zapachu.

MR: Hola, hola, musimy pędzić dalej! Faktem jest jednak, że promienne godziny naszego życia pamięć nawleka na swój sznur i później nasz kontakt z przeszłością odbywa się poprzez takie chwile szczęścia, pełni, która splywa na człowieka z - czasami - zupełnie błahego powodu (nie lekceważąc Waszego arbuza).

PORTOFINO

Ja – na przykład (śmiech) – swojej pełni poszukałem w drogim i ekskluzywnym Portofino, które przechowuję od dziecka w piosence Freda Buscaglione. Musiałem tam wjechać, choć na godzinę – spojrzeć, wciągnąć w płuca powietrze od zatoczki, zanucić znajome słowa, zadumać się nad spełnionym malutkim marzeniem - i ruszyć w powrotną drogę do Levanto, uwożąc bilet z parkingu podziemnego za... 4,50 euro...



MODENA



PORTOFINO





LUKKA



PISTOIA



WODA

MF: Hihhi! Co do parkingów, to my staraliśmy się robić tak, żeby nie wyrzucić „niepotrzebnie“ pieniędzy. Parkowaliśmy więc w centrum miast tylko w godzinach sjeisty (śmiej) – wtedy parkingi są darmowe. A jeśli zwiedzanie wypadło nam w godzinach „aktywnych”, parkowaliśmy w zakamarkach, wąskich uliczkach i innych dziwnych miejscach. To się nazywa „Polak za granicą“ (śmiej). Właśnie w takich sytuacjach człowiek zdaje sobie sprawę, na jaki wysiłek finansowy się zdobył, bo wyruszył poza granice ojczyzny. Hmm... nie wspomniałem jeszcze o tym, że zarówno w Wenecji, Mantui jak i w przebogatej Modenie odwiedziliśmy znaną restaurację pod złotymi łukami, bo mogliśmy darmowo skorzystać z ubikacji, ale muszę przyznać, że to również buduje wspaniałe wspomnienia. Mycie zębów na placyku przy szosie w drodze do Padwy, czy właśnie pokątna toaleta w Modenie, po całym dniu zwiedzania (śmiej)...

MR: Skoro już wspomniałeś o ablucji, pozwól, że ja opowiem o... pragnieniu, bynajmniej nie mając na myśli koleżanek wspomnianej Moniki B., lecz – uzupełnianie płynów. Otóż zapewniano nas w Polsce, że włoska woda jest tania i znakomita, ale nie miałem pojęcia, że tak tania i tak znakomita! Mówiąc poważnie pragnienie gasiliśmy przy zbawiennie często – zwłaszcza w Wenecji – ulokowanych studniach, które jak oazy na pustyni zjawiały się wtedy, gdy byliśmy spragnieni.

DO TOSKANII!

MF: Ech... Marku, żebyś ty czasem młodszych chciał słuchać... My również piliśmy tę wodę. A im bardziej na południe, tym więcej... Ba, z tej właśnie wody przyrządzaliśmy np. przydrożną „chińszczyznę“ w podróży z Modeny do Lukki. To przepiękna trasa – właściwie w promieniach zachodzącego słońca, przedzierając się przez Apeniny, wkroczyliśmy szczęśliwi i radośni do upragnionej Toskanii. Te sto pięćdziesiąt kilometrów dzielące Modenę i Lukkę pokonywaliśmy ponad cztery godziny, trochę zazdrościłem moim współtowarzyszom, że mają czas oglądać tak wspaniałe pejzaże, ja musiałem skupić się na serpentynach i samochodach rajdowych. Tak – samochodach rajdowych: – akurat w czasie, gdy zjeżdżaliśmy już z gór, skończył się rajd samochodowy po serpentynach, wszędzie leżały jakieś opony. Kiedy dojechaliśmy do Abetone, zobaczyliśmy potężny park maszyn, wszędzie samochody rajdowe i ich ekipy techniczne, a wśród tego wszystkiego jeszcze karetki pogotowia – że tak powiem – ogólne zamieszanie. Przejazd zajął nam mnóstwo czasu więc Lukkę – a właściwie miasto w mieście, czyli średniowieczną Lukkę ogrodzoną murami obronnymi oglądaliśmy w środku nocy... klimat niesamowity – tajemniczy. Tłum ludzi, ulice i uliczki tonące w ciemnościach. Podobnie kamienice. Ogólnie panujący nastrój grozy, a przy tym kolacja w jedynej otwartej w nocy pizzerii (w „różnym“ towarzystwie) i brak perspektyw noclegowych podsunęły nam myśl o poszukaniu miejsca na sen w Pizie.

MR: Stop! Zatrzymajmy się tu (choćby na cztery godziny), bowiem Lukka, którą ja obszedłem za dnia, to dla ludzi czujących Średniowiecze prawdziwy brylant! My pruliśmy do Toskanii wzdłuż Morza Liguryjskiego, od strony Cinque Terre, które zasługują na oddzielną opowieść, przeto ją teraz pominię.

W miastach i obiektach nieznanym szerokim rzeszom turystów wędrowiec odczuwa – czujesz to, Michał (?) - dodatkowy dreszczyk wynikający, rzekłbym, z poczucia wyjątkowości, z dopuszczenia do tajemnicy, nieznanego innym. Tak też stąpa się po brukach Lukki! To miasto jest właściwie skansenem, który wywiera takie wrażenie, że człowiek nagle zerka na swoje stopy, czy przypadkiem nie idzie już w średniowiecznych cizemkach. Tam nawet barok zdarza się rzadko, a takie świątynie jak katedra, *San Michele in Foro*, *San Giovanni* i *San Frediano* to fascynujące perły stylu romańskiego w Europie...

MF: Widzę, że czeka mnie kiedyś powrót do tego miejsca!

MR: No, koniecznie, także i po to, by zobaczyć *Torre Guinigi*, wieżę XV-wiecznej rezydencji, na której dachu, 44 m nad ziemią, wyrosły dwa dorodne... dęby skalne! I stanąć pośrodku *Piazza Amfiteatro Romano*, który jest – jak sama nazwa wskazuje – średniowiecznym rynkiem, którego kamienice w unikalny sposób wyrosły na planie elipsy, na gruzach rzymskiego amfiteatru. To jeden z najświetniejszych dowodów ciągłości kulturowej, których tak wiele w Italii!

MF: Dęby widziałem, to jedyne miejsce w całej Lukce, które jest oświetlone nocą na wysokości 40 metrów ponad poziomem miasta. Jednakże, jak wspominałem, jeszcze tej samej nocy ruszy-





GDZIEŚ W ITALII

liśmy szukać noclegu w Pizie. Znaleźliśmy nawet jedno takie miejsce przy murach obronnych w gęstych zaroślach tuż przy stacji benzynowej, ale porzuciliśmy ten pomysł na rzecz kilku młodych chłopaków z namiotem – my mogliśmy spać w samochodzie. Zwiedzanie Pizy zostawiliśmy sobie na następny dzień i pojechaliśmy 12 km dalej do miejscowości Marina di Pisa, by zanoćować na plaży. Nasze życzenie nie doczekało się jednak spełnienia. Wszystkie plaże były prywatne. Stały tam dyskoteki, kluby, ewentualnie były po prostu pozamykane. Wszędzie ludzie, kolorowy gwar, drogie samochody. Udało się jednak znaleźć urocze miejsce nie opodal małego hoteliku. Aha, miało być o Pizie. Zwiedzanie miasta ograniczyło się jednak do najbardziej popularnego miejsca – *Campo dei Miracoli*. Wieża tkwiła w moich myślach od wczesnego dzieciństwa. Ale tak naprawdę to, co zrobiło na mnie większe wrażenie, to katedra, którą zaczęto budować w 1064 r. Wyobrażasz sobie, Marku? Chrześcijaństwo w Polsce nie miało nawet stu lat (!) Być może najstarsi ochrzczeni Lechici jeszcze żyli (śmiejch). Ogólnie jednak *Campo dei Miracoli* jest, jak dla mnie, zbyt wypieszczone – troszkę się zawiodłem.

MR: ... ja się nie zawiodłem, bo przez bramę *Campo* wyszedłem „na miasto”, aby przez *Piazza dei Cavalieri*, główny plac średniowiecznej Pizy, przez most na Arno dotrzeć do *Santa Maria della Spina*, małego kościółka dla żeglarzy (jeszcze w XIII wieku Piza była portem morskim!), który jest kwintesencją pizańskiego gotyku. Stamtąd wracaliśmy nieopodal Uniwersytetu, by znów ujrzeć znajome kopuły *Campo*... Cóż, trzeba się pogodzić, że przemysł turystyczny ma swoje centra; jedno z nich jest właśnie tu.

Ale już w odległej o kilkadziesiąt kilometrów Pistoii, którą odwiedziliśmy jeszcze przed zmierzchem, turystów ani na lekarstwo, bo... nie ma tej sławy co Piza, choć urodą wcale jej nie ustępuje. Tam dopełniliśmy jeszcze nasz bagaż wrażeń romańsko-gotyckich północnej Toskanii, a to za sprawą głównie *Il Duomo* (czyli katedry) z pasiastym baptysterium Nicolo Pisano oraz oszałamiającego kościoła *San Giovanni Fuorcivitas* z XIV-wieczną białą-zieloną fasadą! Śpieszyliśmy się, bo z noclegiem czekało na nas dalekie San Gimignano.

MF: No tak - San Gimignano, tam również nocowaliśmy, ale wcześniej pojechaliśmy zobaczyć miasto Brunelleschiego, Donatella i Machiavellego – Florencję. Spędziliśmy tam kilka godzin spacerując ulicami i uliczkami, placami i skwerami. Jednakże tak zafascynowała nas, olbrzymia przecież, katedra, że nie zobaczyliśmy z bliska ani jednego mostu na Arno. *Ponte Vecchio* oglądaliśmy tylko z tarasu widokowego. Właściwie to podziwialiśmy stamtąd całą Florencję w drodze do wspomnianego miasta wież..

FLORENCJA

MR: Średniowieczna *Fiorenza* (czyli Miasto Kwiatów) to jednak, mimo wszystko, miasto Dantego (poezja ponad wszystko, ha, ha!). ...a camping w Santa Lucia to właściwie stary gaj oliwny, skąd jak na dłoni widać San Gimignano, z końcem maja niemal pusty. Tam, w sercu Toskanii, na dni cztery stanęliśmy obozem. Florencji poświęciliśmy dzień, wędrując od świątyni do świątyni, nie omijając - oczywiście - *Piazza della Signoria*, ze słynnymi nagusami, Neptunem i Dawidem.

MF: Tam, oczywiście, również byliśmy. Twoje przewodniki były niezawodne i poprowadziły nas we wszystkie najważniejsze miejsca Florencji. Bardzo kusila nas *Uffizi*, ale jak już wspomniałem, „Polak za granicą...“ No i do tego jeszcze ograniczenie czasowe. W sumie we Florencji spędziliśmy kilka godzin, bo do punktu noclegowego postanowiliśmy jechać dłuższą, ale za to piękniejszą trasą niż ta popularna – na Sienę.

MR: W osiem – dziesięć godzin z takim miastem to można się jedynie przywitać, głaszcząc wzrokiem znajome wieże i fasady. Ale muszę Ci powiedzieć, że we Florencji miałem jedno wyraźnie określone marzenie: pokonać 414 (!) schodów i wspiąć się na szczyt *campanile*, czyli dzwonnicy katedralnej, której budowę w 1334 roku rozpoczął wielki Giotto! Wiesz, marzenia czasami należy spełniać, żeby potem – spójrz - wspominać to, co się przeżyło w tych kilka chwil. Widziana stamtąd Florencja, a przede wszystkim rysująca się wprost przed oczami kopia katedry *Santa Maria del Fiore* po prostu zapierają dech (kiedy już się ten dech odzyska po sforsowaniu przeszło 80 m wieży). Podejrzewam zresztą, że kopia, której budowę Filippo Brunelleschi zakończył w 1436 roku, czyli 140 lat po rozpoczęciu wznoszenia katedry, jest jednym z najwspanialszych osiągnięć architektury wszystkich czasów...

MF: Wiesz, może to, co powiem zabrzmi dziwnie, ale od samego początku poruszamy się wciąż po bezdrożach metafizyki. Dla mnie bardzo metafizyczne są... drzwi. Ten niesamowity symbol





FLORENCJA



SAN GIMIGNANO



przejścia z jednego w drugie. I takim meta-symbolem były wschodnie drzwi Baptysterium, zdobione scenami ze Starego Testamentu. Kiedy stałem przed nimi, miałem wrażenie, że już samo przejście poprzez te drzwi musiało uwalniać chrzczonego z ciężaru grzechu pierwородnego i zarazem włączać do wspólnoty chrześcijan. Dziś drzwi te są zamknięte i zakratowane, a tłumy turystów z całego świata tylko im się przyglądają. To dla mnie też jest w pewien sposób znamienne.

MR: Przeciwnie, nie ma nic dziwnego w tym, iż budowle stworzone w olbrzymiej większości na chwałę Pana (a mniej - budowniczych) mają swoje metafizyczne drugie dno! A to, że rozmawiamy już tak długo, wynika właśnie z faktu, iż nasze podróże były w znacznym stopniu – p i e l g r z y m k a m i . I do czysto ludzkiego zachwytu nad pięknem potrafimy – jako wierzący - dodać ów kwant własnej refleksji religijnej oraz wiedzę o motywach tych, co tak się – często bezimiennie – trudzili. Taką właśnie chwilę wyciszenia zafundowaliśmy sobie o zachodzie, po drugiej stronie Arno, przy klasztorze *San Miniato al Monte*, który uchodzi – i to chciałem sprawdzić – za najpiękniejszy obiekt romański w całych Włoszech! To cud, że świątynia stoi w tym nieskazitelnym kształcie od 1207 roku (!), cały czas pod opieką benedyktynów. Powiem jeszcze tylko, że stamtąd Florencja wygląda jak... spełniony sen!

Swoją drogą – Andrea Pisano, twórca drzwi południowych, jak też Lorenzo Ghiberti, którego dzieło przed chwilą wspomniałeś, ucieszyliby się pewnie z Twej ostatniej uwagi. Krótko mówiąc: ich geniusz pracuje nadal, teraz w naszych sercach!

MF: Właściwie moja podróż była przede wszystkim pielgrzymką, a Wenecja, Florencja, czy Piza to tylko dodatki. Oczywiście, gdyby nie te dodatki, nie mielibyśmy o czym teraz rozmawiać. W sercu mam jednak nie tylko drzwi baptysterium we Florencji, ale noszę tam do dziś jedno z miast, które odwiedziliśmy – San Gimignano. A przecież „miasto wież” nie zawdzięcza swej sławy pokorze, lecz wręcz przeciwnie – pysze!

SAN GIMIGNANO

MR: Zaraz, zaraz! Dlaczego – pysze?

MF: Marku, San Gimignano jest swego rodzaju wieżą Babel. Mieszczanie budowali ten średniowieczny Manhattan, by pokazać swoje bogactwo. Im kto więcej miał pieniędzy, tym wyższą wieżę stawiał, wiesz, takie ówczesne mercedesy (śmiech).

MR: Jako posiadacz mercedesa czuję się już dużo lepiej po tym, co powiedziałeś, ale... te wieże to powstawały ze... strachu przed znanymi i nieznanymi agresorami, to był główny powód. Być może – kto miał więcej dukatów, wyżej uciekał do góry.

MF: Właściciele mercedesów też mówią, że kupują je ze względu na bezpieczeństwo i niezawodność (śmiech).



SAN GIMIGNANO

MR: No tak. Ale wracając do wież – był to sposób używany w budownictwie wielu średniowiecznych miast, np. San Gimignano stawiano je od około 1150 roku przez lat blisko 200, kiedy to miasto oddało się pod opiekę Florencji. Żadna z wież nie mogła być jednak wyższa niż 52 m, co było wysokością *Torre della Rognasa* przy *Palazzo del Podestà*, czyli siedzibie władz miejskich! (tak, że nic się nie zmienia: i wtedy najlepsze mercedesy mieli władcy miasta). Tajemnicą zaś przetrwania aż 15 z 72 (!) tych obiektów jest spadek znaczenia ośrodka, co spowodowało, że jako niegroźne – nie zostały zburzone. Dziś całość sprawia faktycznie niesamowite wrażenie, turysta chodzi po tych zaułkach, jakby w wehikule czasu przeniósł się o 600 lat wstecz. Zauważyłem, że zwłaszcza kobietom odpowiada atmosfera tego niezwykłego miejsca.

MF: Wierz mi, że nie tylko kobietom, ja również czułem się tam naprawdę wspaniale. Ponieważ dotarliśmy tam przed zachodem słońca, mogliśmy zobaczyć niesamowite zjawisko - miasto zmieniało kolor! Pomimo późnej już pory, to średniowieczne miasteczko wypełnione było gwarem odwiedzających go turystów. Snuliśmy się w tej festiwalowej atmosferze zachwycając się każdym przemierzonym krokiem. Poruszając się zarówno głównymi, jak i bocznymi uliczkami dotarliśmy do *Piazza della Cisterna*, a tu stragany, tłumy ludzi, cudowny zapach pieczonych ciast i ciasteczek...

LODY, WINA...

MR: ...a pod numerem 4, Drogi Czytelniku, spróbowaliśmy najlepszych lodów w Toskanii! Naprawdę, były niezłe, i powiem Ci jeszcze, że lokal nie zalecał się gościom ani pięknym szyldem ani ogródkiem na placu. Renoma marki *signora Sergio*, to wystarcza.

MF: No, niestety, my tam nie trafiliśmy. Ale za to spróbowaliśmy wspaniałych ciasteczek świeżo wypieczonych na straganie. Kupiliśmy dobre wino i rozbiliśmy namiot na polu namiotowym



VOLTERRA

MONTALCINO



MONTALCINO



SAN QUIRICO D'ORCIA



Santa Lucia, skąd mogliśmy patrzeć na znikające w ciemnościach „najeżone“ wzgórza. Chętnie wrócę w to miejsce. Ale pora jechać dalej.

MR: O ile znam się na mapie, Waszym następnym celem była...

MF: A widzisz, chciałem puścić Cię przodem. Tak, naszym celem była Siena - miasto Świętej Katarzyny, twierdzy Medyceuszy, *Duomo* i wspaniałego amfiteatralnego rynku.

MR: A ja jeszcze zrobiłem dwie tokańskie pętle: jedną małą, do nieco zapomnianej Voltery, bardzo stylowego miasta w kolorze ochry, centrum wydobycia alabastru, pełnego rzymskich i etruskich pamiątek oraz drugą - można powiedzieć - szlakiem najsłynniejszych win włoskich, od Montepulciano, przez San Quirico d'Orcia, Pienzę do Montalcino. Małe miasteczka na wzgórzach, słodki sen wytrawnego turysty, południowy, bardziej dziki skraj Toskanii. Cóż powiedzieć więcej! Aha, w Montepulciano, z przepięknym renesansowym Piazza Grande, pija się *vino nobile*, a chlubą Montalcino jest *brunello*. To, co najlepsze, zaczyna się od około 30 euro za butelkę, a jeśli wiem, co w nich było, to dzięki cudownemu zwyczajowi degustacji. Niebo w gębie - *paradiso in boca!* - jak ze śmiechem powtarzała za mną właścicielka jednej z winiarni (*enoteca*), przynajmniej dla amatorów czerwonego wytrawnego. Właśnie w Montepulciano zeszliśmy w podziemia winiarni, będącej jednocześnie żywym muzeum produkcji tego trunku, gdzie w piwnicach pamiętających naszego Kazimierza Jagiellończyka (a kiedy to, Koteczku?) leżakują hektolitry *nobile*, oczywiście z własnych winnic! Eehh!!

SIENA, SIENA!

MF: Ja raz tylko odważyłem się wejść do enoteki i oczywiście wyszedłem z niej szybciej niż wszedłem - ceny w okolicach 100 euro! Ale wyobraź sobie, że sytuacja ta miała miejsce w okolicach Montalcino - la Croce, zatem niecałe 40 kilometrów od Montepulciano i około 15 kilometrów od Sant' Antimo! Ogromna szkoda, że nie byłem tak przygotowany do tej podróży jak Ty. Ale, trochę się zapędziłem, wróćmy na razie do Sieny. Teraz dokładnie wiem, jaki to kolor - siena palona. Od dzieciństwa zastanawiał mnie ten dziwny kolor. Zaparkowaliśmy pod twierdzą Medyceuszy i ruszyliśmy z kopyta w ścisłe centrum miasta. Na początek odwiedziliśmy kościół *San Domenico*, słynący ze znajdujących się tam relikwii Św. Katarzyny Sienneńskiej (patronki Europy). Surowość tej świątyni, której budowę rozpoczęto w 1226 roku, nie przyciąga turystów, ale pielgrzymów. Mieliśmy chwilę, żeby naprawę się pomodlić. W drodze do *Il Campo* i *Duomo* spostrzegłem na naszej trasie kolumnę, na której szczycie znajdował się posąg wilczycy karmiącej Remusa i Romulusa (!) Wywołało to moje ogromne zdziwienie- niesłusznie. Jak podaje legenda Sienie założyli Senio i Aschio - synowie Remusa i stąd, jak się później doczytałem, w całej Sienie stoi kilka takich posągów.

MR: Wspomniałeś o cysterskim klasztorze *Sant' Antimo* - właśnie tam zakończyliśmy „winny“ dzień - ale to wspomnienie chciałem zachować na koniec



naszej rozmowy. A co do Sieny – trudno cokolwiek mówić, bo cały czas stąpa się po śladach cudzych zachwytów. Ja mógłbym tam zostać od razu na stałe! To miasto, które się śni po nocach, intymne, a jednocześnie na tyle duże, że trudno je poznać do końca, więc i znudzić się nim. Spróbuję więc ograniczyć się tu do przeżycia religijnego, którego doświadczyliśmy biorąc udział przez przeszło godzinę w mszy świętej odprawianej po włosku. Ten czas mogłem poświęcić na kontemplację katedry, której wnętrze, bajkowe, ale nieprzesłodzone – jak mało w której świątyni – współgra, stanowi jedność z olśniewającą fasadą. Zdałem tam sobie nagle sprawę, że forma, poprzez swoje narzucające się nam nieodwołalnie piękno, wpływa na treść, kształtuje ją a k o ś ć miejsca, które nasi poprzednicy przeznaczili na modlitwę! Nie znaczy to z pewnością, że modły w tak wspaniałym kościele są od razu „lepsze” od innych, ale niewątpliwie przestrzeń w tak przemyślny sposób stworzona dla kontaktu ze Stwórcą (pamiętajmy, iż budowę *Duomo* zakończono w roku 1215, 31 lat po konsekracji) pogłębia i pociąga wżwyz wewnętrzne przeżycia poszczególnych ludzi. Tak to czułem biorąc udział w mszy i ukradkiem fotografując sklepienie katedry.

MF: Łobuz! *Duomo* obejrzelśmy tylko z zewnątrz – opłaty. Ale rzeczywiście konstrukcja i wystrój wnętrza wielu kościołów „uskrzydla” modlitwę, ja doświadczam tego często u naszej Raciborskiej Matki Bożej. Sienieńska *Duomo* uchodzi za jedną z najpiękniejszych katedr w całych Włoszech. Nic w tym dziwnego, swojego ducha włożyli tam i Donatello i Michał Anioł, ale przede wszystkim Giovanni Pisano – jak wskazuje nazwisko, architekt ten pochodził z Pizy.

MR: Zachwyt nad Sieną, która cała jest żywą, niczym niezmaconą lekcją włoskiego gotyku, łączy turystów wszystkich stanów i wszystkich ras. Mało kto jednak zastanawia się, skąd wzięła się ta unikalna czystość stylistyczna miasta. Jak się okazuje – Siena, po jej ostatecznym zdobyciu przez Florencję, została zatrzymana w rozwoju. Medyceusze nie byli wszak Wizygotami, niczego nie



burzyli, natomiast... zakazali wszelkich inwestycji w mieście, które przez kilka stuleci było ich największym konkurentem. I oto dziś trzeba się dobrze nachodzić, by znaleźć w Sienie zabytek renesansowy, czy młodszy.

MF: To co, pora w drogę?

VITERBO, AREZZO, CORTONA

MR: Nie ma rady! My, kierując się w stronę Umbrii, wybraliśmy okrężną drogę przez Arezzo i Cortonę...

MF: My natomiast ze Sieny udaliśmy się do Viterbo, korzystając z urokliwych bocznych dróg toskańskich, co oczywiście solidnie wydłużyło nam podróż i w samym Viterbo znaleźliśmy się wieczorem około godziny 21.00, a więc po zmroku. Po raz pierwszy czułem się dość niekomfortowo chodząc uliczkami tego miasta, a to dlatego, że wydawało się nam ono zupełnie opustoszałe. Kiedy weszliśmy do ścisłego centrum, nie spotkaliśmy nikogo przez dobre pół godziny. Znaleźliśmy się w labiryncie ulic i nawet nie bardzo wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, gdy wtem naszych uszu dobiegła cicha muzyka. Poszliśmy w kierunku, z którego dobiegały nas dźwięki i po przebyciu kilkuset metrów, trzech zakrętów wyszliśmy na duży plac, na którym właśnie odbywała się biesiada. Wyobrazasz sobie całe miasto skupione na jednym placu? Ludzie stoją w kolejkach i za kilka euro wykupują talon, na jedzenie i wino. Na scenie gra zespół – gra, a nie przygrywa! Na całym placu ustawione są ławy, przy których siedzą Viter..bianie. Od razu zrobiło się dużo przyjemniej. Zrozumieliśmy, skąd nasz wcześniejszy dyskomfort. I choć mieliśmy ogromną ochotę wziąć udział w tym festiwalu radości, musieliśmy podążać w stronę Rzymu.

MR: Tak, właśnie tak to jest - w nie do końca zaplanowanych eskapadach! I bardzo dobrze! Może zapytasz teraz, dlaczego jeszcze Arezzo, dlaczego Cortona? Ano, bywają miejsca, związane z ludźmi, którzy są dla nas ważni; wtedy czujesz niewytłumaczalną konieczność wstąpienia tam choćby na chwilę. Tak więc – Arezzo to matecznik Piera della Francesca, gdzie w zupełnie nieefektywnej bazylice Św. Franciszka artysta ozdobił kaplicę *Baccich* cyklem fresków „Historia Krzyża”. To dzieło porównywalne z dokonaniem Massacia z Florencji, Giotta w Padwie i Michała Anioła w Rzymie. To także miasto z uroczym, spadającym w dół *Piazza Grande* i XII-wiecznym unikalnym kościołem *Santa Maria della Pieve* z surową arkadową fasadą. Dotknąć muru takiego obiektu – to jest coś! A z kolei leżąca na szczycie wzgórza Cortona to miejsce urodzenia „gwiazdy” dojrzałego renesansu – Luki Signorellego. Z murów Cortony widać już było brzegi Jeziora Trazymeńskiego (tego od zwycięstwa Hannibala w 217 roku p.n.e.), gdzie zaplanowaliśmy obóz na następne dni.

MF: My również zaplanowaliśmy obóz nad jeziorem, ale w obawie przed Hannibalem wybraliśmy *Bracciano* (śmiech). Ponieważ dotarliśmy tam już bardzo późnym wieczorem i byliśmy bardzo zmęczeni całodzienną podróżą oraz wieczorem w Viterbo, nie szukaliśmy zbytnio miejsca na nocleg, tylko wybraliśmy parking tuż nad samym brzegiem jeziora. Nie była to jednak spokojna noc. Nieopodal naszego samochodu, w którym spaliśmy, na plaży grupa młodzieży zorganizowała sobie dyskotekę pod gwiazdami. Podjechali samochodami, puścili głośno muzykę i przez kilka godzin tańczyli, pili i bawili się do białego świtu. Ale dzięki temu udało mi się nad ranem zobaczyć coś niesamowitego. Całe spokojne jezioro zasłonięte mgłą. Zresztą spójrz na fotografię...

Śniadanie zjedliśmy nad samym brzegiem, wykorzystując jako mebel spróchniałą kłodę. Udało nam się nawet wypić prawdziwą włoską poranną kawę, a to za sprawą psa.. Tak, psa! Kie-



AREZZO



BRACCIANO



dy jedliśmy, podpłynęły do nas łabędzie i kaczki, więc zaczęliśmy je karmić. Wtem podbiegł do nas olbrzymi kuwasz i zaczął szczeekać na te ptaki. Przerazona właścicielka psa, myśląc, że się wystraszyliśmy, zaprosiła nas do swego ogródka na pyszną espresso. To bardzo przyjemne wspomnienie. A cały poranek ukoronowaliśmy kąpielą w ciepłutkim jeziorze. Najbardziej cieszyła się Kasia, chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego.

Z Bracciano wróciliśmy na *Via Cassia* i pojechaliśmy do Rzymu. Mieśliśmy już wcześniej zarezerwowane pokoje w Domu Polskim, więc jechaliśmy z komfortowym nastawieniem. Po rozlokowaniu się i odświeżeniu wsiedliśmy w kolejkę na la Giustiniana i pojechaliśmy obejrzeć sobie starożytne, albo inaczej mówiąc, niechrześcijańskie zabytki Rzymu. Tak postanowiliśmy podzielić sobie nasz dwudniowy pobyt. Był więc Palatyn, Forum Romanum, Koloseum i Panteon. Była pizza i Hiszpańskie Schody. Kupiliśmy bilety na metro i kolejkę podmiejską już na następny dzień, bo oto czekał nas najważniejszy punkt naszej pielgrzymki - Watykan .

MR: Po śmierci Jana Pawła II stało się i dla nas jasne, iż Watykanu nie ominiemy. Wyruszyliśmy z tą pielgrzymką dokładnie 2 czerwca, a więc w dwa miesiące od najbardziej wstrząsającego dla wielu, wielu z nas dnia. Jednak na drodze stanęło nam... Orvieto, przedziwne umbryjskie miasto, położone na płaskim szczycie wulkanicznego wzgórza. Kiedy się dojeżdża, miasto wygląda jak kremowy tort na brązowej paterze o promieniu – bagatela – przeszło 2 km; najwyższe „świeczki urodzinowe“ w tym torcie to *Torre del Moro* i fasada słynnej katedry, o której tak pięknie pisał Zbigniew Herbert w „Barbarzyńcy w ogrodzie“. Dopiero stamtąd, mocno spóźnieni, osiągnęliśmy Rzym, stąd też i ja znam dość obskurny dworzec *la Giustiniana*. Na szczęście kolejka do Watykanu to już triumf przemysłu włoskiego! Komfort i estetyka. Ale nie dla komfortu przecież podążaliśmy w coraz bardziej gęstniejącym tłumie (był czwartek!) na Plac Św. Piotra.

MF: Wiesz znam wiele bardziej obskurnych dworców i nawet nie trzeba przekraczać granicy, żeby je zobaczyć, ba wystarczy wyjść z domu. A co do Watykanu, to rzeczywiście było niesamowite przeżycie, ale nie będę go w tej chwili opisywał. Może tylko tyle, że pomimo, iż po odwiedzeniu Watykanu obejrzelśmy „Rzym chrześcijański“ to cały blask Rzymu został przyćmiony porannymi wydarzeniami.... Choć muszę przyznać, że Jakub, który był nam przewodnikiem w wiecznym mieście, stanął na wysokości zadania. Udzielał nam praktycznych wskazówek, gdzie i jak się zachować, w którą linię metra wsiąść, którądy najszybciej lub też najciekawiej dojdziemy do obranego przez nas celu, a wszystko dlatego, że Jakub był na stypendium w Rzymie, zresztą spotkaliśmy się z jego kolegą ze studiów, który był z kolei na stypendium w Polsce i mieszkał razem z Jakubem...

W naszej świadomości podróż zaczęła dobiegać końca, a to, co w niej najważniejsze, było już za nami...

JESZCZE UMBRIA

MR: Toskania, Rzym, Wenecja! Na tym tle, nie uważasz, Umbria jawi się jako uboga krewna tych wszystkich słynnych miejsc. A miasta takie jak Gubbio,

Asyż czy Perugia dosłownie zapierają dech i naprawdę trudno się dziwić Herlingowi-Grudzińskiemu, że to właśnie były jego ulubione we Włoszech strony. Zwłaszcza stolica, Perugia, lśni tu biało-różowym blaskiem swoich budowli, a *Palazzo dei Priori*, czyli ratusz, jest najpiękniejszym obiektem „rządowym” jaki udało mi się w Italii zobaczyć! Strome uliczki Perugia, z setką łuków i bram, które w wiekach średnich nieustannie spływały krwią zwaśnionych rodów Oddich i Baglionich, dziś wyglądają jakby je wytyczono wyłącznie dla zakochanych. Na placu przed katedrą stoi zaś jedna z najstynniejszych włoskich fontann, którą zbudowali ojciec i syn, Nicolo i Giovanni Pisano. Paweł Muratow w swoich „Obrazach Włoch” nie bez satysfakcji cytuje stare ustawy, w myśl których nie wolno w fontannie „poić zwierząt, czerpać z niej wody do beczulek po winie, do nie wymytych naczyń oraz brudnymi rękami”.

MF: No, niestety, nie odwiedziłem Perugia. Po dwóch dniach i dwóch nocach w stolicy Italii, udaliśmy się dalej, choć właściwie była to już dla nas podróż powrotna. Po drodze Zostawiliśmy Orvieto, ten torcik, o którym tyle rozpisywał się Herbert. Przyglądałem się z tarasu widokowego oddalonej katedrze, która kilka lat temu rzucała poecie cień na naleśnik... Następnie poprzez Foligno udaliśmy się do Asyżu, by tam złożyć hołd świętym Klarze i Franciszkowi. Asyż jest bardzo zadbanym i wypielęgnowanym miejscem, ale jak dla mnie za bardzo... I pomimo, że odwiedzane wcześniej na naszej trasie miasta były architektonicznie i „klimatycznie” bliższe memu sercu, to świadomość, że na tej ziemi wyrósł i działał tak wielki człowiek, jakim był Franciszek, budziła szacunek do tego miejsca. Nie możemy też zapomnieć, że Asyż dla Polaków jest miejscem bardzo szczególnym – tu 11 września 1253 roku w kościele św. Franciszka papież Innocenty IV kanonizował św. Stanisława Biskupa. Spędziliśmy w Asyżu wiele bardzo owocnych godzin. I kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, ruszyliśmy poprzez Gubbio do Urbino. Odbyliśmy tam nocny spacer, ale podjęliśmy decyzję o natychmiastowym powrocie do domu. Nadmiar wrażeń i bogactwo duchowe tego czasu po prostu nas zmęczyły. Jeszcze tylko zdążyliśmy zabłądzić w okolicach San Marino (być może nawet przejechaliśmy przez jakiś pas ziemi tego państwa... nie wiemy, było ciemno, boczne, nieoznaczone drogi prowadzące raz w górę, raz w dół). Potem już tylko droga, Rimini, Ravenna, Porto Viro, Mira, Treviso, Udine. To była wspaniała podróż!...

MR: Co do Asyżu, właściwie zgadzam się z Tobą, ale przeżycia w samej Bazylice, pełnej wiernych, których nikt tu przecież siłą nie ciągnie, napętniają serce jakąś ożywczą otuchą; nie sposób też pominąć samego wystroju świątyni, do którego rękę przyłożyli Cimabue, Pietro Lorenzetti, Simone Martini, no i oczywiście Giotto. Assisi cudownie wygląda z oddali – jak biał-różowy ptak, przytulony do zbocza góry! My czasu mieliśmy więcej, zatem dla Gubbio i Urbino przeznaczyłem cały dzień. Gubbio, w kolorze „szaro-burym”, jest dużo bardziej dzikie niż Asyż; sprawia wrażenie miasta rycerzy, nie – pątników, tym bardziej, iż sklepy pamiątkarskie – oprócz cudownej ceramiki – oferują tu przede wszystkim rozmaite elementy średniowiecznego uzbrojenia z żelaza. Wspiąć się pod katedrę św. Ubalda i spojrzeć w dół, na dachy kamieniczek i XIV-wieczny *Palazzo dei Consoli* z 98-metrową (!) dzwonnica – a miasteczko zostanie w pamięci na zawsze!



PERUGIA



RZYM



ASYŻ



GUBBIO



Urbino leży już w dzielnicy Marche i jest położone podobnie jak Orvieto; jego żółta-wo-brązowe ciało zdaje się przeciągać na wzgórzach i zapraszać do środka. A tam – płatanina uliczek, uniwersytet, katedra i najpiękniejszy renesansowy pałac we Włoszech, *Palazzo Ducale*, zbudowany dla Federico da Montefeltro, którego dwór był w II połowie XV wieku jednym z najznamienitszych w Europie. Federico, wiesz, to ten gość ze złamanym nosem, w czerwonym stroju, znany ze słynnego portretu Piera della Francesca. Otóż ten pałac, a właściwie niekiepskie zamczysko, pełen prostoty, a jednocześnie wytworności stanowił wzór dla wielu podobnych budowli w Italii. Dla mnie jednak najważniejszy był inny punkt w tym mieście: *Casa di Raffaello*, czyli rodzinny dom Rafaela Santi, jednego z geniuszy Renesansu. Świadomość, że te kamienne ściany, podobne do tysiąca innych, pamiętają tego człowieka i służyły mu za schronienie, budzi wzruszenie. Musiało się ono (to wzruszenie) malować na mojej twarzy, bo kupując przed wyjściem widokówki, dostałem bonusu („-This is a gift for you!). Drobiazg, a cieszy!

I tak, Michał, zaczął się i dla nas czas powrotu. Dwa dni spędzone w Riccione nad Adriatykiem to już było sanatorium po tym ogromnym wysiłku, jakim było kilkunastodniowe wędrowanie po 12-14 godzin dziennie! Uff! A swoją drogą, muszę Ci szczerze powiedzieć, że cudne dziewczyny, które wszyscy pamiętamy z włoskich filmów, zobaczyłem dopiero na plaży w Riccione

MF: Czyżbyś po prostu z braku starych kamienic i kościołów musiał oglądać młode dziewczyny?

MR: Hmmm! Musiał – nie musiał... A teraz, co powiemy Czytelnikom na koniec, zakładając, że w ogóle ktoś z nami dotarł nad Adriatyk?

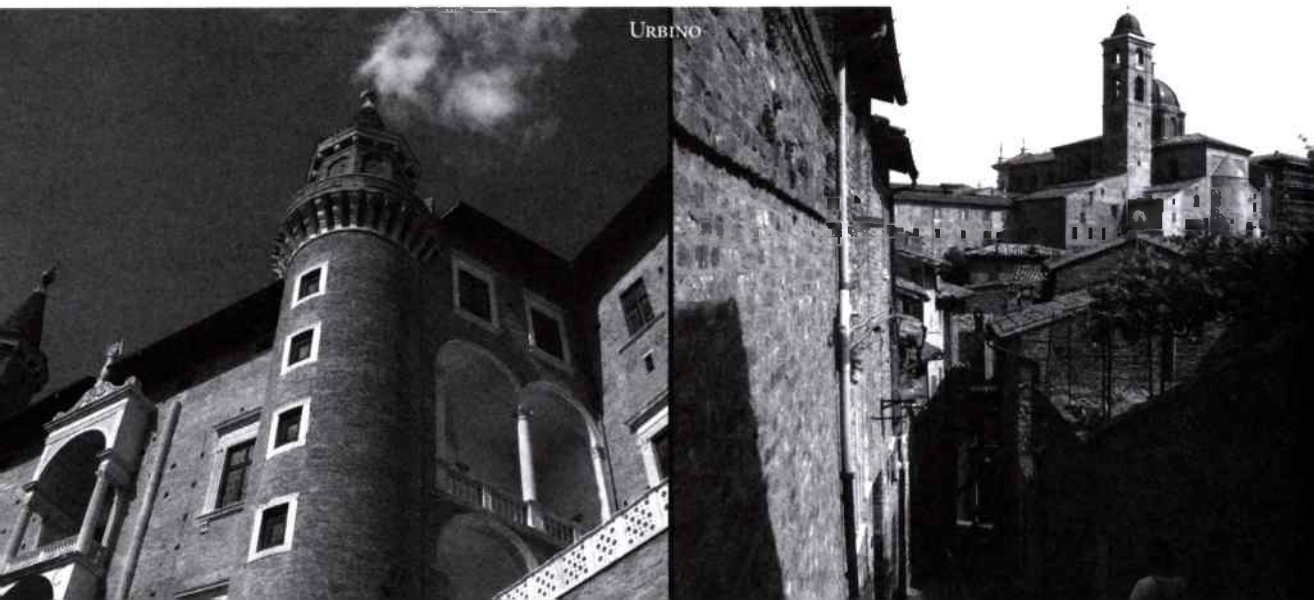
MF: Miłej kąpieli? (śmiej). A może po prostu - do następnej wyprawy?...

MR: Do następnej, przy czym ja poproszę jeszcze raz to samo: do Italii, na północ i południe buta, i do Wenecji i do Toskanii! Sponsorzy, czy słyszycie?!!

MF: Dzięki za rozmowę.

MR: *Grazie, grazie tanto, signor Michele!*

MF: *Grazie tutto!* I za rozmowę, i za marszrutę...





WSZYSTKIE ZDJĘCIA POCHODZĄ Z ARCHIWUM ROZMÓWCÓW.



WYGNANIE Z BAJKI

Wszystko było jak w książkach,
tylko pachniało.

Nie oslepiało piękno,
w ciele tufu i porfiru.
Dobro przenikało nas z powietrzem,
ponad winnicami. Winowajcy byli daleko,
w czasie i przestrzeni. Okolica
odpuszczała nam co dzień morelowym świtem,
że nie jesteśmy stąd.
Nie znaleźliśmy miejsca, którego
byłoby dość. Wieczorem dostawaliśmy po denarze
jeszcze większego zdumienia.
Najpiękniejsze kobiety to były dziewice,
wysoko, na fasadach.
Cyprysy wskazywały kierunek, pinia obdarzała
cieniem jak uśmiechem.

Potem
nasz bryg powracał na północ, do domu,
obładowany światłem.

Tęskniłem, pogrążony w blasku.





Ks. Alfred Marek Wierzbicki

- (ur. 1957), duszpasterz, filozof i poeta. Opublikował pięć tomików wierszy: „Jak ciemność w ciemności” (1991), „Inaczej każdej wiosny” (1993), „Kogut z Akwilei” (1999), „Znaki szczególne” (2000), „Miejsca i twarze” (2003).

Mieszka i pracuje w Lublinie. Jest wikariuszem biskupim do spraw kultury, prorektorem Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Lublinie, pełni rolę zastępcy dyrektora Instytutu Jana Pawła II KUL. Prowadzi w tej uczelni wykłady z etyki dla ponad tysiąca studentów z wydziałów filozofii, teologii, prawa i humanistyki.

Interesuje się nowożytną i współczesną myślą włoską, czemu dał wyraz jako tłumacz A. Rosminiego 'Zasad etyki' (1999) oraz autor monografii: „Filozofia i totalitaryzm. Augusta Del Nocego interpretacja kryzysu moderny” (2005). Opublikował kilkanaście artykułów w języku włoskim. Jako visiting profesor wykładał na Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie oraz w Parmie i Sassari.

Tematy śródziemnomorskie stale towarzyszą jego twórczości literackiej.

PEWNEGO DNIA W ROVERETO

Tablica w zaułku oznajmia solennie,
że przechodząc tędy myśliciel zrozumiał
ideę bytu. O niebiosach!
Czy tak było, może całkiem inaczej?
Przyjechałem, aby zobaczyć dom,
w którym urodził się Antonio Rosmini.
Niania przekonana o wyjątkowości dziecka
zachowała dla potomnych jego ubranka.
Nie w bibliotece, gdzie lśni biurko,
lecz na ciasnej ulicy górskiego miasteczka
pośród wysokich domów z różowego kamienia
przeszyło go światło. Szedł nocą i patrzył
na gwiazdy w przesmyku nieba, jaśniejsze
niż w rodowym herbie. W każdym z nas
utajone dziedzictwo, które opiewał Owidiusz.
Wszystkie zwierzęta kierują wzrok ku ziemi,
tylko człowiek patrzy do góry.
Później nazwano to transcendencją,
posłusznie wątpię w nią moi współcześni.
Gdy zapada zmrok na rozległym placu
roztawia się stoły i krzesła.
Orkiestra kieliszków i sztućców gra melodię
dostrojoną do naszego głodu.
Siadamy obok podobnych, dziwne istoty
z serwetami na kolanach i papierami w ręku,
na których zostały spisane umiejętności kucharzy.

12.07.2005.

SZLAKIEM CARAVAGGIA

17 KWIETNIA 2001, MESSYNA.

Wczoraj, w poniedziałek wielkanocny, przyjechałem na Sycylię. Cały deszczowy dzień spędziłem w pociągu z Rzymu. W tym samym przedziale jechało szwajcarskie małżeństwo z siedmioletnim synem. Rodzice opowiadali mi o mijanych miastach. Kiedy dojeżdżaliśmy do Neapolu i mówili o Wezuwiuszu, chłopiec wyciągnął z plecaka kredki i narysował ognisty stożek. Potem rysował jeszcze krajobrazy, a na koniec rożek z czterema gałkami lodów. Tak wyraził swoje niewygórowane marzenie. W poetyckiej duszy dziecka istnieją warstwy prozy, ale nie ma w niej pokładów banalności. Cóż innego robię w tym dzienniku? Staram się opowiedzieć o tym, co widzę i uświadomić swe pragnienia, owszem często bardzo zwyczajne.

Poniedziałek wielkanocny Włosi nazywają la pasquetta. Jest on dniem wycieczek poza miasto i biesiadowania w towarzystwie. Pomimo pochmurnej pogody często mijaliśmy grupki ludzi na plażach skupionych wokół koszyka ze świątecznymi przysmakami. Nazywają go również lunedì dell'angelo. Lubię tę nazwę ponieważ przypomina pierwszych zwiastunów Zmartwychwstania. Anioł zatem przyprowadził mnie wczoraj wieczorem do Messyny. Została ona niemal doszczętnie zniszczona w czasie trzęsienia ziemi i morza w 1908 roku. Dzisiejsza Messyna ma silny stygmat epoki Mussoliniego, który postanowił ją odbudować. Są tu szerokie aleje, niespotykane w dawnych miastach, monumentalne domy mieszkalne, nieliczne odbudowane z ruin zabytki. Należy do nich romańska katedra z nieudaną mozaiką w absydzie. Jej utraconego piękna nie byli w stanie przywrócić ludzie, którzy nie mieli wiary jej twórców. Czyż to nie dowód na suwerenność sztuki?

Z wybrzeża, na którym rozciąga się Messyna, widać brzeg Kalabrii. Przyjechałem, aby zobaczyć obrazy Caravaggia. Przez Messynę i Syrakuzy uciekał na Maltę oraz wracał tym samym szlakiem, już bezpośrednio w kierunku swej tragicznej śmierci.

Ponieważ Muzeum Regionalne znajduje się na odległym krańcu miasta, wziąłem taksówkę. Taksówkarz, chyba antyklerykał i lewak, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zaczął chwalić papieża. „Żaden Włoch by tego nie uczynił. Nie przeprosiłby świata za grzechy popełnione kiedyś przez Kościół. Za dużo tych grzechów mieli nasi włoscy papieże. Jednego tylko nie rozumiem, dlaczego beatyfikował Piusa IX? Pewnie go do tego zmusili”.

Od dawna oczekiwałem na spotkanie z obrazami Caravaggia na Sycylii. Planuję popłynąć statkiem z Syrakuz na Maltę. I oto w Messynie w świetle poranka stoję przed dwoma płótnami, chociaż dobrze je znałem z reprodukcji, utajone było dotychczas przede mną ich prawdziwe życie. Dziełami, na które patrzę z bliska i podziwiam intensywność koloru i naturę światła, są Wskrzeszenie Łazarza i Pokłon pasterzy. Mają one podobną kompozycję scen ludzkich na rozległym nieokreślonym tle, znajdującym się w górnej płaszczyźnie. Obydwa obrazy mają strukturę zdecydowanie wertykalną. To, co jest malarską narracją, a więc temat, zdaje się wyłaniać z jakiegoś przestrzeni, całkowicie nieprzenikalnej dla wzroku. Realistyczne malarstwo Caravaggia jest jedno-

częśnie malarstwem wizyjnym, którego siła kreacyjna czerpie przede wszystkim z subiektywnych pokładów przeżycia. Słusznie pisze Tadeusz Boruta o obecności sztuki ikony w malarstwie baroku u Caravaggia, Rembrandta i Zubarana. Nie są to oczywiście ikony kanoniczne. Zawarty w nich element subiektywny, na który tak wrażliwa pozostaje europejska nowożytność, wiąże się z pokazywaniem nie tylko treści wiary, ale samego jej aktu.

Wskrzeszenie Łazarza ma charakter sceny teatralnej. Wszystko dzieje się za pomocą gestów. Ważne są kierunki spojrzeń, z naszej strony na Jezusa, a z jego strony na Łazarza. Ważne są także gesty rąk. Wyciągnięta dłoń Jezusa nawiązuje do gestu Stwórcy z Kaplicy Sykstyńskiej. Łazarz rękoma, które podnosi do góry i kieruje ku sobie, przyjmuje przywrócony mu dar życia.

18 KWIETNIA 2001, TAORMINA.

Bajeczna jest Taormina. Przewodniki sławiące jej piękno w niczym nie przesadzają. Długo siedziałem na kamiennych ławach teatru położonego na wzgórzu nad morzem. Nie chciałem odchodzić, bo wciąż rozgrywał się jakiś spektakl... Nim zdecydowałem się wreszcie wyrwać z urzeczenia trwającego dobre dwie godziny, zdałem sobie także sprawę z tego, co działo się najpierw obok, a potem także we mnie. W tym czasie przez teatr przeszło kilka niemieckich wycieczek. Taormina sprawia zresztą wrażenie niemal wzorcowej postmodernistycznej kolonii niemieckiej, zdobytej nie na drodze podboju, lecz turystyki. Właścicielka hotelu, w którym się zatrzymałem jest Niemką i zanim powiedziałem słowo, już pozdrowiła mnie po niemiecku. Niemcy w Taorminie to podróżujący emeryci, kiedyś dzieci wojny i głodu, dziś wygrzewający się na słońcu i opowiadający sprośne kawały. Ale przecież coś musi w ich duszach grać? Co? W tym miejscu, jakim jest dawny teatr grecki, powinni zmierzyć się z tragedią, ale w kwietniu jeszcze nie ma sezonu Antygony i Elektry, więc pozostaje im (podobnie, jak i mnie) najtrudniejszy z teatrów – teatr własnej duszy.



Podróżując samotnie, bogatą turystyczną konsumpcją piękności tej ziemi, niemal spontanicznie uzupełniam zamyśleniem. Refleksja staje się konieczna jak wino do śródziemnomorskiego obiadu. Siedzę teraz na tarasie kawiarni naprzeciw katedry z notatnikiem na stoliku. Nie chcę sjesty. Wolę, nawet trochę zmęczony, patrzeć. W dole olbrzymie urwisko, a niżej, o dużo niżej, lazur morza. Wyciągam kartki, które za chwilę napiszę i poślę. Na jednej z nich widok na Taorminę od strony morza, dopełnienie tego, co widzę stąd z tarasu. W końcu to dobrze, że nie można wszystkiego zobaczyć.

* * *

Wieczorem byłem na Mszy świętej w zakrystii katedry, ponieważ sama katedra jest w remoncie. Chociaż warunki są prowizoryczne, to liturgia znosi wszelką prowizoryczność. Jak-

że szczęśliwi jesteśmy my wtajemniczeni w mowę krzyża. Ścisnęło mi się naprawdę serce, gdy w jednym z zabytkowych kościołów, w którym pełno turystów, usłyszałem nagle blisko siebie rozmowę po angielsku. Dziewczynka, najwyżej dziesięcioletnia, zauważyła, jak stara Włoszka, ubrana na czarno, przeżegnała się przed ołtarzem. Zaraz zapytała swych rodziców, naśladując jednocześnie intrygujący ją znak krzyża – co to znaczy? Spotkała się jedynie ze zdziwieniem na ich twarzy. Może nie powinienem był milczeć i mogłem powiedzieć, że taki znak czynią chrześcijanie. Nie miałem jednak pewności, że rodzice dobrze przyjmą tę informację. A teraz mi bardzo głupio i żal, że nikt nie odpowiedział temu dziecku.

20 KWIEŃNIA, SYRAKUZY.

Na Maltę nie popłynąłem, ponieważ statki zaczynają kursować dopiero w maju. Cieszę się zatem dłuższym o dwa dni pobytom w Syrakuzach. Obejrzałem Pogrzeb świętej Łucji, znajdujący się w Museo Bellomo, ukrytym w dyskretnym zaułku na skraju cypla. Słychać stale bijące o skałę fale morskie. Caravaggio! Cóż za światło! Zanim jeszcze zacząłem przyglądać się obrazowi, już podchodząc do niego z sąsiedniej sali, z odległości kilkunastu metrów, zrozumiałem, że najważniejsze jest jego światło drgające jak płomień świecy, który zmaga się z ciemnością. Znalazłem także stary kościół świętej Łucji. Godzinami włóczyłem się po uliczkach Ortigii, a ponieważ jest ona małym półwyspem, ciągle wychodziłem nad brzeg morza. Nad źródłem Aretuzy dumałem nad zagadką słodkiej wody wytryskującej z ziemi kilka metrów od brzegu morza. Jest to sadzawka z kępami papirusu, wokół którego pływają białe kaczki, jak u nas na wsi w bylejakim bajorku. No i dotykałem własną ręką doryckich kolumn, które przetrwały w romańskiej katedrze. Wcześniej była to świątynia Minerwy. Przed katedrą napis wspominający pobyt św. Pawła Apostoła w mieście. Szukałem jego fizycznych śladów na wąskich ulicach getta.

Ale Syrakuzy to Grecy ze swą niesłychaną żywotnością. Tę ich różnorodną witalność uświadomiłem sobie, oglądając wielką ilość waz zgromadzonych w Muzeum Archeologicznym. Zawsze są czymś zajęci, a to wojują, a to tańczą, a to śpiewają pieśni przy wtórze cytr i fletów nadzy i w ruchu.

Charakteryzowała ich nie tylko fizyczna ruchliwość, ale mieli w sobie prawdziwy niepokój ducha rodzący ciekawość i zdziwienie, nakazujący im pytać o arche wszystkich rzeczy. Zostawili nam mądrość swych pytań. Dziwne, że tutaj w Syrakuzach nigdzie nie wspomina się Platona. Skądinąd zrozumiałe, bo w Syrakuzach poniósł on klęskę, a są one miastem zwycięzców. Pokonali Etrusków, oparli się Ateńczykom, ulegli dopiero Rzymowi. Nie jest to jednak wyłącznie miasto sławy, istniały na jego obrzeżach obozy pracy niewolniczej. Artyści niewolnicy pozostawili na ścianach kamieniołomów swe bolesne „grafitti”. Świat hańby pozostaje w cieniu, wystarczają krótkie wzmianki w przewodnikach, nawet po wiekach trudno ze zła uczynić przedmiot pychy. Ulice, hotele i fontanny noszą imię Archimedesza. Nie bez zdziwienia spacerowałem po skromnym skwerku, na którym znajdowało się w starożytności forum. Tylko nazwa Foro Siracusano świadczy o przeszłości tego placu, na którym dziś znajduje się skromny park i stoją budki z lodami i napojami. Wizja, jak mogła wyglądać dawna kolonia grecka, zamigotała mi na chwilę na placu przed katedrą. Ze świątyni wyszły dwie greckie rodziny. Mężczyźni i kobiety po trzydziestce z kamerą i plecakami. Ojcowie nagle zaczęli tańczyć ze swymi dziećmi. Uciekali, nie dając się im złapać, a potem sami chwyтали swe córki i synów w ramiona i podnosili do góry.

Grecja ma wiele różnych twarzy, zawsze była archipelagiem. Przyzwyczailiśmy się do jej klasycznej sztuki. Warto przyjrzeć się dokładniej sztuce uprawianej w koloniach przed okresem uznany za klasyczny. Kto chce poznać prawdziwą Grecję, musi zapamiętać o Winckelmanie. W

Muzeum Bellomo trafiłem na okresową wystawę słynnych wykopalisk z Geli. Rzeźby z terakoty przedstawiają sceny mitologiczne, zaskakuje jakaś raczej orientalna ich ekspresja. Duże wrażenie robi pokraczna Meduza obejmująca swe niezwykle subtelne potomstwo: syna Pegaza i córkę Chrysaore. Z wielką godnością inny archaiczny rzeźbiarz przedstawił trzy bóstwa kobiece. Środkowa postać, dominująca na dwiema pozostałymi, to bogini Demetr. Ma rację Zbigniew Herbert w swym „Labiryncie nad morzem”, kiedy pisze, że źródła geniuszu greckiego znajdują się w czasach poprzedzających rozkwit kultury klasycznej. W nich się wyraziła grecka fantazja, twórcza wolność, którą kanon potem nieco spętał. Grecy jednak nauczyli nas widzieć w życiu teatr, a teatr jest dialektyczny, nie zatrzymuje się w miejscu, jego żywiołem jest gra formy i ruchu. Wynaleźli maskę i w ten sposób byli bliscy odkrycia jedyności i niepowtarzalności osoby. Przygotowali nas na nowość chrześcijaństwa lepiej, niż uczyniły to inne ludy.

W DRODZE NA TABOR

Nazywał się Paolo Tarcisio Generali,
jego obrazy pokazał mi Marco
w chłodnym klasztorze na stokach Apeninów.

Mało znany malarz, który został kamedułą,
czy nie powinien milczeć?
Gdybyż powołanie było odwróceniem się od świata,
drzemką po sutym obiedzie...

Dopiero pod koniec długiego życia
postanowił malować oblicze Chrystusa
coraz bliższy wejścia na Górę Tabor.

Co było wcześniej, nie było wprawką,
chłopięcą zabawą w łapanie motyli.
Ile uwagi trzeba, aby namalować pręgi światła
na fioletowej skórze bakłażanów
i ile polotu, aby oddać
gibkość ich kształtów przechodzących w taniec.

14.07.2005.

BIEGUN PRZYCIĄGANIA, CZYLI KONTEMPLACJA DLA NADZIEI

JANA PAWŁA II PROJEKT CHRYSOLOGII NA III TYSIĄCLECIE

„Kto nauczy się składać dziękczynienie na wzór ukrzyżowanego Chrystusa, może stać się męczennikiem, ale nigdy nie będzie prześladowcą”

(JP II, *Mane nobiscum, Domine*, nr 26)

Zapisuję słowa motta, wyjęte z listu apostoelskiego na Rok Eucharystii w styczniowy wieczór, w sześćdziesiątą rocznicę wyzwolenia obozu w Oświęcimiu. „Kto nauczy się ... nie będzie prześladowcą”. To serce papieskiego przesłania.

Sięgnijmy po trzy dokumenty z ostatnich kilku lat: *Novo millennio ineunte*, *Ecclesia in Europa*, *Mane nobiscum, Domine*. W każdym z nich jest na swój własny, oryginalny sposób zapisane to właśnie: projekt nadziei wywiedziony z Chrystusa, z kontemplacji Tego, który jest źródłem przyszłości, „biegunem przyciągania”.

„Szukam, o Panie, Twojego oblicza” (Ps 27[26],8). Ta tęsknota Psalmisty sprzed stuleci nie mogła doczekać się wspanialszego i bardziej zdumiewającego zaspokojenia niż **KONTEMPLACJA OBLICZA CHRYSUSA** (podkr. JSz). W Nim Bóg naprawdę pobłogosławił nam i sprawił, że ‘Jego oblicze zajaśniało’ nad nami (por. Ps 67[66], 3)”.

W ten sposób, w numerze 23 NMI określa Jan Paweł II istotę zarysowanego w dokumencie projektu chrystologii na nowe tysiąclecie: kontemplacja oblicza Chrystusa. „Chcemy ujrzeć Jezusa” (J 12,21) prosili dwa tysiące lat temu pogańscy Grecy apostoła Filipa podczas Paschy w Jerozolimie. „Pokazać” Chrystusa światu może tylko taki Kościół i taka teologia, które naprawdę Chrystusa same „widzą i rozpoznają”. W kręgu tej głębokiej metaforyki mieszczą się prawie wszystkie obrazy zwroty, którymi posługuje się papieski list dookreślając uprawianie tej ewangelizacyjnej *par excellence* chrystologii: „kontemplować oblicze Chrystusa”, „wpatrywać się w oblicze Pana”, aby pozwolić go „zobaczyć” ludziom naszych czasów.

Bo na początku nowego tysiąclecia nie brak pogańskich Greków liczących na pomoc Filipa. Arcywspółczesny kontekst tej ewangelicznej sceny i chrystologii najnowszej, nakreślił w „Bogu postmodernistów” Arcybiskup J. Życiński, nawiązując zresztą także do wołania Psalmisty otwierającego nasze rozważania: „Refleksja nad tajemnicą śmierci i doświadczenie modlitwy, wrażliwość na zło i cierpienie, pytanie o winę i przebaczenie – określają horyzont wielkich pytań człowieka, które nie utraciły swej doniosłości wraz z nadejściem postmoderny. Na ścieżkach kulturowych rozczarowań i powrotów, w doświadczeniu nowych ran i rekonstruowanych śladów, nie może braknąć myśli chrześcijańskiej otwartej na dialog ze współczesnością. Bóg Ewangelii pozostaje Bogiem postmodernistów, tak samo jak był Bogiem Abrahama, Augustyna czy Tomasza z Akwinu. Naszym zadaniem jest poszukiwanie nowych środków pojęciowych, by ukazać go jako Boga

obecnego w sercu kultury (...) możemy obecnie poszukiwać nowych projektów intelektualnych, w których troska o przyszłość łączy się z dowartościowaniem tradycji, a bolesny krzyk Nietzschego dopełnia racjonalne argumenty Tomasza z Akwinu. W tej perspektywie intelektualne poszukiwanie nowego oblicza Boga postmodernistów może się okazać składnikiem wielkiego projektu, o którym opisał Psalmista poszukujący konsekwentnie Bożego oblicza (Ps 27,8)¹.

Rozczarowani, postmodernistyczni Grecy proszą na setki otwartych i zawoalowanych sposobów, proszą świadomie bądź nieświadomie: „Chcemy ujrzeć Jezusa”. Jeśli teologia ma być dla nich Filipem i sprostać prośbie-zadaniu na apostołską miarę, musi jej ewangelizacyjna skuteczność płynąć z mocy kontemplacji. Chrystologia „głębokiego widzenia”, mistyka „twarzą w twarz” wobec Pańskiego Oblicza – oto papieski projekt chrystologii na trzecie tysiąclecie. Skąd ją czerpać? Jak ją osiąść? Czyż ona w istocie swej jest?

I. CHRYSOLOGIA NA NOWE TYSIĄCLECIE

1. SKĄD JĄ CZERPAĆ?

Jej źródła tkwią w Objawieniu. „Kontemplacja oblicza Pańskiego winna czerpać inspiracje z tego, co mówi o Nim Pismo Święte” (nr 17) – ujmuje rzecz wprost Jan Paweł II. Miarodajne na temat *Mysterium Christi* jest „świadczenie Ewangelii” i pozostaje aktualna również dla naszego czasu przestroga św. Hieronima: *Ignoratio enim Scripturam ignoratio Christi est*.

Nowy Testament zawiera bowiem jednocześnie wiarygodne świadectwo historyczne i bezcenną dla Kościoła wszystkich czasów wizję chrystologicznej wiary. Zwłaszcza wielka narracja Ewangelistów, złożona z dokumentów poddanych „wnikliwemu rozeznaniu Kościoła” jest podstawowym, nieredukowalnym i niezbywalnym źródłem chrystologii. To z niej wyłania się „oblicze Nazarejczyka” o solidnym fundamencie historycznym i taki opis Jego osoby, życia i dzieła, które są Dobrą Nowiną-wezwaniem dla wiary.

2. JAK JĄ POSIAŚĆ?

„Jedynie wiara zdolna była przeniknąć do końca tajemnicę tego oblicza” – tak o uczniach, o ich docieraniu do Jezusa i do prawdy o Nim pisze Papież (nr 19). Ponieważ „tylko wiara, jaką wyznaje Piotr, a wraz z nim Kościół wszystkich czasów, trafia odpowiedzią w sedno prawdy, przenikając do głębi tajemnicy: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga Żywego” (Mt 16,16).

Również Kościół naszego, „ponowoczesnego” czasu, trafi w sedno chrystologicznej prawdy powtarzając w nowym kontekście i w nowych językach tę właśnie nieprzemijającą odpowiedź na pytanie o głębię chrystologicznej tajemnicy. Jak dochodzi się do tej i takiej wiary – wczoraj, dziś, jutro?

Przyjmując dar i współpracując z nim. Nie ma innej drogi niż droga wiary, a ona jest zawsze i pierwszorzędnie łaską: „do pełnej kontemplacji oblicza Pańskiego nie możemy dojść o własnych siłach, ale jedynie poddając się prowadzeniu łaski. Tylko doświadczenie milczenia i modlitwy stwarza odpowiednie podłoże, na którym może dojrzeć i rozwinąć się bardziej prawdziwe, adekwatne i spójne poznanie tajemnicy” chrystologicznej (nr 20).

3. CZYM JEST?

Na czym polega jej istota? O co w niej chodzi?

Chrystologia nowego tysiąclecia musi być – kontemplatywnym zgłębianiem prawdy o tożsamości Jezusa Chrystusa i jej antropologicznych, teologicznych i soteriologicznych skutkach; prawdy, którą najpełniej w dziejach ludzkiej wiary i myśli wyraziła klasyczna formuła Soboru Chalcedońskiego (451 r.). Jest to prawda „o głębokiej i nierozdzielnej jedności” Słowa i ciała, Boga i

człowieka. Formuła ta, choć jest dziełem jedynie ludzkim – a jako takim, ograniczonym wielorako ograniczonymi możliwościami stworzenia – „zawiera jednak starannie wyważoną treść doktrynalną i pozwala nam przybliżyć się niejako do krawędzi niezgłębionej tajemnicy” (nr 21).

„Głębia tajemnicy” – jak brzmi tytuł jednego z podrozdziałów dokumentu – chrystologicznej tkwi w dynamicznie pojętym Wcieleniu, a skuteczne docieranie w XXI wieku nad jej „krawędź” zależy od troski udzielonej równowadze chrystologicznej wiary. Równowaga ta polega na jednoczesnym uniknięciu pokusy niewiary w integralność tak Bóstwa, jak i człowieczeństwa Jezusa Chrystusa. To bardzo ważne. Ponieważ konsekwencje jej (równowagi) utraty sięgają daleko i destrukcyjnie w najważniejsze sfery tak teologii, jak antropologii.

Choroby – intelektualne, duchowe, egzystencjalne – będące skutkiem jej braku są stare



jak chrześcijaństwo, a może wiekowe jak sam świat. Współcześnie ich przewyżczenie wyraża, w moim głębokim przekonaniu, treści następujące: *a-doketyzm* – być człowiekiem, dzięki Bogu, brzmi mimo wszystko dumnie, nawet po holokaucie; *a-arianizm* – Bóg pochyla się zbawczo nad człowiekiem, z miłością i za każdą cenę; *a-monofizytyzm* – Bóg ani pożera, ani niszczy człowieka; *a-nestorianizm* – absolutna, ostateczna i pełna jedność człowieka z Bogiem jest możliwa. Papież opisuje zagrożenia następująco: „dzisiaj pod wpływem racjonalizmu, oddziałującego skrycie na znaczną część współczesnej kultury, trudność sprawia przede wszystkim wiara w Bóstwo Chrystusa, w innych kontekstach historycznych i kulturowych występowała raczej tendencja do umniejszania lub relatywizowania historyczności człowieczeństwa Jezusa” (nr 22). Obie skrajno-

ści są równie groźne dla chrystologii i dla wywiedzionych z niej odpowiedzi na pytania „kim jest Bóg?“, „kim jest człowiek?“ oraz „czy jest możliwa i co znaczy ich wspólnota?“

Dogmat chrystologiczny – w Objawieniu mający swe źródło, sformułowany na soborach, reinterpretowany nieustannie i stale na nowo przez Kościół – jest bez wątpienia ostatnim słowem na temat aktualnej i eschatologicznej wspólnoty Boga i człowieka. Chrystologiczne *mysterium* jest jednak w swej głębi ciągle jeszcze „do odkrycia” w czasie, który przed nami („chrześcijaństwo jest ciągle przed nami” – mawiał w różnych kontekstach i na różne sposoby ks. Józef Tischner). Ks. Tomasz Węcławski wyraził ostatnio jego oryginalność niezwykle przenikliwie i bardzo w duchu *Novo millennio ineunte*: „istotą kryzysu związanego ze sprawą Jezusa” pisał, jest „Jego boska tożsamość, objawiona w prostocie Jego ludzkiego śmiertelnego życia. Oznacza ona bowiem, że Bóg chce człowieka bardziej, niż ktokolwiek dotąd pomyślał; i że właśnie w tym On sam, Bóg jedyny, okazuje się inny, niż ktokolwiek pomyślał. Inaczej mówiąc, Bóg przyszedł w Jezusie nie od tej strony, od której miał przyjść, nie tam, gdzie Go oczekiwano, i nie tak, jak Go oczekiwano”².

Jan Paweł II postrzega szansę chrystologii nowego tysiąclecia w modelu *par excellence* chalcedońskim. Bowiem tylko ta, autentyczna bo autentycznie kościelna chrystologia równowagi udziela pełnej odpowiedzi na pytanie „czym jest Chrystus?”. Odpowiedź: „prawdziwym Bogiem i zarazem prawdziwym człowiekiem, ale w ten sposób że bóstwo i człowieczeństwo istnieją ze sobą, nie zmieszane i nie zmienione, w zespalającej je jednej osobie Logosu”. Oraz na pytanie „Kim jest Chrystus?": „Jest osobą Logosu, to jest drugą hipostazą Trójcy, która do boskiej natury przybrała sobie ludzką, po to by przez nią, z nią i w niej (to jest także przez jej aktywne i wolne samookreśle-



nia i dobrowolne otwieranie się na Bożą transcendencję), dokonać dzieła zbawienia, polegającego na złączeniu się przez łaskę człowieka z Bogiem lub na przeobstwieńczeniu człowieka”³.

Istotę współczesnej reinterpretacji konsekwencji formuły chalcedońskiej w ten sposób na kilka lat przed *Novo millennio ineunte* określił Gerhard Ludwig Mueller: „Chalcedon daje (...) podstawy do typowo katolickiego światopoglądu, to znaczy do teandryzmu i chrześcijańskiego humanizmu. Chrystologicznie rozumiana relacja Bóg-świat jest źródłem antropologicznego optymizmu. Bóg nie odkupił ludzi od świata, lecz świat przyjął i wszystkiemu, co stworzone nadał w Jezusie Chrystusie wymiar drogi prowadzącej bezpośrednio do obecnego w Nim Boga (...). Chrystologia Chalcedonu mówi: W Chrystusie Jezusie jest w rzeczywistości tylko jedno ‘tak’ i ‘amen’ Boga wobec świata (2 Kor 1,20)”⁴.

Tym więc jest chrystologia w swej najgłębszej postaci: modelem wszechświata, wzorcem bytu, nadzieją człowieka. Świat i człowiek mają bowiem od momentu stworzenia strukturę Chrystusa.

II. KONTEMPLOWAĆ OBLICZE...

1. ...SYNA...

Proponowana przez Jana Pawła II chrystologia trzeciego tysiąclecia jest *de facto* rekonstrukcją tradycyjnego, biblijnie-chalcedońskiego modelu chrystologii we współczesnej szacie kulturowej i znaczeniowej. I na tym polega jej pewność i aktualność, siła i piękno zarazem. Jest to teologiczna i modlitewnie pogłębiona kontemplacja „Syna Uniżonego i Wywyższonego”.

Najpierw „Syna”. Samoświadomość Chrystusa – tłumaczy Papież – polega głównie na tym, „że łączy Go z Bogiem wyjątkowa więź, to znaczy więź właściwa ‘synowi’ (...) W samoświadomości Jezusa nie ma miejsca na żadne wątpliwości: ‘Ojciec jest we Mnie, a Ja w Ojcu’ (J 10,38) (...) w swoim doczesnym życiu miał On świadomość swej tożsamości Syna Bożego” (nr 24).

Jezus Chrystus poczucie dziecięstwa Bożego – z zachowaniem wszelkich ontologicznych i teologicznych proporcji – proponuje wszystkim swoim siostram i braciom. Genialnie, na miarę naszego sierociego czasu („czasu bez ojców”) i naszych pragnień posiadania ojca, pragnień sięgających w transcendencję, rzecz ujmuje Karl Rahner: „Jesteśmy czymś więcej, niż wiemy. Wyznając to, oddajemy Ci, Panie, cześć, zapieramy się siebie i swojego doświadczenia o sobie w imię twego słowa”⁵.

Jesteśmy synami Boga, dziećmi Króla⁶. Wiemy to dzięki Chrystusowi i w Nim.

2. ...UNIŻONEGO...

Bolesna kenoza Syna jest „tajemnicą w tajemnicy” – powiada Papież (nr 25). Zwłaszcza te jej wymiary, które artykułują niepojęty paradoks Jezusa nie wysłuchanego (Ogrójec) i opuszczonego przez Ojca (*Eloi, Eloi, lema sabachthani*) stanowią dla nas głębię nieprzeniklioną, w najwyższym stopniu godną teologicznego namysłu i modlitewnej adoracji. Ów splot boleści i ufności, udręki i modlitwy, stanowi szczyt kenozy i jednocześnie najgłębszego zjednoczenia z Ojcem (nr 26). By przybliżyć ten wymiar chrystologicznego misterium, Jan Paweł II odwołuje się do „teologii życia” Świętych. Cytując Katarzynę ze Sieny i Teresę z Lisieux, nawiązując do mistycznej tradycji „nocy ciemnej”, dowodzi, że istnieje w doświadczeniu boleści taki punkt, gdzie najwyższe cierpienie i najwyższa radość się spotykają (nr 27): w męce i śmierci Chrystusa, a w nas – dzięki męce i śmierci Chrystusa.

„Oblicze cierpiące” (nr 25-27) stanowi szczególnie ważną dla współczesnych część dokumentu. Oto bowiem świat nasz wyszedł z opresji dwudziestego wieku mimo wszystko cało (faszyzm i komunizm, miejmy nadzieję, dogorywają), ale człowiek z przełomu tysiącleci jest poturbowany okrutnie, trafiony w najczulszy punkt i duchowo kaleki. Zrobiły swoje bezbożne i przez to nieludzkie ideologie, Auschwitz i Kołyma, holocaust, dwie wielkie wojny, tysiące po-

mniejszych, krew i śmierć na masową - a przy tym anonimową - skalę. Wrażliwość religijna tego, który ocalał została podkopana manichejską podejrzliwością wobec Stwórcy... Co prowadzi m.in. do postnietzscheańskiego cenzurowania prawdy o Golgocie⁷.

Kontemplacja cierpiącego oblicza Chrystusa na kartach listu przynosi autentycznie chrześcijańską odpowiedź na ową otwartą ranę współczesności. Oto krew Syna została wylana na krzyżu nie po to, by uśmierzyć znieważonego, żądnego tortur człowieczych, Ojca, ale dla nas. Ojciec jest godny zaufania cierpiącego człowieka w największej ciemności Ogrójca i Krzyża (por. nr 25-26). Golgota objawiła Miłość zranioną do krwi, do śmierci – Miłość Boskich zaiste rozmia-
rów, gotową na Wszystko⁸.

3. ...I WYWYŻSZONEGO

Ostateczną odpowiedzią na zło i ból jest prawda o Zmartwychwstaniu Chrystusa. Czyli – w medytacyjno-teologicznej konwencji listu – kontemplacja oblicza Wywyższonego Pana (nr 28). Kościół – pisze Jan Paweł II – „jako Oblubienica Chrystusa kontempluje w Jego obliczu swój skarb i swoją radość. *Dulcis Iesu memoria, dans vera cordis gaudia*: jakże słodko jest wspominać Jezusa, źródło prawdziwej radości serca!” (nr 28).

W Zmartwychwstaniu Chrystusa okazało się, że On, Umiłowany Syn Ojca, miał rację: że Jego życie i styl nie były błuznierstwem, pomyłką, jeszcze jedną tragiczną realizacją prometejskiego heroizmu w ludzkich dziejach. Do Niego należy przyszłość w najgłębszym sensie tego słowa. Z kontemplacji Oblicza Zmartwychwstałego wynika ta właśnie Dobra Nowina, głoszona światu od dwudziestu wieków przez chrześcijaństwo: powtórzmy los Jezusa – „na drodze do tego życia, którego dla nas wszystkich chce Bóg, staje śmierć – a jednak nie zdoła ona przeszkodzić widzialnemu i dotykalnemu objawieniu się tego życia”. Ludzkiego życia „nie pokonała i już nie pokona śmierć. Jego źródłem jest zmartwychwstanie Jezusa”⁹. Tu objawiło się to, czego pragnie i do czego jest zdolny nasz Bóg: miłość do końca¹⁰.

III. ODBUDOWAĆ UFNOŚĆ

1. NA FUNDAMENCIE CHRYSTUSA...

Kiedy Jan Paweł II, „Świadek nadziei”, w „Ecclesia in Europa”¹¹ kieruje przesłanie nadziei do mieszkańców Starego Kontynentu, czyni to również na wskroś chrystologicznie, zasadniczy argument umieszczając w przestrzeni rezurekcyjno-eschatologicznej. Centralna myśl dokumentu jest radykalna: jeśli nadzieja jest prawdą, to jest nią Chrystus. Poza Nim jest ona iluzoryczna bądź nietrwała. Ma jedno imię i jedną tylko bramą dostaje się w nasz świat: Jezus Chrystus. „Jeżeli ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie zbawiony”, znajdzie paszę nadziei, będzie miał życie w obfitości [por. J 10,7-19]. Warto i to rozumowanie Papieża uważnie przesłedzić.

Dla ludzi naszych czasów – pisze – „zarówno na Wschodzie, jak na Zachodzie [Europy, bo jej problemów głównie dotyczy adhortacja – przyp. JSz] najbardziej chyba palącą kwestią jest wzrastająca potrzeba nadziei, która może nadać sens życiu i historii i pozwala iść razem”¹². Taka jest papieska diagnoza. Zagrożenia nadziei (poczucie bezsensu, rozbitcie, rozpacz) wiążą się bezpośrednio z aktualną fazą ludzkich dziejów, ale w sensie głębszym dotyczą istoty ludzkiej kondycji i jej „odwiecznych” cierni – głównie śmierci oraz jej zwiastunów: bólu, cierpienia, przemijania. Ich wspólną przyczyną jest grzech, podstawowy wróg człowieka i jego nadziei. Albo grzech jednostkowy, albo ów tajemniczy, który znajduje się u podłoża pierwotnego pęknięcia bytu. Nadzieja, którą jest Chrystus, dotyczy istotnie tych właśnie węzłowych, najczulszych i zarazem najbardziej gorzkich wymiarów człowieczeństwa: „Z Tobą i w tobie ból może stać się drogą zbawienia, życie zwycięży śmierć, a stworzenie dostąpi udziału w chwale synów Bożych”¹³.

2. ... DLA EUROPY...

W tym sensie „Kościół ma do zaoferowania Europie najcenniejsze dobro, jakiego nikt inny nie może jej dać: jest to wiara w Jezusa Chrystusa, źródło nadziei, która nie zawodzi”¹⁴. Tajemnica nadziei – zdolnej przewyciężyć rozpacz, której może ulegać człowiek powalony nieuleczalnymi i niepojętymi w doczesnym wymiarze świata cierpieniami – czerpie swą moc „z wysoka”, z wiary w chrystologicznie uprawomocniony, ponadczasowy epilog tajemnicy ciemności. Źródłem owej mocy jest bowiem Wskrzeszony Ukrzyżowany, Zmartwychwstały Zabity. Wywyższony, zasiadający po prawicy Ojca po wszystkie wieki. Przez to wszystko, przez śmierć i przez jej zwiastuny i konsekwencje, Chrystus „przechodzi” – dokonuje Paschy – i pokazuje, że to nie koniec. Dlatego też **TRZEBA KONIECZNIE „PRZYWRÓCIĆ NADZIEI JEJ PIERWOTNY PIERWIASTEK ESCHATOLOGICZNY”** – „prawdziwy sens życia człowieka nie zamyka się w horyzoncie doczesności, ale otwiera się na wieczność” [podkr. JSz]¹⁵.

Dzięki jedynej w swoim rodzaju uniwersalności Jezusa Chrystusa, nieistniejącej poza Nim („wyczerpuje” On bowiem to, co Boskie i to, co ludzkie), „wiara chrześcijańska stanowi jedyną wyczerpującą odpowiedź na pytania, jakie życie stawia każdemu człowiekowi i każdej społeczności”¹⁶. Dlatego też On jest „jedynym źródłem nadziei dla wszystkich”¹⁷. To bardzo ważne: jedynym – dla wszystkich. To ekskluzywizm i uniwersalizm zarazem. Radykalny ekskluzywizm dotyczy jedyności Chrystusa (tylko On); radykalny uniwersalizm – niewykluczającej nikogo powszechności daru nadziei (dla wszystkich). Heterodoksyjne idee różnej maści podkopują jeden i drugi radykalizm, twierdząc, że są też inne źródła nadziei oraz jest ona jedynie dla niektórych (wybranych). Ale prawda chrześcijańskiej wiary nie ma nic wspólnego z wykluczaniem kogokolwiek z prawa do chrystocentrycznej nadziei: wyznajemy bowiem „razem z całym Kościołem, że każdy człowiek, każda ludzka historia i każda społeczność jest uwzględniona w tym, co w Jezusie stało się raz na zawsze i dla wszystkich”¹⁸.

Dodajmy: nie wolno Wielkiej nocy przedstawiać jako hollywoodzkiego *happy endu*; ani nawet jako „drugiego szczęścia Hioba”¹⁹. Należy rozumieć Zmartwychwstanie (a tym samym nadzieję) znacznie głębiej, teo-logicznie, to znaczy w wyłącznym związku z prawdą o Bogu jako Wszech-mocnej Miłości, jedynym i niewyczerpanym źródle życia. Teo-logicznie **„STWORZENIE I ZMARTWYCHWSTANIE** wydarzają się w tym samym miejscu. Jedna i druga rzeczywistość ma to samo źródło i w tym źródle **SĄ JEDNĄ RZECZYWISTOŚCIĄ: BOGIEM, KTÓRY CHCE** świata i nie tylko chce go, żeby był, ale chce go takiego, jaki On może ostatecznie być, także po sprzeciwie ludzkiej wolności w tym świecie zawartej – **ŚWIATA ZMARTWYCHWSTAŁEGO I ODNOWIONEGO: nowego stworzenia**” [podkr. JSz]²⁰.

3. ... DLA LUDZKIEJ KULTURY

Kultura widziana w takiej wielkanocnej perspektywie chrystologii jest współpracą z Bogiem, który „chce takiego świata”, współpracą w tym tu oto, takim a nie innym świecie. Jest kulturą życia, kiedy towarzyszy jej światło: uczestniczymy w losie Jezusa, na który składa się Wcielenie, Śmierć, Wskreszenie. Płynąca stąd nadzieja – to ważna puenta papieskiej lekcji – jest wolna od utopijnej ideologii²¹, ale potrzebuje wsparcia świadectwem ludzkiej miłości²². Ponieważ właśnie „życie w miłości staje się radosną nowiną dla każdego człowieka, ukazuje bowiem miłość Boga, która nikogo nie opuszcza. Ostatecznie oznacza to dawać zagubionemu człowiekowi rzeczywiste powody, by nie tracił nadziei”²³. Bóg jest konsekwentny w kenozie Wcielenia: „potrzebuje” (chce potrzebować) człowieka, rozdając Siebie. Również i w tym sensie musi dorastać (dojrzewać) do wiary w Zmartwychwstałego każde pokolenie chrześcijan, jak i każdy chrześcijanin: nadzieja nie jest nigdy dostępna inaczej jak w miłości.

Wpatrywanie się w oblicze Syna wyciska w naszym sercu pieczęć Osoby Ojca. Tak nauczał Grzegorz z Nyssy²⁴. Twórczą kontynuację tej nauki znajdujemy w *Novo millennio ineunte*. A z *Mane nobiscum, Domine* spisujemy taką oto, z niezwykłą świeżością sformułowaną, radę: „Obecność Jezusa w tabernakulum winna stanowić jakby *biegun przyciągania* dla coraz większej liczby dusz w Nim zakochanych, zdolnych przez długi czas słuchać Jego głosu i niemal odczuwać bicie Jego serca”²⁵.

W obliczu Nazarejczyka odbija się istota Boga. Kontemplacja Prawdy tego jednego jedy- nego Oblicza ukazuje nam więc kenotyczne oblicze Ojca, a w jego głębi również objęte Boską Miłością ludzkie twarze. Syn Cierpiący i Zmartwychwstały utożsamia się bowiem z głodnym i spragnionym, przybyszem i nagim, chorym, poniżonym i więźniem (Mt 25, 35-45)²⁶.

Dlatego Papież kolejny rozdział NMI zaczyna od słów, które płaszczem nadziei i otuchy przyodziewają *novo millennio*: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata (Mt 28,20)” (nr 29).

Rozumiem ich sens i nadziejorodną siłę również bardzo osobiście: swego czasu zapisałem je na prymitywnym obrazku.

LUBLIN, 22 STYCZNIA 2005 R.

PRZYPISY

- 1 J. Zyciński, *Bóg postmodernistów*, Lublin 2001, s. 15, 184-185.
- 2 T. Węclawski, *Wielkie kryzysy tradycji chrześcijańskiej*, Poznań 1999, s. 38.
- 3 G. L. Mueller, *Chrystologia – nauka o Jezusie Chrystusie*. Podrecznik teologii dogmatycznej. Traktat V, tłum. W. Szymona, Kraków 1998, s. 361-362.
- 4 Tamże, s. 370-371.
- 5 K. Rahner, *Modlitwy życia*, tłum. J. Zychowicz, Kraków 2001, s. 115.
- 6 Cz. Miłosz, *Późna dojrzałość*, „Kwartalnik Artystyczny”, 2001 nr 1(29), s. 3.
- 7 Zyciński, dz. cyt., s. 167-171.
- 8 Por. J. Szymik, *Posłowie. O teologii von Balthasara, czyli o Bogu, który „ma tylko tyle, ile daje”*, w: K. T. Wencel, Hans Urs von Balthasar: *Teologia chwały*, Kraków 2001, s. 264-265.
- 9 T. Węclawski, *Co dalej? Kościół*, „Azymut”, marzec 2001.
- 10 Por. J. Szymik, *„Wierzę w... ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny”*, „Gość Niedzielny”, 78(2001) nr 15, s. 13.
- 11 Adhortacja „Ecclesia in Europa”, Rzym 28 czerwca 2003.
- 12 Tamże, nr 4.
- 13 Tamże, nr 18.
- 14 Tamże, nr 18.
- 15 Tamże, nr 21.
- 16 Tamże, nr 41.
- 17 Tamże, nr 53.
- 18 T. Węclawski, *Powiedzcie prawdę*, Kraków 2003, s. 89.
- 19 A. Kamińska, *Dwie ciemności i wiersze ostatnie*, Poznań 1989, s. 35-53.
- 20 T. Węclawski, *Poszukiwanie Zmartwychwstałego*, (rozm. P. Łącki, P. Strzyżyński), „Azymut” (2002) nr 4(49), s. 7.
- 21 Adhortacja „Ecclesia in Europa”, nr 120.
- 22 Tamże, nr 84.
- 23 Tamże.
- 24 Ch. Schoenborn, *Ikona Chrystusa*, tłum. W. Szymona, Poznań 2001, s. 40-41.
- 26 Jan Paweł II, *List apostolski na Rok Eucharystii*, 7 października 2004, nr 18.
- 26 Por. E. Zarzycka, *Oblicze*. Komputeropis, s. 4.

ZAPOMNIANE PIĘKNO RZYMSKIEJ LITURGII

Od trzydziestu z górą lat każde moje uczestnictwo we mszy świętej nacechowane jest... szukaniem. Przychodzę do swej parafialnej świątyni, albo też do jakiegokolwiek innego kościoła (oczywiście katolickiego!) – i szukam. Jak niewiasta ewangeliczna poszukująca usilnie zgubionej drachmy. Szukanie pochłania mnie bez reszty, nie potrafię się uwolnić od manii szukania. Dobrze wiem, że szukanie mnie rozprasza, powoduje gonitwę myśli, odrywa od tego, co w eucharystycznym spotkaniu najważniejsze – mimo to nie umiem przestać szukać. Szukanie jest silniejsze ode mnie. Przegrywam z nim, niestety, na całej linii. Pewnym pocieszeniem może być konstatacja, że nie tylko ja „tak mam”, że jest to przypadłość wielu przedstawicieli mojego pokolenia – ludzi przeżywających wejście w świadome życie sakramentalne Kościoła jeszcze w czasach przed Vaticanum II.

Czego zatem szukam? Czego szukają inni reprezentanci mojej generacji? Oto niepełna lista:

1. dawnych, pięknie haftowanych ornatów, z wyraźnie wyszytym znakiem Krzyża świętego, manipularzy i innych zapomnianych elementów stroju liturgicznego,
2. języka łacińskiego,
3. nabożnie odmawianych przez celebransa i ministrantów modlitw wstępnych u stopni ołtarza, szczególnie wzruszającego Confiteor i wzajemnej prośby o odpuszczenie grzechów (sędziwy kapłan prosi małego chłopca o darowanie win – ileż w tym znaku prawdziwej pokory!),
4. zwrócenia się celebransa w stronę tabernaculum, krucyfiksu, w stronę Boga,
5. sekwencji mszalnych, zwłaszcza „Dies Irae” w mszy żałobnej,
6. przenoszenia mszału ze strony Lekcji na stronę Ewangelii,
7. gestów liturgicznych, przyklęknięć, ukłonów celebransa w trakcie odmawiania stałych części mszy świętej (zwłaszcza Kanonu, ale również Gloria, Credo, Sanctus),
8. znaku połączonych palców (wskazującego i kciuka) celebransa od Przeistoczenia,
9. Ostatniej Ewangelii (na końcu mszy świętej już po błogosławieństwie),
10. śpiewu gregoriańskiego,
11. zapachu płonących świec (prawdziwych, woskowych, a nie plastikowych atrap z olejowym wkładem),
12. mistycznego półmroku, będącego efektem świadomego ograniczenia sztucznego światła,
13. kazania wygłaszanego bez mikrofonu z ambony
14. i wielu jeszcze innych zjawisk, będących dla młodych ludzi całkowitą egzotyką.

Mówiąc inaczej – szukam nieustannie (wraz z wielką rzeszą osób z mego pokolenia) przepięknej liturgii trydenckiej, starodawnego rytu rzymskiego, który został w skomplikowanych okolicznościach wyparty z życia Kościoła katolickiego po 1969 roku.

Czym jest ryt trydencki?

Tradycyjny ryt (obrzątek) rzymski, zwany również trydenckim (albo mszą według rytu

św. Piusa V, mszą w klasycznym rycie rzymskim, tradycyjną msza łacińską itp.) powstał na drodze organicznego rozwoju od czasów apostoelskich. Rdzień mszy św. w tradycyjnym rycie rzymskim, który otacza Konsekrację – tzw. Kanon rzymski -istniał już w postaci zbliżonej do obecnej w IV w., a nie podlegał właściwie żadnym zmianom od czasów papieża św. Grzegorza Wielkiego (czyli od VI w.).

Zgodnie z niezmiennym nauczaniem Kościoła katolickiego, msza święta jest tą samą Najświętszą Ofiarą, którą złożył Chrystus na Kalwarii. Jedyna różnica polega na tym, że Ofiara na Kalwarii była Ofiarą krwawą, a Ofiara mszy świętej ma charakter bezkrwawy. Uczestnicząc w Najświętszej Oferze mszy świętej, możemy dostąpić takich samych łask, jak byśmy stali u stóp Krzyża podczas Męki Pańskiej.

Rzymski Ryt Najświętszej Ofiary - owoc wielowiekowego i naturalnego rozwoju - został zatwierdzony jako obowiązujący na zawsze przez papieża św. Piusa V bullą „Quo Primum” w 1570 r. Dokument ten, który obowiązuje na zawsze i nigdy nie może być zniesiony, zezwala po wszystkie czasy każdemu kapłanowi rzymskokatolickiemu na odprawianie mszy w tradycyjnym rycie rzymskim (trydenckim), bez narażania się na jakiegokolwiek kary kościelne. Święty Pius V nie opracował jednak nowego obrządku Mszy, a jedynie skodyfikował i ujedynolcił obrządek istniejący od wieków. Ponieważ św. Pius V zezwolił na odprawianie mszy św. w tradycyjnym rycie rzymskim po wszystkie czasy, dlatego nazywa się ją niekiedy Mszą Świętą Wszechczasów. Określenia „msza trydencka”, „ryt trydencki” biorą się stąd, że papież św. Pius V wprowadził jednolity obrządek mszy świętej dla całego Kościoła rzymskiego na polecenie Soboru Trydenckiego (1545-1563).

Po 1570 kolejni papieże wprowadzali drobne poprawki do mszału św. Piusa V. Polegały one na tworzeniu nowych świąt (np. święto Chrystusa Króla), reformie kalendarza kościelnego itp. Ostatnie poprawki przed Soborem Watykańskim II (1963-1965) wprowadził Jan XXIII w 1962 r. Właśnie edycją Mszału Rzymskiego z 1962 r. posługują się celebransi, odprawiający mszę w rycie trydenckim.

W 1969, w ramach posoborowych reform, papież Paweł VI wprowadził - obok rytu trydenckiego - nowy obrządek mszy św. (po łacinie zwany *Novus Ordo Missae* – NOM). W tym samym roku dwaj kardynałowie, Ottaviani i Bacci, wraz z grupą wybitnych rzymskich teologów, napisali list do Ojca świętego, do którego dołączono „Krótką analizę krytyczną NOM”. W dokumencie tym purpuraci wskazali na szereg wad *Novus Ordo Missae*, wśród których na pierwszy plan wysuwa się zamazanie ofiarnego charakteru mszy św. i podkreślanie aspektu uczyty i uświęcenia, co zbliża nowy ryt do nabożeństw protestanckich (zwłaszcza kalwińskich).

Były prefekt Biblioteki Watykańskiej, kard. Alfons Maria Stickler, wygłosił w 1995 w Nowym Jorku referat pt. „Atrakcyjność mszy trydenckiej”. Przedstawił w nim szereg zalet Mszy św. w rycie tradycyjnym (trydenckim) w porównaniu z nowym rytym posoborowym Hierarcha w szczególności zwrócił uwagę na następujące sprawy:

- Msza św. Piusa V, w myśl definicji dogmatycznej, akcentuje jej charakter ofiarny. Nowa msza natomiast podkreśla liturgię słowa i Komunię oraz wprowadza nowe tzw. modlitwy eucharystyczne, choć Kościół rzymski miał zawsze tylko jeden Kanon. Tzw. druga modlitwa eucharystyczna („Zaprawdę święty jesteś, Boże, źródło wszelkiej świętości...”), która dla swej krótkości praktycznie wyparła Kanon rzymski, nie wspomina ani razu ofiarnego charakteru mszy św. Przerost mówienia nad sprawowaniem Ofiary przypomina wręcz zebrania protestanckie. Podczas gdy w Mszy św. Piusa V kapłan odmawia Kanon i niektóre inne modlitwy po cichu, Nowa Msza niemal cała odprawiana jest na głos.

- Wiąże się z tym także nowa pozycja celebransa wobec wiernych, tzn. przodem do nich, która jest czymś zupełnie nowym w Kościele (wykazują to badania naukowe), i była dotychczas zabroniona, gdyż jest ona właściwa raczej dla spotkań towarzyskich. Zwrócenie pastora twarzą do wiernych stosuje oczywiście większość protestantów.

- Tzw. Kanon Rzymski, stanowiący centrum mszy św., w formie jaką ma w Mszale św. Piusa V, pochodzi, według świadectwa Soboru Trydenckiego, z Tradycji apostołskiej i był zasadniczo ustalony już za Papieża św. Grzegorza Wielkiego (ok. A.D. 600), a Kościół rzymski nigdy nie miał innych kanonów. Taka a nie inna formuła Konsekracji, jaka jest w Mszale Trydenckim, jest poświadczona jako niewymienialna już przez Papieża Innocentego III (1198-1216), św. Tomasz z Akwinu uzasadnił ją w specjalnym artykule, a Sobór Florencki (1437) explicite ją potwierdził. Ta właśnie formuła, której dosłowne i dokładne wypowiedzenie decydowało o ważności Konsekracji, została w nowej liturgii zmieniona.

- Zarówno Sobór Trydencki jak i Watykański II potwierdziły po długich dyskusjach teologiczną zasadę utrzymania języka łacińskiego w obrządku rzymskim (obydwa sobory dopuściły język narodowy jedynie w sensie wyjątku z ogólnej zasady). Zasada ta została natomiast praktycznie odrzucona przez dokonaną reformę, gdyż wyjątek stał się regułą. Poprzez język narodowy nastąpiła wulgaryzacja Mszy św., a tłumaczenia doprowadziły do poważnych doktrynalnych nieporozumień i błędów. Przez wielość i różnorodność języków w liturgii zatracona została co najmniej zewnętrzna jedność Kościoła, a nieraz także jedność w wierze.¹

Aby dokładniej uzmysłowić sobie odmienność obydwu rytów, warto przyrzeć się następującej tabeli porównawczej (przygotowanej przez redakcję „Magazynu Tradycji Katolickiej <Verbum Traditionis>”):

RYT KLASYCZNY		RYT PAWŁA VI	
MSZA KATECHUMENÓW		OBRZĘDY WSTĘPNE	
[CZ. I: MODLITWY U STOPNI OLTARZA]		-	
Celebrans stoi u stopni Ołtarza. Wierni klęczą.	Znak krzyża	Znak krzyża	Celebrans znajduje się w miejscu przewodniczenia. Wierni stoją.
	Psalm 42	Pozdrowienie ludu i wprowadzenie w treść Mszy	
	-	Antyfona na Wejście - o ile nie było śpiewu recytuje kapłan, lektor lub wierni.	
	Akt pokuty- osobno kapłana, osobno wiernych.	Wspólny akt pokuty. Możliwość pominięcia wezwania do Świętych.	
	Fragment Psalmu 84: Deus tu conversus	-	
	Aufer a nobis, Oramus te	-	
[CZ. II: KYRIE, GLORIA, KOLEKTA]		-	
Kapłan znajduje się przy Ołtarzu. Wierni klęczą, a na Gloria wstają.	Antyfonona Wejście.	-	
	Kyrie: błagalne wołania do Trójcy św.	Kyrie: wezwanie Chrystusa. Możliwość pominięcia Kyrie.	
	Gloria	Gloria	
	Pozdrowienie ludu i Kolekta	Kolekta	
[CZ. III. CZYTANIA I CREDO]			
Celebrans znajduje się przy Ołtarzu, twarzą do Ołtarza. Wierni siedzą.	Lekcja- odczytuje celebrans lub subdiakon	Pierwsza Lekcja- odczytuje celebrans lub świecki (świecka)	Celebrans siedzi na miejscu przewodniczenia. Lektor czyta z ambonki. Wierni siedzą.
	Graduał	Psalm responsoryjny	
	-	Druga Lekcja- odczytuje celebrans lub świecki (świecka)	
	Alleluja lub Traktus	Alleluja lub aklamacja	Celebrans i wierni wstają.
Celebrans odczytuje Ewangelię od Ołtarza. Wierni stoją.	Ewangelia: odczytuje celebrans lub diakon	Ewangelia: odczytuje celebrans lub diakon	Celebrans odczytuje Ewangelię z ambonki. Wierni stoją.
Celebrans przy Ołtarzu twarzą do wiernych lub na ambonie. Wierni siedzą.	Kazanie: czynność pozaliturgiczna	Kazanie: czynność liturgiczna	Celebrans przy ambonce. Wierni siedzą.
Celebrans przy Ołtarzu. Wierni stoją.	Credo	Credo	Celebrans stoi na miejscu przewodniczenia, wzgl. przy ambonce. Wierni stoją.
		Modlitwa powszechna	
MSZA WIERNYCH			
[CZ. I: OFIAROWANIE]			

Celebrans znajduje się przy Ołtarzu.	Antyfona na Ofiarowanie	-	Celebrans znajduje się przy Ołtarzu.
	Ofiarowanie hostii: Suscipe sancte Pater (po cichu)	Ofiarowanie chleba: Benedictus es (po cichu lub na głos)	
	Przygotowanie wina i wody: Deus, qui humanae (po cichu)	Przygotowanie wina i wody: Da nobis (po cichu)	
	Ofiarowanie kielicha: Offerimus tibi (po cichu)	Ofiarowanie kielicha: Benedictus es (po cichu lub na głos)	
	Polecenie ofiar: In spiritu (po cichu)	Polecenie ofiar: In spiritu (po cichu)	
	Wezwanie Ducha Św: Veni sanctificator	-	
	Obmycie rąk: Psalm 25 (po cichu)	Obmycie rąk: Lava me (po cichu)	
	Polecenie Ofiar Trójcy św.: Suscipe Sancta Trinitas (po cichu)	-	
	Wezwanie do modlitwy: Orate fratres	Wezwanie do modlitwy: Orate fratres	
Sekreta (po cichu)	Modlitwa nad darami (na głos)		
[CZ. II: DOKONANIE OFIARY]			
Celebrans znajduje się przy Ołtarzu. Wierni klękają na Sanctus i klęczą aż do końca Kanonu.	Prefacja	Prefacja	Celebrans znajduje się przy Ołtarzu. Wierni stoją. Mogą klęczeć podczas Konsekracji.
	Sanctus i Benedictus	Sanctus i Benedictus	
	Kanon Rzymski (po cichu)	Jedna z wielu modlitw eucharystycznych do wyboru (na głos)	
[CZ. III: KOMUNIA ŚW.]			
Celebrans znajduje się przy Ołtarzu. Wierni stoją, a na Agnus Dei klękają.	Pater noster: odmawia kapłan	Pater noster: odmawiają wszyscy	Celebrans znajduje się przy Ołtarzu. Wierni stoją.
	Libera nos (po cichu)	Libera nos (na głos, zmieniona wersja)	
	Łamanie Hostii	Modlitwa o pokój: Domine Jesu Christe (na głos)	
	-	Znak pokoju	
	Agnus Dei	Agnus Dei	
	Modlitwa o pokój: Domine Jesu Christe (po cichu)	-	
	Modlitwy przed Komunią (po cichu)	Modlitwa przed Komunią do wyboru z 2 (po cichu)	
Komunia kapłana			
Wierni klęczą i przyjmują Hostię św. na język.	Komunia wiernych	Wspólna komunia kapłanów i wiernych	Wierni mogą stać i przyjmować Komunię św. na rękę
Kapłan znajduje się przy Ołtarzu. Wierni klęczą.	Dziękczynienie: Quod ore	Dziękczynienie: Quod ore	Kapłan znajduje się przy Ołtarzu. Wierni siedzą lub stoją.
	Ablucja palców kapłana winem i wodą: Corpus tuum	-	
	Puryfikacja kielicha winem i wodą	Puryfikacja kielicha wodą - może być po Mszy	
	Antyfona na Komunię	-	
[CZ. IV: ZAKOŃCZENIE]			
Kapłan znajduje się przy Ołtarzu. Wierni wstają.	Pozdrowienie ludu i Modlitwa po Komunii	Modlitwa po Komunii	Kapłan może udać się na miejsce przewodniczenia. Wierni wstają.
Kapłan znajduje się przy Ołtarzu. Wierni klękają na Błogosławieństwo i stoją na Ewangelię.	-	Ogłoszenia.	Kapłan przy Ołtarzu lub na miejscu przewodniczenia. Wierni stoją.
	-	Błogosławieństwo	
	Pozdrowienie ludu i rozesłanie: Ite Missa est	Rozesłanie: Ite Missa est	
	Modlitwa do Trójcy Św.: Placeat tibi		
	Błogosławieństwo		
Ostatnia Ewangelia			
Kapłan klęka na stopniach Ołtarza. Wierni klęczą	Po cichej Mszy św.: Modlitwy Leona XIII i św. Piusa X		

Czy zatem moje poszukiwania są skazane na niepowodzenie? Otóż nie. Mógłbym bez większych przeszkód znaleźć to, czego szukam. Mogę wszak w niedzielę i święta wybrać się na mszę świętą do którejś z kaplic Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X (choćby w Chorzowie), ale tego nie zrobię z uwagi na swoje poczucie legalizmu: założyciel Bractwa, arcybiskup Marcel Lefebvre, naruszył w 1988 roku dyscyplinę kościelną, wyświęcając bez zgody Stolicy Apostolskiej czterech biskupów, czym ściągnął na siebie ekskomunikę.

Mogę uczestniczyć (najzupełniej „legalnie”) w tzw. trydenckich mszach świętych indultowych (chodzi o msze w rycie trydenckim, na odprawianie których wyrażają zgodę biskupi ordynariusze miejsca), np. w Bytomiu (diecezja gliwicka), Chorzowie (archidiecezja katowicka), jednakże czuję się silnie związany z moją parafią i uważam, że nie powinienem bez naprawdę ważnej przyczyny rezygnować ze mszy świętej w świątyni parafialnej.

Wychodzi więc jednak na to, że szukanie moje będzie trwało nadal.



Mam wszakże nadzieję, wraz z całym polskim środowiskiem Tradycji katolickiej, związanym z pismem „Christianitas” (którego redaktorem naczelnym jest Paweł Milcarek, a wśród stałych współpracowników znajduje się Marek Jurek – od niedawna Marszałek Sejmu RP), że Stolica Apostolska udzieli wkrótce tzw. indultu generalnego, czyli zezwoli wszystkim duchownym katolickim na stosowanie rytu trydenckiego bez ograniczeń. Już bowiem w 1988 roku Sługa Boży Jan Paweł II w liście apostolskim „Ecclesia Dei” napisał znamienne słowa:

„wszędzie należy uszanować nastawienie tych, którzy czują się związani z liturgiczną tradycją łacińską, poprzez szerokie i wielkoduszne zastosowanie wydanych już dawniej przez Stolicę Apostolską zaleceń, co do posługiwania się Mszałem Rzymskim według typicznego wydania z roku 1962.”

Natomiast obecny Papież, Benedykt XVI, który nigdy nie krył swojej fascynacji klasyczną liturgią rzymską (napisał na ten temat piękną książkę pt. „Duch liturgii”), sformułował przed laty następującą opinię:

„Drugim wielkim wydarzeniem z początkowych lat mojego pobytu w Ratyźbonie było opublikowanie Mszału Pawła VI. Wiązało się to z całkowitym prawie zakazem używania dotych-

czasowego Mszału, po sześciomiesięcznym okresie przejściowym. To, że po długim okresie eksperymentowania, które często ogromnie zniekształcało liturgię, powrócono do obowiązkowego tekstu liturgicznego, należało powitać z radością jako coś z pewnością pozytywnego. Byłem jednak zaniepokojony zakazem używania starego Mszału, ponieważ nic takiego nie wydarzyło się nigdy w całej historii liturgii. Stworzono wrażenie, że tego typu zakaz jest całkowicie normalny. Dotychczasowy Mszał został wprowadzony przez Piusa V w 1570 roku, w następstwie Soboru Trydenckiego. Wydawało się normalne, że po czterystu latach i po kolejnym soborze współczesny papież przedkłada nowy Mszał. Jednak prawda historyczna jest inna... Zawsze chodziło o pewien nieustanny kontynuowany proces zakładający rozwój i oczyszczanie, w którym jednak sama ciągłość nigdy nie została przerwana... Teraz zaś ogłoszenie zakazaniem Mszału, który był wypracowywany przez wieki, poczynając od czasów sakramentarzy Kościoła starożytnego, spowodowało wyłom w historii liturgii i jego następstwa mogły być tylko tragiczne (podkr. J.N.)”¹

Te stanowcze słowa ówczesnego szefa Kongregacji Doktryny Wiary dają nadzieję, że będziemy mogli znów, jak to się działo przez długie wieki, uczestniczyć w swoich parafialnych świątyniach w liturgii nazywanej przez Papieża Piusa XII „najpiękniejszą po tej stronie Nieba”.

Czy jednak jesteśmy – duszpasterze i świeccy – przygotowani na ten Powrót, na Odnalezienie?

PRZYPISY

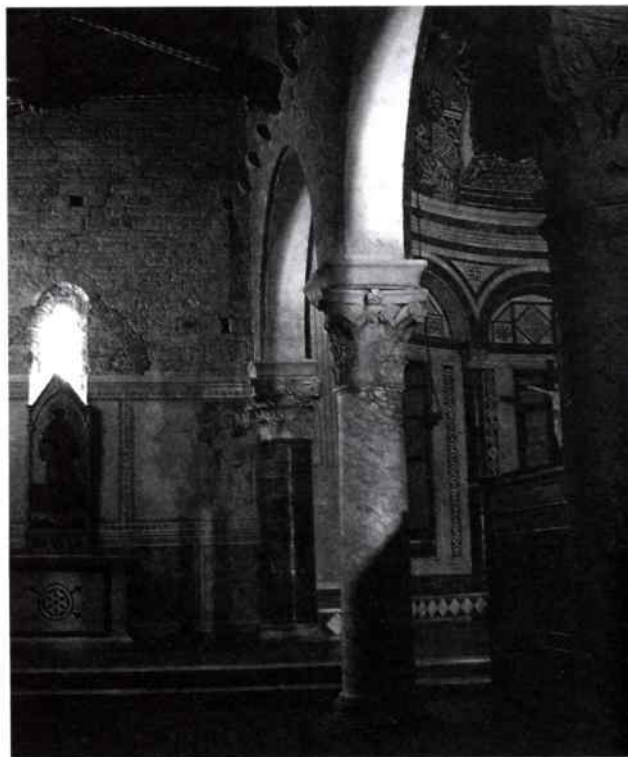
1. Kard. Joseph Ratzinger, *Moje życie*, Częstochowa 1998, s. 130-132.

BRAK

kościół nasze pachną
inaczej niż przed laty
brak w nich woni kadzidła
aromatu wosku starych
mszałów świeżych kwiatów
kap ornatów i dalmatyk
dębowych szaf w zakrystii
zapachu ministrantury

bezwonne są dziś świątynie
atrapy świec styropianowe
dekoracje plastikowe
kwiaty wykładziny
sztuczne światło

nasze kościoły nie pachną
jak dawniej
Obecnością



PERSONALISTYCZNE PODSTAWY MYŚLI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ JANA PAWŁA II

— WYBRANE ASPEKTY

1. IDEOLOGIA ZŁA

Na pytania, zawarte w ostatnio wydanej książce Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przelomie tysiącleci* Znak, Kraków 2005: **SKĄD WZIĘŁA SIĘ IDEOLOGIA ZŁA?** Jakie są korzenie nazizmu i komunizmu? Jak doszło do upadku tych systemów?, Jan Paweł II odpowiada:

„Wszystkie te pytania mają głębokie znaczenie filozoficzne i teologiczne. Trzeba zrekonstruować „filozofię zła” w jej wymiarze europejskim i nie tylko europejskim. A rekonstrukcja ta wyprowadza nas poza ideologie. Zmusza nas, by wejść w świat wiary”.

Widać jasno, że dla Karola Wojtyły poznanie ma charakter nie tylko racjonalny, ale i pozaracjonalny w odniesieniu do poznania zła. A także, iż ten Myśliciel skierowuje pytanie o korzenie nazizmu i komunizmu w stronę filozofii i wiary. Horyzont poznawczy człowieka nie jest zredukowany u Wojtyły do porządku racjonalnego, sięga daleko dalej – najdalej jak może człowiek – do Boga, bytu samego w sobie, jak powiedzą filozofowie.

Według Jana Pawła II: „Trzeba dotknąć tajemnicy Boga i stworzenia, a **W SZCZEGÓLNOŚCI TAJEMNICY CZŁOWIEKA**”.

Tajemnicom tym papież starał się dać wyraz przez encykliki *Redemptor hominis* (1979 Odkupiciel człowieka Jezus Chrystus jest ośrodkiem wszechświata i historii)¹, *Dives et misericordia* (1980 O bożym miłosierdziu)², *Domini num et vivificantem* (1986 O Duchu Świętym w życiu Kościoła i Świata)³.

Jan Paweł II twierdzi, że cały ten tryptyk odpowiada w istocie trynitarnej tajemnicy Boga. Wszystko, co zawiera się w pierwszej encyklice „przyniosłem ze sobą z Polski” – stwierdza Papież. Podobnie – twierdzi on – refleksje zawarte w drugiej z wymienionych encyklik – były owocem jego doświadczeń duszpasterskich zdobytych w Polsce, a w sposób szczególny w Krakowie, gdzie znajduje się grób siostry Faustyny Kowalskiej, „której Chrystus pozwolił być szczególnie natchnioną wyrazicielką prawdy o Bożym miłosierdziu. Prawda ta ukształtowała w Faustynie niezwykle bogate życie mistyczne”, powie Jan Paweł II o tej, jak się wyraził: prostej osobie, niewykształconej, której Dzienniczek zdumiewa głębią mistycznego doświadczenia”.

Papież jasno ukazuje lokalne, polskie, krakowskie korzenie jego nauczania.

Papież nawiązał do s. Faustyny, gdyż jej objawienia skoncentrowane na tajemnicy Bożego miłosierdzia, odnoszą się do czasu przed II wojną światową. Czasu, w którym powstały i rozwijały się ideologie zła, jakimi był nazizm i ko-

Dr Krzysztof Gładkowski

z urodzenia jest kietrzaninem, a swoją karierę naukową rozpoczął ponad 20 lat temu w Lublinie, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w Katedrze Historii i Etnologii. Od 1998 roku jest adiunktem w Zakładzie Polityki Społecznej, Narodowości i Wyznaniowej w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Warmińsko – Mazurskiego w Olsztynie.

Jego zainteresowania badawcze ogniskują się na zagadnieniach etnologii oraz antropologii kulturowej i politycznej. Zajmuje się ruchami społecznymi i religijnymi, zależnościami między polityką a religią, wielkimi religiami – m.in. islamem, globalizacją, nowymi ruchami społecznymi i religijnymi.

„Problemy społeczno-religijne świata na progu trzeciego tysiąclecia”.

„Islam w Europie Środkowo-Wschodniej. Historia, Współczesność i Perspektywy Dialogu.”

„Chiny. Historia i współczesność.”

„Unifikacja i różnicowanie się współczesnej Europy.”

„Człowiek i człowieczeństwo. Strategia bycia i stawania się człowiekiem.”

„Etniczność a religia.”

„Religia jako narzędzie manipulacji w polityce.”

„Cywilizacyjne wyzwania współczesności”

„Regionalizm, lokalizm, zróżnicowanie kulturowe w obliczu wyzwań globalizacyjnych”

„Globalizacja czy zawłaszczanie świata?”

„Korporacje międzynarodowe w polityce państw narodowych.”

Prowadził programy badawcze na pograniczu polsko-czeskim dotyczące wielokulturowości oraz religijności mieszkańców Śląska Opolskiego („Protestanci na Opolszczyźnie”).

Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego oraz Polskiego Towarzystwa Politologicznego.

W 2003 roku wydany został I tom „Studiów Politologicznych” pod tytułem „Świat po 11 września 2001”, którego współautorem oraz redaktorem jest dr Krzysztof Gładkowski. Ta nowatorska i bogata publikacja została zauważona przez zagraniczne ośrodki naukowe i politologiczne.

Aktualnie, dr Krzysztof Gładkowski jest w trakcie przewodu habilitacyjnego.

munizm. „Siostra Faustyna stała się rzeczniczka przesłania, iż jedyną prawdą zdolną zrównoważyć zło tych ideologii jest ta, że Bóg jest Miłosierdziem – prawda o Chrystusie miłosiernym”. Stąd Jan Paweł II, jak sam powie, czuł szczególną potrzebę przekazania tych rodzimych doświadczeń, należących do skarbcza Kościoła powszechnego, gdy został powołany na Stolicę Piotrową.

Trzecia z encyklik *Dominum et vivificantem* ma rzymski rodowód – jest wynikiem medytacji nad słowami Chrystusa wypowiedzianymi podczas Ostatniej Wieczerzy. Są one zdaniem Jana Pawła – najpełniejszym objawieniem o Duchu Świętym. Papież podkreśla, że Chrystus mówi, że **DUCH ŚWIĘTY: „PRZEKONA ŚWIAT O GRZECHU” (J 16, 8)**. Wnikanie w te słowa doprowadziło papieża do Księgi Rodzaju, do opisanego tam wydarzenia, które zostało nazwane „grzechem pierworodnym”. Jan Paweł II cytuje z kolei św. Augustyna, gdyż on z niezwykłą wnikliwością opisał naturę grzechu, w formule zacytowanej przez papieża, a po łacinie brzmiącej: *amor sui usque ad contemptum Dei* – „miłość siebie aż do negacji Boga” (*De civitate Dei* XIV, 28).

Miłość siebie była u początku ludzkości – zdaniem papieża – przyczyną pierwotnego nieposłuszeństwa, „które dało początek rozszerzeniu się grzechu w całych dziejach człowieka”.

Wynika stąd jasno, że dla Karola Wojtyły wyjaśnienie zła końca XX wieku, którego sam doświadczył, podczas wojny i po niej w realnym socjalizmie, możliwe jest w pełni, gdy się sięgnie do źródeł również pozaracjonalnych.

Papież widzi paralełę Augustynowego *amor sui* (miłości własnej) z słowami Księgi Rodzaju „Tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło” (Rdz 3,5), odtąd **CZŁOWIEK SAM STANOWI O TYM, CO JEST DOBREM, A CO ZŁEM**.

Ten grzech pierworodny musiał znaleźć współmierną rekompensatę, przez przeciwstawienie *amor Dei usque ad contemptum sui* – „miłość Boga aż do negacji siebie”. Jan Paweł powie: „Tutaj właśnie dotykamy tajemnicy odkupienia człowieka, a do tego poznania prowadzi nas Duch Święty”. On zdaniem papieża pozwala człowiekowi głęboko wniknąć w *mysterium Crucis*, a jednocześnie patrzeć na otchłań zła, którego sprawcą stał się człowiek na początku dziejów.

Zdaniem Jan Pawła do tego odnosi się wyrażenie „przekonać świat o grzechu”. Napisze on: „A celem tego >>przekonania<< nie jest potępienie świata”. Wskazywanie przez Kościół zła ma na celu jego przewyciężenie. Jan Paweł powtórzy: *amor Dei usque ad contemptum sui* – miłość Boga aż do negacji siebie – ma takie właśnie znaczenie. Jan Paweł II widzi w Chrystusie Boga pochylonego nad człowiekiem – „aby podać mu dłoń, ażeby go podźwignąć za każdym razem, gdy upada, ażeby go stale podnosić i wspomagać w podejmowaniu z mocą nowej drogi. Według Jana Pawła II, człowiek nie potrafi powstać o własnych siłach, dlatego potrzebuje pomocy Ducha Świętego. Jeżeli odrzuca tę pomoc, wówczas dopuszcza się grzechu, który Chrystus nazwał „bluźnierstwem przeciwko Duchowi” i oznajmił, że jest on niedopuszczalny⁴ (por. Mt. 12, 31). Papież wyjaśnia, że jest on niedopuszczalny dlatego, „że wyklucza w samym człowieku pragnienie odpuszczenia. Człowiek odpycha miłość i miłosierdzie Boga, gdyż sam uważa się za Boga. Mniema, że sam sobie potrafi wystarczyć” – napisze Jan Paweł II.

Te encykliki, mówił Jan Paweł, wydawały mu się koniecznym komentarzem do całego magisterium II Soboru Watykańskiego, a także do złożonej sytuacji pojawiającej się w tym momencie dziejowym, w którym wypadło nam żyć.

Jan Paweł II odsłania to, co zasłoniła buta zła, przemocy i nienawiści w człowieku – zdolność do czynienia dobra mimo dominacji i potęgi zła, zwycięża dobro; jednym z wielu przykładów zwycięstwa dobra są męczeństwa naszych czasów: o Maksymiliana Kolbe i ks. Jerzego Popiełuszki. Osoby te są symbolami siły postawy wynikającej z wiary w dobro i przekonania, że prawda czyni nas ludźmi. Ofiara tych polskich księży była potrzebna, by obalić zło niszczące ludzi w systemach politycznych, które władzę uczyniły jedynym celem swojej działalności politycznej. Symbolem pozostanie też Jan Paweł II, którego wybór pokazał światu, że ateizm w bloku sowieckim jest fikcją. Sam wybór osoby z komunistycznego bloku wschodniego ujawnił kłamstwo

propagandy komunistycznej, że naukowy ateizm jest prawdą.

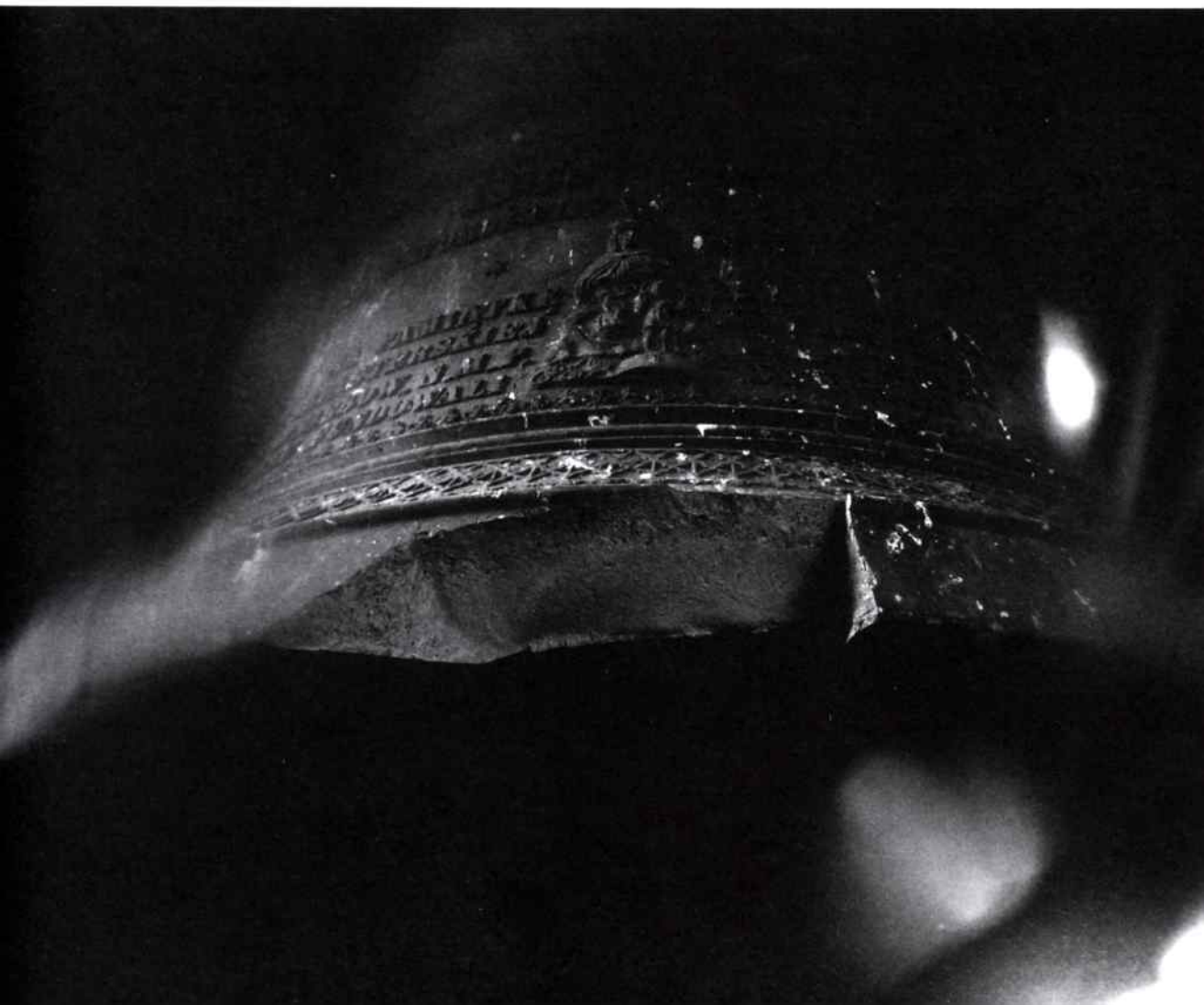
Symbolem jest też wybór Josepha Ratzingera, człowieka z kraju, w którym narodowy socjalizm także upowszechnił ateizm w postaci ubóstwienia przywódcy, narodu i państwa. Wówczas to istniała świecka forma religii państwowej. Papież z Niemiec, z tym doświadczeniem przeszłości, może kontynuować misję Kościoła wobec człowieka, którego człowieczeństwo poddawane jest stale próbie.

2. POJĘCIE NARODU (PAMIĘĆ I TOŻSAMOŚĆ, 2005, 74-77)

PATRIOTYZM jako poczucie przywiązania do narodu i do ojczyzny nie może się prze-rodzić w nacjonalizm. Jego **SŁUSZNE ROZUMIENIE** zależy od tego, **CO OBEJMUJEMY POJĘCIEM NARÓD**, ku któremu kieruje się człowiek w postawie patriotyzmu.

Według Jana Pawła II istnieje ścisła łączność pomiędzy ojczyzną i narodem. Napisze on: „W języku polskim – ale nie tylko – termin „naród” pochodzi od „ród”, „ojczyzna” ma natomiast swoje korzenie w słowie „ojciec”. Ojciec jest tym, który wraz z matką daje życie nowej istocie ludzkiej”. Karol Wojtyła uważał, że pojęcie **OJCOWIZNY**, które stanowi tło dla terminu „ojczyzna” jest związane ze zrodzeniem przez ojca i matkę. „Ojcowizna – napisze – a w dalszym ciągu ojczyzna, są więc treściowo ściśle związane z rodzeniem. Również słowo „**NARÓD**” z punktu widzenia etymologii jest związane z rodzeniem”.

Według Jana Pawła II: *termin „naród” oznacza tę społeczność, która znajduje swą ojczyznę w określonym miejscu świata, i która wyróżnia się wśród innych własną kulturą.*



Jan Paweł II przypomina katolicką naukę społeczną, która uważa zarówno rodzinę, jak i naród za społeczności naturalne, a więc nie owoc zwyczajnej umowy. **STĄD POWIE PAPIEŻ: NICZYM INNYM NIE MOŻNA ICH ZASTĄPIĆ W DZIEJACH LUDZKOŚCI.** Państwem nie można zastąpić narodu, lecz naród z natury pragnie zaistnieć jako państwo. Przypominając historie narodów europejskich i Polski, Jan Paweł II nawiąże do słów Stanisława Wyspiańskiego z *Wyzwolenia*: *Naród musi istnieć jako państwo.* [Stale obecny w myśli Wojtyły wątek literacki, ważny z punktu widzenia poznania naukowego.]

Bodaj najbardziej wymowna wypowiedź Jana Pawła II w odniesieniu do narodu i demokracji zapisana na s. 75 *Pamięci i tożsamości* brzmi:

Tym bardziej nie można zastąpić narodu na tak zwane społeczeństwo demokratyczne [naród ma imię, jest podmiotem, społeczeństwo pozostaje anonimowe nie ma z kim się utożsamić, nie ma imienia, nie istnieje, najwyższej jest rzeczą – przedmiotem, a stąd już prosta droga do manipulacji odczłowieczonym bytem], gdyż chodzi tutaj o dwa różne, chociaż wiążące się ze sobą, porządki. Społeczeństwo demokratyczne bliższe jest państwu aniżeli narodowi. Jednakże naród jest tym gruntem, na którym rodzi się państwo. Sprawa ustroju demokratycznego jest już poniekąd dalszym zagadnieniem, należącym do dziedziny polityki wewnętrznej.

Jan Paweł wraca w tej dziedzinie do Pisma Świętego, gdyż jak mówi, zawiera ono elementy prawdziwej teologii narodu. Najpierw wskazuje papież na Izrael, którego genealogie ukazuje Stary Testament, narodu wybranego przez Boga jako Jego lud. W genealogii wskazuje się zwykle na przodków w znaczeniu biologicznym, JP II przypomina, że można jednak mówić o genealogii w sposób bardziej właściwy – w **ZNACZENIU DUCHOWYM** (s. 75). Papież wskazuje na Abrahama i jego powołanie przez Boga, jego niezwykle ojcostwo, narodziny Izaaka ... ta historia ukazuje, w jaki sposób droga do narodu prowadzi przez rodzenie, przez rodzinę i ród.

Wniosek wyciąga JP II oczywisty: **U POCZĄTKÓW JEST ZATEM FAKT ZRODZENIA.** Papież przypomina żonę Abrahama, która rodzi syna w późnych latach swego życia. Abraham ma potomka co do ciała i powoli z tej Abrahamowej rodziny powstaje ród. Księga Rodzaju, do której nawiązuje papież, opisuje też kolejne momenty rozwoju tego rodu: od Abrahama, przez Izaaka, do Jakuba, Jakub ma 12 synów, a tych dwunastu synów daje z kolei początek 12 pokoleniom, które miały stanowić naród [etnos] izraelski.

Papież powie: *Ten właśnie naród Bóg wybrał, a potwierdzeniem tego wybrania były wydarzenia, jakie miały miejsce w historii, poczynając od wyjścia z Egiptu pod wodzą Mojżesza. Od czasów tego prawodawcy można już mówić o narodzie izraelskim, jakkolwiek na początku składa się on z rodzin i rodów.*

Według papieża, u podstaw dziejów Izraela leży coś więcej. Dzieje te mają swój duchowy byt. Bóg wybrał ten naród, ażeby w nim i przez niego objawić się światu. Objawienie to rozpoczęło się w Abrahamie, szczyt osiągnęło w Mojżeszu. Mojżesz rozmawiał z Bogiem twarzą w twarz, *Bóg za pośrednictwem Mojżesza kierował życiem duchowym Izraela. O życiu duchowym Izraela stanowiła wiara w jednego Boga, Stworzyciela nieba i ziemi, a także Dekalog, czyli prawo moralne zapisane na kamiennych tablicach, które Mojżesz otrzymał na górze Synaj.*

Posłannictwo Izraela określa papież jako mesjańskie, gdyż z niego miał się narodzić Mesjasz, Pomazaniec Pański.

Tajemnica wcielenia, fundament Kościoła, należy do teologii narodu – powie Jan Paweł II.

Wcielenie Syna Bożego według papieża było początkiem rodzenia w innym porządku rodzenia się z Ducha Świętego. Owocem tego rodzenia jest nasze nadprzyrodzone synostwo, synostwo przybrane – rodzi się Lud Boży (*Lumen Gentium*). Lud Boży to ci, którzy z Boga się narodzili przez łaskę Zbawiciela.

3. POLITYKA JAKO REALIZACJA DOBRA WSPÓLNEGO

Jan Paweł II zdefiniował politykę jako realizację dobra wspólnego. Ta etycznie -wspólnotowa definicja jest najbardziej syntetycznym ujęciem tego, co jest nam w Polsce dziś potrzebne, nam w Europie, nam ludziom na świecie.

To głęboko antropologiczne, ludzkie, właściwe człowiekowi rozumienia polityki przywraca pierwotny sens działalności tzw. polityków, działalności w służbie tych, wśród których żyją, którzy im zaufali obdarzając społecznym mandatem zaufania.

Jan Paweł II w tej definicji streścił cały sens społecznego nauczania Kościoła opartego na personalistycznej wizji człowieka i społeczeństwa. Człowieka jako osoby i społeczeństwa jako wspólnoty. Tym, co czyni człowieka człowiekiem, a grupę osób wspólnotą osób jest miłość.

W myśli Jana Pawła II człowiek zawdzięcza swe istnienie Bogu i jako taki jest na ziemi wartością, ponad którą nie sposób wskazać wyższej. Tym, co decyduje o niezwykłej wartości człowieka jest jego godność dziecka Bożego. Jedyną postawą jaką może przyjąć jeden człowiek wobec drugiego człowieka jest afirmacja osoby. A jedynym sposobem afirmacji właściwym dla człowieka jest miłość. Człowieka jako osobę konstytuuje jego pochodzenie od Boga. Boga, który kocha człowieka. Człowiek zawdzięcza swoją wyjątkową pozycję w świecie godności, którą posiada pochodząc od kochającego Boga, stąd nie można mieć innego stosunku do człowieka, jak obdarzyć go miłością. Każda inna postawa wobec niego degraduje jego osobową istotę, pomniejsza go, jak i tego, kto go nie kocha w pełni. Każdy inny stosunek do człowieka, inny niż miłość degraduje więc społeczeństwo, wspólnotę jaka z natury łączy ludzi między sobą z racji tego kim są.

Pełną świadomość tej prawdy miał Jan Paweł II, który każdemu człowiekowi okazywał szacunek i miłość, jaką winien jest człowiek człowiekowi racji tego, kim jest w swej istocie osoba ludzka (dziecko Boga).

Te ontologiczne podstawy dorobku intelektualnego Karola Wojtyły, jako filozofa i teologa, odnajdujemy w jego nauczaniu jako papieża Jan Pawła II. Zastosował on je w swoich rozważaniach odnośnie do polityki, w których, odwołując się do całego dziedzictwa nauczania społecznego, swoim przenikliwym umysłem odsłaniał istotne błędy w dziejach ludzkiej myśli, jak ten błąd, który sam nazwał „błędem antropologicznym” w numerze 13 encykliki *Centesimus annus*: „Pogłębiając obecnie refleksję oraz nawiązując do tego, co zostało powiedziane w encyklikach *Laborem exercens* i *Sollicitudo rei socialis*, musimy dodać, że podstawowy błąd socjalizmu ma charakter antropologiczny. Rozpatruje on bowiem pojedynczego człowieka jako zwykły element i cząstkę organizmu społecznego, tak że dobro jednostki zostaje całkowicie podporządkowane działaniu mechanizmu ekonomiczno-społecznego; z drugiej strony utrzymuje on, że dobro jednostki można urzeczywistnić nie uwzględniając jej samodzielnego wyboru i niezależnie od przyjęcia przez nią w sposób indywidualny i wyłączny odpowiedzialności za dobro czy zło. Człowiek zostaje w ten sposób utożsamiony z pewnym zespołem relacji społecznych, a jednocześnie zanika pojęcie osoby jako samodzielnego podmiotu decyzji moralnych, który podejmując je, tworzy porządek społeczny. Skutkiem tej błędnej koncepcji osoby jest deformacja prawa, które określa zakres wolności człowieka, a także sprzeciw wobec własności prywatnej. Człowiek bowiem, pozbawiony wszystkiego, co mógłby >>nazwać swoim<< oraz możliwości zarabiania na życie dzięki własnej przedsiębiorczości, staje się zależny od maszyny społecznej i od tych, którzy sprawują nad nią kontrolę, co utrudnia mu znacznie zrozumienie swej godności jako osoby i zamyka drogę do tworzenia autentycznej ludzkiej wspólnoty.

Z chrześcijańskiej koncepcji osoby wypływa natomiast w sposób konieczny właściwa wizja społeczeństwa. Według *Rerum novarum* i całej nauki społecznej Kościoła, wyrazem społecz-

nej natury człowieka nie jest jedynie Państwo, ale także różne grupy pośrednie, poczynając od rodziny, a kończąc na wspólnotach gospodarczych, społecznych, politycznych i kulturalnych, które jako przejaw tejże ludzkiej natury posiadają — zawsze w ramach dobra wspólnego — swą własną autonomię. To właśnie nazwałem >>podmiotowością<< społeczeństwa, która wraz z podmiotowością jednostki, została unicestwiona przez >>socjalizm realny<<.

Jeśli zapytamy dalej, skąd bierze się ta błędna koncepcja natury osoby i >>podmiotowości<< społeczeństwa, musimy odpowiedzieć, że pierwszym jej źródłem jest ateizm. Odpowiadając na wezwanie Boga, zawarte w samym istnieniu rzeczy, człowiek uświadamia sobie swą transcendentną godność. Każdy człowiek winien sam dać tę odpowiedź, która jest szczytem jego człowieczeństwa, i żaden mechanizm społeczny czy kolektywny podmiot nie może go zastąpić. Negacja Boga pozbawia osobę jej fundamentu, a w konsekwencji prowadzi do takiego ukształtowania porządku społecznego, w którym ignorowana jest godność i odpowiedzialność osoby.

Ateizm, o którym mowa, jest zresztą ściśle związany z oświeceniowym racjonalizmem, który pojmuje rzeczywistość ludzką i społeczną w sposób mechanistyczny. Zostaje w ten sposób zanegowana najgłębsza intuicja prawdziwej wielkości człowieka, jego transcendencja wobec świata rzeczy oraz napięcie, jakie odczuwa on w swoim sercu pomiędzy pragnieniem pełni dobra a własną niezdolnością do osiągnięcia go, przede wszystkim zaś zostaje zanegowana wynikająca stąd potrzeba zbawienia.”

W innym miejscu tej encykliki, w numerze 25, Jan Paweł II okazuje się mędrcom, podobnie, jak w zacytowanym tekście, bowiem jego myśl łączy doświadczenia i przemyślenia, nieodłączną parę właściwą mądrości. Odwołując się do polskich doświadczeń odsłonił w tym numerze fałszywość socjalistycznego marzenia o wolnym i dobrym człowieku, sen narodowych socjalistów w Niemczech faszystowskich i komunistów sowieckich w socjalistycznym realizmie, którzy sen ten usiłowali przemocą urzeczywistnić. W tych utopiach człowiek nie był postrzegany jako najwyższa wartość. We wspomnianym numerze 25 znajduje się nawiązanie do polskiej najnowszej historii:

„Wydarzenia roku 1989 są przykładem zwycięstwa woli dialogu i ducha ewangelicznego w zmaganiach z przeciwnikiem, który nie czuje się związany zasadami moralnymi: są zatem przestrożą dla tych, którzy w imię realizmu politycznego chcą usunąć z areny politycznej prawo i moralność. Nie ulega wątpliwości, że walka, która doprowadziła do przemian roku 1989, wymagała wielkiej przytomności umysłu, umiarkowania, cierpienia i ofiar. W pewnym sensie zrodziła się ona z modlitwy i z pewnością byłaby nie do pomyślenia bez nieograniczonego zaufania Bogu, który jest Panem historii i sam kształtuje serce człowieka. Łącząc własne cierpienia za prawdę i za wolność z cierpieniem Chrystusa na Krzyżu, człowiek może dokonać cudu pokoju i uczy się dostrzegać wąską nieraz ścieżkę pomiędzy małodusznością, która ulega złu, a przemocą, która chce je zwalczać, a w rzeczywistości je pomnaża.

Nie można jednak pomijać niezliczonych uwarunkowań, w których urzeczywistnia się wolność pojedynczego człowieka: to prawda, że wpływają one na wolność, ale nie determinują jej do końca; ułatwiają albo utrudniają korzystanie z niej, ale nie mogą jej zniszczyć. Lekceważenie natury człowieka, stworzonego dla wolności, jest nie tylko niedozwolone z punktu widzenia etycznego, ale i praktycznie niemożliwe. Gdzie organizacja społeczeństwa ogranicza czy wręcz eliminuje sferę wolności, przysługującej obywatelom, tam życie społeczne ulega stopniowemu rozkładowi i zamiera.

Ponadto człowiek stworzony do wolności nosi w sobie ranę grzechu pierworodnego, który stale pociąga go ku złu i sprawia, że potrzebuje on odkupienia. Nauka ta jest nie tylko integralną częścią chrześcijańskiego Objawienia, ale ma również dużą wartość hermeneutyczną, gdyż pozwala zrozumieć ludzką rzeczywistość. Człowiek dąży do dobra, ale jest również zdolny do zła; potrafi wznieść się ponad swoją doraźną korzyść, pozostając jednak do niej przywiązany. Porządek społeczny będzie tym trwalszy, im w większej mierze będzie uwzględniał ten fakt i nie

będzie przeciwstawiał korzyści osobistej interesowi społeczeństwa jako całości, a raczej szukać będzie sposobów ich owocnej koordynacji. W istocie, tam gdzie indywidualny zysk jest przymocowany do zniszczenia, zastępuje się go ciężkim systemem biurokratycznej kontroli, który pozbawia człowieka inicjatywy i zdolności twórczej. Gdy ludzie sądzą, że posiadli tajemnice doskonałej organizacji społecznej, która eliminuje zło, sądzą także, iż mogą stosować wszelkie środki, także przemoc czy kłamstwo, by ją urzeczywistnić. Polityka staje się wówczas >>świecką religią<<, która ludzi się, że buduje w ten sposób raj na ziemi. Żadnego jednak wyposażonego w organizację polityczną społeczeństwa, które posiada własną autonomię i prawa, nie można nigdy mylić z Królestwem Bożym. Ewangeliczna przypowieść o dobrym nasieniu i chwacie (por. Mt 13, 24-30. 36-43) uczy nas, że jedynie Bóg może oddzielać tych, którzy należą do Królestwa, od tych, którzy należą do Złego, i że tego rodzaju sąd będzie miał miejsce na końcu czasów. Roszcząc sobie prawo do formułowania tego sądu już teraz, człowiek stawia siebie na miejscu Boga i sprzeciwia się Jego cierpliwości”.

* * *

Zdaje się, że i dziś w wielu państwach, w tym w Rosji, człowiek nie jest najwyższą wartością. Wydaje się dlatego, że obecność katolicyzmu jest tam niezbędna, by przywrócić właściwe miejsce człowiekowi, który nie powinien być podporządkowywany państwu, systemowi, ideologii. Człowiek posiada autonomiczną wartość jako osoba i jako taki nie jest rzeczą, którą można poświęcać dla abstrakcyjnych i sztucznych twórców: państwo, system, ideologia. W koncepcji Karola Wojtyły normą personalistyczną relacji międzyludzkich jest miłość. Pogłębione odczytanie najwyższej wartości wśród bytów ziemskich, którą jest osoba ludzka i jedynej właściwej postawy wobec człowieka – miłości, były powodem głoszenia przez Jana Pawła II „cywilizacji miłości”. Uważał, że świat nie ma innej przyszłości. Czy jednak politycy są przygotowani do podjęcia tego, oczywistego dla Jana Pawła II, zadania?

Wkrótce czekają nas wybory. Wielu będzie odwoływać się do słów Jana Pawła II, kto jednak będzie przekształcał je w czyn?

PRZYPISY

1. ODKUPICIEL CZŁOWIEKA Jezus Chrystus jest ośrodkiem wszechświata i historii. Do Niego zwraca się moja myśl i moje serce w tej doniosłej godzinie dziejów, w której znajduje się Kościół i cała wielka rodzina współczesnej ludzkości. Oto bowiem czas, w którym Bóg w swoich tajemniczych zamiarach powierzył mi po moim umiłowanym Poprzedniku Janie Pawle I posługę powszechną związaną ze Stolicą św. Piotra w Rzymie, ogromnie się już przybliżył do roku dwutysięcznego. Trudno jeszcze w tej chwili powiedzieć, co będzie oznaczał ów rok na zegarze dziejów ludzkości, jaką okaże się datą dla poszczególnych ludów i narodów, krajów i kontynentów, choć zapewne niejedno staramy się już teraz przewidywać. Dla Kościoła, dla Ludu Bożego, który – chociaż nierównomiernie – rozprzestrzenił się już jednak na całą ziemię aż po jej krańce, będzie to rok wielkiego Jubileuszu. Zbliżamy się do daty, która przyjmując wszelkie poprawki wymagane przez ścisłość chronologiczną – przypomni nam i odnowi w sposób szczególnie świadomość tej kluczowej prawdy wiary, której dał wyraz św. Jan na początku swej Ewangelii: „Słowo stało się ciałem i zamieszkało wśród nas” (J 1, 14), a na innym miejscu: „Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3, 16).
2. „BOGATY W MIŁOSIĘDZIU SWOIM BÓG” (por. Ef 2, 4) jest Tym, którego objawił nam Jezus Chrystus jako Ojca. Objawił nam Go zaś i ukazał w sobie – Jego Synu (por. J 1, 18; Hbr 1, 1 n.). Pamiętna jest owa chwila, kiedy Filip, jeden z dwunastu Apostołów, zwracając się do Chrystusa, mówi: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy”; a na te słowa Jezus daje następującą odpowiedź: już „tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca” (J 14, 8 n.). Słowa te zostały wypowiedziane w czasie mowy pożegnalnej, pod koniec uczty paschalnej, z którą rozpoczęły się wydarzenia owych świętych dni, mające potwierdzić raz na zawsze, iż „Bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, i to nas, umarłych na skutek występków, razem z Chrystusem przywrócił do życia” (Ef 2, 4 n.).
3. Ducha Świętego wyznaje Kościół jako „Pana i Ożywiela”. Czyni to słowami Symbolu wiary, zwanego nicejsko-konstantynopolitańskim od dwóch Soborów – w Nicei (325 r.) i w Konstantynopolu (381 r.) – którym zawdzięcza swoje powstanie i ogłoszenie. Tam, również dodano, że Duch Święty „mówił przez Proroków”. Są to słowa, które Kościół czerpie z samego źródła wiary, którym jest Jezus Chrystus. Istotnie, według Ewangelii św. Jana, Duch Święty został nam dany wraz z nowym życiem, jak głosi i obiecuje Jezus w dniu uroczystego żydowskiego Święta Namiotów: „Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza” (J 7, 37 n.). I Ewangelista dodaje: „A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego” (J 7, 39). Symbol wody, podobieństwo wody, wyraziło się również w rozmowie z Samarytanką, gdy Chrystus mówi o „źródle wody wytryskującej ku życiu wiecznemu” 1. W rozmowie zaś z Nikodemem głosi potrzebę nowego „narodzenia się z wody i Ducha”, aby „wejść do królestwa Bożego” (por. J 3, 5). Kościół tedy, pouczony słowem Chrystusa, czerpiąc z doświadczenia Pięćdziesiątnicy i własnych „dziejów apostołskich”, od początku głosi wiarę w Ducha Świętego, jako Ożywiela, poprzez którego niezgłębiony Trójjedyny Bóg udziela się ludziom, zaszczepiając w nich zadatek życia wiecznego.
4. Zob. na temat tego grzechu o. Jan Andrzej Kłoczowski OP, Grzech czystych rącek, „Tygodnik Powszechny” 2005, nr 26. <http://tygodnik.onet.pl/1546,1234268,dzial.html>



DWIE RZEKI

NA SZLAKU ZE ŚWIADKAMI ŚWIĘTOŚCI

Świat „widzialny i poznawalny” ma tyle barw i tyle podniet, że to, co niewidzialne, co istnieje poza zasięgiem naszych zmysłów, skazane jest na nierozpoznanie i co za tym idzie – na niezrozumienie. Tak jest z dźwiękami, powyżej i poniżej pasma odbieranego przez ucho ludzkie, tak jest też z fenomenem... świętości. W codziennym życiu, wypełnionym radością i bólem, wśród tysięcy prozaicznych zajęć i spraw nie dostrzegamy działania świętych, „nie potrzebujemy” go po prostu. Żeby pękła skorupa naszych podstawowych doznań – i potrzeb - trzeba czasem czekać na wstrząs, albo przynajmniej... na okazję.

Moja „okazja” nazywała się Watykan i Asyż.

* * *

Zawsze tłumaczyliśmy sobie w domu: my nie musimy jechać do Rzymu, zawsze byliśmy z Papieżem TU, począwszy od pierwszej pamiętnej pielgrzymki w 1979 roku braliśmy udział w pięciu czy sześciu następnych spotkaniach z Ojcem Świętym; Watykan zostawiamy dla tych, którym trudniej spotkać się z Papieżem w Polsce... I takim oto dość niesprawiedliwym sądem tuszowaliśmy własny brak determinacji i – co tu dużo mówić – sposobności do wyjazdu!

I nagle umarł Jan Paweł II i zabrał ze sobą dwadzieścia siedem lat naszego dorosłego życia, które rozwijało się w czasie Jego pontyfikatu. Wstrząs był kompletny, paradoksalnie tym większy, że wynikał przecież z okoliczności znanych całemu światu. Jakość i głębię tej straty najlepiej mógł sobie uświadomić ten, kto w nieodległej przeszłości przeżył odejście najbliższych. Mało rozmawialiśmy o naszych przeżyciach, czyli o naszym bólu, ale nagle stało się dla nas jasne, że przedłużamy na południe naszą włoską wyprawę i jedziemy do Watykanu, do grobu Papieża, naszego Papieża! Tak też się stało.

Mieszkając cztery dni nad Jeziorem Trazymeńskim byliśmy panami swojego czasu i wybór dnia „na Rzym” był wyłącznie naszą sprawą. W środę był dzień cotygodniowego spotkania z Benedyktem XVI, ale w czwartek, 2 czerwca, przypadała druga „miesięcznica” od śmierci Jana Pawła II. Wybraliśmy czwartek!

Z którejkolwiek strony przychodzi się przed Bazylikę Świętego Piotra, podwójna kolumnada Berniniego, z chropowatego trawertynu, okalająca z obu stron plac sprawia, że od razu czujemy się wybrani i przyjęci. Ramiona kolumnady zapraszają do środka jak serdeczny gospodarz z wyciągniętymi do gości rękami. Jesteśmy w e n a t r z! I to wrażenie, jak ciepło popołudniowego słońca na plecach, pozostaje do ostatnich chwil pobytu. Przypadek, a raczej własne roztargnienie sprawiło, że na dwie godziny wyszedłem z roli pielgrzyma zostając nieruchomym obserwatorem tego, co dzieje się na Placu Świętego Piotra. Otóż w czasie przechodzenia przez kontrolną bramkę w kieszeni naszego małego Stasia zadźwięczał... podarowany mu poprzedniego dnia szczyryk! Nie było mowy o wspólnym wejściu do bazyliki z takim wyposażeniem, zatem pozostało nam czekać na resztę naszej wyprawy. Dopiero z jednego, nieruchomego punktu obserwacyjnego w cieniu kolumnady mogłem zauważyć, jak tłum pielgrzymów, na pierwszy rzut oka niewielki, bo



wlewający się na plac w wielu punktach, rośnie i nabrzmiewa czterema strumieniami, sunącymi powolutku do czterech bramek, z których jedną poznaliśmy przed chwilą.

Ile osób przechodzi co minutę przed moimi oczami, bez przerwy, bez przerwy: pięćdziesiąt, sto, dwieście? Za bramkami, już wewnątrz kolumnady, w stronę wejścia do świątyni sunie potężna, różnojęzyczna rzeka ludzi. Państwo Watykańskie nie ma armii, jednak skutecznie strzeże swojego terytorium przed szaleńcami i terrorystami, ale także przed tymi z gości, którzy pomylili bazylikę z plażą bądź kawiarnią. Nieliczni i dyskretni strażnicy w stalowych uniformach skutecznie blokują przejście mężczyznom w szortach, kobietom w bluzkach „bez pleców”, co mimo znanych ostrzeżeń od czasu do czasu budzi nie tyle sprzeciw, co szczere zdumienie zatrzymywanych.

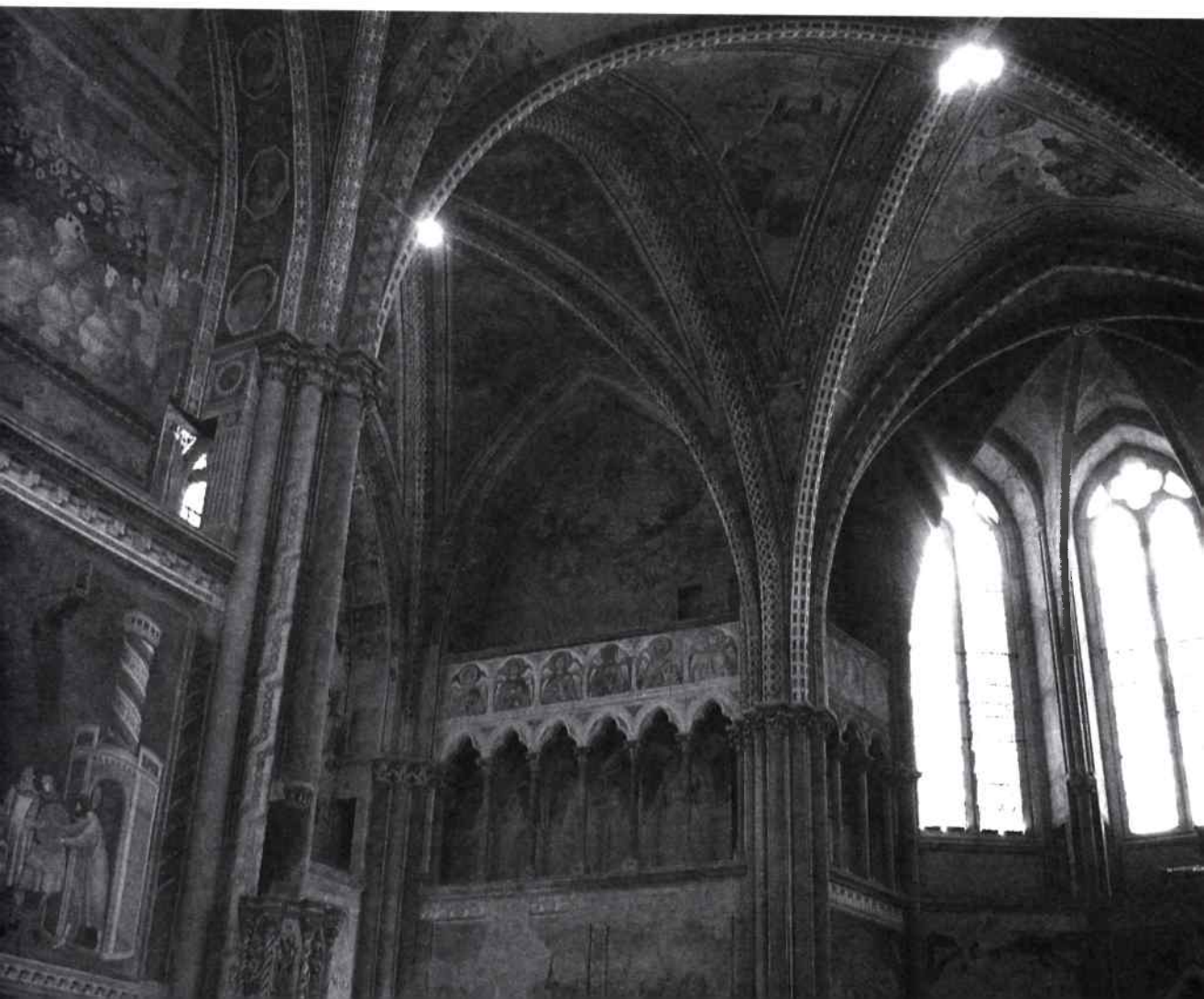
To strefa sacrum! Już prawie wszędzie wolno prawie wszystko, ale nie tu!

W olbrzymiej nawie głównej ludzka ciżba rozprasza się nieco - ilość „atrakcji” jest tu nieograniczona – lecz znaczna część przybyłych znów skupia się w jednym pochodzie, w drodze do grot. Wejście do podziemi bazyliki, gdzie pochowano wielu papieży, znajduje się mniej więcej w połowie nawy, pod pomnikiem św. Longina. Po zejściu włąb zanurzamy się w innym świecie, przez szyby gablot dają znać o sobie pozostałości świątyni Konstantyna IV w. n.e., mijamy milczące sarkofagi, przed którymi można bez trudu przystanąć, ale ludzki nurt wiedzie nas do tego jednego, który jest jasny i niepozornie płaski, ozdobiony skrzydłokwiatem i dwoma dracunami. Płonie jedna czerwona lampka. Tu trudno się precyzyjnie, nie mówiąc o przystąpieniu choć na chwilę. Klękam, dzięki łaskawości strażnika robię dwa zdjęcia, ruszam dalej, ale jakaś siła zawraca mnie jeszcze raz przed grób Jana Pawła II. Jeszcze kilka sekund! Chce się tu pozostać, choć to przecież miejsce zmarłych. Kilka zakonnic w białych kapeluszach modli się przystanąwszy pod przeciwległą ścianą korytarza. I już! Wychodzimy do góry, niesieni cały czas rzeką ludzi, których nikt tu przecież nie nakłania i nie zaprasza, ogromną większość zresztą stanowią grupy indywidualne, rodziny i pary.

Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi idących bez przerwy, od rana aż do zamknięcia bramek, dzień po dniu, od dwóch prawie miesięcy – z czym tu przychodzą, a co unoszą ze sobą, w swoich sercach, w swojej pamięci? Nie wiem przecież, ale kiedy idąc *via della Consolazione* kierujemy się w kierunku *Campo dei Fiori*, narasta we mnie niejasne przekonanie, że oto ten nieprzerwany pochód ludzki to sznur, opasany wokół tego grobu, i ten grób, poprzez ten sznur utrzymuje całą ziemię, w bezpiecznej odległości od szaleństwa i nicości.

* * *

Wszystko zależy od tego, gdzie zaparkuje się samochód. Jeśli przy *Porta San Francesco*, już po chwili od przekroczenia murów miejskich znajdujemy się przed Bazyliką, w sercu kultu Świętego Franciszka, i to, co nas ogarnia, zdominowuje inne, „turystyczne” wrażenia. Jeśli zaś wejdziemy do miasta od wschodu, przez *Porta Nuova*, mamy szansę przejść całe miasto wzdłuż, i deptając bruk *Asyżu* z tysiącem innych pielgrzymów odbyć – nawet mimowolnie – rytuał morderczego zbliżania się do sanktuarium. Zaraz za bramą *Via Borgo Aretino* doprowadza nas przed świątynię poświęconą św. Klarze; łuki podpierające lewą nawę są tak wielkie, że samochód ciężarowy mógłby przejechać. Tu, na *Piazza Santa Chiara* pielgrzymi rozpraszają się na dużej przestrzeni, ale w miarę zbliżania się do grobu św. Franciszka ilość mijanych osób gwałtownie rośnie. Nad uliczkami, zebranymi w wiązkę idących na zachód nitek, góruje kupała katedry św. Rufusa. *Basilica di San Francesco* ukazuje nam się pod słońce, przed zachodem, i ktoś, kto był choć raz na *Jasnej Górze*, czy w *Kalwarii Zebrzydowskiej*, będzie się tu czuł swojsko. Jest jakiś wspólny mianownik wszystkich pątniczych centrów o trudnej do zdefiniowania charakterystyce. Tak jakby mrowcze rozbieganie poszczególnych osób i całych pielgrzymek było podporządkowane jakiejś



wyższej, tajemniczej logice. A że jest – to odczuwamy wchodząc do bazyliki górnej, gdzie na ścianach króluje Giotto. Już ta część świątyni wystarczyłaby, aby „unieść” całą miłość dla świętego, który – jak mało kto z chrześcijańskiego panteonu – odcisnął swe piętno na duchowym życiu Europy. Ale poniżej jest starsza, piękniejsza jeszcze i bardziej tajemnicza część obiektu – bazylika dolna, a jeszcze niżej krypta z grobem św. Franciszka.

Świątynię zaczęto budować w roku 1228, czyli dwa lata po śmierci Biedaczyny z Asyżu, i w zamysłu konstruktorów ta trójdzielność miała potęgować nastrój skupienia u pielgrzymów. Mogę powiedzieć tyle, że to działa do dziś. Grób świętego w centralnym punkcie krypty otacza nieustannie wianuszek ludzi, schodzących nieprzerwanie do podziemi bazyliki. Msze w rozmaitych językach świata, odprawiane bez przerwy, ogniskują pielgrzymią potrzebę kontaktów z patronem tego miejsca. Trwają tu na modlitwie ludzie, którzy przyszli ze swoimi intencjami i w tym tłoku osiągają skupienie i wyciszenie, które spływa właśnie w miejscach, gdzie promieniuje świętość.



W czasie pogrzebu Jana Pawła II pojawiły się na Placu Św. Piotra transparenty z hasłami „Santo subito!”, które podkreślały przekonanie wiernych o świętości człowieka składanego właśnie do grobu w kryptach watykańskich. Myślę, że ci, którzy 825 lat temu rozpoczęli budowę w Asyżu, mieli podobne przekonanie, które w myśl ówczesnych reguł manifestowało się strzelistym porządkiem gotyckiej świątyni oraz freskami największych mistrzów pędzla tamtej Europy.

Dwie rzeki ludzkie. W Watykanie i w Asyżu. Ta starsza, w Umbrii, trwająca dziewięć już stulecie i ta nowa, tak bolesna i tak nam bliska, która „płynie” od kilku miesięcy. Ich wiek jest różny, lecz ich intensywność podobna. Obie zaświadcza o vox populi, który poprzez stałą obecność pielgrzymów wyznaczają kierunki dążeń dzisiejszego człowieka. Nie pomyliła się rzeka starsza, kiedyś, kiedy „świeże” były wzory płynące z życia i wewnętrznej przemiany Giovanniego Bernardone; siła oddziaływania św. Franciszka nie maleje, wciąż określa jedną z możliwych dróg postępowania we współczesnym świecie. Nie myli się także druga rzeka, której mowę zweryfikują przyszłe wieki.

Dwie rzeki. Dwa pochody, jak szale otulające miejsca czci. Bez nich byłyby tu ciska. Bez Świętego Franciszka i Jana Pawła II - „ciska” byłyby w ludzkich sercach.

W obie rzeki dane mi było wstąpić tej wiosny, dzień po dniu. Dziś wiem, bardziej niż przedtem, czego potrzebujemy w naszej globalnej wiosce. Wiem też, iż świat na szczęście nie wyzbył się aspiracji, które przed kilkuset laty opowiadały pędzle Cimabuego, Giotta i Simone Martini.

METREM DO PAPY



JAK OBIECAŁEM W „KARTKACH Z ITALII” WISIENKĘ Z TEGO 10 DNIOWEGO TORTU ZOSTAWIŁEM NA SAM KONIEC...

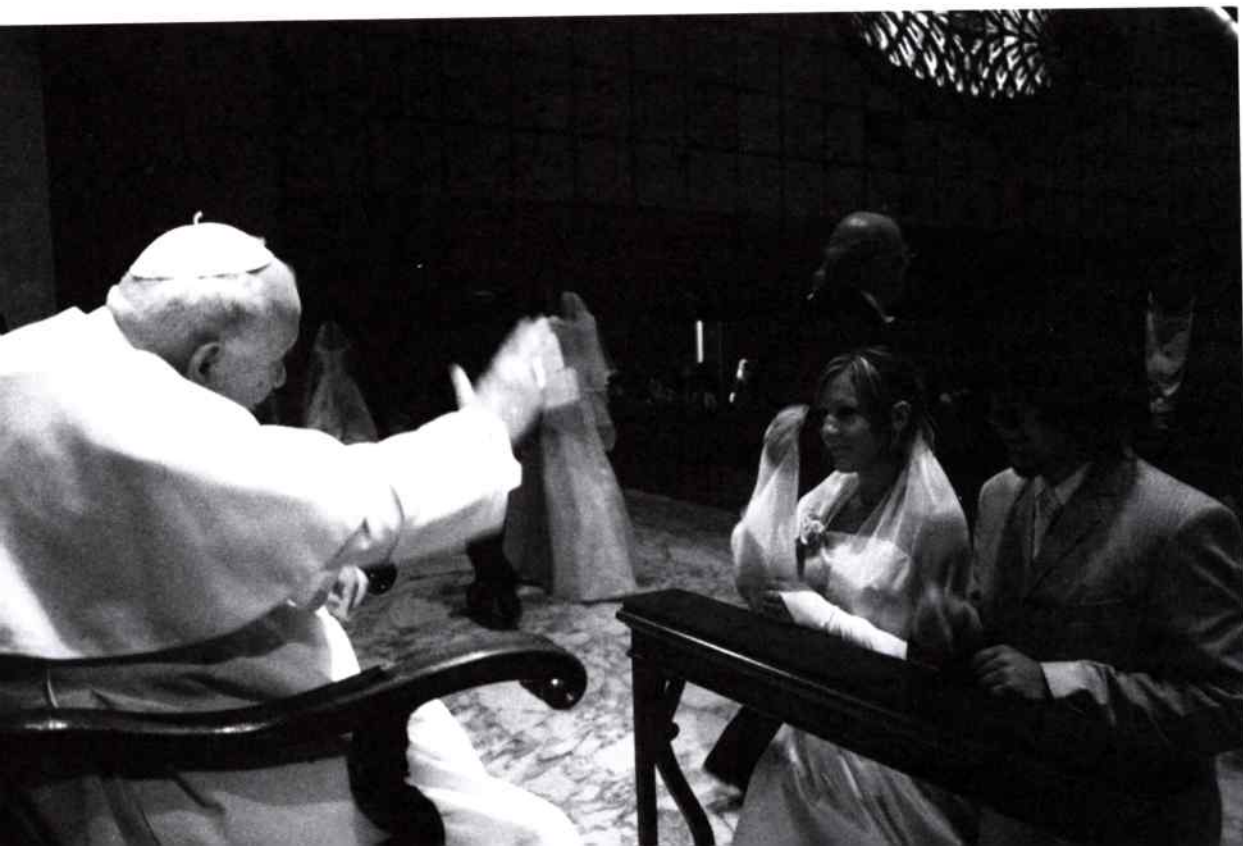
Zaczęło się wczesnym rankiem 1 września, około godziny 7.00 – pobudka, szybkie wstawanie... toaleta, prasowanie koszul, jeszcze trzeba zrobić fryzurę Paulinie i wyprasować suknie ślubne. Acha, przecież Monika też musi coś zrobić z włosami, no i makijaże, tak ważny element - jakby druga toaleta. Gdzie suszarka do włosów? – w drugim pokoju. Mamy wszystko? Bilety? Klucze z auta? Dobrze, jedźmy już, bo się spóźnimy! Ach te baby!.. wiecznie trzeba czekać. Za to efekt całkiem niezły. Kasia bierze aparaty fotograficzne. Właściwie jeden, po co dwa! Dobrze, jedźmy samochodem, ale tylko do Giustiniany! Wczoraj kupiliśmy bilety na metro. Siedem stacji w tych ślubnych strojach??? Czy Rzym jest na to przygotowany? Oczywiście, że jest! Nasz wygląd przyciąga wzrok rzymian: są śpiewy, ustępowanie miejsc w wagonie, życzenia. Wszyscy przyglądają się tym istotom w sukniach ślubnych - ależ one piękne! Czuję się jakbym dopiero co się żenił, ale obrączki już są na palcach. Zatem jadę tam z żoną, nie z narzeczoną; przed nami wydarzenie niesamowitej rangi.

O, musimy tu wysiąść i przesiąść się na niebieską linię! Znowu życzenia i ten niesamowity podmuch tuż przed wjazdem kolejki na stację. Jedziemy dalej, tu jakby trochę tłoczniej... No tak, wszyscy na San Pietro. Wsiadamy. Może pospieszmy się! Powinniśmy tam być przed czasem. Zaraz, czy mamy zaświadczenia o ślubie? Zaproszenia? Acha, zaproszenia ma Kuba. Dobrze, chodźmy! Którędy? Kuba wie jak iść, idziemy za nim. Prowadzi nas do Auli Piusa VI, tu już możemy zwolnić. Podejmuje nas dostojny mężczyzna, którego twarz znamy z telewizji. Odbiera zaproszenia i zaświadczenia o ślubie. Sprawdza dokumenty. Kiedy wszystko okazuje się w porządku, możemy przekroczyć TĘ granicę - granicę do innego świata! Okazuje się, że siedzimy w wydzielonym dla młodych małżeństw sektorze i jest nas tam około 50 par. Potężny telebim z logo watykańskiej telewizji CTV podsuwa myśl, że oto na naszych oczach rodzi się historia. To podniecenie, jakie od pierwszej myśli o wyjeździe zagnieździło się w mojej głowie i powolutku narastało, nagle jakby obudzone, zaczęło wchodzić w moje nogi i ręce - ja po prostu cały zacząłem drżeć, nerwowo obracać palcami i stukać o podłogę podeszwami moich eleganckich, ślubnych butów. Myśli zaczęły nabierać tempa, jak to będzie wyglądało, czy wszystko jest w porządku? Dobrze... W tle tych myśli słychać było śpiewy pielgrzymów. Nie jechaliśmy tam przecież tylko po to, by „zobaczyć Papieża”, ale po to, by prosić głowę Kościoła o błogosławieństwo dla naszych młodych - zaledwie miesięcznych - małżeństw! A jakież one będą za tych kilka, kilka naście - Bóg da - kilkadziesiąt lat? Czy to błogosławieństwo, przecież bardzo nobilitujące, będzie takim lekiem na całe zło?

Czuliśmy coraz większe napięcie, czas upływał. Otworzyły się drzwi i naszym oczom ukazał się „biskup w bieli”. Przygarbiony, siedział w swoim fotelu umieszczonym na podeście. Jego pozycja i widzialny gołym okiem płytki oddech sprawiały, że nasze podniecenie zaczęło przeradzać

się we współczuciu i zmartwienie. Potężna grupa pielgrzymów z Niemiec, Francji, Polski, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoch wciąż przerywała wypowiedź Papieża, który sam miał problemy z wypowiedzeniem każdego słowa. Pamiętam, że z wielkim trudem wyłapywałem poszczególne słowa, których kształt wyraźnie rysował się dopiero, gdy trafiały do nas jako kompletne zdania. Każda przerwa, spowodowana przez obecnych tam ludzi, każda pieśń, każde hasło skandowane przez dziesiątki gardeł budziły we mnie swego rodzaju bunt i chęć, aby ta katorgia skończyła się jak najprędzej. Widziałem człowieka cierpiącego, człowieka, któremu problem sprawiało wzięcie oddechu, wypowiedzenia zdania, ale jednak człowieka pełnego niezwykłego zapału i niezwykłej siły, aby głosić światu jedyną drogę do zbawienia – Jezusa Chrystusa. Myślałem sobie: ileż to razy zaprzepąściłem okazję, żeby móc się z nim spotkać i wysłuchać tego co, ma do powiedzenia! Mogłem jechać, czy to do Skoczowa, czy do Krakowa, ba, nawet do Krosna mogłem jechać – nic by mi się nie stało! Ale ta zatwardziałość serca... Szkoda gadać. Teraz patrzyłem na człowieka, który jest coraz bliżej odejścia stąd. Wiedziałem, że mamy niesamowite szczęście.

Finałem audiencji były błogosławieństwa. To właśnie ten najważniejszy moment. I znów serce bije mocniej, znów jakieś dziwne nerwy i podniecenie. Kiedy krok za krokiem, przesuwa- liśmy się w stronę klęcznika ustawionego tuż przed Ojcem Świętym, kiedy już staliśmy na scho- dach okazało się, że byliśmy drugą i trzecią parą, które przyjechały z Polski i uczestniczyły w tej audiencji. To zmęczenie, które widziałem w czasie audiencji, rodziło również zmęczenie we mnie samym. Właściwie to myślałem sobie „chodźmy stąd, nie przeszkadzajmy już temu człowiekowi, niech sobie odpocznie...”. Tak myślałem aż do momentu, gdy klękliśmy przed Papieżem, a Mistrz Ceremonii szepnął mu, że jesteśmy Polakami. Klękaliśmy na klęczniku i poprosiliśmy Go: „Ojczy Świąty, pobłogosław nam”... Do końca życia nie zapomnę uśmiechu, który pojawił się wtedy na jego twarzy, tego błękitu oczu, błękitu, który - wydawało się - świecił. Całym sobą chłonałem aurę, jaką promieniował. Choć czułem, że nie jestem godzien nawet klęczeć przed tym człowiekiem. Był tak blisko, na wyciągnięcie ręki! Tymczasem to jego ręka, jego dłoń miała tę nie- samowitą moc - moc błogosławieństwa. Ta niesamowita moc i energia, którą często widywałem na kościelnych malowidłach, spływała teraz na mnie i moją żonę. Ból i cierpienie nagle znikły. Była tylko moc i siła! Była radość i uśmiech, który - owszem - potrafił wywołać łzy, ale były to łzy szczęścia...



PRZEKROCZYĆ PROG ZDUMIENIA

O „TRYPTYKU RZYMSKIM” JANA PAWŁA II

„IDEE TWORZĄ BOŻKI. JEDYNIIE ZDUMIENIE COŚ PRZECZUWA”

OLIVIER CLEMENT

1.

„Zdumienie” to jedno z tych kilku słów-kluczy „Tryptyku”, które są czymś w rodzaju filarów dźwigających ciężar treści utworu. Jedna z dwóch części pierwszego skrzydła „Tryptyku” nosi wręcz taki właśnie tytuł: „Zdumienie”¹. Ona to otwiera dzieło.

Dowiadujemy się z niej, że zdolność zdumiewania się jest cechą arcyłudzką, wyróżniającą człowieka spośród stworzeń. „Potok się nie zdumiewa”, tłumaczy Autor, „lecz zdumiewa się człowiek!”. Dlatego człowiek zawsze „był samotny z tym swoim zdumieniem/ pośród istot, które się nie zdumiewały”. I choć „przemijał wraz z nimi”, dzieląc wspólny los wszystkich stworzeń, to jednak czynił to inaczej, „na fali zdumień”. I gdzieś tu właśnie zdaje się tkwić tajemnica wyjątkowości człowieka, zarzewie jego ostatecznej „nieprzemijalności”, jedyne w swoim rodzaju istnienie będące obrazem i podobieństwem Najwyższego. Czytamy: „Zdumiewając się, wciąż się wyłaniał/ z tej fali, która go unosiła”. Człowiek jest więc niejako reprezentantem świata wobec Boga, „miejscem spotkania” „wszystkiego” ze „Słowem Przedwiecznym”. Jest progiem, który świat w nim przekracza... Jest zdumieniem samym. „Kiedyś temu właśnie zdumieniu nadano imię ‘Adam’... I, jako taki, człowiek – ze środka zdumienia – ma śmiałość mówić „wszystkiemu wokoło”: „przemijanie ma sens”².

Jan Paweł II, papież o duszy poety, nie pierwszy raz przy pomocy kategorii zdumienia definiuje największe pojęcia ludzkiego i chrześcijańskiego universum. W pierwszej jego encyklice, w **REDEMPTOR HOMINIS**, znajduje się porywający passus, w którym Ewangelia i chrześcijaństwo doczekały się takiego oto określenia: „głębokie zdumienie wobec wartości i godności człowieka nazywa się Ewangelią, czyli Dobrą Nowiną. Nazywa się też chrześcijaństwem. Stanowi o posłannictwie Kościoła w świecie – również, a może nawet szczególnie – w świecie współczesnym. Owo zdumienie (...) pozostaje najściślej związane z Chrystusem”³. Zaś w najnowszej, podpisanej 17 kwietnia 2003 r. (czyli już po opublikowaniu „Tryptyku rzymskiego”) encyklice **ECCLESIA DE EUCHARISTIA** pisze o serii „wielkich i wdzięcznych zdumień”, które budzi w nas Eucharystia, jej niepojęty dar i niepojmowalna tajemnica. I tak we wprowadzeniu uzasadnia cel powstania dokumentu: „Pragnę to eucharystyczne ‘zdumienie’ rozbudzić, pisząc tę Encyklikę (...)”⁴.

„Przekraczanie progu zdumienia” jest więc aktem teologicznym i poetyckim zarazem (a zapewne i egzystencjalnym), głęboko zakorzenionym w wyobraźni i języku Papieża. Już sam ten fakt pokazuje jak ważne są dla Jana Pawła II poetyckie rejestry języka, poznawczy walor literatury, możliwości „wyrażania Niewyraźalnego” tkwiące w „mowie związanej”. Tak tłumaczył owe związki Czesław Miłosz, wkrótce po światowej premierze „Tryptyku”: zdumienie jest unikalną wartością i zasadą poezji. „To samo zdumienie, które w pierwszej części poematu Papieża wynosi nas ponad czas, wyłącza nas z przemijania. Poezja to zdumienie”⁵ – dopowiada Noblista.



Poezja to także zachwyty, „małe ziarenka zachwyty, zmieniające smak świata” - jak powiedziałby Adam Zagajewski⁶. I w tę właśnie stronę, w stronę zachwyty i żarliwości, unikających łatwej pociechy i naiwności, bo teologicznie ufundowanych na gruncie wiary w sens stworzenia („było bardzo dobre” Rdz 1,31) i odkupienia („aby przez Niego znów pojednać wszystko z sobą” - Kol 1,20) - rozwija się dzieło Jana Pawła II. A rośnie ono w poprzek wielu tendencji postmodernistycznych w literaturze, stając się swoistym znakiem sprzeciwu wobec nich. Ale nie tylko wobec nich: również wobec gestów nieufności i apriorycznego odrzucenia współpracy teologii ze sztuką, wiary z kulturą, kapłana z artystą. Papież zdaje się wiedzieć doskonale (teoretycznie i praktycznie) to, czego nieraz nie dostaje naszym współczesnym ewangelizacyjnym wysiłkom, a co profetycznie wyraziło wielu. M. in. Hugo Friedrich (“liryka jest tajemnicą, jest ona granicznym pasem, wydartym temu, co nie do wypowiedzenia, jest cudem i siłą gwałtowną”)⁷ i Paweł VI (mówił do artystów: „Jeśli zabraknie nam waszej pomocy, nasza posługa stanie się jękaniem i czymś niepewnym”)⁸.

2.

Moja osobista fascynacja „Tryptykiem” i wdzięczność głęboka po jego lekturze dotyczy tej właśnie kwestii: że Autor-Papież w ogóle sięga po poezję jako środek wypowiedzi (w dwudziestym piątym roku tego pontyfikatu może nam się to wydawać naturalne, ale rzecz oczywista na pewno nie jest). Że pisze „List do artystów”⁹, „Tryptyk rzymski”, że się zdumiewa i nie lęka się o swoich zdumieniach pisać. Zauważył Krzysztof Koehler: „właśnie fakt, że Jan Paweł II zdecydował się ogłosić swoją kolejną wypowiedź jako poeta, jest szczególnie interesujący i właśnie nad tym, że Papież mówi do nas – *hic et nunc* – językiem poety, warto rozmyślać”¹⁰. Trzeba, żebyśmy sobie zdali sprawę z siły i przesłania tego wyrazistego gestu: Papież przemawia do nas w formie poetyckiego tryptyku!

Istnieje bowiem w szeregach obrońców prawdy i ortodoksji – piszę to bez jakiegokolwiek ironii: sam chciałbym do służących prawdzie i ortodoksji należeć; o czym donoszę z pokorą – przekonanie, że poezja (szerzej: literatura, sztuka) są dziś koniem trojańskim postmodernistycznych trucizn, new age’owskiego braku jednoznaczności itp. Dlatego postulowany jest duży stopień nieufności wobec sztuki, nie tylko „zdegenerowanej” (prześmiewczej, błazeńskiej, bluźnierczej), ale każdej, ponieważ w każdym rodzaju sztuki tkwią ziarna szaleństwa, a przynajmniej ten rodzaj niejasności, który deformuje logikę poznania i zaciemnia drogę do prawdy. Najogólniej: w pięknie tkwi odwieczna pokusa izolacjonizmu od dobra i prawdy; stąd zalecenie najwyższej ostrożności wobec „poezji i poetów” a w sumie zgoda (milcząca, w najlepszym wypadku) na powtórzenie gestu Platona, który miał wszak wygnać poetów z miasta...

Uprościłem zapewne, ale obrońcy powyższego stanowiska, nawet jeśli jest ono znacznie bardziej zniuansowane, mają w ręku mocne argumenty. Oto od dwustu lat mniej więcej artysta usiłuje zająć miejsce kapłana w kręgu (post?)chrześcijańskiej cywilizacji, zapominając, że sztuka nie jest „zamiast”, ale „dla”. I że ona sama, osierocona, samotna (bez siostry religii) – nie da nadziei na przetrwanie. I że „ubóstwiać” można jedynie Boga, zaś sztuka w paralelnej roli może stać się najwyżej bożkiem. Dzieje się to na gruncie jakiejś poważnej erozji religijności zachodniego kręgu cywilizacyjnego i jest skutkiem poważnych zaburzeń w relacjach wewnątrz triady „piękno – dobro – prawda”.

To wszystko prawda. Ale też tym większy podziw dla odwagi i profetyzmu Jana Pawła II, który mówi przez sam fakt „Tryptyku rzymskiego” (przez fakt jego napisania i decyzję na jego upublicznienie), że prawda potrzebuje piękna, by służyć dobru. Tak - na najgłębszym poziomie moich możliwości odczytania tego tekstu - gest papieski rozumiem. Mówi Jan Paweł II samym faktem „Tryptyku”, żeby się piękna nie bać, bo jest ono z Boga, obojętnie kto i w jaki sposób chciałby je na drogach historii zawłaszczyć. Sztukę wynosi Papież na należny jej piedestał współpracownicy prawdy i dobra, broniąc jej tak przed podejrzliwością obrońców prawdy, jak przed nihilizmem przeciwników prawdy. To jest chrześcijańskie w esencji. To inkarnacyjna w istocie, to znaczy z cudu Wcielenia wywiedziona – obrona piękna przed jego wewnętrznymi pokusami i zewnętrznymi oskarżeniami. Oto piękna oczyszczenie i rehabilitacja. Grań – z dwiema przepaściami po bokach – po której porusza się autentycznie chrześcijańska filozofia i teologia piękna.

3.

„Tryptyk rzymski” jest tekstem niebywale złożonym. Niech ta teza będzie ostrzeżeniem przed uproszczonymi jego odczytaniem, a zachętą do jego pogłębionej lektury, do – to jedno z większych w ostatnich latach pragnień duszpasterskich Jana Pawła II - kontemplacji. Komplikacja tekstu bierze się nie z odautorskich uduźwień (bo takich tu w ogóle nie ma), ale z kondensacji tekstu. W każdej z części utworu krzyżuje się i przenika wiele planów treściowych, lakoniczne frazy kryją w sobie całe wieki rozwoju myśli filozoficznej i dogmatu, obserwujemy nieustanny wysiłek do skupiania tekstu na istocie sprawy a do wycofywania go z jej obrzeży. Otrzymujemy dzieło godne wielkiego umysłu, ducha i poezji: mało słów, predylekcja wobec skrótu, ocean treści. To dobre dla dzieła, trudne dla czytelnika.

„Tryptyk” jest polifoniczny i – wbrew pozorom – nie poddający się jednoznacznej interpretacji w wielu (istotnych!) warstwach. Dobrym tego przykładem jest ostatnich siedem wersów utworu. Brzmia tak:

„ – Zatrzymaj się –
Ja noszę w sobie twe imię,
To imię jest znakiem Przymierza,
które zawarło z tobą Słowo Przedwieczne
zanim stworzony był świat.

Zapamiętaj to miejsce, kiedy stąd odejdziesz,
Ono będzie oczekiwać na swój dzień –”

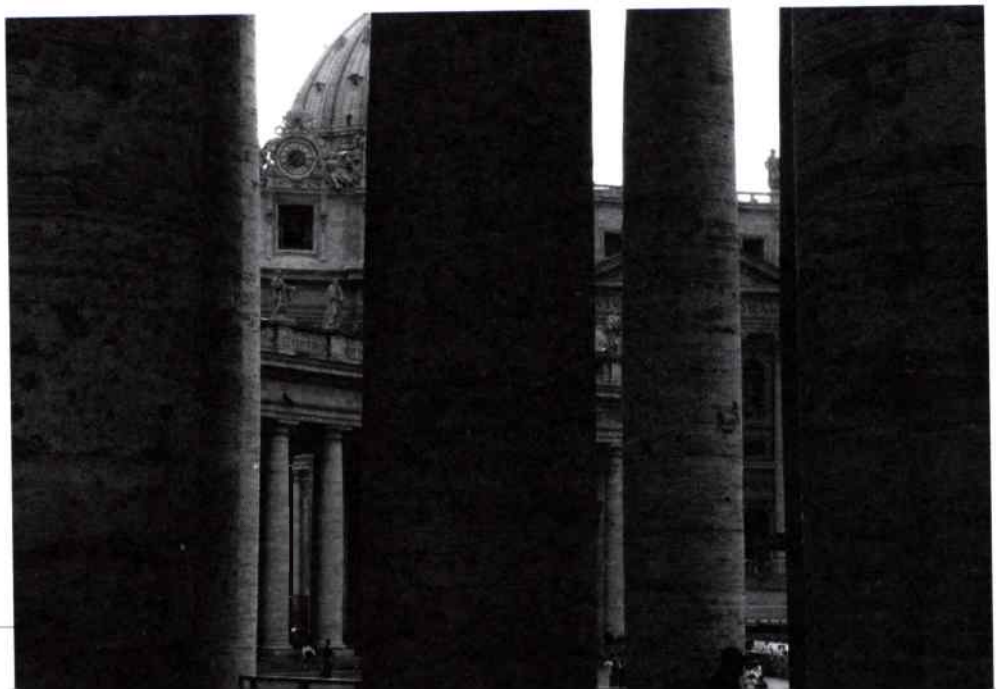
Konia z rzędem temu, kto jednoznacznie rozstrzygnie kto i do kogo te słowa wypowiada... Ma rację K. Koehler, kiedy pisze: „jako czytelnik nie wiem, kto i do kogo te słowa mówi: Bóg do Abrahama? Autor do Abrahama? Autor do Czytelnika? A może Autor do siebie? Albo Abraham do Autora?”¹¹. I tak zapewne miało i ma być: słowa te są większe niż my wszyscy i zapadają w nas wszystkich, dotycząc Każdej i Każdego – noszących imię, wezwanych do Przymierza.

Złożoność „Tryptyku” jest również konsekwencją nakładania na siebie kilku warstw kulturowych, które interpretują jednocześnie i rzeczywistość (egzystencjalną, teologiczną) i siebie nawzajem. Oto bowiem Księgę Genesis interpretują freski Michała Anioła; medytacyjne strofy „Tryptyku” interpretacyjnie docierają do Księgi Rodzaju już to za pośrednictwem polichromii sykstyńskiej, już to „bezpośrednio”; pejzaż górski (karpacki?) i biblijna scena na Górze Moria stanowią równoprawne toposy dwóch skrzydeł „Tryptyku”... Interakcja wewnątrz- i pozatekstowa: malarstwo, literatura (Horacy!), Pismo Święte, teologia, kapłaństwo, biografia (Wadowice!)... Ileż strumieni wpada do rzeki dzieła. Poza tym: któż z nas, lektorów „Tryptyku” wie, co znaczy widzieć świat, ludzi i rzeczy, z perspektywy papieskiego losu, jego wyniesienia, cierpienia, perspektywy, nadziei?

4.

Skąd to się wszystko wzięło, ta poezja w tekstach Papieża z przełomu tysiącleci? I skąd On się wzięł, Papież-Poeta? Można się odwołać do biografii Karola Wojtyły, oczywiście: że teatr rapsodyczny, że literackie juvenilia to głównie wiersze i dramaty, że doktorat z Jana od Krzyża, geniusza hiszpańskiej poezji i teologii jednocześnie. Że miał się od kogo uczyć. I będzie się miało rację, zapewne. Ale sądzę, że trzeba sięgnąć głębiej. Przynajmniej tak głęboko jak Miłosz: w Janie Pawle II wydaje swój późny, dorodny i uniwersalny owoc polski romantyzm; Polski Papież jest dziedzicem i kontynuatorem doświadczeń oraz języka Norwida i Mickiewicza, Słowackiego i Kraszińskiego... Albo jeszcze głębiej: oto takiego języka i takiej perspektywy twórczej potrzeba dziś światu, Kościołowi. I ten język powstaje na ziemi, ale jego impulsy i inspiracje pochodzą z bardzo wysoka...

Jest też ten utwór aktem odwagi i swoistego wyzwania wobec tendencji panujących we współczesnej literaturze. Jest to prowokacja, znak sprzeciwu, czy – jak powiedział Miłosz – „próba buntu”¹². Głównie wobec wielkiej wyprzedaży rozpacz w dzisiejszej sztuce (poezji może zwłaszcza). Papież porusza się po polach dramatu i tragedii, nie unika pytań najtrudniejszych, a jednak daje świadectwo sensu. Na dwóch stronicach rękopisu dołączonego do premierowego wydania poematu widać skreślone papieską ręką słowa: *Totus Tuus ego sum*¹³. Myślę, że czytając te właśnie słowa, zbliżamy się do źródła tajemnicy tego człowieka i tego dzieła: pragnienie świętości jako kwintesencja sztuki. Sztuki życia. Poezja i dobroć, więcej nic – powtórzyłyby zapewne za Norwidem Wojtyła. Z mocnym akcentem na „i”. Wtedy bowiem wspierają się wzajemnie piękno i prawda, wtedy też – wspólnie, skutecznie – służą Prawdzie.



Jan Paweł II jest ewangelizatorem, to oczywiste. Dokładniej: przede wszystkim ewangelizatorem, a w pewnym sensie – jeśli ów sens rozumieć wystarczająco szeroko i głęboko – tylko ewangelizatorem jako Piotr dzisiejszego Kościoła, Piotr, którego jedynym obowiązkiem jest wyznawać przed światem i dla świata jedyną Chrystusa: „Panie do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego” (J 6,68). Ale Jan Paweł II nie jest ewangelizatorem zamiast poety. Jest nim jako poeta. Taka jest struktura jego pism: zdumiewa się i tęskni nie tylko w „Tryptyku” i w **REDEMPTOR HOMINIS**, ale już w przedwojennych sonetach¹⁴. Taka też jest zapewne, jak się domyślamy, struktura jego osobowości, kształt wiary.

Autor „Tryptyku rzymskiego” wpisuje się w ten sposób twórczo w starą jak chrześcijaństwo praktykę rozumienia literatury jako *praeparatio evangelica*. Samo pojęcie zawdzięczamy Euzebiuszowi z Cezarei (III/IV w. po Chr.), a oznacza ono proces „spulchniania gleby serca” pod zasiew ewangelicznego słowa, proces możliwy dzięki uwrażliwiającemu wpływowi sztuki słowa¹⁵. „Przez sam fakt tego poszukiwania artystycznego, zbliżacie się, niejako po omacku, do Boga” – mówił Jan Paweł II do artystów w Brukseli 20 maja 1985 roku¹⁶. Ale też medytacyjna poetyckość „Tryptyku rzymskiego” nie jest instrumentalnym potraktowaniem literatury przez teologię. Poezja nie jest służebnicą teologii. Pozostając współpracownicami, obie stają się sługami Ewangelii, zachowując ten rodzaj najwyższej i najgłębszej zarazem wolności, który jest niemożliwy poza Ewangelią.

5.

Wybierając język poezji dla wyrażenia teologicznego przesłania „Tryptyku” Papież uruchamia w odbiorcy dodatkowe moce wyobraźni i serca. Dla skuteczności komunikatu – również najświętszego – ważne jest i „co” i „jak” się mówi. Ważna jest tonacja, kształt, forma. Prawda woła o piękno. Naga treść nie istnieje.

LUBLIN, 10 KWIETNIA 2003 R.
PSZÓW, 18-19 KWIETNIA 2003 R.

PRZYPISY

1. Jan Paweł II, Tryptyk rzymski. Medytacje, Kraków 2003, s. 10.
2. Tamże.
3. Jan Paweł II, Redemptor hominis, Watykan 1979, nr 10.
4. Tenże, Ecclesia de Eucharistia, Watykan 2003, nr 5-6.
5. Cz. Miłosz, Granice poezji (rozmowa: J. Mikołajewski), „Gazeta Wyborcza”, 12-13 IV 2003 r., s. 23. Por. B. Gruszka-Zych, Poemat osobisty. Światowa premiera „Tryptyku rzymskiego”, „Gość Niedzielny”, 23 III 2003 r., s. 41; też, Prapremiera poematu, „Śląsk”, 9(2003) nr 4(90), s. 48; M. Skwarnicki, Pomiedzy Początkiem a Kresem, „Rzeczpospolita”, 6 III 2003 r., s. A3.
6. A. Zagajewski, Obrona żarliwości, Kraków 2002, s. 144.
7. K. Dybciak, Liryka jest tajemnicą. Poezja Karola Wojtyły, „Rzeczpospolita”, 6 III 2003 r., s. A3.
8. Paweł VI, Do artystów. Kaplica Sykstyńska, 10 V 1964 r., tłum. St. G., „Znak”, 16(1964) nr 12, s. 1425-1426.
9. W kwietniu 1999 roku.
10. K. Koehler, Między człowiekiem a Bogiem. Kilka uwag o „Tryptyku rzymskim” Jana Pawła II, „Azymut”, 6 IV 2003 r., s. 2.
11. Tamże, s. 3.
12. Art. Cyt., s. 23.
13. Por. S. Rodziński, Moc światła i pewność wiary. Po lekturze „Tryptyku rzymskiego” Jana Pawła II, „Tygodnik Powszechny”, 9 III 2003 r., s. 19; M. Skwarnicki, Dziewięć dni w Rzymie. Jak powstawał poemat Papieża, „Tygodnik Powszechny”, 9 III 2003 r., s. 19; J. Machniak, „Tryptyk rzymski” (rozm. B. Stanowska-Cichoń), „Niedziela”, 16 III 2003 r., s. 10; T. A. Janusz, Otworzyć skrzydła tryptyku, „Niedziela”, 16 III 2003 r., s. 10.
14. K. Wojtyła, Poezje zebrane, Kraków 2003, s. 23-41.
15. J. Szymik, W poszukiwaniu teologicznej głębi literatury. Literatura piękna jako locus theologicus, Katowice 1994, s. 86-91.
16. Świat pozbawiony sztuki z trudem otwiera się na wiarę i na miłość. Homilia wygłoszona w czasie Mszy św. dla artystów, Bruksela, 20 V 1985 r., w: Jan Paweł II, Wiara i kultura. Dokumenty, przemówienia, homilie, red. M. Radwan, S. Wylęzek, T. Gorkuła, Rzym – Lublin 1988, s. 276.



SIENA. ZAŚLUBINY

wskazówka *Torre del Mangia* uparcie
wędruje po tarczy *Campo*.

ponad cegłami placu rozpalonego jak patelnia
powietrze zaplata obrączki wokół palców.

miasto z ochry i cynamonu
całuje cię w usta
wiatrem z południowego wschodu.

od *Santa Maria dei Servi*.

SANT'ANTIMO. NA PUSTKOWIU

Lutnia wiatru uparcie strzyże ciemną wzgórze.
Za zboczami doliny, która *canto* nieba
podtrzymuje cyprysem i wieżą opactwa.
Na tablicy z piaskowca nieme pismo wieków.
Cisza taka w kamieniu, taki spokój w drzewie:
splata ramię oliwka z powrozem powietrza;
razem tutaj stróżują, choć nikt o tym nie wie,
tylko wejść, tylko stanąć i milczeć i milczeć.

A więc dla nas to miejsce – tak myślimy sobie
wchodząc w nawę jak w kanion niegdysiejszej rzeki.
Rzeka poszła do nieba, echo jej porywów
kruszy pustkę na małe szkatułki z nadzieją.
Wychodzimy na światło, w świat, który nie wierzy,
wprost w objęcia oliwki, babki wszystkich roślin;
a w zmowie z trawertynem mamrocze pacierze
Pan Bóg sobie samemu, w kamieniu i w drzewie.

A black and white photograph of a stone building, likely a church or monastery, with a large archway and a tree in the foreground. The building is made of rough-hewn stone blocks. A large, dark tree is on the right side of the frame. The sky is overcast.

WERSZE POCHODZĄ
Z PRZYGOTOWYWANEGO DO DRUKU TOMU
P.T. "TERYTORIUM POWIERNICZE".



O ODWADZE

odtąd wszystko będzie jednoznaczne –
albo stąd albo zowąd
bez zaskoczenia –
zupełnie znacka
jak trzeba przypnę
gdzie trzeba przyłatam
żadnych niedomówień –
same nadteksty

po czterdziestce –
wreszcie nie boję się –
mówię prawdę całym gębkiem –
bo na głos tak jakby za
wcześnie...

SCHODZENIE Z DRZEWA

powiedziałeś prawdzie że
nie może być względna –
stała się bezwzględna

powiedziałeś sprawiedliwości że
nie może być ślepa –
przejrzała i zaraz uciekła

powiedziałeś wierze że
przenosi góry –
zaczęła stawiać je na ludziach

powiedziałeś nadziei że
nie może być matką głupców –
już wcale nie chce mieć dzieci

więc znów prosisz mądrość żeby
przyszła z wiekiem –
tym razem z
dwudziestym pierwszym

HORYZONT ZDARZEŃ

byle nie wypaść poza krawędź:
dziecko patykiem zamyka krąg...
trzeba czasem coś zrobić –
raz dwa trzy – dla siebie –
dla bezpieczeństwa

byleby nie wyjść poza projekt:
mężczyzna betonem zalewa czworokąt...
trzeba czasem postawić na swoim –
raz dwa trzy – odpukać –
w niemalowane

byle nie wypaść ze swojej sfery:
starzec wpisuje się w rzeczywistość...
trzeba się czasem uciec do ostatecznego środka –
raz dwa trzy – gotowe –
kwadratura koła

i tylko ta czarna dziura w nas
co wsysa bezpowrotnie
zacieśnia figury
i coraz mniej bezpiecznie
i coraz większa pewność że
od początku byliśmy po
niewłaściwej stronie
horyzontu zdarzeń

A JEDNAK

gdzieniegdzie –
tam – gdzie zwykle nigdzie
tuż-tuż –
a jeszcze niedawno hen hen
raz po raz –
mimo że przedtem ani razu
mru-mru –
choć dotychczas ani dudu
sam już to czujesz –
o tyle o ile
ale przynajmniej –
ciut-ciut



O ZBIGNIEWIE HERBERCIE I JEGO TWÓRCZOŚCI

CZY WŁADZA MOŻE BYĆ ZBAWIONA?

(PRÓBA ODCZYTANIA WIERSZA ZBIGNIEWA HERBERTA
„DAMASTES Z PRZYDOMKIEM PROKRUSTES” MÓWI)

Tomik poetycki Zbigniewa Herberta pt. *Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze* opublikowano po raz pierwszy w Paryżu, w 1983 roku. Milczący wcześniej przez 9 lat autor *Pana Cogito* (Warszawa 1974) miał tym zbiorem liryków odpowiedzieć na stan wojenny, wprowadzony w Polsce przez juntę wojskową w 1981 r. Chcąc uniknąć bezpośredniej aktualizacji, Tomasz Burek w szkicu pt. *Herbert – linia wierności* pisze, że tytułowy „*Raport z oblężonego Miasta*” stanowi poetycką syntezę dziejów Polski, zwłaszcza dziejów nowożytnych, zapoczątkowanych zbrodnią rozbiorów i upływających pod znakiem niezmiennego zagrożenia – utraty podmiotowości politycznej przez nasz naród. (Poznawanie Herberta, Kraków 1998, s. 179). Zdaje się, że również inny świetny tekst z tego zbioru, *Damastes z przydomkiem Prokrustes mówi*, dotyczy niebezpieczeństwa tejże utraty narodowej podmiotowości, i to niezależnie od konkretnego kontekstu pozaliterackiego.

Wiersz zawiera realia zgodne z przekazem mitologicznym. Bohaterem lirycznym jest attycki rozbójnik, który – wg mitologii greckiej – napadał na podróżnych i torturował ich w sposób specyficzny, dopasowując ciała do rozmiarów, jednakiemu dla wszystkich, łoża. Łatwo można się domyśleć, że tak potraktowane ofiary ponosiły śmierć w męczarniach. Bandyta w wierszu Herberta działał między *Atenami a Megarą* (w. 1), dźwięk jego imienia budził grozę (w. 4), uśmiercał ludzi przez *rozciąganie członków obcinanie kończyn* (w. 12), a od potwornego zwyrodnialca uwolnił świat (podobnie jak od Minotaura) ateński heros, Tezeusz (w. 19).

Czyżby więc podmiot liryczny przyjął rolę kronikarza zła, jedynie przypominającego współczesnym ku przestrodze sylwetkę mitycznego zbira – sadysty? Nie ma sensu tego wykluczać, ale...

W tytule wiersza autor ostentacyjnie wyeksponował za pomocą inwersji słowo *mówi*, a monolog liryczny w całości (zgodnie z regułami liryki roli) jest stylizowany na przemówienie bohatera lirycznego. W ten sposób nie sam *Damastes*, ale jego mowa (co i jak *mówi*) staje się pierwszoplanową.

A przemawia Prokrust prawie wzorowo, syntetycznie realizując liczne cechy gatunku. W zakresie kompozycji są to m. in.: sugestywny wstęp (w. 1–4), uporządkowane hierarchicznie argumenty, podejmujące jednocześnie polemikę z ewentualnymi adwersarzami (w. 5–21), wyraziście, nieomal skandowane zakończenie, domagające się bezwarunkowej akceptacji przez audytorium (w. 22–23). Dalej, podział wypowiedzi na strofy (dystych, tercyna, całośćka czterowersowa) odpowiada akapitom przemówienia, a zastosowany wiersz zdaniowy (dominują wersy od 14. do 22. sylab) oddaje bieg zrytmizowanej prozy, potoczystość niezakóconą przerzutniami, wręcz żywą mowę z chwilami milczenia, zawieszaniem głosu itp. Uwagę zwraca też posługiwanie się zróżnicowanym repertuarem zdań – od pojedynczego eliptycznego (w. 1), przez pojedyncze rozwinęte o nieprostej strukturze (w. 2–4), po złożone (np. w. 5, 6–7) i wielokrotnie złożone (w. 22–23). Oczywiście przeważają zdania pojedyncze oraz dwuelementowe współzrzednie złożone i podrzędnie złożone, co daje efekt dynamizmu i wzmacnia wrażenie pewności siebie mówiącego. Podkreślmy natomiast, że mistrz oracji „zapomniał” o najważniejszym elemencie – bezpośrednich zwrotach do adresata.

DAMASTES Z PRZYDOMKIEM PROKRUSTES MÓWI

- 1/ Moje ruchome imperium między Atenami i Megarą
- 2/ władałem puszcza wężozem przepaścią sam
- 3/ bez rady starców głupich insygniów z prostą maczugą w dłoni
- 4/ odziany tylko w cień wilka i grozę budzący dźwięk słowa Damastes

- 5/ brak mi było poddanych to znaczy miałem ich na krótko
- 6/ nie dożywali świtu jest jednak oszczerstwem nazwanie mnie zbójcą
- 7/ jak głoszą fałszerze historii

- 8/ w istocie byłem uczonym reformatorem społecznym
- 9/ moją prawdziwą pasją była antropometria

- 10/ wymyśliłem łoża na miarę doskonałego człowieka
- 11/ przyrównywałem złapanych podróżnych do owego łoża
- 12/ trudno było uniknąć – przyznaje – rozciągania członków obcinania kończyn

- 13/ pacjenci umierali ale im więcej ginęło
- 14/ tym bardziej byłem pewny że badania moje są słuszne
- 15/ cel był wzniosły postępowanie wymaga ofiar

- 16/ pragnąłem znieść różnicę między tym co wysokie a niskie
- 17/ ludzkości obrzydliwie różnorodnej pragnąłem dać jeden kształt
- 18/ nie ustawałem w wysiłkach aby zrównać ludzi

- 19/ pozbawił mnie życia Tezeusz morderca niewinnego Minotaura
- 20/ ten który zgłębiał labirynt z babskim kłębkim włóczki
- 21/ pełen forteli oszust bez zasad i wizji przyszłości

- 22/ mam niepłonną nadzieję że inni podejmą mój trud
- 23/ i dzieło tak śmiało zaczęte doprowadzą do końca

(Z. HERBERT, RAPORT Z OBLĘŻONEGO MIASTA I INNE
WIERSZE, WROCŁAW 1995, S. 60).

Mówca aspiruje do mowy wysokiej. W inicjalnym wersie posługuje się więc elipsą, a w następnym – uwznioślającą inwersją:

*Moje ruchome imperium między Atenami i Megarą
władatem puszcza wężozem przepaścią sam (w. 1, 2).*

Dalej inwersja pojawia się jednak jeszcze tylko dwa razy (w. 17, 19), by nadmiarem stylizacji – jak się domyślamy – nie zniweczyć efektu zakładanej komunikatywności stylu. W związku z tym, Damastes używa też (znowu z umiarem) słownictwa i frazeologii dalekich od stylu potocznego, np.: *władatem* (w. 22), *w istocie* (w. 8), *nie ustawałem w wysiłkach* (w. 18), *wizja przyszłości* (w. 21), *mam niepłodną nadzieję i podejmę (...) trud* (w. 22). Podobnie należy odczytać użycie dopełniacza liczby pojedynczej zaimka wskazującego ów w wersie 11. (*do owego łoża*), który nacechowany jest dostojną, książkową archaicznością. Mało tego, mówca stosuje słownictwo specjalistyczne: antropometria (w. 9), reformator społeczny (w. 8), insygnia (w. 3). Podsumowując, wysiłek językowy wierszowego Prokrusta zmierza do zmiany wizerunku prymitywnego zbója sadysty z *maczugą w dłoni* (w. 3), jak przedstawia go mitologia grecka. Bohater, wyposażony w świadomość faktu, że nie ucieknie od takiego obrazu, stara się go i zmienić, i nobilitować.

Oczywiście, Damastes ani na chwilę nie przestaje być w wierszu zwyrodniałym bandytą, o poddanych np. mówi cynicznie: *miałem ich na krótko / nie dożywali switu* (w. 5–6). Fakty, można by rzec, świadczą przeciw niemu. Tak bowiem działa ironia, zbudowana na bazie liryki roli. Seamus Heaney w *Atlasie cywilizacji* nazywa ten zabieg głosem stereofonicznym, *jako że dochodzi do nas z dwóch głosników, z ust dwóch mówców: jednym jest wmanewrowany w sytuację mówienia Damastes, drugim - zajmujący uprzywilejowaną pozycję poeta; wiemy przy tym przez cały czas, po czyjej stronie jesteśmy.* (Poznawanie Herberta 2, Kraków 2000, s. 121).

Prokrust manipuluje faktami, słowami, wartościami. Przypisuje swoje cechy – kłamcy i fałszerza – historykom (w. 6, 7). Siebie natomiast nazywa władcą imperium, co pozwoli mu ofiary określić mianem poddanych (w. 5), zyskując w ten sposób niejako prawo do decydowania o ich losie. Jego zbrodnie znajdują więc quasilogiczne uzasadnienie. Podobną funkcję spełnia nazywanie torturowanych – pacjentami (w. 13). To przecież nic niezwykłego, że pacjent umiera na łożu (sic!) operacyjnym, więc samozwańczy „lekarz” nie może zostać nazwany mordercą. Logika iście diabelska. Przy tym wszystkim na drobiazg wygląda misterne deheroizujące kłamstwo na temat herosa Tezeusza, który jawi się tu jako zwykły morderca niewinnego *Minotaura* (w. 19), a także tchórz, posługujący się niegodnym prawdziwego mężczyzny *babskim kłębkem włóczki* (w. 20), i *oszust bez zasad i wizji przyszłości* (w. 21) – w przeciwieństwie, oczywiście, do oskarżyciela, który sytuuje się tu na pozycji jedyne go sprawiedliwego moralisty. Ale Damastes idzie dalej. Uzasadnienia swoich niskich pobudek i czynów szuka w ideologii, kreuje się na władcę oświeconego, uczonego i reformatora społecznego (w. 8), spełnionego utopistę w rodzaju tych, którzy utopię społeczną wiązali z techniczną, tu: w postaci łoża *na miarę doskonałego człowieka* (w. 10). Doskonałe społeczeństwo rozumie na wzór ogólnie znanej idee fixe tzw. naukowego komunizmu, czyli jako powszechną i bezwarunkową równość, co mocno podkreśla powtórzeniem (*pragnąłem znieść różnice... w wersie 16 i pragnąłem dać jeden kształt... ludzkości w wersie 17*) oraz emocjonalnym, wartościującym epitetem: *obrzydliwie różnorodna ludzkość*. Inkrustuje przy tym tekst kolejnymi hasłami – kliszami nowomowy: *cel był wzniosły postęp wymaga ofiar* (w. 15). W ten oto sposób, posłużwszy się odpowiednimi zabiegami językowymi, mówca wykreował się niejako na nowo – na szlachetnego dobroczyńcę ludzkości, który wierzy, że jego wspaniałe dzieło będzie kontynuowane do szczęśliwego końca.

Damastes interesuje władza i tylko władza w postaci, powiedzmy, czystej, co jakby mimowolnie deklaruje we wstępie swej przemowy, gdy z satysfakcją stwierdza, że dla rządzącego

najważniejsze jest terytorium (w. 2) i terror (w. 4), a nie symbole i instytucje, o których wyraża się z pogardą, parlament nazywając radą starców, a insygnia władzy – głupimi (w. 3). Nawet bez poddanych mógłby się obejść, gdyby nie byli potrzebni do ich torturowania, czyli siania strachu.

Na marginesie: trudno zgodzić się z aprioryczną konstatacją Krzysztofa Dybciaka, który w szkicu *W poszukiwaniu istoty i utraconych wartości* odczytuje sylwetkę Damastesa jako wzór uczonego, dbającego jedynie o poznawczy efekt, bez pytania o koszty eksperymentu na pacjentach. (Poznawanie Herberta 2, Kraków 200, s. 139). Damastes Herberta na pewno został wyposażony w świadomość, że jest zwyczajnym zbójem, jak go mitologia stworzyła, i na pewno chce uchodzić przede wszystkim za władcę, z pewnością też swoje bezceństwa stara się uzasadnić naukowo oraz ideologicznie. Bohater wiersza rozumie to znakomicie, a Dybciak – nie.

Oczywiście, czytelnik od pierwszego do ostatniego słowa bohatera ma świadomość, że monolog liryczny to stylizacja podszyta ironią. Manipulator, przekraczający miarę manipulacji, demaskuje się niejako automatycznie. Jego perswazja, realizująca zasady retoryki (była o tym mowa wcześniej), jest tak grubymi nićmi szyta, że – zgodnie z wolą podmiotu wiersza – prowadzi do zupełnej deziluzji, której kulminacją jest, wyodrębniony graficznie, ostatni dystych monologu – jawna już parodia nowomowy:

*mam niepłatną nadzieję że inni podejmą mój trud
i dzieło tak śmiało zaczęte doprowadzą do końca (w. 22–23).*

I jeszcze jedno. Wcześniej zwrócono uwagę na tytuł wiersza, któremu poeta nadał kształt dramatycznych didaskaliów, wyróżniając słowo mówi, co – jak słusznie zauważa Stanisław Barańczak w szkicu pt. *Ironie – usuwa ewentualne nieporozumienia na temat osoby podmiotu*. (Poznawanie Herberta, Kraków 1998, s. 397). Przede wszystkim jednak, przemawiający w tej sytuacji Damastes musi mieć swoje audytorium, powinien tu wystąpić jeszcze przynajmniej jeden aktor. Jest nim zaprogramowana w świecie przedstawionym zbiorowość, która nie ujawnia się w warstwie językowej, ale ma istotny wpływ na kształt przemówienia i na wymowę utworu. Otóż, w oszukańczej argumentacji bohatera lirycznego można zauważyć wyraźną gradację. Rzecz wygląda tak, jakby wytrawny mówca obserwował słuchaczy, ich reakcje na stopniowo dawkowane oszustwa, a nie usłyszawszy sprzeciwu, posuwał się do argumentów coraz bardziej kłamliwych i nieprawdopodobnych. Audytorium milczy, pozwalając Prokrustowi praktycznie na wszystko, przez co staje się biernym przedmiotem. Kat i ofiara inaczej, ale wspólnie zdają się odpowiadać za zło. Druga, bardziej prawdopodobna możliwość jest taka, że zgromadzeni na wirtualnej sali poddani nie protestują, bo nie mają do tego prawa. Przecież mówca nie był łaskaw nawet zwrócić się do nich bezpośrednio. W tej sytuacji przemówienie władcy należy rozumieć jako fakt typowo medialny, którego celem jest manipulacja wyższego rzędu, można powiedzieć, o zasięgu ogólnospołecznym.

(Przypomina to wielogłosową lirykę Barańczaka, np. znany tekst *Protokół (159 wierszy)*, Kraków 1990, s.36), gdzie jednak oportunistyczna wobec systemu totalitarnego zbiorowość została ujawniona i skompromitowana niejako na oczach czytelnika. Jej reakcja na sprowadzoną do absurdu samokrytykę notabla tzw. socjalistycznej władzy to: *oklaski / przechodzące w owację*).

Na tle powyższego należałoby uzupełnić ustalenie Heaney'a. Głosy w wierszu Herberta rzeczywiście rozkładają się stereofonicznie: z jednego głośnika dobywa się realistyczna, dobitna, pełna pewności siebie i pychy mowa Damastesa, z drugiego – nie płynie słowo, ale czysta ironia dysponenta sytuacji lirycznej, który zna prawdę, ostrzega, oskarża i któremu wierzymy. Natomiast trzeci głośnik jest niemy. Zupełnie. Najważniejszy aktor spektaklu, którego formalnie nie ma, ale rzeczywiście istnieje jako komponent przedstawionej sytuacji komunikacyjnej, nie może nic powiedzieć. A przecież ta właśnie zbiorowość, na pierwszy rzut oka usytuowana niejako poza ramami monologu lirycznego, nie została poddana odpodmiotowej ironii. Oznacza to, że *Damastes z przydomkiem Prokrustem* mówi jest przede wszystkim wierszem o tragizmie społeczności

ubezwłasnowolnionych, które byle jaki satrapa może, już to przemocą, już sprytną socjotechniką, pozbawić głosu. Dotyczy to nie tylko standardów ustrojowych, ale i naturalnego prawa człowieka do mówienia, czyli myślenia. Nieprzypadkowo przywołuję tu Ludwika Wittgensteina, bo u podstaw Herbertowej refleksji o świecie z pewnością leży znane założenie filozofa: *Granice mego języka wskazują granice mego świata*. Pozbawiona możliwości mówienia – myślenia zbiorowość nie ma swojego świata, więc dla totalitarnego władcy nie istnieje. Dlatego może on buńczucznie stwierdzić, że *władca puszcza wąwozem przepaści...* (w. 2), ludzie się nie liczyli, z jego punktu widzenia praktycznie ich nie było.

Na koniec warto zwrócić uwagę na tytuł tekstu w aspekcie – rzecz by można – dokumentalnym. Otóż poeta wyraźnie podkreśla (imię, przydomek), że chodzi o tę, a nie inną postać z bogatej tradycji kultury śródziemnomorskiej. Truizm? Chyba nie, bo w naszej świadomości kulturowej mocno zakorzeniła się też średniowieczna wersja opowieści, w której niejaki Amadeusz Madej (por. frazeologizm Madejowe łoże) ma na sumieniu podobne czyny jak attycki Damastes. Ten pierwszy jednak – streszczając legendę – dzięki bogobojnemu klerykowi i boskiej dobroćliwości, po skutecznej pokucie, znajduje drogę do Królestwa Niebieskiego, o czym ten drugi marzyć nawet nie może. Decyzja Herberta musi więc być znacząca jako wybór między dwoma tradycjami. Po prostu, zbrodnia totalitaryzmu jest tak potworna, że nie ma szansy na pokutę i wybaczenie. Ludzie nie mogą tyranowi wybaczyć, bo przecież on sam (o paradoksie!) pozbawił ich prawa głosu, możliwości decydowania, podmiotowości.

Natomiast attyckie niebo jest puste.

Na marginesie, nasuwają się słowa z *Przesłania pana Cogito*:

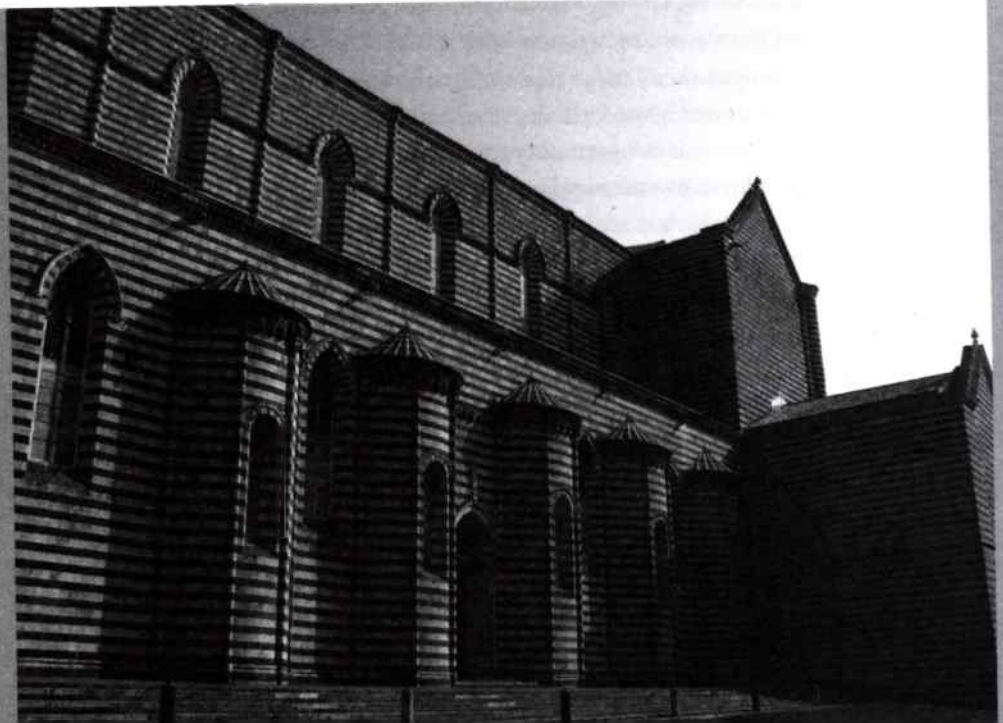
i nie przebacza zaiste nie w twojej mocy

przebaczając w imieniu tych których zdradzono o świecie

(Z. Herbert, *Poezje*, Warszawa 1998, s. 432).

Byłby więc *Damastes z przydomkiem Prokrustes* mówi wierszem nie tylko ironicznie demaskującym mechanizmy językowej manipulacji, lub szerzej – socjotechniki rządzenia, i wierszem ujawniającym potworną istotę władzy totalitarnej. Przede wszystkim bowiem Zbigniew Herbert występuje tu jako surowy moralista, przenoszący ziemskie sprawy w wymiar metafizyczny. Jego zdaniem dla tych, którzy okłamali i ubezwłasnowolnili naród i którzy nie mają Boga – nie ma też zbawienia.

Tylko tyle i aż tyle – mówi Poeta.



BARBARZYŃCA W PODRÓŻY

ROZWAŻANIA NA MARGINESIE LEKTURY ESEJU ZBIGNIEWA HERBERTA

„BARBARZYŃCA W OGRODZIE”

W jednym z listów do syna Paul Cézanne pisał: *Powiem ci wreszcie, że jako malarz staję się bardziej przenikliwy w obliczu natury, ale realizacja moich wrażeń przychodzi mi wciąż z wielkim trudem. Nie mogę osiągnąć nasycenia, które odłania się moim zmysłom, nie mam tego wspaniałego bogactwa koloru, jaki ożywia naturę. Tu, na brzegu rzeki, motywy się mnożą; ten sam motyw widziany pod innym kątem staje się tematem studium najbardziej pochłaniającego, a tak zmiennego, że mógłbym zajmować się nim miesiącami, nie ruszając się z miejsca i tylko zwracając się trochę w prawo albo w lewo*”. Tyle wyznanie malarza, a ja zastanawiam się nad niezwykłym pobrzmiwaniem tej myśli w esejach Zbigniewa Herberta. Autor **BARBARZYŃCY W OGRODZIE** stara się właśnie podjąć próbę opisu tego samego motywu widzianego pod innym kątem. Tym samym przestaje dziwić wybór eseju. Wszak esej to – zgodnie z założeniami twórcy tego gatunku Michela de Montaigne’a – przede wszystkim próba. Próba opisania świata, rządzących nim praw i wartości; próba dotarcia do prawdy o świecie, która ujawnia się nie przez to, co zewnętrzne, ale poprzez to, co codzienne, powszednie i zwykłe. Dla eseisty jednakowo znaczą – na co zwraca uwagę Krzysztof Ćwikliński – *sprawy szeroko pojętych kultury i sztuki, jak drobiazgi, na które rzadko zwracamy uwagę ani przez chwilę nie podejrzewając, że mogą mieć one głębszą wartość i urosnąć do miary znaczeń fundamentalnych*”. Świadomość roli drobiazgów w docieraniu do prawdy znajduje się zapewne również u podstaw wielu opisów miejsc, ludzkich zachowań, potraw, z którymi spotykamy się w esejach Herberta. Dla eseisty bowiem – a Herbert nie jest tu wyjątkiem – nie jest istotny temat sam w sobie, ale interesuje go przede wszystkim cel, jaki sobie stawia.

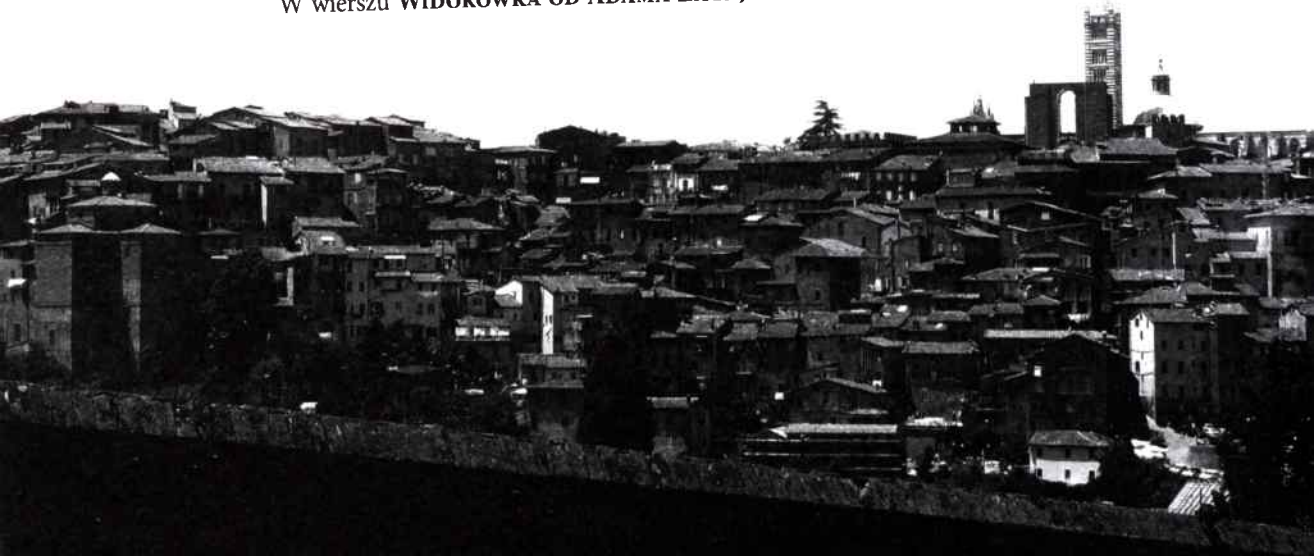
Herbert swoim esejem wyrusza w podróż w głąb tradycji. Pragnie wejść w ogród kultury europejskiej, by znaleźć odpowiedź na pytanie o przyczyny odejścia współczesnego człowieka od pamiątek przeszłości. Rozpoczyna swą podróż jako barbarzyńca i jako barbarzyńca ją kończy. Bo też turysta Herberta nie ma nic wspólnego z tymi „spoconymi farmerami”, którzy *nie mają zupełnie czasu na oglądanie, tak bardzo pochłonięci są fabrykowaniem namiastek*. I chociaż ze smutkiem stwierdza: *nikt już nie ma ochoty studiować rzeczy bezpośrednio*, to sam postępuje inaczej. Nie uważa się za wyjątkowego i najmądrzejszego, nie twierdzi, że piękno nie istnieje, a wszystko jest wartościowe o tyle, o ile może przynieść zyski finansowe. Barbarzyńca Herberta to ktoś, kto staje w obliczu piękna z przekonaniem, że nie potrafi z nim nawiązać bezpośredniego kontaktu. Świadomość przebywania *na brzegu purpurowego sznura i oczu* prowadzi go do stwierdzenia wyrażonego niegdyś w wierszu **NIGDY O TOBIE**: *Nie dziwcie się że nie umiemy opisywać świata/ tylko mówimy do rzeczy czule po imieniu*. To przekonanie towarzyszy Herbertowi także w omawianym eseju. Zwiedzając Lascaux zanotuje: *Zdaję sobie sprawę, że wszelki opis – inwentarz elementów, bezsilny jest wobec arcydzieła, które ma tak oslepiającą i oczywistą jedność*.

BARBARZYŃCA W OGRODZIE jest zatem próbą przekazania zachwyty nad arcydziełami ludzkiej tradycji, powrotem do przeszłości, by poprzez uświadomienie sobie swego barbarzyństwa w obliczu piękna, odnaleźć prawdę. Herbert, stając u bram ogrodu sztuki, ma świadomość braku punktów wspólnych między tym, co wieczne, zatrzymane w czasie, a tym, co istniejące i

zmiennie. Stąd zapewne pojawiający się w esejach Herberta niepokój, by nie stać się *eksponatem kosmicznego muzeum figur woskowych, którego nikt nie ogląda*. Stąd też skupienie na szczególe, który pozwala na owo czułe mówienie do rzeczy po imieniu, który umożliwia mówienie o arcydziełach (np. o fresku „Alegoria Dobrych i Złych Rządów” Lorenzettiego) z perspektywy walorów estetycznych. Dlatego autor **PANA COGITO** potrafi dostrzec to, co najważniejsze, co daje odbiorcy chociaż namiastkę wieczności. Ileż zachwytu i pokory wobec sztuki znaleźć można w takim chociażby fragmencie: *Lorenzetti, jak słusznie zauważył jeden z estetów, wprowadził perspektywę kartograficzną. Obserwator nie stoi nieruchomo w jednym punkcie, widzi dalsze plany z jednakową jasnością i dokładnością, ogarnia szerokim spojrzeniem orla ciepłą, falującą materię ziemi*. Herbert zdaje się opowiadać w ten sposób po stronie sztuki, dającej wieczność, niezniszczalnej sztuki. Dlatego fascynuje go malarstwo Pierra della Francesca.

Tego malarza wskazuje, by odpowiedzieć na pytanie, jaki jest jego mistrz, którego nie oddałby za żadnego innego. Jemu poświęca jeden z najciekawszych esejów **BARBARZYŃCY W OGRODZIE**. Ten tekst jest interesujący jeszcze z jednego powodu: doskonale pokazuje technikę eseistyczną Herberta.

Esej „*Piero della Francesca*” rozpoczyna się wspomnianymi powyżej pytaniem i odpowiedzią. Ten zapomniany i niedoceniany przez wieki malarz urzekł Herberta już podczas pierwszego „spotkania” w Londynie National Gallery. Spotkania przypadkowego, bo wynikającego nie z chęci zwiedzania, a ze zwykłej ucieczki przed „inwazją dusznej wilgoci”. To wtedy rozpoczyna się fascynacja Herberta malarzem, którego wcześniej znał tylko z lektur. Pisze: *Obraz nazywa się „Narodzenie” i z miejsca atakuje niezwykłością kompozycji pełnej światła i poważnej radości (...). Trudno określić ten rodzaj estetycznego porażenia*. A kończąc krótki opis kolejnego obrazu, zauważa: *Jest coś ostatecznego w położeniu liści na kartę nieba, chwila przemienia się w wieczność*. Sposób, w jaki Herbert opisuje swe obcowanie z arcydziełami, zdaje się realizować pragnienie, by chwilę przemienić w wieczność. Temu służy wyraźne spowolnienie czasu, by nie rzec wręcz: zatrzymanie. Czas w esejach Herberta płynie powoli, tak jakby autor w ten sposób próbował zatrzymać piękno, jakby nim oddychał i szukał zrozumienia. Taką funkcję pełnią fragmenty dotyczące historii truflifjedzenia pizzy, czy wypowiedane mimochodem i trochę od niechcenia urokliwe zdania, jak to o wpisany w cenę makaronu cieniu katedry lub picciu *orvieto*, traktowanym jako akt poznawczy. Podobne dążenie do spowolnienia czasu odnajduję np. w ostatnich tomikach poetyckich Adama Zagajewskiego – niewątpliwie jednego z uczniów Herberta. Jeżeli prawdziwe jest twierdzenie, że dzieła sztuki istnieją dzięki naszej potrzebie piękna (Herbert użyłby zapewne w tym miejscu wielkiej litery), to można ją zrealizować tylko poprzez kontemplację, poprzez wsłuchanie się w obiektywne sądy wielkich dzieł sztuki (o czym mówi poeta w późniejszym esej **AKROPOL I DUSZYCZKA**). A skoro już przywołałem postać autora **Jechać do Lwowa** to jeszcze jedna dygresja. W wierszu **Widokówka od Adama Zagajewskiego** Herbert napisał wersy, które stanowią



wypowiedziane po latach motto omawianego tu eseju (i chyba całej twórczości poety): *Tej garstce która nas słucha należy się piękno/ ale także prawda*. A prawda o pięknie oglądanych arcydzieł narodzi się dopiero wtedy, gdy będą one oglądane w ojczyźnie ich twórcy. Dlatego stwierdza: *Mądra zasada Goethego: „Wer den Dichter will verstehen, muss in dichter`s Lande gehen”* – tłumaczy się w dziedzinie malarstwa w ten sposób: *obrazy jako owoce światła należy oglądać pod słońcem ojczyzny artysty*. To jest prawdziwy powód, dla którego Herbertowy barbarzyńca wyrusza w podróż do Sieny, Arezzo, na Akropol, czy – jak mówi – by pielgrzymować do Piero della Francesca.

Swą pielgrzymkę rozpoczyna od Perugia, gdzie znajduje się polityk „Madonna z Dzieciątkiem w otoczeniu świętych”. Jednak zanim czytelnik pozna cel podróży, zostanie zapoznany z historią miasta, weźmie udział w śniadaniu wędrowca, które ten spożył w milczącym towarzystwie Ezry Pounda. Herbert zachowuje się jak uczeń, który bardzo dobrze odrobił zadanie domowe. Jego podróż to nie tylko przemieszczanie się z miejsca na miejsce i oglądanie interesujących go arcydzieł. To także, a może i przede wszystkim, wejście w historię odwiedzanego miejsca, katedry i jej budowniczych; to wydobywanie z cienia zapomnienia ludzi, rzeczy i miejsc, by w ten sposób określić swoje miejsce w nieustannej wędrówce pokoleń. Taka konstrukcja esejów Herberta wynika zapewne z przekonania o dystansie, jaki dzieli jego słowo – nietrwałe i przemijające – od trwałego i niezmiennego piękna tradycji. Postawa ta pozwala na zakorzenienie, na – choćby chwilowe – wejście w ogród sztuki i zapomnienie o swym barbarzyństwie. Nie oznacza to jednak, że świadomość bycia barbarzyńcą w obliczu arcydzieł zanika. Herbert ma w sobie zbyt dużo pokory, by uwierzyć, że jest to możliwe. Stara się jedynie zrozumieć, zbliżyć się choćby na mgnienie do tego, co wieczne. Wie, że – jak mówi – jest *obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności*. Wie też, że tylko wartości moralne istnieją niezmiennie. Dlatego, opisując oglądane arcydzieła, zwraca uwagę na szczegóły, drobiazgi, które na co dzień nam umykają.

Ważną rolę w takim sposobie postrzegania ogrodu sztuki odgrywa poetycka wrażliwość Herberta. Umiejętnie łączy wiedzę historyka sztuki z poetycką metaforą: *Postacie starców u Piera nie mają nic wspólnego z tą ruiną człowieka, jaką lubił malować Rembrandt. Są pełne patosu i mądrości umierających zwierząt*. I dalej: *Kobieta rozpostarłszy ramiona bezgłośnie krzyczy, a w jej okrzyku nie ma przerażenia, jest tylko prorocтво. Cała scena jest patetyczna, prosta i helleńska, jak-by wersety Starego Testamentu pisane przez Aischylosa*. Takich fragmentów jest w **BARBARZYŃCY W OGRODZIE** wiele. Taki sposób opisu powoduje, że wędrujący przez ogród sztuki razem z Herbertem czytelnik widzi go takim, jakim powstał: pełnym niezwykłości, piękna, tajemniczości. Co prawda Herbert co jakiś czas powtarza, że opisanie malowideł z Lascaux, obrazów i fresków Piera della Francesca, gotyckich katedr jest przedsięwzięciem beznadziejnym, to jednak zagłębiając się w te opisy nabieramy innego przekonania. Autor **ROVIGO** słowem przywraca do życia coś, co wydawało się martwe. Poszukuje bowiem tego, co w tych opisywanych arcydziełach stałe. Wydaje się, że próbuje osiągnąć to, co dostrzegł we freskach bohatera swego eseju: *Nad walką cieni, konwulsjami, hasłem i wściekłością zbudował Piero della Francesca lucidą ordo, wieczysty porządek światła i równowagi*.



O życiu Piero della Francesca wiemy niewiele. Jak zauważa Herbert, jest *szczelnie ukryty za swoimi obrazami i freskami*. Ale on trwa, ponieważ cały został pochłonięty przez dzieło. Herbert poprzez powolną, poetycką wędrówkę przez to dzieło dociera do miejsca i czasu, gdzie można zobaczyć mistrza: *Tradycja mówi, że pod koniec życia oslepl. Niejaki Marco di Longara opowiadał Bertowi della Alberti, że jako mały chłopiec chodził po ulicach Borgo San Sepolero ze starym, ślepy malarzem, imieniem Piero della Francesca. Mały Marco nie domyślał się pewnie, że prowadził za rękę światło*. W ten sam sposób poeta wydobywa z ciemności zapomnienia inne szczegóły historii i teraźniejszości. Czyni tak zapewne dlatego, że – jak napisze w **LABIRYNCIE NAD MORZEM** – *W ogrodzie sztuki znajduje się wielki szpital form okaleczonych i umierających. Podobnie jak chorzy, oczekują one naszego współczucia i zrozumienia. Jeśli im tego poskąpimy, odejdą pozostawiając nas w samotności*. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zdanie to brzmi jak swoisty testament Herberta.

W pochodzącym z tomu **HERMES, PIES I GWIAZDA** wierszu **KOŁATKA** znalazł się taki fragment:

*Są tacy którzy w głowie
hodują ogrody
a włosy ich są ścieżkami
do miast słonecznych i białych
(...)
ja mam kołatkę
od nie strzeżonych ogrodów*



A w **OFIAROWANIU IFIGENII** przeczytamy: *Widok jest pyszny, jeśli przywołać na pomoc odpowiednią perspektywę*. Eseje Herberta to niewątpliwie zaproszenie do wspólnej podróży po *nie strzeżonych ogrodach* w poszukiwaniu odpowiedniej perspektywy. Przywoływane w trakcie tej podróży arcydzieła ludzkiej ręki, daty, źródła i legendy zestawione zostają z zapachem powietrza, zielonością ogrodów, smakiem wina i pizzy. Zgiełkowi teraźniejszości przeciwstawione zostają *uroki prowincji: brak poczucia symetrii, zanik zmysłu czasu i niechęć do tępych reguł*. Tylko wtedy możliwe będzie zbliżenie się do tajemnicy wieczności. **BARBARZYŃCĘ W OGRODZIE** kończy następujący fragment: *Kiedy przyjadę tu za dwadzieścia pięć lat, Piaff będzie już martwą gwiazdą jak Mistinguette. Ale z ludźmi mego pokolenia, z ludźmi, którzy przeżyli te same wojny, będę mógł się porozumieć rzucając od niechcenia to nazwisko. Za dwadzieścia pięć lat. Ileż to pokoleń karpi legnie w mule stawu koło pałacu w Chantilly. Tylko Sassetta będzie ten sam i cnota ubóstwa ulatująca w niebo będzie jak nieruchoma strzała Eleaty. Dzięki Sassecie wstąpię dwa razy w tę samą rzekę i czas, „chłopiec grający w kamyki”, będzie na moment dla mnie łaskawy. Podróż jest zatem w tych esejach jakby stanem zawieszenia, wejściem w inny wymiar czasu i w inną przestrzeń, ma funkcję ocalającą. Pozwala na moment stanąć barbarzyńcy w bezpośrednim kontakcie z pięknem ogrodu kultury. Kiedy jednak dobiegnie końca, ów niezwykle wędrowiec zauważy: *Znów jestem w ruchu. Śpieszę do śmierci. Przed oczami Paryż – hałas światła.**

* * *

Po wielu latach w wierszu **BARBARZYŃCY** Adama Zagajewskiego odnalazłem myśl, która jest swoistym dziedzictwem Herberta:

*Ale my także zazналиśmy samotności
i lęku, i zapragnęliśmy poezji.*

O „CIENIU ARCYDZIEŁ NA MAKARONIE” CZYLI Z HERBERTEM W ORVIETO

Zbigniew Herbert był niewątpliwie poetą-podróżnikiem i wszystkie jego tomy poetyckie, jak też wiele utworów prozą, zaświadcza o tym, że żył on nieustannie w osmozie ze światem, nie tyle widzialnym, co raczej zaklętym w mit, historię, podanie, obraz. Pejzaż, widziany z okien pociągu, czy na spacerze z notatnikiem, pojawiał się w utworach poety niejako przy okazji pielgrzymowania do miejsc ważnych dla niego z powodów artystycznych, bądź historycznych, jakkolwiek nigdy nie tracił tego przekonania, iż **„IDEALNY PODRÓŻNIK TO TEN, KTO POTRAFI WEJŚĆ W KONTAKT Z PRZYRODĄ, LUDŹMI, ICH HISTORIĄ – A TAKŻE SZTUKĄ, I DOPIERO POZNANIE TYCH TRZECH ELEMENTÓW PRZENIKAJĄCYCH SIĘ WZAJEMNIE JEST POCZĄTKIEM WIEDZY O BADANYM KRAJU”** („*Martwa natura z wędzidłem*”). I był Księżę Poetów w zdobywaniu tej wiedzy bardzo konsekwentny, choć zaliczyć go raczej trzeba do rodziny poetów kultury niż natury, gdyby chcieć zastosować to podstawowe rozróżnienie.

Podróże zagraniczne w czasach socjalistycznej Polski, w której paszporty nie były własnością obywateli, a nawet niewinna wyprawa do Rostocku, czy Złotych Piasków, zależała od własnego „sprawowania się” i kaprysu smutnego pana z wydziału paszportowego (nie dość przypominania tych szczegółów młodemu Czytelnikowi!), były rarytasem. Los chciał, że niepokorny Herbert, niekryjący się przecież ze swoimi poglądami, zwiedził właściwie prawie całą Europę oraz Stany Zjednoczone, ba, lata całe mieszkał w Paryżu. Jednak wśród jego wojaży kilka miało znaczenie szczególne; podróże do Italii, Francji, Grecji i Holandii zaowocowały powstaniem książek, pisanych w myśl wyrażonej już w 1965 roku zasady, że **„NALEŻY WYRZEC SIĘ OPISYWANIA WIELU RODZAJÓW WOJAŻY I SKUPIĆ SIĘ NA GATUNKU NAJSZLACHETNIEJSZYM, KTÓRY NIEMCY NAZYWAJĄ BILDUNGSREISE, A WIĘC PIELGRZYMKĄ DO ŚWIĘTYCH MIEJSC KULTURY”** („*Pana Montaigne’a podróż do Italii*”). Zbigniew Herbert wiedział, w jak niewielkim gronie szczęśliwców znajduje się, deptając bruk Sieny, Amsterdamu, czy Sparty, i zdawał sobie sprawę, że pisarz-podróżnik ma w związku z tym jeden kardynalny obowiązek: uchylać drzwi Europy, Europy rozumianej jako wspólnota dziejów i wartości!

Kiedy czytam ogłoszonego drukiem w 1962 roku „Barbarzyńcę w ogrodzie”, tom esejów z podróży do Francji i Włoch, nie mam wątpliwości, iż wyrażony dużo później imperatyw „*masz mało czasu trzeba dać świadectwo*”, miał już wtedy zastosowanie. „Sprawozdanie z podróży” – jak sam się we wstępie wyraża jego autor – zawiera teksty o budowie gotyckiej katedry, o życiu średniowiecznego miasta, analizę dzieł jednego z najsłynniejszych malarzy religijnych (w XV wieku innych w Italii nie było!) i wszystko to dzieje się w okresie intensywnej walki z religią i Kościołem. W świetle propagandy komunistycznej średniowiecze to okres ciemności i zabobonu, historia sztuki europejskiej zaczyna się właściwie od Leonarda da Vinci, a tu proszę, wędrowiec, bynajmniej nie mnich i asceta, z pozycji czysto estetycznych wyluskuje z przeszłości dzieła, które są świadectwem geniuszu i wertykalnego ruchu ludzkiego ducha, tworzącego dzieła na chwałę Pana. Nie, Herbert nie żegna się trzy razy przed każdą świątynią, on tylko wyluskuje z cienia obrazy, budowle i ludzi, tworzących piękno i ład, ludzi zakotwiczonych w określonym porządku wartości.

„Barbarzyńca w ogrodzie” zawiera dziesięć rozdziałów i trzy z nich dotyczą miast, które odwiedziłem: Sieny, Orvieto i Arezzo. Przez długie lata książka ta stanowiła dla mnie malutkie i ciągle przejrzyste okno na Południe i cichą zachętę, by kiedyś sprawdzić swoimi zmysłami doświadczenia ukochanego poety. Nic też dziwnego, że miałem tam, w Orvieto – bardziej, niż gdzie indziej, choć nie wiem dlaczego – świadomość obecności autora *Il Duomo*. Herbert – jak wiadomo – stroił od patosu i jego podróże, co podkreśla Jacek Łukasiewicz, dalekie były zarówno od stadnych przejazdów masowej turystyki, jak też od ascetycznych pielgrzymek w dawnym stylu („Herbert”). Mam nadzieję, że będzie mi darowana nieskromność, gdy powiem, iż moja wyprawa szlakiem pereł Środkowych Włoch była w założeniu Herbertowska i co rusz odczuwałem promieniowanie jego słów i sformułowań. Ciepło, wynikające z niematerialnego kontaktu z takim przewodnikiem możnaby ująć w zdanie: „jeśli On tu był, nie ma takiej siły, abym nie poszedł po Jego śladach”.

Zawiedzie się ten, kto zacznie szukać u Herberta szczegółowych streszczeń, długich omówień i banalnych zachwyty „nad pięknem zabytków”. Wyjątek czyni wyłącznie w przypadku obrazów czy fresków, gdzie z lubością stosuje dokładny opis, dając tym samym dowody swoich preferencji formalnych i artystycznych. Nasz podróżnik – jak chirurg – wybiera celnie i bezbłędnie miejsce odwiedzin, wie dużo przed przybyciem, konfrontuje tę wiedzę odwiedzając muzea i przemierzając ulice, szkicuje weduty, robi notatki i – przekazuje nam nie tyle sumę, co e s e n - c j ę prawdy o wybranym miejscu. Jego zdania często brzmią jak krótki wiersz, mają lapidarność westchnienia, klarowność kreski mistrza *quattrocenta*. Wsiadamy w Orvieto...



Do miasta, które leży na wulkanicznej skale, nie ma innej drogi jak pod górę. Wychodzimy z auta nieopodal Porta Rocca, po nieskutecznym objechaniu Piazza Marconi (*zona limità!*). „**FUNICOLARE (TAKIE, JAKIM JEDZIE SIĘ NA GUBAŁÓWKĘ) WYRZUCA PASAŻERÓW KOŁO PORTA ROCCA. DO KATEDRY IDZIE SIĘ JESZCZE KILOMETR, BO TO, CO NAJWAŻNIEJSZE W TYM MIEŚCIE, UKRYTE JEST W SAMYM ŚRODKU I UKAZUJE SIĘ NAGLE.**” Uprzedzony przez Mistrza, po żmudnej wspinaczce wzdłuż jakby znajomych murów (bo „**ORVIETO (...) JEST BRĄZOWOZŁOTE**”), wpadam na Piazza del Duomo. Jest ranek, ledwo po ósmej, dnia 2 czerwca; oko napotyka niewysokie budowle – jakby za małe dla tego placu – które rozstępują się przed ścianą z kamienia, pnącą się wzwyż, kiedy patrzymy nagle w prawo. Zaskoczenie jest tym większe, że nic wokół nie zapowiada splendoru katedry, która nie ma wokół żadnej architektonicznej przeciwwagi, choćby w przybliżeniu równej wielkością i... „**OTACZAJĄCE KILKUPIĘTROWE BUDYNKI PO CHWILI GASNĄ I PRZESTAJE SIĘ JE DOSTRZEGAĆ.**” Zostajemy z cudem sam na sam, jeśli nie liczyć pracujących w skupieniu grupki studentów malarstwa lub historii sztuki oraz gołębi, bez których nic we Włoszech się nie dzieje. Jacyś maniacy, siedząc wprost na kamiennych schodach, Rosanna, Julia, Paolo i – powiedzmy – Silvana, kopiują wytrwale, piórkiem, ołówkiem to, co widać na fasadzie katedry; nie wystarczy im arcydokładna fotografia, ani komputerowa symulacja, którą można

dowolnie powiększać - oni rysują! Nic dziwnego, jesteśmy w Umbrii! Spod markowych sztruktów wyglądają agresywne stringi, ale w dłoniach widzę jak najbardziej tradycyjne przybory.

W tym momencie zdaję sobie sprawę z tematu pracy młodych Włochów i to jest drugie olśnienie. Dół fasady, pomiędzy portalami, zajmują cztery szerokie filary, całe pokryte płaskorzeźbą, więc jest co kopiować, bo to są dzieła „**O ŁĄCZNEJ POWIERZCHNI STU DWUNASTU METRÓW KWADRATOWYCH, KTÓRE CZYTA SIĘ Z LEWA NA PRAWO, A OPOWIADAJĄ STWORZENIE ŚWIATA, GENEALOGIĘ DAWIDA, DZIEJE PROROKÓW I CHRYSYTA ORAZ SĄD OSTATECZNY.**” Płaskorzeźby te wyszły spod dłuta artystów sienieńskich i pizańskich i dziś są chlubą i wizytówką XIV-wiecznej sztuki włoskiej.

Nie mam tyle czasu i chyba skupienia, co Zbigniew Herbert, by analizować szczegóły najstarszej części fasady, jestem za to posiadaczem dobrego aparatu, którego poeta nie lubił. Fotografie przenoszą w czasie moje nieodparte wrażenie, iż katedra spływa bladłososiovym płaszczem, poprzez schody, na plac. Wrażenie to potęguje pionowy rytm skręconych kolumn przy portalach. Jeszcze spojrzenie na rozetę, która „**WYSZYWANA W MARMURZE, ROBI BARDZIEJ WRAŻENIE RZEźBY W KOŚCI SŁONIOWEJ NIŻ ELEMENTU ARCHITEKTURY MONUMENTALNEJ**”, na zwieńczenie fasady w oszałamiających odcieniach złota i błękitu i już wchodzimy do wnętrza.

Półmrok świątyni nie zaskakuje, za sprawą głównie biało-zielonych pasów marmuru na ścianach i dzielących nawy kolumnach, powtarzających wystrój murów zewnętrznych, choć skłania autora „Barbarzyńcy w ogrodzie” do stwierdzenia, że jest tak, „**JAKBY BRAMA ŻYCIA PEŁNA**



PTAKÓW I KOLORÓW PROWADZIŁA DO WIECZNOŚCI SUROWEJ I ZIMNEJ”.

Cisza i monochromatyczny spokój nawy głównej kieruje naszą uwagę do kaplic bocznych, tej lewej (Capella Corporale), której jaskrawym wystrojem zajmował się umbryczyk Ugolino di Prete, sławiąc cud bolsieński, i tej prawej, sławiącej nieprzerwanie imię Luki Signorellego, który w latach 1499 – 1504 namalował tu Sąd Ostateczny. Ulubiony uczeń Piera della Francesca przejął dzieło, które przed przeszło 50 laty rozpoczął słynny Fra Angelico.

Kiedy dokładnie stał tu Zbigniew Herbert – przelatuje mi przez głowę myśl – czy to była wiosna, czy czas winobrania? I jaką świadomość rozwoju malarstwa musiał mieć nasz podróżnik, że w pewnym momencie odważył się na taki sąd: „**NA KONIEC TRZEBA WYRZUCIĆ Z SIEBIE TO BLUźNIERSTWO WOBEC AUTORÓW PODRĘCZNIKÓW: FRESKI W ORVIETO ROBIĄ ZNACZNIE WIĘKSZE WRAŻENIE NIŻ FRESKI MICHAŁA ANIOŁA W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ. MICHAŁ ANIOŁ ZNAŁ I POZOSTAWAŁ POD NIEWĄTPLIWYM WPŁYWEM MALOWIDEŁ W KAPLICY SAN BRIZIO, ALE WIZJA NASTĘPCY DOTKNIĘTA JEST PRZEKWITAJĄCYM PIĘKNEM...**” Stoję przed kaplicą Madonny di San Brizio, która płonie jak ciemny brylant; nie skonfrontuję swoich wrażeń z poglądami Mistrza; w ilu to kościołach chcieli ode mnie kilka euro. Nie zobaczyłbym bym Ciebie, Orvieto, gdybym po drodze chciał z bliska obejrzeć wszystko, co znam i podziwiam... Za-



spokojenie swojej malarskiej ciekawości odkładam do powrotu w to unikalne miejsce, który – wierzę – nastąpi kiedyś jeszcze.

Gdy wychodzimy na plac, słońce jest trochę wyżej, zegar na wieżyczce narożnego domu pokazuje piętnaście po dziewiątej. Tak, to chyba tu... Rozglądam się wokół, nie ma innego miejsca, gdzie Zbigniew Herbert mógł raczyć się białym winem *orvieto*. **„JEDYNA RESTAURACJA, Z KTÓREJ WIDAĆ KATEDRĘ, JEST ODPOWIEDNIO DROGA, JAK WSZYSTKO, CO SIĘ ZNAJDUJE W SĄSIEDZTWIE ZABYTKÓW, GDYŻ PŁACI SIĘ PODWÓJNIE ZA CIEN ARCYDZIEŁ NA MAKARONIE”**. Ileż to razy zaśmiewałem się z Herbertowskiego sarkazmu wyobrażając sobie ów „cień arcydzieła”, który – niestety, widzę to teraz – na stoliki tej knajpki padnie dopiero koło południa! Nie widzę natomiast kelnerki, **„KTÓRA UŚMIECHA SIĘ PO**

ETRUSKU, TO JEST OCZYMA I KĄCIKAMI UST, GDY RESZTA TWARZY POZOSTAJE NIETKNIĘTA WESOŁOŚCIĄ”, a i Pan Zbigniew – zdaje się – nie nadszedł jeszcze! Ale słyszę jego drobne kroki, widzą go pokryte liszajami, szarobrązowe ściany kamieniczek.

„ULICZKI SĄ JAK STRUMIENIE GÓRSKIE, MAJĄ OSTRY NURT I OTWIERAJĄ NIEPRZEWIDZIANE PERSPEKTYWY.” Pozostawiając rodzinę przed katedrą znikam w meandrach Via del Duomo; czasu mam tak niewiele, dziś przecież jeszcze Watykan. Dochodzę do najwyższej Torre del Moro, o tej porze jeszcze zamknięta; podążam na Piazza della Republica, w roztargnieniu zawracam, jeszcze Piazza Scalza, jakieś ciemnomiodowe zaułki, nieliczni orvietanie pokrywają cieniem błyszczący bruk, i już jestem na Via Maitani (jakżesz miałyby nazywać się ulica, w perspektywie której błyszczy tarcza głównego portalu katedry!). **„MOŻNA DŁUGO KRĄŻYĆ PO MIEŚCIE, ALE NIGDY NIE TRACI SIĘ POZUCIA, ŻE KATEDRA JEST ZA PLECAMI I JEJ PRZYTLACZAJĄCA OBECNOŚĆ WYPIERA WSZYSTKIE INNE WRAŻENIA”**. Idąc czuję się zwolniony ze stawiania diagnoz, wylawiania morałów z setek chwilowych olśnień – jest tak jak On przed czterdziestu kilku laty powiedział! Jest właśnie tak! Wraca się przed katedrę, która pojawia się w prześwitach uliczek, jak wielki jasny magnes.

Katedrę w Orvieto wzniesiono na pamiątkę *cudu bolsenkiego* w 1263 roku, kiedy to hostia w rękach wątpiącego księdza przybyłego z Czech zaczęła spływać krwią; konsekwencją wydarzeń znad pobliskiego jeziora Bolsena było niezwłoczne ogłoszenie przez papieża Urbana IV święta Bożego Ciała. I tak oto w tym niespokojnym mieście powstała jedna z najpiękniejszych świątyń przełomu romańsko-gotyckiego. Choć przez trzy stulecia nad jej kształtem pracowało setki twórców, największe piętno odcisnął na niej sienneńczyk Lorenzo Maitani (1270-1330).

Przedłużamy chwile spędzone w pobliżu katedry, jakbyśmy chcieli nałykać się na zapas ożywczego powietrza w bliskości tych duchowych tężni. Tygrysie ciała budowli też zdaje się cicho oddychać. Niech trwa jak najdłużej ta osmoza!

„AUTOBUS ZJEżdża DO STACJI SZEROKĄ SERPENTYNĄ I MIASTO ZARAZ GINIE Z OCZU”. Pędząc samochodem w dół uświadamiamy sobie, na jakiej wysokości spędziliśmy ostatnie dwie godziny. Zawsze ktoś kopiuje płaskorzeźby, a ktoś gapi się niewiele rozumiejąc, ktoś pisze szkice z podróży, a ktoś inny je czyta, ktoś wychodzi z tego snu w prozę doliny i ktoś tu przybywa ciągnąc juki swoich marzeń. Przemijamy, a Orvieto trwa dalej. **„ALE NA RAZIE SĄD OSTATECZNY ZAMKNIĘTY JEST POD SKLEPIENIEM KAPLICY SAN BRIZIO I NIE SPEŁNIA SIĘ NAD MIASTEM. W MIODOWYM POWIETRZU ORVIETO ŚPI SPOKOJNIE JAK JASZCZURKA”**.

POCZĄTEK DZIENNIKA PODRÓŻY

Pierwsza strona dziennika
taka jak bywają
Którędy musiałem przejść zanim stanąłem
na samym początku swojej przygody

Trochę (zupełnie niewiele)
dobrego serca
Ba jeszcze mniej ledwie spełnienie
chrześcijańskich reguł o stosunku do bliźniego
Nie zabijesz
nadziei która była ci dana
i nie wypowiesz fałszywego świadectwa
i nie pozwolisz aby fałszywie świadczyli inni

Potem parę kilometrów
dobrej woli dla swej własnej ziemi
Ba jeszcze mniej Ledwie ostrożność
wobec ideałów z których jest utkana
(Zauważcie że nie mówię miłość
Musiałbym bowiem – a wtedy już bym kłamał –
ogarnąć owo słodkie szaleństwo
być wciąż razem)

Podczas gdy
w bydlęcym wagonie i całkiem na osłep
zbliżam się pomału do początku dziennika

Do drzwi
Do furtki dotąd zamkniętej
i dobrze zamaskowanej

Na razie
nie święcą na niej czerwone litery
PORZUĆCIE NADZIEJĘ
(tym bardziej) tutejsze oznaczenie
PIEKŁO

Z TOMIKU „CESTOVNÍ DENÍK” 1981

**Jaromír Šavrdra**

Jaromír Šavrdra urodził się 25 maja 1933 roku w Ostrawie. Studiował literaturę czeską w Uniwersytecie Karola w Pradze, który ukończył w roku 1956. Od roku 1957 pracował w Ostrawie, najpierw jako bibliotekarz, potem jako nauczyciel w średniej szkole. W 1963 został, jak mówi się w Czechach – „spisovatelem z povolání” czyli zawodowym pisarzem. W czasie zmian i nadziei czyli podczas miesięcy Praskiej Wiosny był redaktorem dziennika „Nová svoboda”, pisywał także dla czeskiego radia w Ostrawie. Tuż po inwazji rozpoczął aktywną pracę w „Spojených ostravských denících”, następnie w brneńskim „Moravskoslezském týdně”. Jego odważne artykuły nie uszły uwadze władz i Šavrdra musiał opuścić redakcję, bardzo krótko pracował jako prawnik w wydawnictwie „Puls” (ukończył również studia prawnicze). Po zamknięciu wydawnictwa był (do czasu, gdy okazało się, że nie ma odpowiednich kwalifikacji) magazynierem, potem robotnikiem, gdy podupadł na zdrowiu przeszedł w roku 1975 na rentę inwalidzką. Od lat 70-tych jako prawnik pomagał ludziom, którzy z wielu absurdalnych przyczyn narazili się reżimowi, a oprócz tego hodował perskie koty, które stały się bohaterami jednej z jego książek.

Jego droga literacka rozpoczęła się młodzieńczymi wierszami już pod koniec lat 40-tych, potem była proza detektywistyczna i fantastyczno-naukowa, w której pod płaszczykiem gatunku poruszał zdecydowanie głębsze problemy. Najwyraźniejsze podteksty polityczne zabrzmiały z powieści „Kniha kolovratů” (Księga karuzeli) wydanej w roku 1971, książka ta nie dostała się już nawet do dystrybucji.

Początek lat siedemdziesiątych to moment, w którym nazwisko Šavrdy zniknęło z oficjalnego kręgu wydawniczego, zaczyna się tym samym czas zupełnie nowej drogi – pisarza zakazanego, wydawcy samizdatów, sygnatariusza Karty

77 i więźnia, który spędził za kratkami niemal 5 lat. Był więziony między innymi za kolportaż nielegalnych książek i własną działalność wydawniczą, jego LIBRI PROHIBITI było jednym z pierwszych wydawnictw niezależnych, powstało bowiem już w roku 1972. Tu ostrawski dysydent wydał między innymi „Archipelag Gułag” i wiele innych książek zakazanych, w tym własne utwory, ściśle współpracował również z praską Edicę POPELNICE Jiřego Gruntorada, dziś słynna czeska biblioteka niezależna nosi nazwę właśnie LIBRI PROHIBITI.

BEZSENNOŚĆ

I jednej nocy
siódma plaga egipska
zakradnie się
BEZSENNOŚĆ

(Zakaz wstępu
do raju powszednich dni gdzie na parę mrocznych
godzin
można zapomnieć o niewolniczej łodzi
okienkach z kratami i dziurach śmierdzących)

Godzina za godziną
defiluje za kurtyną powiek
każda z nich trwa stulecia
Bez początku i bez końca
tylko mrok i mrok i mrok

Godzina za godziną
niepodzielne na minuty
ale na westchnienia

Co odleżysz to nie odsiedzisz
powiadają doświadczeni

Lecz po takiej nocy
po ciemnych godzinach
zatwardziałego mroku

popiskiwanie szczebiocących ptaków
jest naprawdę świtaniem

LISTY

Gdzieś
(lecz nikt nie wie gdzie)
jest cmentarz słońi

Gdzieś
musi być ponieważ słońie
nie są nieśmiertelne

Także
listy które do mnie piszesz
(a wiem że je piszesz
jestem tak zarozumiały że wierzę
jeszcze mnie kochasz)

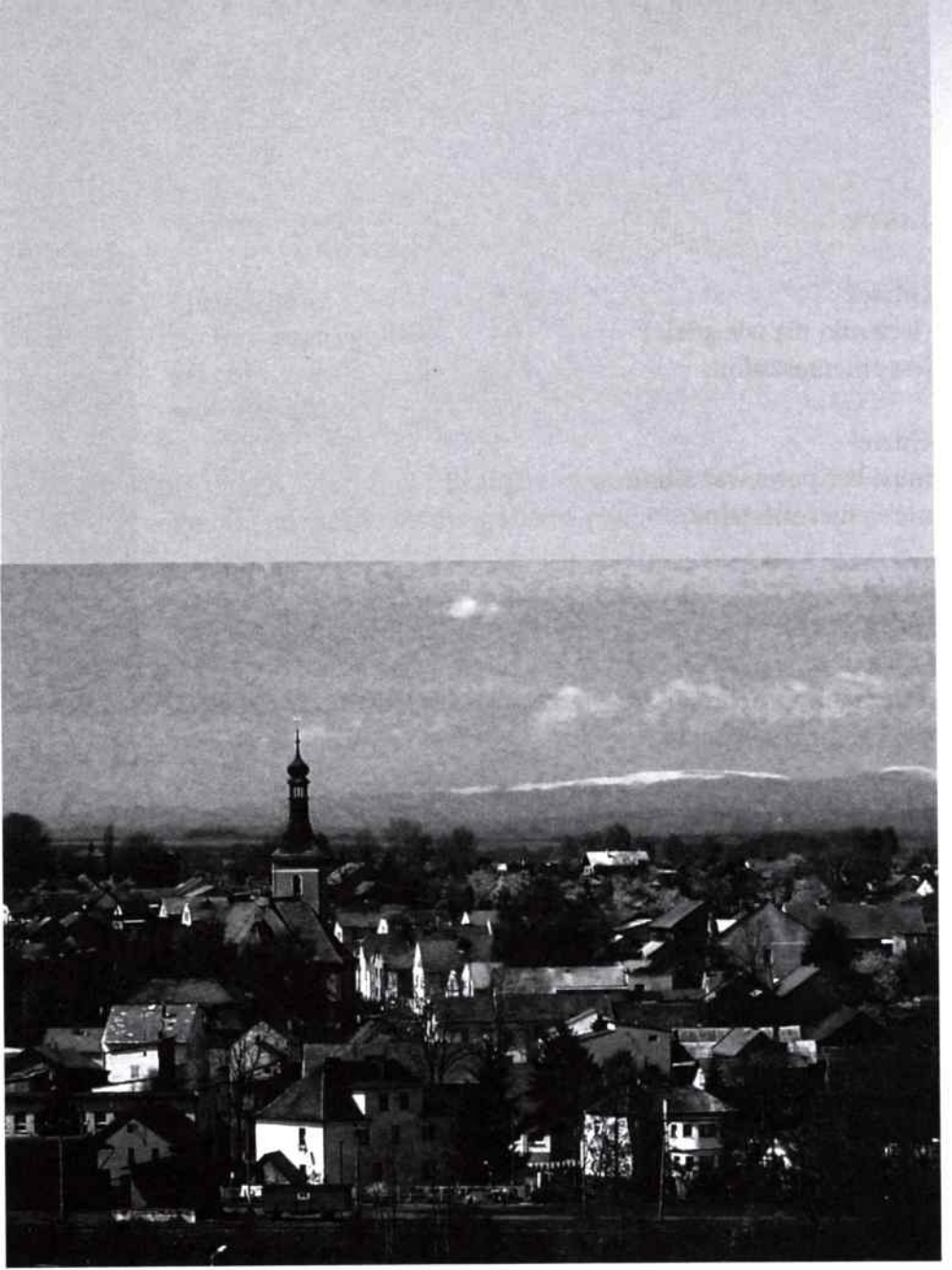
gdzieś są

Gdzieś
lecz nikt nie wie gdzie
jest cmentarz nieczytanych listów
Gdzieś musi być bowiem
jeszcze mnie kochasz

ODDZIAŁ SZPITALNY WIĘZIENIA W BRNIE, CZERWIEC-LIPIEC 1979

TLUMACZYŁA JOANNA MAKSYM-BENCZEW





„SLEZSKÉ SLUNKO”

LITERATURA NA ZIEMI OPAWSKIEJ W LATACH 1990-2003

Dzieło artystyczne jest reakcją na określony bodziec, przy czym może nim być także „duch miejsca”, albo mówiąc inaczej genius loci. Dzieło artystycznemu, zwłaszcza literackiemu, w przypadku, kiedy jest reakcją na klimat konkretnego, blisko znanego odbiorcy miejsca, grozi niebezpieczeństwo przekształcenia się w dzieło kultowe. W Opawie od dłuższego czasu mamy do czynienia z kultem Petra Bezruča, zarówno jako artysty jak i piewcy Śląska. Dzieło kultowe staje się, używając słów Jana Mukařovskiego, pomnikiem, literackim artefaktem, niezmienną rzeczą materialną. Dziedzictwo Bezruča w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku ożywa na nowo w dyskusjach dotyczących autorstwa „Pieśni Śląskich”, ale obserwujemy też jego aktualizację w pieśniach o charakterze folkowym (Jaromíra Nohavicy, Ditty Pfefferovej) albo też poprzez ukrytą karykaturę (v happeningu Aleša Koudeli i Jiřigo Siostrzonka „Funkcja wiatru w twórczości Petra Bezruča”).

Nie brakuje u nas z pewnością miast i miejsc, które inspirują i stają się centrum zainteresowań artystycznych. Czy należy do nich też Opawa i jej okolice? Spojrzenie na literaturę lat dziewięćdziesiątych minionego wieku i pierwszych trzech lat wieku dwudziestego pierwszego pokazuje, że miały tu miejsce pewne działania artystyczne. Zapytajmy zatem, czy były to działania wyraziste, kto je współtworzył i jaka była ich dynamika.

Tutejsze życie artystyczne dociera do szerszej publiczności przede wszystkim poprzez festiwal kultury „Bezručova Opava” („Opawa Bezruča”), który ma długoletnią tradycję, a ostatnio poprzez festiwal multikulturalny „Další břehy” („Kolejne Brzegi”). Nie są to jednak jedyne działania na ziemi opawskiej obejmujące prezentację literatury. Młodzi autorzy spotykają się w trakcie ogólnokrajowego finału konkursu młodych prozaików „Hlavnice A. C. Nora”, zainicjowanego w latach dziewięćdziesiątych, ale większość z nich nie pochodzi z Opawy. Konkurs odbywa się w Hlavnicy, czyli miejscowości, w której spędził dzieciństwo A. C. Nor (właściwie Josef Kavan, ur. 19. 09. 1903 w Opawie-Kylešovicach – zm. 29. 07. 1986 w Pradze). Plonem tego konkursu są ukazujące się regularnie wydania zbiorowe.

Jedyną płaszczyzną, na której regularnie spotykają się młodzi autorzy z Opawy i ziemi opawskiej są warsztaty literackie „Provincie – Pramen slova”, które powstały w roku 2003 jako część szerszego ponadnarodowego czesko-polskiego projektu „Prowincja matecznik słowa – Provincie pramen slova”, przeprowadzonego przez środowisko literackie w Raciborzu, skupione wokół Raciborskiego Centrum Kultury. Na wyniki tych warsztatów, czy mianowicie odkrywają one wyraziste miejscowe talenty, które dalej będą się rozwijać, trzeba jeszcze poczekać.

Podczas gdy w ramach „Opawy Bezruča” odbywa się regularnie konferencja literacko-naukowa, a program jednej z edycji „Odległych Brzegów” przypominał postać Bohumila Hrabala, w Opawie i jej okolicach mieszka obecnie tylko paru autorów aktywnie publikujących i prezentujących publicznie swoją twórczość literacką, którzy zdołali wyjść poza ramy piśmiennictwa regionalnego. Klimat Opawy jako historycznego centrum czeskiego Śląska z wieloma instytucjami kulturalnymi, których znaczenie wykracza poza granice samego miasta powiatowego, tak samo

jak jej przyroda i okoliczne zabytki, mogłyby stwarzać przychylną płaszczyznę i bodźce sprzyjające rozwojowi twórczości literackiej. Staje się to oczywiste w przypadku porównania z nieodległą Ostrawą, z postindustrialnym monstrem, i ze strukturą społeczną tej północnomorawskiej metropolii. Nieocenioną rolę w procesie wzrostu wykształcenia obywateli ziemi opawskiej odgrywa Uniwersytet Śląski w Opawie (Slezská univerzita) i jego wydziały humanistyczne, na których co pewien czas pojawiają się nowe talenty literackie. Do absolwentów opawskiej bohemistyki należy na przykład Jiří Nebeský, któremu renomowane wydawnictwo brneńskie wydało w roku 2000 tomik wierszy „*Džus. Fáze hypostáze (Sok. Faza hipostazy)*”, który doczekał się pozytywnej oceny ze strony krytyki literackiej. Jednakże wielu autorów po ukończeniu uczelni podejmuje pracę poza regionem.

Sytuację w życiu literackim na ziemi opawskiej dodatkowo pogorszył upadek opawskiego wydawnictwa książkowego „Optys”, które od początku programowo kładło sobie za cel publikowanie twórczości autorów śląskich i północnomorawskich. Wyniki konsekwentnej polityki wydawniczej „Optysa” wywołują dziś zakłopotanie. Obecnie na ziemi opawskiej prawie nie można znaleźć wydawnictwa skłonnego do wydania książki niekomercyjnej. Również po przeniesieniu redakcji czasopisma literackiego „Alternativa” (później „Alternativa nova”, obecnie „Alternativa plus”), która wcześniej korzystała z usług „Optysa”, do Ostrawy, nie istnieje na opawskiej scenie literackiej żadne czasopismo, które byłoby platformą dla powstającej w regionie twórczości literackiej i jednocześnie zapewniało przestrzeń do krytycznych przemyśleń na jej temat. Tygodniki regionalne „Region” i „Naše Opavsko” nie mogły w dostatecznym stopniu spełnić tej roli z powodu rzeszy odbiorców nie wyspecjalizowanej pod względem czytelnictwem.

Opawa z nieprzemijającym kultem postaci Petra Bezruča (15.9.1867 Opawa – 17.2.1958 Olomuniec) – przypomnijmy coroczne przemowy pisarzy we wrześniu przy grobie Bezruča – wszystko to mogło zostać przyjęte przez młodych autorów jedynie w duchu postmodernistycznym. Postmodernizm, który odznacza się typową demitologizacją, deheroizacją i dekonstrukcją tradycyjnych toposów, obecny jest w twórczości Petra Motýla (ur. 26.8.1964, Klatovy). P. Motýl debiutował w wydawnictwie M.U.K.L. tomikiem *Ten veliký veliký kamenný dům nebo hrad tam daleko daleko v horách* (1990). Motyw bezručowski rozwinął on w tomiku *Šílený Fridrich* (1992), w którym rozmyśla nad *Pieśniami Śląskimi* Bezruča, wyraża swój autorski protest wobec sztucznie utworzonych mitów, prowokuje poprzez adorację szarości, co przypomina dokument o życiu „robotników, przestępców i pijaków”.

Zaplecze kulturalne braci Motýlów kształtowała również rodzina. Po roku 1968 ich rodzice przenieśli się z powodu prześladowań politycznych z Klatów do Ostrawy, w której łatwiej o anonimowość (rodzice – ojciec, Günter Motýl, dziennikarz i poeta, zatrudniony jest jako wydawca opawskiego tygodnika „Region”, matka, Hermína Motýl jest kierownikiem literackim Teatru Lalek w Ostrawie i scenarzystką). P. Motýl w latach dziewięćdziesiątych współorganizował programy literackie „Śląska Harenda”, razem z bratem Ivanem był inicjatorem powstania czasopisma „Modrý květ”. Tytuł czasopisma przywołuje na myśl parafrazę wiersza Bezruča „Červený květ”. Petr Motýl wyprowadził się poza region Ostrawy, przez co gościł na opawskiej scenie literackiej rzadziej niż jego brata Ivan, który przez pewien okres pracował jako redaktor tygodnika „Region”.

Również w twórczości Ivana Motýla (ur. 18.11.1967, Klatovy) obecne są motywy Opawy (*Rodem lepší, nožem tenčí*)

Kiedy ciarki przechodzą po plecach z powodu samego dotknięcia kości w murze
a stiukowe glazury ściekają z fasad domów jak gdyby to dawno nie były
puste urny nad opawskimi chodnikami
myślisz o wszystkich kolorach miasta
A jednak poręcz w domu Wiktorii Gessner wciąż będzie z popiołu

dlatego że tutaj paliło się zawsze bez pożaru
A płomienie wypalały tylko kroki z cichych klatek schodowych
kiedy Opawa wracała przed północą do domu.

twoje miasto łamie kość
a mury sypią cegły z powrotem do piaskowni
gdzie sobie teraz cicho rozmawiasz z wychudłym szkieletem starej Opawy.

Ivan Motyl pracuje jako dziennikarz. Od roku 1991 organizował wieczory literackie Harenda, następnie od roku 1994 czesko-polskie wieczory (w Cieszynie „Kámen nebo Slovo – Kamień albo Słowo”), w roku 1999 organizował w Opawie Literární mlýn (Młyn Literacki) a od roku 2001 w Hulczynie, w galerii „Červený kostel” urządza tematycznie opracowane wieczory literackie. Poezję tworzy od roku 1988. Uczestniczył w samizdatowym wydaniu zbiorowym *Eliáš v Zahrádkách* (Ostrawa, 1988), jego teksty stanowią część almanachu *V srdci černého pavouka* (Ostrawa 2000). Swoją jedyną tomik poezji *Zloděj ve sklenici* (Ostrawa 1992) wydał nakładem własnym. Mieszka w Hulczynie.

O ile P. Motyl wypełnia tradycyjną bezručowską formę oryginalnym pomysłem, nie zadaje klasykowi gwałtu, wykorzystuje powszechny kult poprzez przytaczanie wersów i strof, to nadużywanie od początku lat 90. ubiegłego wieku chronotopu miejsca urodzenia Vladislava Vančury w Haju koło Opawy na spotkaniach pierwszomajowych członków i zwolenników KSČM (Komunistycznej Partii Czech i Moraw) można skomentować używając słów Vladimíra Macury:

Świat socjalizmu jako konstrukt semiotyczny nie może być już pojmowany jako coś radośnie odległego (Macura 1992: 7)

Usytuowanie Opawy na pograniczu czesko-polskim spontanicznie wywołuje, często na przekór małemu wsparciu ze strony państwa, wzajemne spotkania czeskich i polskich literatów, jak również ponadnarodowe badania nad historią Śląska. Spotkania z wybitnymi polskimi i czeskimi literatami, połączone również z publikacją pozycji beletrystycznych lub wystawą grafiki, zorganizował w Opawie i pobliskim Krnowie tłumacz, historyk literatury i poeta Libor Martinek (ur. 15.1.1965 r. w Krnowie). W czeskich czasopismach literackich (jest członkiem kolegium redakcyjnego zlíńskiego przeglądu literackiego „Psi víno” <”Dzikie Wino>”) przedstawia tłumaczenia poezji polskiej. W Polsce zaś korzystając z pomocy tłumaczy, zwłaszcza z kręgów polskiej mniejszości narodowej, jako członek kolegiów redakcyjnych polskich czasopism (takich jak np. „Radostowa” w Starachowicach, „Plama” w Rybniku, „Pobocza” w Więcborku, albo jako ich stały współpracownik (np. „Literacka Polska” w Warszawie, „Śląsk” w Katowicach, „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” w Kielcach, „Akant” w Bydgoszczy, „Ziemia Kłodzka” w Bystrzycy Kłodzkiej, „Zwrot” w Czeskim Cieszynie) prezentuje współczesnych literatów czeskich (m. in. Z. Rotreklę, J. Hrubego, J. Staňka, Z. Kaprála, J. Zogate, K. Křepelkę, L. Romanską, M. J. Stöhra, M. Huptycha, L. Kasala, V. Křivánka, Z. Janíka, J. Frolíka) i klasyków (J. Zahradníčka, J. Seiferta i in.) Opiekuje się też młodymi autorami z regionu Opawy w ramach warsztatów literackich „Provincie – pramen slova”.

L. Martinek jest autorem bliskim pokoleniowo braciom Motylom. Od roku 1993 pracuje jako bohemiści w Instytucie Bohemistyki i Księgoznawstwa Wydziału Filozoficzno-Przyrodniczego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, w której od roku 2001 mieszka na stałe. Martinek działa aktywnie jako historyk literatury, krytyk literacki i muzyczny, wydawca tomików poezji, tłumacz z języka polskiego, redaktor szeregu opracowań zbiorowych z czesko-polskich konferencji literaturoznawczych w Opawie i konferencji organizowanych przez krnowskie stowarzyszenie *Cesta*

světla (Droga Światła). W roku 2000 obronił doktorat (Ph.D.) z historii literatury czeskiej na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Masaryka w Brnie (rozprawa doktorska *Literatura regionalna ziemi krnovskiej i jej przedstawiciele*). Jako tłumacz poezji polskiej współpracuje z Trzecim Programem Czeskiego Radia, Rozgłośnią Wełtawa. Swoją własną twórczość poetycką prezentował podczas przedsięwzięć literackich organizowanych przez Związek Literatów Republik Czeskiej, Związek Literatów Morawsko-Śląskich i Stowarzyszenie Literatów Polskich w Republice Czeskiej. Był gościem kilku znaczących festiwali poetyckich w Polsce. Na XXIV Międzynarodowej Jesieni Poetyckiej w Poznaniu otrzymał nagrodę „Debiut Roku 2001” za tomik *Co patří Večernici – Sekrety Gwiazdy Wieczornej* (Opawa – Kielce 2001). Jego wiersze weszły w skład antologii czeskiej i niemieckiej poezji z regionu jesionickiego od roku 1945 *Země žulových křížů (Ziemia granitowych krzyży)* (Moravský Beroun 2000). Wiele jego wierszy ukazało się w czasopismach w Republice Czeskiej, w Polsce, w Grecji, w Rumunii, na Słowacji, na Ukrainie i na Litwie) Jest regularnym członkiem jury ogólnokrajowego konkursu prozy dla autorów do lat trzydziestu „Hlavnice A. C. Nora”. Jest członkiem Związku Literatów (od r. 1998), członkiem Rady Związku Literatów (2002) i Związku Tłumaczy (2000). Jest członkiem rady redakcyjnej „Nowin” Uniwersytetu Śląskiego (Opawa). Jako badacz ukierunkowany na literackie kontakty czesko-polskie często wykłada na polskich uniwersytetach i uczestniczy w organizowanych przez nie konferencjach literaturoznawczych (Gdańsk, Katowice, Kielce, Łódź, Lublin, Poznań, Cieszyn, Warszawa). W przygotowaniu są publikacje literacko-historyczne *Martinka „Hledání kořenů. Regionální literatura Krnovska a její představitelé”* (Matice slezská w Opawie), „Polská literatura českého Těšínska po r. 1945” (Uniwersytet Śląski w Opawie).

Czeska i zagraniczna krytyka literacka zauważa w poezji Martinka inspirację poezją Dalekiego Wschodu (haiku) i nawiązanie do poetyki Skupiny 42, przy czym dominantą tematyczną jego debiutu jest świat dzieciństwa i wierność korzeniom rodzym na styku kultur narodowych (por. Agatowski 2002, Cekota 2002, Čermaczek 2002, Harák 2002, Janík 2002, Karwat 2003, Kawałko 2002, Kresowaty 2002, Lebioda 2002, Muška 2002, Rakowski 2003, Rusin 2002, Staněk 2002).

O siedem lat młodszy Libor Pavera (ur. 9.2.1972 w Opawie) jest starszym asystentem na bohemistyce na Uniwersytecie Śląskim w Opawie. Na stałe mieszka w Březovej. Zajmuje się teorią literatury i starszą literaturą czeską. Regularnie publikuje w czeskich, polskich i słowackich periodykach i pracach zbiorowych. Pavera jest autorem trzech książek: *Od středověku k romantismu* (Opawa 2000), *Slovo – paměť – tradice* (Opawa 2001) i *Josef Vašica. Pokus o portrét* (Opawa 2001). Przyczynił się jako autor do publikacji *Kapitoly z literárních dějin Slezka a severní Moravy* (Ostrawa 2000). Współ z ołomunieckim teoretykiem literatury Františkem Všeticką napisał *Lexicon literárních pojmů* (Ołomuniec 2002). Jest członkiem kolegów redakcyjnych czasopism Alternativa plus, Pallas Silesia, Vlastivedné listy severní Moravy a Slezka i członkiem Związku Literatów. Redagował prace zbiorowe będące owocem sympozjów międzynarodowych: *Sv. Vojtěch v české a polské literatuře a v umění – Postać św. Wojciecha w czeskiej i polskiej literaturze i w sztuce* (Opawa 1999), *Romantismus a novoromantismus v české a polské literatuře – Romantyzm i noworomantyzm w czeskiej i polskiej literaturze* (Opawa 2000), *Postmodernismus v v české a slovenské próze* (Opawa 2003). W roku 2001 został doktorem nauk humanistycznych na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Obecnie zajmuje się badaniami nad retoryką i poetyką barokową i homiletyczną twórczością barokowego kaznodziei Daniela Nitscha, działającego na przełomie XVII i XVIII wieku w Cieszynie i Opawie, na podstawie której przygotował i wydał *Dva ať jsou jedno skrze lásku* (Opawa 1999). Przedstawił monografię *Kaznodzieja Daniel Nitsch. Kapitola z barokní homiletiky* (Brno 2003), którą obronił jako pracę habilitacyjną na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Palackiego w Ołomuńcu, w roku 2003. Ze spadku po wybitnym czeskim badaczu literatury Josefa Vašicy wydał wybór jego jeszcze nie drukowanych prac o starszej literaturze czeskiej *Josef Vašica: Eseje a studie ze starší české literatury* (Opawa – Šenov koło Ostrawy 2001).

Najwybitniejszym i najbardziej zasłużonym opawskim historykiem literatury i krytykiem jest Jiří Urbanec (ur. 25.5.1932 w Liskovcu koło Frýdka-Místka). W roku 1961 został przyjęty na stanowisko dyrektora Muzeum Petra Bezruča w Opawie. W latach sześćdziesiątych pracował jako sekretarz komisji odpowiedzialnej za przygotowanie festiwalu kultury Opawa Bezruča. W roku 1967 na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Ewangelisty Purkiniego uzyskał tytuły doktora filozofii i kandydata nauk o sztuce na podstawie obrony pracy *Mladá léta Petra Bezruče*, która ukazała się drukiem w roku 1969. Za czasów tzw. normalizacji pozbawiony był możliwości publikowania, w roku 1972 został odwołany z funkcji dyrektora Muzeum Petra Bezruča, w którym jednak nadal pozostał pracownikiem, a w styczniu 1990 roku ponownie objął kierownictwo tej instytucji. Został wybrany pierwszym dziekanem Wydziału Filozoficznego (od września 1990 do maja 1991) nowo powstałego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Po powstaniu Katedry Nauki o Literaturze, Muzeologii i Fotografii Artystycznej został jej pierwszym kierownikiem, później po wewnętrznych zmianach organizacyjnych doszło do powstania Instytutu Bohemistyki i Księgoznawstwa. W styczniu 1991 habilitował się na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Masaryka w Brnie jako docent historii literatury czeskiej i teorii literatury przedstawiając pracę „Petr Bezruč – Vladimír Vašek 1904-1928”. Od 1.4.1995 do 1.3.2001 piastował funkcję prorektora ds. rozwoju i budowy Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, jednocześnie pracował jako zastępca kierownika Instytutu Bohemistyki i Księgoznawstwa, następnie od roku 2000 pełnił już funkcję kierownika. Jako członek Związku Literatów sprawuje od roku 2000 funkcję przewodniczącego rady ostrawskiego oddziału Związku Literatów. Jest także przewodniczącym jury konkursu prozy dla autorów do lat trzydziestu Hlavnice A. C. Nora. Ustanowił on też tradycję corocznych czesko-polskich konferencji literacko-naukowych, organizowanych w listopadzie począwszy od roku 1995 przez Instytut Bohemistyki i Księgoznawstwa Wydziału Filozoficzno-Przyrodniczego Uniwersytetu Śląskiego w Opawie. Na stałe zajął się postacią Petra Bezruča. Dzięki niemu zostały zgromadzone podstawowe informacje biograficzne dotyczące Petra Bezruča od daty narodzin aż do roku 1928. Przygotował do publikacji korespondencję *Petr Bezruč píše přáteli dopisy z mládí* (Ostrawa 1963). Chodziło o listy Bezruča z lat 1881-1932 do Jaroslava Kunza. Książka *Mladá léta Petra Bezruča z podtitulem Život a dílo 1867-1903* (Ostrawa 1969) nie analizuje bezpośrednio dorobku literackiego, lecz ukazuje obraz złożonej drogi ku niemu; zamyka ją rok 1903. Do pierwotnie naukowo opracowanego materiału nawiązał on w broszurze *Petr Bezruč ve Frýdku a Místku* (Frýdek Místek 1987). Kolejny okres życia Bezruča opracował w książce *Petr Bezruč-Vladimír Vašek 1904-1928. Základní životopisná fakta* (Ostrawa 1989). Jego zainteresowania naukowe nie obejmują jedynie autorów śląskich, czy też problematyki literatury tego regionu, ale interesuje go ogólnie literatura czeska i jej twórcy, zwraca także uwagę na szerszy kontekst europejski (twórczość na uchodźstwie, literatura polska i słowacka itp.). Swoje badania nad poezją czeską lat sześćdziesiątych zawarł w opracowaniu *Strídavý čas naděje* (Opawa 2002). Opracował biogramy regionalnych autorów zamieszczone w *Słowniku biograficznym Śląska i północnych Moraw*. W latach 1961-1972 redagował „Listy Památníku Petra Bezruče, w latach 1962-1964 „Časopis Slezského zemského muzea – vědy historické”, w latach 1969-1972 „Slezsko – Kultura a země”, w latach 1995-2001 „Noviny Slezské univerzity”, od roku 1994 był w kolegium redakcyjnym miesięcznika literackiego „Alternativa” („Alternativa nova”. Bibliografię J. Urbanca opracował L. Martinek, a wydał w roku 2001 Instytut Studiów Regionalnych Uniwersytetu Ostrawskiego. (cdn.)

TLUMACZYŁ JACEK MOŁĘDA

W MALACHITOWEJ GROCIE

w malachitowej grocie w górach Macedonii
spędziliśmy całą antygodzinę

grawitacja przestała działać
i kamienne słupy lewitowały
nam nad głowami

słychać było muzykę sprzed wynalezienia instrumentów
wydobywała się spomiędzy ziarenek ciemności
szczelin między było i będzie

oddychaliśmy prapowietrzem
z jego wszystkimi możliwościami
zapachem pomarańczowego przedświtu świata

Bóg tutaj obmyślał dopiero swój wielki plan
konstruował pierwsze istoty
sprawdzał palcami wymyśloną jeszcze nie teraz
skórę na udach kobiet
oblepiał ściany nietoperzami
które nie wiedziały
gdzie góra a gdzie dół

szliśmy tak niedługo w stronę młodości
stopami lekkimi

to czego dotykały
wyglądało na fale przed pierwszym oddechem

ale nie minęła antygodzina
i trzeba było przywdziać ciało
doczepić duszę do ciała
jak latawiec na niewidzialnej nitce

coś uwierało w butach
coś umierało w trawie
coś zagryzało się w przepaściach

na zewnątrz znów toczyło się niebo
po wyboistych pagórkach kosmosu

2 WRZEŚNIA 2005

BUDZIK PLATONA

ESEJ PODRÓŻNY (FRAGMENTY)

DLA AGATY PIŁAWY

*„Thásos, Samotraka (Samothráki) i Límnos na północy
są raczej rzadko odwiedzane przez turystów”.*

(Z przewodnika turystycznego po wyspach greckich)

2.

Epharisto parapoli! Krępy Grek w niezbyt czystym stroju podaje nam piwo „Mythos”, mit. A my zaczynamy powtarzać mit – siedzimy przecież pod czarną topolą jak w gaju Persefony, i nagle pojawia się dwóch muzykantów – jeden gra małej trąbce o chrapliwym, ostrym dźwięku, drugi wybija szybki rytm na pokaznym bębnie. Za chwilę zbiorą datki i znikną w oliwnym gaju za tawerną.

Budzą nas tu koguty – wygląda jakby trwał tu co dzień poranny festiwal piania. Kotki, ruda-wo-złote ogłaszają głośno chęć do miłości. Psy szczekają pod Mont Ypsarion i od skalistej góry odbija się dalekie echo. Pszczoły zbierają piniowy miód, pracują nad woskiem dla skrzydeł Ikara, dla uszu wojowników Odysa. Syreny jeszcze śpią ukryte w wełnistym gąszczu zielonych gór, ich włosy gęste, splecione jak lwie grzywy, jak włosy trackich kobiet.

„Prawie zawsze wybaczymy to, co rozumiemy” – pisał Lermontow, tu czytany. Na wyspie, która miała kusić śpiewem syren. Współczesny bohater, Odyseusz, odbywałby podróż inaczej i jego dzieje domagają się innego zrozumienia i wybaczenia.

Wczoraj w Potamii wypiliśmy kilo białego wina w restauracji „Platanus” – za plecami na rożnie piekło się jagnię. Spotkaliśmy parę kotów, w tym jednego bez oka, białego z głęboką i ciemną jamką oczodołu. Starzy mężczyźni siedzieli po czterech-pięciu przy stołach. Milczeli, od czasu do czasu podnosili szklaneczki z ouzo i wtedy ożywiali się na moment, wymieniali parę kwestii. Razem wstawali od stolika i odchodzili w granatowy wieczór. Przy stoliku właściciele siedział mężczyzna z siwym wąsem. Szlachetna twarz – nauczyciel, emerytowany aptekarz, lekarz? Czytał tom wierszy. Niespiesznie. Odrywając co jakiś czas wzrok od linijek tekstu, wpatrzony przed siebie.

3.

Dzisiaj w powodu zachmurzenia idziemy do dalszego i większego miasteczka – Panagii (poświęconego Matce Boskiej). Najpierw drogą nadmorską wzdłuż zatoki w lewo, potem pod górę. Wrócimy ruchliwą szosą okalającą całą wyspę, mijając po prawej Potamię z jej dwoma ślicznymi, ma-lutkimi kościołkami, utrzymanymi w kolorach bieli i błękitu jak grecka flaga i wnętrza tutejszych muszelek wyrzucanych przez fale.

Nie trafiliśmy. Błądziliśmy więc przyjaznym labiryntem rudawych ścieżek między gajami oliwnymi i pasiekami. Stada owiec chroniły się w skąpym cieniu pojedynczych oliwek. W odstępach kilometra dwie kapliczki z pięknymi ikonostasami – pod wezwaniem Mikołaja i Paraskewy. Wchodzimy, zapalamy świeczki, zostawiamy datek.

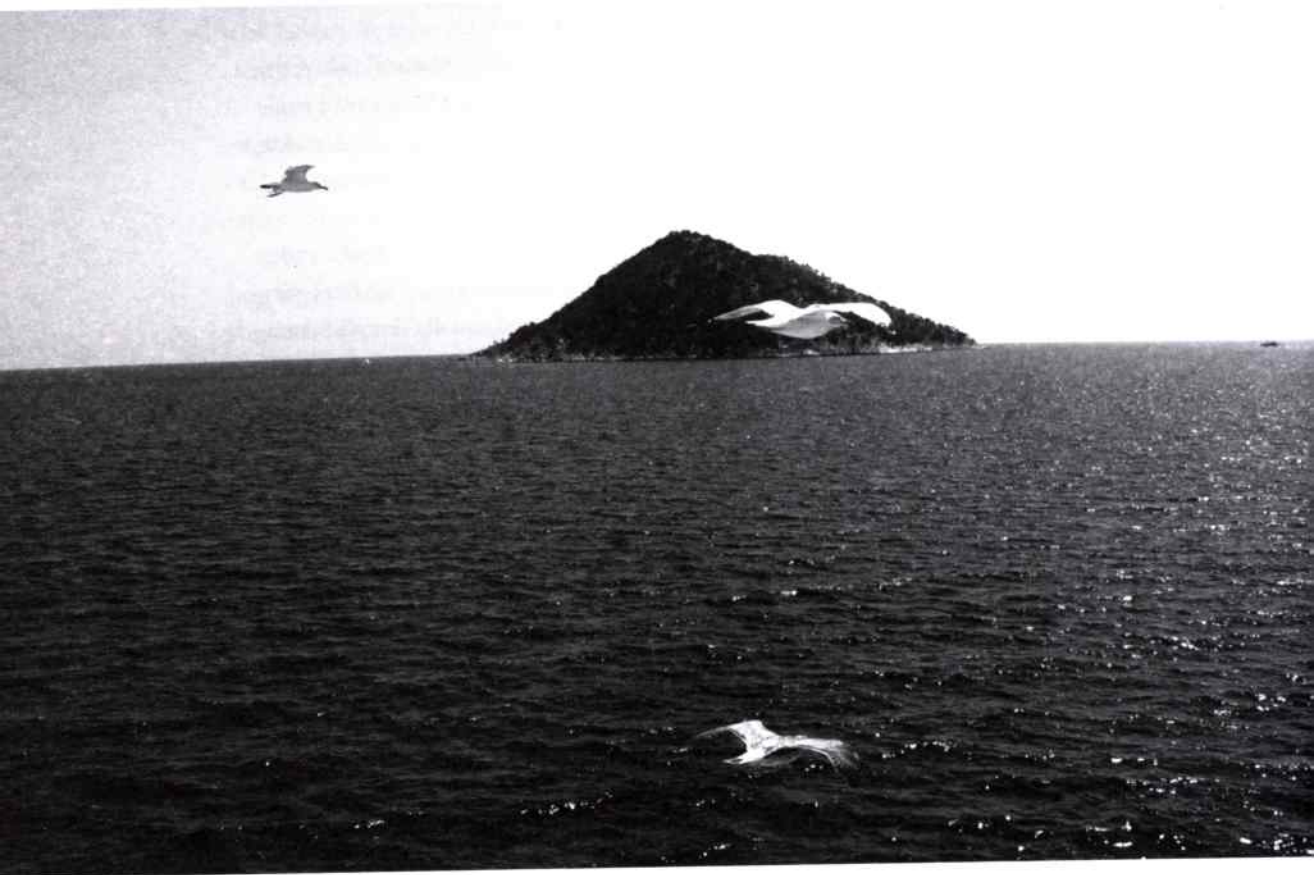
Przy drodze śpi zwinięty wąż, który raczył pozować do fotograficznego portretu; potem wyda się większy, groźniejszy.

Splecione, cienkie pędy oliwek tworzą z czasem gruby, ażurowy pień, w którym można się schronić przed złym okiem albo powierzyć drzewu skarb.

5.

Zasypiając w cieniu na piasku, słyszy się najpierw pojedyncze fale, które, wraz z naszym zapadaniem w głębię, zmieniają się w jednostajny szum snu. Teraz śnienie jest rzeczywiste: świątynia, w posadzce której jest zejście do pieczary. Unosi się z niej pachnący dym. Wieszcza siedzi przy trójnogu z żarzącymi się węgielkami. Jest ślepa – białymi oczami przygląda się ciemności. I zaraz słysząc: - „Już czwarta”. Budzisz się gwałtownie. Wielka fala znów dzieli się na siedem faz, których syk wyraźnie zaczynasz odróżniać. Jeszcze spięty, zeszywniały, z przymkniętymi oczami wchodzisz zdecydowanie do morza.

Przypominasz sobie, że przy wieszczce, prawie u jej stóp, leżał zwinięty wąż.



7.

Odkąd prawie naocznie oglądaliśmy tsunami, i pamiętając relację Platona o zagładzie innego lądu, wygubienie rasy ludzi „najuczciwszych i najszlachetniejszych, jacy kiedykolwiek byli”, z lękiem patrzymy czasem na płaszczyznę wód. Czy za siódmą albo dziewiątą falą, którą przyjmujemy z dziecięcą radością, zmagając się z nią ze śmiechem, nie przyjdzie ta najpotężniejsza, najcichsza, pogrążająca i zabierająca wszystko i wszystkich. Wygaszająca ten świat.

9.

Mylny jest obiegowy sąd, że poeci i filozofowie to ludzie niepraktyczni, naiwni marzyciele, nieudacznicy.

Poeta Archiloch, syn króla Paros, Telesiklesa, był budowniczym stolicy wyspy Thassos. Wyrocznia delficka poleciła jego ojcu: - „Powiedz swemu ludowi, że rozkazuję zbudować na tej wyspie

miasto, które będzie widoczne zewsząd”. Mieszkańcy Paros posłuchali głosu wieszczki i ufundowali miasto na skalistym, północno-wschodnim wybrzeżu.

Filozof Platon wynalazł budzik wodny, przy pomocy którego zrywał ze snu swych uczniów o określonej godzinie. Archimedes wymyślił ślimacznice – maszynę do podnoszenia wody z kopalni czy dna okrętu. Empedokles w piątym wieku pne. uregulował na Sycylii bieg strumieni, powodując tym samym osuszenie podmokłych okolic miasta Selinunt.

Nie wiemy albo nie pamiętamy, że „wiek złoty” był także porą technicznych wynalazków i odkryć wspomagających pracę człowieka, a w teatrach dzięki nim stosowano zadziwiające widzów urządzenia, jak choćby rozsuwające się kurtyny, wyrastające spod ziemi postacie. Rozbrzmiewające z ukrycia organy wodne.

Tak połączyły się marzenia z praktycznością, rzemiosło z natchnieniem. Skąd zatem te nieczne posądzania myślicieli i artystów?!

12.

Przewodniki podają, że tasjańskie wina chwalone były przez większość poetów starożytnych. Co robiła w tym czasie mniejszość?

13.

Po zbudowaniu stolicy Thassos (dziś nazywanej także Limenas) poeta opisywał wyspę w następujący sposób: „sterczy w górę jak osli grzbiet pokryty zielonymi lasami”. Powoli odkrywano bogactwa wyspy i jej tajemnice – pokłady złota i srebra, drewno (należące w Grecji do produktów bardzo poszukiwanych) i białe marmury. Do dziś widoczne są zbocza wyglądające z daleka jak wypiętrzona dziwna układanka z oślepiąco białych płaszczyzn, nie zapisane karty ustawione precyzyjnie jedna obok drugiej w kilkunastu poziomach.

16.

Mówiono, że to jest wyspa Syren, wabiących żeglarzy. Ale to chyba nieprawda, wymyślona na potrzeby bedekerów. Nie ma tu skał, które by broniły dostępu do lądu, a to przecież jeden z warunków – według obiegowego sądu – istnienia Syren.

Jeśli więc nawet były tu Syreny, to nie te, przed którymi bronił się Odys, wracając z towarzyszami do Itaki, do swego pałacu, na wzgórzu zwanym Pilikata.

Tamte zamieszkiwały którąś z wysp w pobliżu zatoki neapolitańskiej czy może koło półwyspu Sorrento.

Karl Kerényi pisze: „wyodrębniono dwie grupy Syren, po trzy w każdej. Jedna z nich ma odpowiadać Syrenom przedstawianym przez Homera. Jeśli chodzi o ich imiona, przekaz podaje różne wersje: Telksepeja to ‘czarowna’ /.../; Aglaope to ‘ta o wspaniałym głosie’; Pezynie mogłaby być ‘ogłupiająca’. Drugą grupę tworzą Syreny czczone w Wielkiej Grecji, na wybrzeżu Morza Tyrreńskiego, dzisiaj w południowych Włoszech: Partynope ‘dziewicza’, znana była w Neapolis, dzisiejszym Neapolu; Leukozja, ‘biała bogini’, oraz Ligeja, ‘o dźwięcznym głosie’, znane były na południu od Neapolu”.

Ciekawsze może i bardziej niepokojące jest to, co znajdujemy czasem w dolnych, mniej uczęszczanych partiach książek, w piwnicach przypisów. W jednym z takich ciemnych miejsc Robert Graves objaśnia, że Syreny są drapieżnymi ptakami, kuzynkami harpii. Nie są to więc apetyczne kokietki, słodko i fałszywie wabiące ludzi morza.

„Były szczególnie groźne w bezwietrznych godzinach porażeń słonecznych i widziadeł sennych podczas sjęsty”. Dlatego strzeżcie się podróży bez nakrycia głowy i opalający się bez umiaru; Syreny mogą być wszędzie, pojawiają się w południowych godzinach każdego świetlistego dnia, jak ten, który wstaje dziś z morza.

18.

Kiedyś ludziom starczało do życia niewiele przestrzeni. Kilka ulic za murami, ryneček, gdzie teraz doświadczeni życiem mężczyźni przesiadują wieczorami w osterii. Powolny czas. My przebiegamy w upale kilka metrów w tę i tamtą stronę. Przystajemy. Pochylamy się nad studnią. Z kamerą i aparatem jak bronią, która wszystko dla nas trwale unieruchomi. I zaraz nuda mieszkańców wielkich miast, niezrozumienie sensu tutejszego sennego bezruchu. Łup z tego miejsca zabierzemy do domu. Tam może przyjdzie zastanowić się nad kształtem tutejszego życia. Ale setki obrazów nie przyniosą wizerunku całości. Nie uzyskamy na nowo tamtego życia w skali 1:1, nawet gdybyśmy zapisali duszę władcom podziemi.

19.

Kiedy u nas wybucha powstanie styczniowe, w 1863 roku statua bogini zwycięstwa, Nike z Samotraki, wędruje do Paryża. Odtąd jest jedną z bardziej znanych ozdób naszej cywilizacji i zdobyczy Luwru.

20.

Polignot, wielki artysta, znany wyłącznie z przekazów innych. Nie pozostało po nim żadne dzieło, oprócz imienia. Jest w pierwszorzędnej sytuacji – żadnej odpowiedzialności artystycznej! Ale to w końcu nie jego wina.

24.

Dziś wieczór w Potamii w tawernie „Platanus” znów witał nas jednooki biały kot. Prócz karafki czerwonego wina doskonały jogurt z koziego mleka z miodem i orzechami. Jogurt gęsty jak ser, lekko kwaskowaty, kremowy. Potem droga w dół pełna gwiazdzistego nieba, łąki niebiańskiego światła. I krwawy księżyc, kawał lawy wynurzającej się z morza.

25.

Przed wyjazdem do Pawłowego Filippi i jaskini w Alistrati nad ranem nerwowy sen. Drzwi: przez nie przechodzimy w dziwnych strojach sprzed kilkadziesiąt lat. Mamy jechać w odwiedzinach do angielskiego pastora. Drzwi: dom, w którym mieszkali nasi bliscy zmarli podlega wielu przeobrażeniom. Z ich mieszkania zrobiono restaurację. Z wyposażenia dawnego wnętrza pozostały drzwi. Teraz dom zburzony do poziomu parteru i tylko została fasada podparta z tyłu grubymi balami drewna, z których można by zrobić maszty dla naszych bojowych okrętów.

26.

W Filippi baptysterium św. Lidii, tutejszej pierwszej chrześcijanki i w pobliżu święta rzeczka Zygactis, w której Paweł przyjmował do wspólnoty pierwszych chrześcijan. Teraz zrekonstruowano tu mały nadrzeczny amfiteatr, służący nadal obrzędowi chrztu. W tym mieście dwa płyny – zanurzamy palce w świętej rzece; na parkingu szybko pita dobrze zmrożona coca-cola. Upał na równinie daje się bardziej we znaki.

27.

Z Filippi kierujemy się, jadąc przez miasto Drama (blisko stąd do świetnych podobno centrów sportów zimowych) do jaskini Alistrati. Odkryta przez pasterzy w 1977 roku, którym co jakiś czas ginęły owce w dziwnej szczelinie wśród łagodnie pofałdowanych wzgórz. Wrażenie zanurzenia się w innych wymiarach czasu nie-ludzkiego i przestrzeni poza obowiązującym

jącą na powierzchni grawitacją. Podziemny spacer podświetlonymi korytarzami, gdzie zza skał dobywa się muzyka, a skalne formy przypominają meduzy i kwiaty, organy i spaghetti, fallusy i schody. Czujemy jakby ugięto się podłoże, i zaraz zostaniemy wchłonięci przez fale innej przestrzeni, przez wiatr podziemi.

Z ulgą wychodzimy na powierzchnię przez podwójne, stalowe drzwi, bramy innej temporalności. Zostawiliśmy słońce na bezchmurnym błękitnie, teraz jakbyśmy pojawili się na tej łące całkiem innego dnia – zachmurzenie, ciężkie powietrze, lepki żar.

28.

Gdy znad morza Trackiego przychodzi gwałtowny deszcz młode Greczynki-kelnerki płynnymi okrężnymi ruchami, przy pomocy żelaznej korby, wymyślonej zapewne przez starożytnych, opuszczają szybko markizy, aby deszcz nie zmoczył klientów pijących właśnie Greek cafe.

29.

ZDOBYCIE THASSOS

Zawiesiłem na piersi srebrnego lwa na łańcuszku
i wkroczyłem wieczorem do stolicy Thassos.

Uznano mnie za króla,
nosiłem, o czym nie wiedziałem,
ich stary znak – klucz do tajemnicy.

Poprowadzono nas do złotego kastro na stoku góry.
Trireme kołysała się w przystani
i załoga sprawdzała wiosła.
Wielki, krwawy żagiel z głową Meduzy
czekał na postawienie.



Starszy z ludu pokazał groźne tormenta,
zmyślne maszyny wojenne.

W mieście pojawili się znów Fenicjanie,
oferowali kosmetyki i dobrą beczyność.

Posadzono mnie w purpurze na tronie,
na owczej skórze.

Kelner podał moim kobietom czekoladowe lody.

Miałem wygłosić mowę do ludu,
ale tylko tajemnym znakiem pobłogosławiłem tłum.

Syreny milczały, leżały na białych kościach dawnych żeglarzy.

Szalbierze wymieniali fałszywe drachmy na euro.

Ocean miał kamienie na piasek.

32.

Maszyny wojenne wykorzystujące elastyczność lin i specjalnie spreparowanych jelit wynaleziono na konkurs ogłoszony wśród starożytnych inżynierów przez tyrana Syrakuz, Dionizosa Starszego.

Tukidydes o nich nie wspomina, Diodor ledwo napomyka, pisząc o Peryklesie. Z pięciu głównych maszyn wspomagających przede wszystkim oblegających nieprzyjacielskie miasta znamy do dziś tylko katapultę. Wyrzucane przez te urządzenia pociski leciały na odległość między rozłożonymi obozem oblegającymi, a murami miasta.

39.

Na rewersie monety o nominale dwóch euro byk-Zeus porywający Europę, córkę Agenora, króla Tyru, jedną z najpiękniejszych kobiet ówczesnego świata. Zamieszkali potem na Krecie i Zeus spółdził z nią trójkę dzieci.

Agenor wysłał synów na poszukiwania uwięzionej – jeden z braci, Thassos, zawędrował aż na tę wyspę, a bojąc się gniewu ojca (bo nie wypełnił przecież jego nakazu), osiedlił się na niej.

40.

Czyimi wysłanniczkami są tutejsze muchy? Persefony? A liczne pszczoły? Dostarczające nie tylko pysznego miodu piniowego, ale i wosku na cienkie, złoto-brązowe, słodko pachnące świeczki do klasztorów i kapliczek.

Grecy składali raz w roku ofiarę z wołu Zeusowi Apomyiosowi, aby ich ochraniał przed muchami.

41.

Miałem rację – nie ma drzew czarnych oliwek. Czarne to te, które najpóźniej zostały zebrane. Na Thassos najczęściej sprzedaje się czarnych w zwykłych plastikowych torebkach związanych gumką-recepturką. Mają intensywny smak i zapach wędzonego, mięsistego owocu. Napowietrznego, szlachetnego mięsa?

42.

Wieczne, dobre morze, kali thalassa. Wchodzimy doń i wychodzimy pchani jakimś pierwotnym ruchem, przyciągani magiczną mocą. Na brzegu ciała kobiet w różnych pozach, odsłonięte piersi z różowymi sutkami. W pobliżu bawią się dzieci. Czy pochodzą ze związku tych kobiet z mieszkańcami podwodnej pustyni? Między rozchyłone półsennie kolana wpływa morze. Jakże łatwo w takiej sytuacji może dojść do poczęcia słonego, wilgotnego dziecka?!

43.

Jest późna godzina. W jednym z barów nadmorskiej promenady obok nas siada para. Chłopak ubrany niedbale. Dziewczyna w eleganckiej czarnej sukience. On wyjmuje papierosy i komórkę, ona kładzie na stoliku swoje papierosy i telefon. Zamawiają drinki za ostatnie pieniądze. Telefony milczą. Oni ze sobą nie rozmawiają. Dziewczyna wstała od stołu w czasie kolacji, bo ojcu bardzo nie podoba się ten chłopak. Powiedziała, że więcej jej w tym domu widzieć nie będą. Skąd wzięły się te ostateczne słowa w ustach? On uniósł się honorem, siedzi teraz koło niej. Ona z trudem powstrzymuje łzy; myśli, co teraz zrobić. On zastanawia się, czy ta dziewczyna naprawdę jest tak



ładna, że warto spędzić z nią resztę życia. Ma skłonność do tycia jak większość tutejszych kobiet, po dziecku będzie wyglądać jak jego ciotka. W bramach siedzą stare kobiety, tkają nic wieczoru. One wiedzą, że nie ma gotowych rozwiązań, a życie pod koniec każdego dnia domaga się dramatu. Ta historia musi rozwinąć się w jakiś znany sobie sposób.

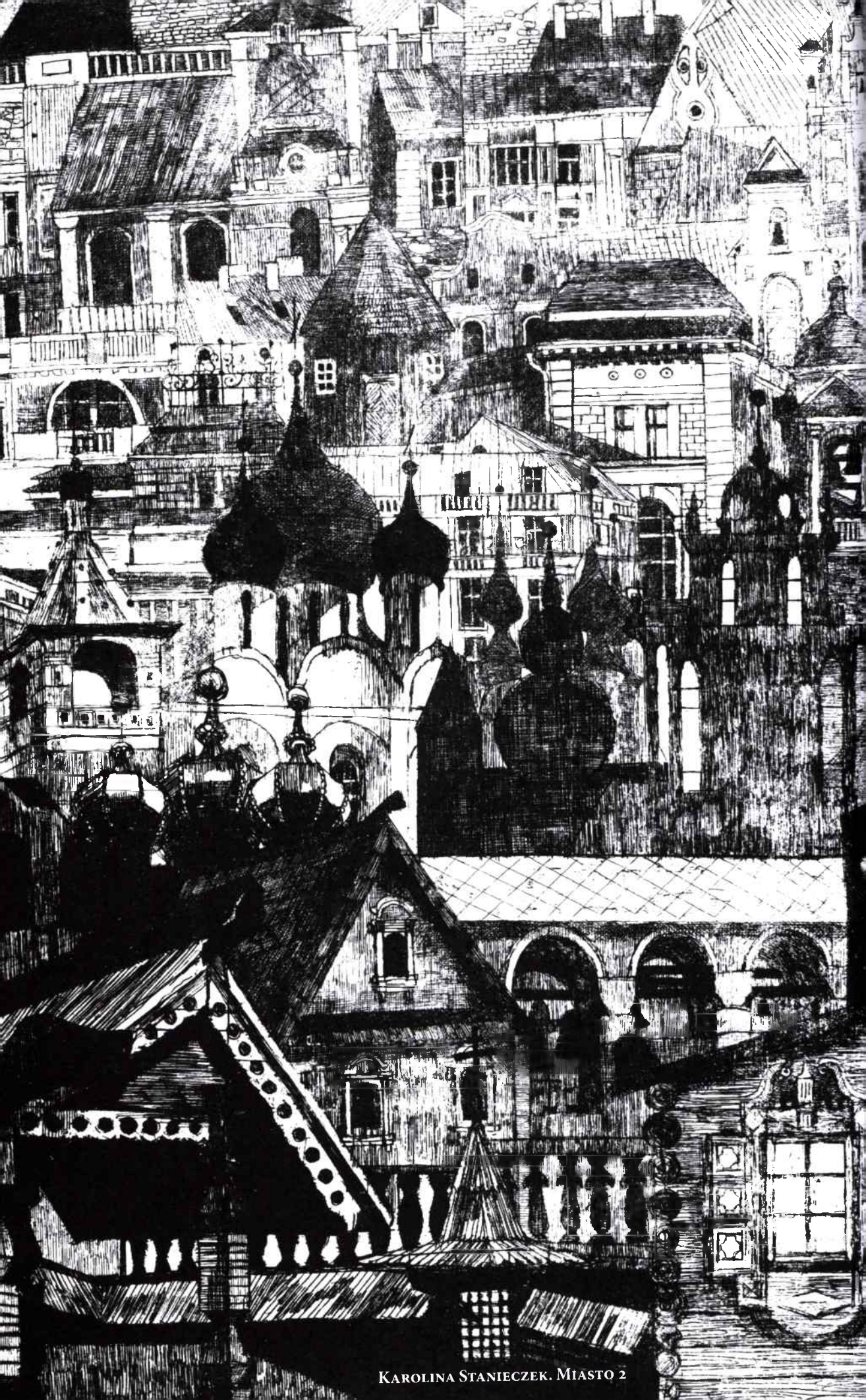
47.

Znaczące:

via Ignatia, starożytny trakt, którego fragment widzieliśmy w Filippi, a który łączył Rzym z Konstantynopolem, dochodzi do nowoczesnej autostrady wiodącej do Stambułu.

My już odjeżdżamy inną drogą, na północ.

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ 2005



BOLESŁAW MICIŃSKI

— KRYTYK EUROPEJSKIEJ CYWILIZACJI

Bolesław Miciński należy do najciekawszych i zarazem najmniej znanych polskich eseistów. Kiedy umierał w 1943 roku, miał zaledwie 32 lata. Niewiele napisał, a jeszcze mniej opublikował. Jest rówieśnikiem Miłosa, Andrzejewskiego, Wyki, Gombrowicza. debiutował jako poeta, ale najciekawsze są jego eseje. Nieprzypadkowy jest wybór eseju jako formy wypowiedzi. Teksty Micińskiego to nieustanne poszukiwanie: sensu, wartości, ludzkiej autonomii, miejsca człowieka w świecie naznaczonym ucieczką od tego, co indywidualne. A skoro – jak pisał – *esej nie rozwiązuje problemów, ale je stawia*, to w nim właśnie najlepiej będzie można wyrazić to, co niejednoznaczne i nienaukowe.

Zagadnieniem, które interesuje Micińskiego szczególnie, jest problem autonomii ludzkiej jednostki. Wynika to zapewne z wiary, że *tylko jednostka jest nieśmiertelna – tylko przed nią otwarta jest wieczność*. Człowiek w koncepcji Micińskiego jawi się jako jednostka w sobie samej odnajdująca podstawowe wartości, decydująca o sobie i swoim losie. Dlatego tak często Miciński przeciwstawia w swoich esejach człowieka rzeczywistości przedmiotów.

Według Micińskiego człowiek nie podlega tym samym prawom, co przedmioty. W jednym z listów do Juliana Tuwima napisze: *Jestem takim, jakim chcę być*. Taka koncepcja ludzkiej osobowości wyrasta z przekonania, że człowiek tylko w samym sobie może dostrzec wartości niezbędne do odbudowy swego jednostkowego bytu. Miciński uczynił więc własne rozterki i poszukiwania tematem swych esejów. Wędrowka w głąb duszy jest zatem wyrazem całkowitej autonomii człowieka. Według autora „Myśli o wojnie” człowieka można zrozumieć tylko wtedy, gdy na jego zachowania spojrzysz się okiem interpretatora. Jeżeli w ogóle możliwe jest zachowanie ludzkiej podmiotowości, to tylko poprzez odczytywanie obrazów i symboli pojawiających się w marzeniach sennych, poprzez analizę czynów, słów i gestów człowieka. Miciński powtarza tym samym postulat Sokratesa, by poznawać samego siebie. Postawa ta jest ważna szczególnie w sytuacji, kiedy w miejsce jednostki wprowadza się zbiorowość i próbuje się zmienić pojmowanie rzeczywistości, zastępując trud tworzenia hierarchii wartości „podglądowiczostwem” i ciekawością. Słowo „ciekawe” zstępuje w tak pojmowanym świecie pojęcia dobra i zła. Dlatego Miciński – co niejednokrotnie podkreśla – nienawidzi czasów przedwojennych przede wszystkim za zniszczenie poczucia wielkości, za brak pokory i dystansu, za „rentierstwo psychiczne”, które polega na pozbawionym uczuć i emocji korzystaniu z powstałych w cierpieniu wartości. Właśnie wtedy człowiekowi odebrano poczucie wielkości i imiona własne (...) zaczęto pisać małą literą. Człowiek, według Micińskiego, potrzebuje wielkości transcendentnej, niewymiernej, tajemniczej. Pozbawiony pokory, nadziei i wiary utracił sens i cel istnienia. By możliwe stało się odzyskanie tych wartości i dotarcie do szyfru pozwalającego zrozumieć człowieka, konieczna jest podróż do „piekieł własnej osobowości”.

Podróże do piekieł opublikował Miciński w 1937 roku w bibliotece „Po prostu”. Od początku doceniono niezwykle walory tego eseju. Zwracano uwagę na elegancję stylu, na trafność sądów i odczytań, wreszcie na nasycenie tekstu – posługując się określeniem Kazimierza Wyki – „pieczęcią osobowości”.

Podróże do piekieł to siedem szkiców, których bohaterami są wszystkie ulubione postaci Micińskiego. Spotykamy tu i Odyseusza, i Hioba, Robinsona i Pickwicka, Eneasza i Kartezjusza. Ta niewielka książeczka jest bowiem podróżą w głąb ludzkiej duszy, stanowi próbę dotarcia do szyfru pozwalającego zrozumieć człowieka. Miciński ma świadomość, że człowiek zafascynowany jest złem, że historia kultury to niekończąca się wędrówka przez piekło, podróż do doliny Jozafata. Przywołując postacie bliskie mu od dzieciństwa, autor *Dyżansu filozoficznego* stawia pytania o wartości, o możliwość ich zachowania - a tym samym zachowania ludzkiej jedyności - w świecie „okrucieństwa, abstrakcji, nienawiści”, w świecie ciekawości i totalizmów. Bohaterów, jakże różnych z pozoru, łączy jedno: wszyscy odbyli „podróż pokutną” do piekła. W ten sposób eseista - na co zwracał uwagę Konstanty Regamey - *rozpatruje ciągle ten sam problem tajemnicy osobowości ludzkiej i deformacji rzeczywistości, wynikającej z podświadomego niepokoju i lęku przed tą rzeczywistością*. Dla Micińskiego rzeczywistość powinna być „niezmienna i wiecznotrwała” i zapewne dlatego tak mocno odczuwał ulotność i złudność otaczającego go świata. Wędrując wraz ze swymi bohaterami do doliny Jozafata, poszukuje po prostu trwałego punktu oparcia. Jednak droga do niego prowadzi przez piekło własnej osobowości. W liście do Kazimierza Golonki z sierpnia 1937 r. stwierdza: (...) *w mojej interpretacji podróż „pokutna” prowadzi do osobowości*. Zainteresowanie piekłem bohaterów ma w sobie coś z autoterapii. Dla Micińskiego postacie te są wzorem ludzkich zachowań. Interpretując ich losy, szuka odpowiedzi na dręczące go pytania: jaka jest istota dobra i zła? Dlaczego częściej człowiek ulega złu niż dobru? Jak przełamać w sobie negację? Kluczem do znalezienia rozwiązania tych problemów jest przejście przez prywatną dolinę Jozafata. Pozwala ona na określenie granic naszej jednostkowej wolności w świecie naznaczonym tragizmem. Miciński za Maxem Schelerem przyznaje, że tragiczność jest zjawiskiem uniwersalnym. Nie jest jednak dekadentem. Odwiedzając ze swymi towarzyszami podróży ów „piekielny ogródek”, pragnie dojść do nieba. *Odyseusz wstąpił do państwa śmierci, aby obnażyć mechanizm konieczności* - stwierdza. Człowiek posiada co prawda wolność wyboru, jednak przeznaczenia uniknąć się nie da, albowiem - jak mówi - *walka z tragiczną koniecznością przypomina partię szachów z Tamerlanem, który zwyciężąc ścinał za zuchwałość, a pokonanego za nieudolność*.



W interpretacji Micińskiego Odys ukazuje się nam jako archetyp człowieka, który jest istotą rozumną, który jest ową Pascalowską trzciną myślącą. To zresztą sprawia, że podróż pokutna Odysusza prowadzi go do doliny Jozafata, z której wyruszy w dalszą drogę już nie jako „przemądry”, ale jako „pobożny” wędrowiec. Człowiek nie może żyć bez Boga, bez owej rzeczywistości absolutnej i ostatecznej instancji, ponieważ wtedy „nie posiada w sobie racji istnienia”, jest słaby i odkrywa w sobie wrota piekieł. Tak właśnie dzieje się z Hiobem i Robinsonem Cruzoe.

Hiob, tak tragicznie doświadczony przez Boga, *musiał* - jak stwierdza Miciński - *utracić wszelką wiarę w samego siebie: pojął nicość swego rozumu i kruchość kręgosłupa*. Tych samych przeżyć musiał doznać wyrzucony na Wyspę Rozpaczy Robinson Cruzoe. Bohater powieści Daniela Defoe - podobnie jak Odysusz - stanął w ten sposób u wrót piekła. Było to piekło jego własnej osobowości.

Odkrycie tego faktu oznacza jednocześnie uświadomienie sobie, że człowiek bez Boga jest sam, że *rzeczywistość przecieka mu przez palce - rzeczywistość płynie strugą i zapada w mroczne piekło namiętności*. Pozbawiony trwałego punktu oparcia porusza się w świecie jak ślepiec, nie potrafi pokonać własnych złudzeń. Dlatego smutną rzeczywistość próbuje się zastąpić fikcją, światem zupełnie zdeformowanym, w którym bohaterowie są zawsze niezmienni. Taki świat zamieszkują Pickwick, Old Shatterhand, kapitan Nemo czy Fileas Fogg. To kraina, w której dominują niezmiennność i wiecznotrwałość, do których tak tęsknił Miciński. Jednak osiągnięcie tego stanu, poza oczywiście marzeniami, jest niemożliwe. *Wszystko przemija, a ziemia na wieki stoi - czytamy u Eklezjastesa*. Od piekła nie da się uciec. Jak mówi Miciński: *Nie gwiazdy, ale pragnienia i namiętności rządzą człowiekiem*. Wyprawa do piekieł zostaje tym samym wpisana w każdą wędrowną, szczególnie w tę, która prowadzi do poznania samego siebie, którego konieczność głosił już Sokrates.

Poznanie samego siebie może, ale nie musi, prowadzić człowieka do odnalezienia swego aksjologicznego zakorzenienia. Losy przywoływanych przez Micińskiego „podróżników do doliny Jozafata” przekonują, że na końcu tej drogi znajdują się najczęściej zwątpienie i rozpacz. To niewątpliwie słabość, z jaką boryka się każdy człowiek. Tę słabość odkrył w sobie Kartezjusz, ten z bohaterów rozważań autora *Dyliżansu filozoficznego*, którego pragnął za wszelką cenę uratować.

Kartezjusz co prawda również zwątpił, ale w przeciwieństwie do innych „pokutnych wędrowców” postanowił znaleźć w sobie oparcie. Tym punktem stała się dla niego etyka, która oznaczała według Micińskiego podstawowe „zasady życiowe” regulujące ludzkie działania i stosunki. Kartezjusz - jak pisze autor *Myśli o wojnie - Wątpił, ale nie wątpił w to, że zwątpienie nie rozgrzesza i że nie wolno być chwiejnym w czynnościach przez czas, przez który rozum zmusza być chwiejnym w sądach*. (...) Świat, jako przedmiot teorii poznania w jednej z faz jej rozwoju, był fikcją utkaną z sennych marzeń - świat, jako przedmiot etyki, był niezmiennie światem rzeczywistym, światem rąk, oczu, mięsa i krwi.

Kartezjańska Etyka Tymczasowa pozwala Micińskiemu na odczucie rzeczywistości autentycznej, na odrzucenie pokusy stworzenia sobie rzeczywistości fikcyjnej. To także sposób na powrót do ogólnych zasad moralnych, do wyniesionych z domu „cnót podolskich”, czyli zasad prostoty, dobroci, porządności. Dlatego tak bardzo zabolął Micińskiego pogląd Iwaszkiewicza, który zarzucił autorowi *Podróży do piekieł* nihilizm. Miciński przyznaje, że w sześciu pierwszych rozdziałach książki dominuje negacja. Jednak rozdział ostatni jest wyrazem afirmacji życia, jest odnalezieniem prawdziwych wartości. Okazały się nimi elementarne zasady życiowe, o których pisał Kartezjusz. Stąd obecność tego filozofa w eseju Micińskiego.

Autor „Portretu Kanta” twierdził, że teoria etyczna nie może być opisem świata, ale jej zadaniem powinno być przekształcanie rzeczywistości i dlatego musi się ona liczyć z „powszechnym mniemaniem”. Dlatego przywołuje pierwszą zasadę Etyki Tymczasowej, według której należy: *być posłusznym prawom i obyczajom mego kraju, dzierżąc się stale religii, w której Bóg dozwolił*

mi łaskawie wzrosnąć od dzieciństwa. We wszelkiej innej rzeczy prowadzić się wedle mniemań najbardziej umiarkowanych i najbardziej oddalonych od wszelkiego wybryku oraz powszechnie przyjętych w praktyce przez najroztropniejszych między tymi, z którymi żyć wypadnie.

Podstawą wszelkich stosunków międzyludzkich oraz ogólnych zasad moralnych jest obserwowanie tego, jak inni wokół nas postępują i kierowanie się w życiu wyniesionymi z dzieciństwa prawami i obyczajami. W centrum tego świata znajduje się Bóg.

Natomiast druga z zasad wskazuje na konieczność przyjęcia tych zastanych norm jako zupełnie prawdziwych i pewnych. Taka postawa sprawia, że, dążąc do doskonałości, w samych sobie – jeżeli nie ma innych możliwości – odnajdujemy normy moralne i nadajemy im wartość absolutną. W tym samoograniczeniu kryje się sprzeczność. Bo skoro człowiek powinien dążyć do zachowania swej jednostkowości, to gdzie tu miejsce na samoograniczenie? A jednak w takiej właśnie postawie Miciński widział drogę do wolności. Pisał:

Wolność określamy jako „zdolność wyboru”; w pojęciu tym tkwi splot paradoksów. Jeden z nich zaważył na rozwoju myśli religijnej: poddana nieustannej konieczności wyboru – wolność czyni człowieka niewolnikiem. Prawdziwą wolność zdobywamy dzięki łasce nadprzyrodzonej, która zdejmuje z człowieka nieustanny przymus wyboru (...). Paradoks pojęcia wolności, w której zawarte jest już pojęcie ograniczenia i konieczności, uzyskuje rozwiązanie przez samorzutne, własnowolne samoograniczenie się.

W ten sposób człowiek nadaje swojemu życiu sens, kształtuje wartości, dzięki którym możliwe się staje pokonanie wewnętrznego piekła. Wolna wola nie oznacza więc samowoli i nie prowadzi do duchowego chaosu. Stanowi raczej możliwość wyboru właściwej drogi, która polegać będzie przede wszystkim na przewyciężaniu samego siebie niż na walce z losem. O tym właśnie mówi trzecia zasada Kartezjańskiej etyki:

Starać się zwyciężyć raczej siebie niż los i raczej odmienić własne pragnienia niż porządek świata, i na ogół przyzwyczać się do przeświadczenia iż nie masz nic, co by było zupełnie w naszej mocy, prócz myśli.

Zachowanie ludzkiej podmiotowości, czyli uratowanie swej jednostkowej wartości, jest możliwe dzięki wewnętrznemu wyborowi. Taka postawa pozwoliła Kartezjuszowi odnaleźć niebo. Miciński, przejmując jego zasady, z Boga czyni „gwaranta rzeczywistości”. Zakorzenie człowieka w takim właśnie świecie pozwala mu zachować podstawowe wartości. Dla Micińskiego oczywiste było, że negacja tego przekonania jest podstawową przyczyną zaniku norm moralnych we współczesnym świecie. Pozbawienie człowieka prawa do transcendencji zamyka go w więzieniu własnych namietności, prowadzi do doliny Jozafata.

W omawianym tu eseju Miciński próbuje pokazać, że rzeczywistość jest jednolita. Świat tego utworu przypomina układankę, która złożona z wielu różnych elementów tworzy jeden obraz. Historie Odyseusza, Hioba czy Robinsona są jak kolejne kamyczki dorzucane do mozaiki po to, by pokazać rzeczywistość zarówno od strony zewnętrznej, jak i od strony wewnętrznych przeżyć. Dla autora *Dyżansu filozoficznego* rzeczywistość jest bowiem najistotniejsza.

Miciński należał do krytyków europejskiej cywilizacji i zachodniej kultury, której zarzucał przede wszystkim zanik wyobraźni eschatologicznej. W swych esejach występuje jako obrońca ludzkiej jednostkowości i wolności. Są one próbą przeciwstawienia się wszelkim procesom unicestwienia autonomii człowieka. Był przekonany, że jej podstawą są tradycyjne i religijne zasady etyczne. Dlatego w swej twórczości stara się zrozumieć świat, samego siebie, swoje miejsce w otaczającej go rzeczywistości, czyli zakreślić granice ludzkiej wolności. Stanowiła ona bowiem dla niego warunek wyłonienia się podmiotu. Wszelkie ograniczenia wolności oddalają od człowieka, sprawiają, że traci on swoją indywidualną wartość i wielkość, zapomina o prawdziwej hierarchii wartości. Eseje Micińskiego są więc poszukiwaniem punktów oparcia, które pozwoliłyby zachować swe jednostkowe znaczenie.

A skoro nie ma prawdziwej wolności poza człowiekiem, zatem wędrówka ku otwierającym się w nim wrotom piekieł stanowi istotę myśli Micińskiego. Uważa on, że opowiadanie się po stronie wartości podstawowych, po stronie etyki niesie w sobie element tragizmu, sprawia, że człowiek staje przed doliną Jozafata. Miciński miał – co sam podkreślał – obsesję piekła. Dostrzegał je w sobie i dlatego wyrusza, w towarzystwie wielkich przedstawicieli człowieczeństwa, w podróż pokutną, dzięki której możliwe stanie się znalezienie odpowiedzi na pytania o istotę ludzkiego bytowania, o zakres podmiotowości człowieka. Autor *Dyżansu filozoficznego* pyta więc o to, dlaczego człowieka bardziej wabi ciemność niż ład i harmonia oraz czy możliwe jest odnalezienie sensu, czy indywidualna wędrówka przez piekło pozwala na odzyskanie utraconych wartości.

Losy wielkich, opisywanych przez Micińskiego, podróżników do piekieł pokazują, że ma on świadomość bezradności człowieka, gdy ten staje przed otwierającymi się w nim wrotami tej krainy. Jest on przekonany, że piekło ludzkie może tworzyć jedynie świat fikcji, prawdziwa rzeczywistość pozostaje nierozpoznana. Dlatego historię Odysa, Pickwicka, Old Shatterhanda, Kanta kończy „wielkim NIC”. Nie można bowiem stworzyć zasad etyki, odwołując się do piekła własnej osobowości, nie da się w ten sposób zapanować nad rzeczywistością. Krańcem wędrówki tych bohaterów jest zwątpienie i rozpacz.

Miciński uważa jednak także, że *zwątpienie nie rozgrzesza* i dlatego ratuje przed zstąpieniem do piekła Kartezjusza, który wiedział, iż najważniejsze są elementarne zasady życiowe. Dlatego też doprowadza Odyseusza do doliny Jozafata, by odbył tam pokutne ofiary i w dalszą drogę wyruszył jako pobożny wędrowiec.

Miciński nie akceptował wszelkich systemów totalitarnych, obwinał je za niwelację wartości i za pozbawienie człowieka poczucia wielkości. Wypowiadał się przeciwko nim ostro i zdecydowanie. Taka postawa była zapewne wynikiem potrzeby głoszenia prawdy. Według Micińskiego człowiek mógł się mylić w swoich sądach, ale nie miał prawa posługiwać się kłamstwem. Totalitaryzmy natomiast ukazywały świat fałszywy, świat, w którym człowiekowi odebrana została jego wolność. W rzeczywistości Micińskiego „prawda była swobodnym probierzem wolności, stanowiła podstawę jego bytu”.

Przed wielu laty Jan Błoński napisał: *nic bardziej myślącego niż eseje Micińskiego*. I nic bardziej pasjonującego – można dopowiedzieć. W ewentualnej monografii polskiego eseju nie może zabraknąć miejsca dla autora *Podróży do piekieł*, albowiem – jak to poetycko ujął Andrzej Sulikowski – *Miciński jawi się jako kometa, która na krótko rozbłysnąwszy, zgasła nagle, zostawiając po sobie blask tajemniczy* i prowokując do nieustannego szukania odpowiedzi na stawiane przez niego pytania o sens życia i zakres ludzkiej podmiotowości.





Marek Przybyła

Urodzony 25.03.1972 w Rydułowicach, absolwent Wyższej Szkoły Zawodowej w Raciborzu Wychowanie Fizyczne, laureat kilku konkursów poetyckich, oprócz poezji interesuje się kulturą i filozofia dalekiego wschodu, sztukami walk oraz psychologią.

DO CIEBIE

patrz na mnie a będę istniał
w obrazach światła które stworzyłaś
jestem tylko cieniem
idącym zawsze obok
pozbawiony praw dotyku i czucia
oprócz dystansu
ale mimo to patrz
bo dzięki mnie jesteś bardziej prawdziwa
w tej niejasnej grze
światła i mroku

co za światło wychodzi z twych oczu
przeszywając mą ciemność
bym w niej zobaczył
twój obraz namalowany ręką chwili
dziś tylko dla mnie
w rozmytych cieniach moich pragnień
cos zawsze na chwilę zaświeci
i chwilami żyję
kolorem ich oczu
których nawet czas do końca nie gasi

to niebo w twoich oczach było trochę za mgłą
spoglądało w dół na rzekę
powiedziałaś- nigdy tak nie będzie
by płynąc być tym samym
na wierzchu i w głębi
mieć tylko tą nagą przejrzystość
nic więcej
wzdłuż brzegu szedł szary kot
w pysku trzymając wróbla

TY I BYT

z Twojego krzyku
pozrywały się włókna bezdechu
i coś w nim zaczęło być ważne
nic z tej siły wybuchu
surowego aaaa....!
nic z tego chaosu
drżących półnut
porozrzucanych po twoich niepokojach
tylko to ciepło
uboczny skutek reakcji
weszło w nas i grzeje
być może nikt tego nie chciał
ale stało się
i wszyscy jesteśmy uzależnieni
od czyjegoś ciepła

DO CIEBIE

twój dotyk
zupełnie zignorował mą skórę
wchodząc o wiele głębiej
i poczułem rezonans
jak struna wydająca dźwięk
by poczuć w jednej chwili
całe życie
zamknąć w ciemnym pokoju świadomość
istnieć
tylko dla tego dotyku

kim byłeś
przechodząc przed chwilą
druga stroną ulicy
nie mając pojęcia
jak bardzo mnie dotknęłaś

kiedy jesteśmy
to zawsze mamy jakąś szansę
by stawać się kimś
na nie jasnych warunkach
dla tej albo tamtej przyczyny
lub wbrew wszystkim
ty i ja
i cała nicość drży
bo stajemy się
kimś względem siebie
bezwzględnie ważnym

MOJA PRZESTRZEŃ

tworzę swój ruch
mam odniesienie
i zawsze się źle odnoszę
do każdego kroku
że jestem tu
jeszcze nie tam
choć zawsze gdzieś tam
sobie chodzę
z każdym uniesieniem stopy
rodzi się i umiera jakiś czas
znowu źle trafiłem
umieram tylko ja
zawsze skończony
w punkcie a...a...a

JAN PAWEŁ II

przyszedł bez przepowiedni
i wielkich oczekiwań
mógł być kimkolwiek
zawiadowcą stacji
surowym nauczycielem języka polskiego
sportowcem zdobywającym
mistrzowskie tytuły
został jednak ekspertem od głębi
i mógł nienawidzić
niejeden z nich to robi
kiedy nie może jej poznać
bo ona potrafi być niebezpieczna
może rozerwać
swoim wysokim ciśnieniem
nawet największy umysł
albo bawić się każdym
kto się w niej zanurza
powoli ściągając na samo dno
a on ją pokochał
z całym jej dobrem i złem
i trudną do przetłumaczenia wymową
nauczył się szybko władać jej językiem
w nagrodę za swą bystrość
otrzymał ołowianą kulę
Parkinsona i laskę
nie wiem z jakiego była drewna
ale najbardziej przydała mu się
właśnie ona
w słabych chwilach
mógł zawsze się na niej opierać
odchodząc nie zostawił po sobie nic
oprócz ogromnej fascynacji
tą krótką chwilą
w której każda jej cząstka
jest niepowtarzalna

POETA POWINIEN UMIEĆ PRZYHAMOWAĆ I ZACHWYCIĆ SIĘ

WYWIAD Z MIROSLAVEM ČERNYM

J.M. Jak zaczęła się Pana przygoda z poezją, czy była to „choroba wieku dziecięcego”, czy też naturalna konsekwencja podjętych studiów filologicznych?

M. Č. Szczerze mówiąc, chyba wszystko po trochu. Pierwsze wiersze napisałem już w szkole podstawowej, miałem może jakieś dwanaście lat. Chodziło o wierszowane przygody i charakterystyki moich szkolnych kolegów, coś w stylu antologii E.L. Mastersa „Umarli ze Spoon River”, mimo że moi koledzy szkolni byli żywi, czasem aż nazbyt. Potem nastąpiła przerwa wypełniona wszelką możliwą lekturą i dopiero około osiemnastego roku życia wróciłem do pisania poezji. Pisałem głównie utwory rymowane o tematyce miłosnej. Żaden z nich na szczęście nie ujrzał światła dziennego. Studia uniwersyteckie były okresem, w którym miałem możliwość zapoznać się z dużą ilością bardzo dobrej poezji, zwłaszcza czeskiej i angloamerykańskiej i mogłem porównać różne style pisania. Właśnie wtedy powstały pierwsze wersje niektórych wierszy, które później pojawiły się w tomiku *Krajina v samotách slova*.

J.M. Gdzie znajduje się ojczyzna Pana poezji? Czy jest ona określona bardziej geograficznie: (Śląsk, wzgórza Sudetów i Karpat) czy też literacko?

M. Č. Myślę, że ograniczenie pod względem geograficznym jest w przypadku moich utworów bardzo istotne. Nie umiałbym chyba napisać wiersza umiejscowionego w przestrzeni, która nie jest mi szczegółowo znana, z którą nie jestem w oczywisty sposób intymnie związany. Z drugiej strony wierzę, że również i taka poezja, która odwołuje się do konkretnego regionu może odсылać do czegoś bardziej ogólnego, uniwersalnego. Jeśli zaś chodzi o literaturę, która jest mi najbliższa i która miała też wpływ na moją własną twórczość, to nie mogę nie wspomnieć Jana Skácela, Bohuslava Reynka i Vladimira Holana. Mówię tu jednakże jedynie o poezji, i to na dodatek tylko czeskiej.

J.M. Na ile Pana poezja osadzona jest kulturowo, na ile jest ona autonomiczna czy też niezależna?

M. Č. Jestem zdecydowanie przekonany o tym, że moje wiersze pochodzą z określonej przestrzeni kulturowej i są przez nią w sposób wyraźny określone. Można to choćby zobaczyć na przykładzie dużej liczby motywów religijnych, które uwidaczniają się w treści wielu wierszy. Chociaż nie jestem praktykującym chrześcijaninem, nie mogę nie zauważyć na ile ja, moje życie i język, którym mówię, naznaczone są dziedzictwem chrześcijańskim.



Miroslav Černý

Urodził się 22.05. 1977 r. w Opawie. Jest absolwentem anglistyki i bohemistyki Uniwersytetu Ostrawskiego, pracuje jako nauczyciel w Opawie. Lubi podróżować. Jego wiersze prezentowane były między innymi na wieczorach opawskich warsztatów literackich Provincie – Pramen slova, jak również w finale tego transgranicznego projektu „Provincja – matecznik słowa” w Raciborzu i zamieszczone zostały w polsko-czeskiej antologii „Od slova ke slovu” (Racibórz 2003). W tym roku ukazał się jego zbiór wierszy *Krajina v samotách slova* (wyd. Literature & Sciences, Opawa).

J.M. *Co sprawia, że jest się dobrym poetą? Wykształcenie akademickie? Erudycja? Znajomość warsztatu? Cechy osobowości?*

M. Č. Trudno powiedzieć, to sprawa bardzo indywidualna. Znam poetów, którzy nigdy nie studiowali na żadnej uczelni wyższej, a mimo to tworzą poezję bardzo wymagającą pod względem indywidualnym. Znam też studentów uniwersytetu, których wiersze są bardzo banalne. Osobiście nie uważam jednak, że człowiek rodzi się poetą. Wymaga to czasu, przestrzeni, żeby jak to się mówi, rozpisac się. Nie wierzę zbyt w spontaniczną literaturę, nawet sam Jack Kerouac swoje teksty częściowo poprawiał, chociaż się o tym zbyt nie mówi. Istotny jest według mnie moment zatrzymania się. Poeta powinien umieć przyhamować i zachwycić się. I co najważniejsze powinien kochać język i umieć nad nim rozmyślać

J.M. *Jak powstał tomik „Krajina v samotách slova”? Czy od początku był w zamierzeniu konsekwentnie zaprojektowanym tryptykiem, połączonym przewrotną międzypokoleniową klamrą?*

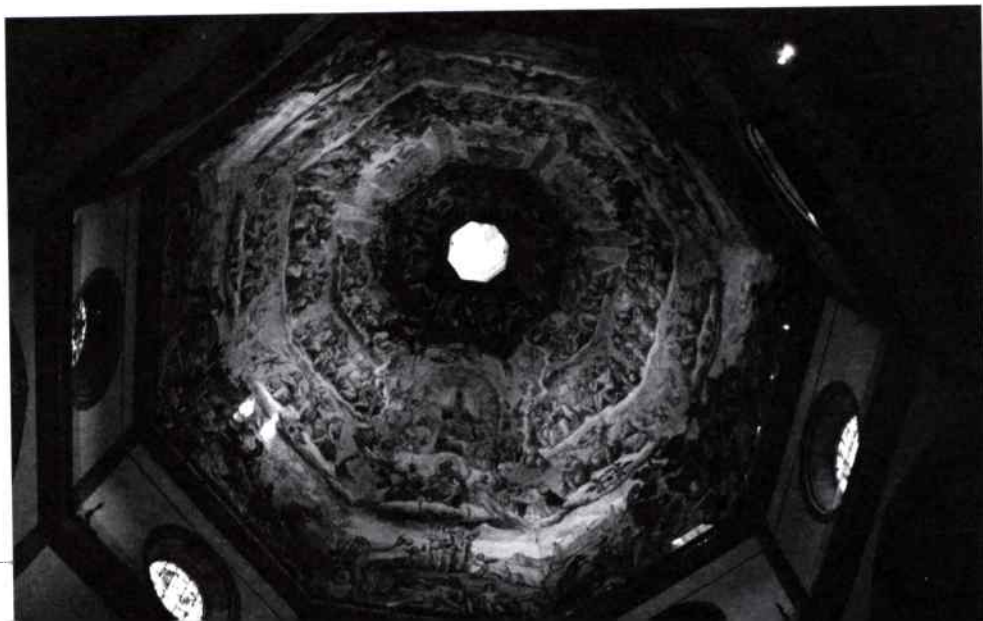
M. Č. Początkowo w ogóle nie przyszło mi do głowy, żeby wiersze, które powstały jako pierwsze, mogły pojawić się w jednym tomiku. Dopiero na koniec, kiedy wierszy było więcej, pojąłem jak bardzo są do siebie podobne pod względem formalnym oraz zawartości i że powstaje logiczna całość, która na dodatek rozdziela się na trzy części.

J.M. *Często Pan podróżuje. Czy poezja jest dla Pana „przerwą w podróży”, czy podróżą samą w sobie, a jeśli tak, to na ile ważną?*

M. Č. Dla mnie osobiście, jak już wcześniej nadmieniałem, poezja jest raczej postojem w drodze, a nie samą drogą. Może dlatego, że nie towarzyszyła mi całe życie, może dlatego, że nie czuje się prawdziwym poetą, który bez tworzenia poezji nie potrafiłby istnieć. Mam jednak nadzieję, że tych postojów będzie jak najwięcej.

J.M. *Jakie są Pana poetyckie plany na przyszłość?*

M. Č. Nic konkretnego nie planuję, co więcej ostatnimi czasy przechodzę swoistą metamorfozę, która od poezji mnie odciąga. Nie twierdzą, że nie chcę już nigdy poświęcać się pisaniu wierszy, ale chciałbym też spróbować swoich sił w trochę innej odmianie rzemiosła literackiego. Kusi mnie proza. Chętnie też nadałbym wreszcie kształt swoim przeżyciom i doświadczeniom z podróży.



PRZERWA W PODRÓŻY

To była tylko taka mała przerwa w podróży gdzieś w północnej Polsce. Zupełnie zwyczajna. Najzwyczajniejsza ze wszystkich. Kaszuby na prawo, Mazury w oddali, Bałtyk wciąż na wprost. Chcieliśmy, ale nie przespaliśmy. Była natrętna... Siusiała nam koło głów. Przesiadywała na kolanach, bezczelnie wymuszała uwagę. Że niby ma znajomego gdzieś pod Poznaniem. Albo może brata w szczecińskiej fabryce? Wilgotno, ale sterylnie prosiła o czułość. Była natrętna.

DOLNÍ POVELICE

Bez trudu tu i teraz mogę wam przysiąc, że jeszcze przed dziesięciu laty w jednej małej wiosce czeskiego Śląska znaleźlibyście przynajmniej dwoje na poły dorosłych dzieci, które nie zdążyły nauczyć się mówić. Naprawdę. Wiercie mi – są na to świadkowie. Oprócz mnie jeszcze dwaj opawscy etnografowie.

STRIMBA

IVANOWI OLBRACHTOWI

Na szczycie Twej góry migoczą ogniska. Odblaskiem płomieni dotykają planet. Pierwsza z kolei jest Wenus, potem Merkury, Jowisz, Mars. Którą wybrałbyś sobie? Zawsze miałeś słabość do dzikich wzgórz, gór bez mchu i pomarszczonych dłoni. Czyżby więc Pluton, który wyciąga ramiona do huculskiej panny?

MITROPA

Rumuński nieokrzesianiec, powiedziałby ktoś. Włóczęga z Bałkan, Drakula z Karpat. Zawszawiony, podmieniony, ograniczony. Ni wykształcony, ni uzdolniony. W sam raz do wyszydzenia, tłum krzyczy. Dla mnie jednak Roland, Beowulf, transylwański syn wilczycy.

RYKOWISKO

ZIKMUNTOWI RACHNOWI

Na rozdrożu pod Kaltensztejnem
przed deszczem schowam się
w opuszczonych stajniach

Rozścielę sobie
resztki wilgotnej słomy a potem
całkiem otwarcie przeszkodzę Jeleniom na Rykowisku

W PITÁRNEM

Uparta przedwieczorna pora
Wzgórze Liptańskie z tyłu

Pod wieczór
kawałek po kawałku
kosztuję obłudy
z bochna świadomości

Strumień nie pozostaje za mną w tyle



RACIBÓRZ

Przyjazd. Dwóch na dwóch.
Korkowa idylla.

Osmalone oczekiwania.

Noc poetów.
Poezja tracenia.

Po raz ostatni przejdę się
wzdłuż błękitnej Odry i

w budce na Rynku Głównym
każę zważyć sobie
20 deka czułości.

TLUMACZYŁ JACEK MOŁĘDA

CZY NIEMOWLĘ NOSI STRÓJ OBRZĘDOWY?



Większość respondentów na to pytanie odpowiada przecząco. Część z nich kojarzy pojęcie stroju obrzędowego ze strojem ludowym, i to jeszcze najczęściej osoby dorosłej, dlatego trudno jest im sobie wyobrazić niemowlę np. w mazelonakach. Stąd ich odpowiedź na postawione w tytule pytanie brzmi: nie. Czy jednak jest to odpowiedź prawidłowa?

Spróbujmy więc zastanowić się nad tym. I dlatego przypomnijmy, że na całym Górnym Śląsku zasadniczo wyróżniano odświętny strój ludowy i ubiór codzienny, zwany po prostu odzieżą. Według terminologii etnograficznej poprzez strój rozumieć należy „ubiór odświętny, uroczysty czy obrzędowy, o szczególnie wypracowanej formie i wysokiej jakości tkanin”¹. Taki strój jednak też ma kilka odmian. Strój najlepszy, a zarazem najdroższy, zakładano zaledwie kilka razy w roku, np. z okazji świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Bożego Ciała czy odpustu parafialnego. Dlatego też jego elementy pieczołowicie przechowywane, niejednokrotnie przekazywane z pokolenia na pokolenie, zachowały się aż do dziś².

Historyczno-społeczne uwarunkowania powstawania ubioru i stroju, ich zmian i odmian oraz szczegółowe opisy były już nieraz przedmiotem badań wielu specjalistów³. Podkreślają oni zgodnie, iż szczególną wagę przywiązywano dawniej do strojów obrzędowych osób dorosłych, zwłaszcza weselnego i pogrzebowego. Ale w wielu chłopskich rodzinach przez całe dziesięciolecia pieczołowicie dbano o zachowanie odpowiednio uroczystego stroju obrzędowego również u dzieci⁴. Jak oceniają badacze jest to „nie tylko wyraz serdeczności i troski okazywanej najmłodszemu pokoleniu przez najbliższą rodzinę, lecz także zaznaczeniem wzrostu pozycji dziecka w rodzinie”⁵.

Czy więc niemowlę nosiło strój obrzędowy czy nie? – zapyta zniecierpliwiony Czytelnik.

Oczywiście, że tak, Drogi Czytelniku. Mało tego, nosi je w niemalże niezmienionej formie do dziś. Kiedy? W dniu chrztu świętego, który jest pierwszym ceremonialnym obrzędem w życiu chrześcijanina.

Dawniej chrzczono noworodki w drugim lub trzecim dniu życia, obecnie chrzci się kilku-tygodniowe lub kilkumiesięczne niemowlęta. A jak wygląda ich strój na tę uroczystość?

Tak dawniej, jak i dziś dziecko ubiera się na białą, gdyż kolor ten oznacza niewinność⁶. Dawniej dziecko miało na sobie tzw. koszulkę, a od połowy było zawinięte w pieluszki. Białą koszulkę zakładano dziecku bez względu na płeć⁷.

Była ona często kilkakrotnie wykorzystywana i to zarówno wtedy, gdy urodziła się dziewczynka, jak i chłopiec. Szyto ją z białego bawełnianego płótna, nierzadko zakardowego. Była długa, u dołu rozszerzana, z tyłu rozcięta, wiązana w talii na wciągniętą tasiemkę. Rękawki były długie na końcu ozdabiane koronkami. Koronki też naszywano na wierzchniej części koszulki w kształcie żabotu⁸. Współcześnie podobnie, choć znacznie skromniej, prezentują się koszulki, zwane „białymi szatami”, będącymi pamiątkami chrztu. Koszulek tych jednak nie ubiera się dziecku, lecz kładzie na „becik” podczas ceremonii. Koszulki te kupują rodzice lub chrzestni. Są one również białe, szyte masowo z syntetycznych tworzyw, najczęściej nylonu. Wykończone są nader skromnie, małymi koronkami i kokardką przyszytą w górnej części.

Dziś chłopcom ubiera się kaftaniki i spodnie, a dziewczynkom również sukienki. Oprócz tego zakłada się wszystkim dzieciom tzw. pampersy i śpioszki, a nawet wełniane lub materiałowe buciki. Bywa, że ubrania te są w pastelowych kolorach: różowym – dla dziewczynek lub niebieskim – dla chłopców, bądź też w tych barwach do białego stroju wkomponowane są tzw. dodatki (np. guziki, kokardki, lamówki). Na główkę dziecka, podobnie jak dawniej, zakłada się czapeczkę, która zdejmowana jest przed samą ceremonią chrztu.

Tak ubrane dziecko kładziono do tzw. becika lub zehławeczka. Była to podłużna poduszka, która otulała leżące w niej dziecko od spodu i z góry. Przekładana była u stóp dziecka i dwu- lub trzykrotnie wiązana w okolicach nóg i tułowia. Poszewka zakładana na tę poduszkę w dniu chrztu była odświętna, bogato zdobiona koronkami i używana wyłącznie do chrztu, a potem przechowywana na pamiątkę lub dla następnego dziecka. Obecnie poszewki te – o ile dziecko w ogóle śpi w „beciku” – wykorzystywane są przez cały okres niemowlęcy. Jedynie w tych rodzinach, w których poszewki do chrztu przygotowuje się wg tradycyjnego zwyczaju nadal używane są one tylko do chrztu i na wyjątkowo odświętne okazje. A to dlatego, że ich przygotowanie jest bardzo pracochłonne. Poszewki wykonane z białego materiału ozdabiane są płóciennymi koronkami. Muszą one być dobrze wykrochmalone, a następnie tolowane. Ta druga czynność polega na prasowaniu koronek przy pomocy specjalnego urządzenia, przypominającego konstrukcją nożyce. Nazywały się one tolszery. Jeden ich uścisk obejmował dwie lub trzy falbany, których łącznie było kilkadziesiąt. Znajdowały się one w co najmniej dwóch rzędach wokół główki dziecka, jak również na tzw. ogonie. Była to oddzielna część przypinana do „becika” na wysokości rączek dziecka i zwisająca kilkadziesiąt centymetrów poniżej poduszki. Ta swoista „kołderka” posiadała falbany naszywane dookoła i przez środek. Do niej przyszywano również jeszcze inne elementy ozdobne, np. gałązki mirtu lub mirtowe wianuszki, różowe lub niebieskie wstążki, kokardki, perełki, kwiatuszki itp. Współczesne poszewki nie wymagają tak pracochłonnych zabiegów. Materiały, z których są wykonane, w tym także koronki, łatwo się prasuje przy pomocy zwykłego żelazka.

Tak przygotowaną poduszkę jeszcze w okresie międzywojennym nakrywano kolorową chustą wełnianą, „a dzieprzem po wojnie napocli my te taufdeki [kapa do chrztu – objaśn. K. L.] szci”⁹, czyli stosunkowo niedawno przyjął się zwyczaj nakrywania poduszki tzw. kapką lub kapą. Jest ona uszyta z delikatnego „materiału” oraz tiulu lub welonu ślubnego matki¹⁰. Kolor materiału może być uniwersalny, tzn. przeznaczony dla dzieci bez względu na płeć, a takim jest biały (najczęściej stosowany) lub zielony.

Może też być niebieski – wyłącznie dla chłopców lub różowy – dla dziewczynek. Kapkę ozdabia się naszytymi gałązkami mirtu, asparagusu lub też wianuszkami, bądź żywymi kwiatami (bez łądyg). Dawniej chustę lub kapkę po przyjściu do kościoła zdejmowano. Współcześnie czynią to tylko nieliczne osoby, najczęściej te, które używają jeszcze tolowanych becików. W pozostałych przypadkach w kościele kapkę pozostawia się, odsuwając ją jedynie na sam moment ceremonii chrztu i to tylko na tyle, by widoczna była główka dziecka. Po powrocie do domu dziecko nadal jest odświętnie ubrane, zdejmuje się mu jedynie cieplejsze „części” ubranka.

Zapewne, Drogi Czytelniku, nie masz już wątpliwości, że niemowlęta - tak dawniej, jak i dziś - noszą stroje obrzędowe w dniu chrztu, ale czy tylko wówczas?

PRZYPISY

1. K. Hermanowicz-Nowak, *Odzież*, [w:] *Etnografia Polska. Przemiany kultury ludowej*, t. 1, Wrocław-Warszawa- Kraków- Gdańsk, s. 379.
2. Warto tu podkreślić, że w pozostałe dni świąteczne również obowiązywał odświętny strój, jednak inny do kościoła, a jeszcze inny na tzw. niedzielne popołudnie. Stroje te były szyte wg podobnego kroju, ale z tańszych materiałów, posiadały też o wiele skromniejsze zdobienia.
3. Por.: B. Bazielich, *Ubiory dziecięce od XVIII do pocz. XX wieku*, Bytom 1982; id., *Historyczno-społeczne uwarunkowania zmian w śląskich strojach ludowych*, „Kwartalnik Opolski” 1985, nr 3/4; id., *Śląskie stroje ludowe*, Katowice 1988; id., *Tradycyjne stroje dolnośląskie*, Wrocław 1983; id., *Odzież i strój ludowy w Polsce*, Wrocław 2000; S. Gadomski, *Strój ludowy w Polsce*, Warszawa; E. Grabowski, *Die Volkstrachten in Oberschlesien*, Breslau 1935; T. Karwicka, *Ubiory ludowe w Polsce*, Wrocław 1985; Z. Lipiarz, *Raciborski strój ludowy*, Racibórz 1978; M. Michalczyk, *Kiecki, gunie, mogrzyńce... Stroje ludowe na Górnym Śląsku*, Katowice 2001; M. Rostworowska, *Śląski strój ludowy. Koniec XVIII i I połowa XX wieku*, Wrocław 2001;
4. Zob. szerzej: K. Lach, *Dziecięcy strój obrzędowy na pograniczu śląsko-morawskim. Tradycja i współczesność*, [w:] *Pogranicza kulturowe i etniczne w Polsce*, red. Z. Kłodnicki, H. Rusek, Wrocław 2003, s. 133-152.
5. H. Wesołowska, *Zwyczaje i obrzędy rodzinne*, [w:] *Kultura ludowa śląskiej ludności rodzimej*, pod red. D. Somonides, przy udziale P. Kowalskiego, Wrocław-Warszawa 1991, s. 253.
6. D. Forstner, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, Warszawa 1990, s. 115-116.
7. P. Aries, *Historia dzieciństwa. Dziecko i rodzina w dawnych czasach*, przekł. M. Ochab, Gdańsk 1995, s. 58-68.
8. Taka koszulka do chrztu dla niemowlęcia zachowała się w Muzeum w Raciborzu, nr inwentarza: 662E. Opis: „Koszulka do chrztu dla niemowlęcia. Szyta na maszynie z fabrycznego, białego, bawełnianego płótna o splocie zakardowym (pionowe, szerokie, kwiatowe pasy). Długa, od dołu rozszerzana, z tyłu rozcięta nie zszywana, wiązana w taliu na wciągniętą tasiemkę. Rękawek długi, prosty, górą nieco przymarszczony, wszywany, krojony z dwóch części: wierzchniej i spodniej. Na stronie wierzchniej naszyte dwa rzędy fabrycznego, białego haftu. Z podobnego lecz szerszego haftu wykonany jest żabot naszyty z przodu koszulki. Dół rękawów również obszyty wąskim haftem”.
9. Inf.: Jadwiga Pośpiech, ur. w 1913 r., zapis. w 1995 r.
10. Zob.: D. Simonides, *Od kolebki do grobu. Śląskie wierzenia, zwyczaje i obrzędy rodzinne w XIX wieku*, Opole 1988, s. 42; Wesołowska, op. cit., s. 251.



Anna Ciepiel

ur. w 1985 roku, absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego w Raciborzu, dziś studentka Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pierwszy wiersz napisała w wieku 6 lat; debiutowała w antologii polsko-czeskiej p.t. "Od słowa ke slovu" (Racibórz 2003). Utworami publikowanymi obok wygrała tegoroczną, XV edycję Konkursu Poezji Młodych "Nadzieja 2005".

DYPTYK NOCNY I

(...) dzień kończy się wtedy, gdy wzrokiem nie można przeniknąć ciemności

cicho
wyciekasz
na pościel
snami

przywiązany
do oparcia łóżka
szepcłem

budzisz się

rozszeptujesz
oczy
w roześnionej
ciszy

twoje zmysły
to światło księżyca

w jego blasku
pulsuje
gwiazda
mojego ciała



KAROLINA STANIECZEK



DYPTYK NOCNY II

rozwieszam
swoją nagość
na czułych
wieszakach
twoich rąk

rozbieram
usta
ze słów

chowam się
w tobie – szafie
nocy
zamkniętej na klucz
pocałunku

JESTEŚMY TYM...

Jesteśmy tym, co zaszczepiła w nas młodość, czas największej chłonności intelektualnej i największej czujności etycznej. W gruncie rzeczy dorosłe życie jest już tylko kontynuacją tamtych wątków, ich mozolnym i konsekwentnym rozwijaniem, albo też – co zdarza się nie tak rzadko – próbą zaprzeczenia.

Pozostańmy przy kontynuacji! Oto dwie wypowiedzi redakcyjne; pierwsza – liryczna, o tym, czym dla naszego pokolenia było (i jest) Trójmiasto; i druga – proza, o tym, jak to, cośmy czytali i czego słuchali wpłynęło na życie pewnego niedużego miasta na „ścianie wschodniej”. Oba teksty – ocenił Czytelnik – wydają się nie bez znaczenia w roku 25-lecia powstania „Solidarności”, ruchu, który doprowadził do zmiany „oblicza tej ziemi” i nie tylko. (red.)

GDYNIA GŁÓWNA OSOBOWA

nagle wszystko
wszystko od razu

słone powietrze łuk i strzała
niespokojne wzgórze na horyzoncie
pokój pełen wzmacniaczy
majestatyczny transatlantyk
zapach zupy ogórkowej
zapach odnawiających się ran
przy grającej szafie taniec
z dziewczyną kalipso lody
metaliczny szum trolejbusów
seans w kinie na Świętojańskiej
Krzysztof Klenczon z twarzą Johna Wayne'a

kolorowe tajemnice Ogygii

Helena porywa do tańca
w drżącym powietrzu u Maxima
jej siostra o zimnych oczach zabiera
na plażę na spacer po Skwerze
lody kalipso mają kakaowy smak
brązową kostkę trzeba odwinąć ze srebrnego
papierka z kamienicy przy Śląskiej
wynoszą jeszcze jednego samobójcę
koledzy Romana rozmawiają
o łatwych panienkach z Non Stopu
spojrzenie na wzgórze przynosi ulgę
maleńki pokój owiany wonią
ropiejących ran takiej zupy ogórkowej
nie ma w żadnym kraju tłusta kucharka
pokrzykując podaje dymiący talerz
John Wayne z twarzą Krzysztofa Klenczona
przechodzi na drugą stronę ulicy
trolejbusy suną po niewidzialnych szynach
strzała wystrzelona z łuku leci
w niebo ciężkie od słonych chmur
„Stefan Batory” wpływa do portu
„Stefan Batory” wypływa z portu
wzmacniacze zajmują każdy kąt

tajemnice kolorowej Ogygii

zupa ogórkowa rozbudza apetyt
taniec z Heleną kalipso
- trzeba zrobić porządek z tymi
samobójcami – mówi
syk sunących trolejbusów
Krzysztof Klenczon z twarzą Johna Wayne`a
podłącza gitarę do wzmacniacza
łatwe panienci piszczą jak syreny
pełgają płomyki u Maxima
wzgórza na horyzoncie zasypiają
transatlantyk oddala się od wybrzeży
Ogygii by już nigdy nie wrócić
srebrny grot wbija się w ziemię
tuż przy stopach mężczyzny
siedzącego na ławce i czytającego
Ulissesa

wszystko nagle
wszystko

było



PLECAK PEŁEN BIBUŁY

To będzie bardzo „symetryczny” tekst... jest 12 maja 2005 roku. Czynie – nie ma co kryć - znaczny wysiłek, aby wywołać na nowo klisze miesięcy, dni sprzed dokładnie dwudziesto-pięciolecia, z okresu, kiedy ja sam i osoby, które mam na myśli, miały po 25, a najdalej 30 lat! Dziś najmłodszy z nas dobiegają pięćdziesiątki. Inaczej mówiąc: niezwykle, ważny dla nas i dla świata czas, do którego chcemy tu dotrzeć czułą (i czujną) pamięcią, przedziela jak nożem nasze dotychczasowe życie na dwie połowy. Okres od wypadków radomskich i wyboru Jana Pawła II do lata 1980 jawi się jako dział wodny pomiędzy „zlewiskami” dzieciństwa i wczesnej młodości oraz naszej rodzącej się dorosłości.

Kim byliśmy wtedy? Jakie były nasze poglądy i nasze marzenia? Do czegośmy się modlili, a przed czym przechodziliśmy na drugą stronę ulicy? Ilu nas było i jak donośny był nasz szept? Oto pytania, które stoją przed szperaczem, który zapuści się w epokę „późnego Gierka”, aby zrozumieć jak doszło do świdnickiego strajku 8 lipca 1980 i w jakim to mieście ruszyła ta lawina, która w ciągu kilkunastu lat, z wieloma przerwami, zmiotła jednak (jawne) rządy komunistów w całej Europie Środkowo-Wschodniej.

Ów kronikarz zmierzyć się musi z siłą sentymentów, które zawsze subiektywizują i koloryzują w pamięci czas własnej młodości. A jeszcze, jeśli wspomnienia dotyczą miesiąca własnego ślubu, jak to jest w moim przypadku, sprawa staje się mocno ryzykowna... Mimo to – spróbuję!

Moje krótkie wspomnienie dotyczy nie tyle mnie samego, co grona przyjaciół i bliskich znajomych, o których socjologia mawia „grupa nieformalna”. Byliśmy młodzi, byliśmy z rodzin middle-class (o ile to sformułowanie może być adekwatne do czasów „ryalnego” socjalizmu), na ogół znaliśmy się niezłe na sztuce, słowem – łączyła nas, i sprawiała, żeśmy się co jakiś czas „gromadzili”, „potęga smaku”. [- Nie mówi się „żeśmy” - poprawiłoby mnie już jedno z rodziców]. Powiem więc: umiłowanie muzyki, poezji, literatury, rocka wreszcie, sprawiała, że stopniowo stawaliśmy się „niepodlegli nicości”, jak to cudownie wyraził Ryszard Krynicki. Nasze młode, ledwo opierzone dusze szybko uczyły się alergii na blichtr, sztampę, nowomowę, kicz! Niczego nie można było nam wmówić, bo przebywali stale wśród nas: Hermann Hesse, Malcolm Lowry, Krishnamurti, Kierkegaard, Vargas Llosa, Gabriel Marcel, Św. Augustyn, romantycy angielscy, Rilke, Leśmian, Dylan Thomas, Holderlin, Zbigniew Herbert i tylu, tylu innych; owo zgromadzenie niepokornych uzupełniali poeci Nowej Fali – Barańczak, Krynicki, Zagajewski, Kornhauser – których, przyznaję, zaczynałem nieśmiało naśladować. Specjalnie wymieniam tak wiele nazwisk, by dać znać, iż przed jadem komunistycznej nagonki bronił nas legion mędrców. Na niezliczonych, bardziej lub mniej otwartych, spotkaniach chłoniliśmy teksty pisarzy, filozofów i poetów z książek, które z racji swej rzadkości traktowane były jak relikwie. Jeśli często mawia się o *genius loci*, to dodam, że w części Świdnika, gdzie mieszkałem, unosił się duch nonkonformizmu; zmieszany był z dźwiękami progresywnego rocka z Frisco, LA i Londynu, z zapachem mocnej herbaty *Yunnan* oraz rumuńskiego półsłodkiego marki *murfatlar*.

Z niepokornego pędu do wolnego słowa, na ogół z Łaby, w 1980 roku przełożyłem wraz z Jarkiem Dmowskim nietłumaczone na polski w całości *Żdźbła trawy* Walta Whitmana; stało się to, rzecz prosta, pretekstem do kolejnego spotkania literacko-muzycznego w salonie niezależnych, to jest w mieszkaniu Uli i Marka Rejów. Drugim miejscem naszych, w istocie samoświadomościowych, spotkań było mieszkanie Ani i Czarka Listowskich, również – nomen omen – przy ulicy Mickiewicza. Tam właśnie odbyliśmy 1.05.1980 roku „akademię pierwszomajową”, której scenariusz tworzyły wiersze nowofalowe i poemat Czarka. Zgromadziło się z 15-u „aktywistów”, tak że przedpokój w niewielkim mieszkanku Listowskich był pełny; zdołała go „wypozyczona” z ulicy socjalistycznego Świdnika biała-czerwona flaga.

Moje reminiscencje tylko z pozoru wyglądają banalnie. Niezliczona ilość spotkań, a także ich temperatura, budowały coś, czego „władza ludowa” bała się najbardziej - WSPÓLNOTĘ, jedną z wielu malutkich redut oporu polskiego społeczeństwa.

* * *

Kiedy ktoś w Polsce nie reaguje na nazwę <ŚWIDNIK>, zaraz dorzucam: – Wiesz, to taka lubelska Nowa Huta... pamiętasz, tam zaczęły się strajki latem 1980 roku! A „nowa huta” to dla mnie synonim miasta bez przeszłości i kościoła, miasta pełnego dziwnego przeciągu, wywołanego przybyciem tak wielu ludzi naraz, z tak wielu stron kraju; miasta – jakby to ująć – proletariackiego, w którym tzw. pochodzenie inteligenckie wpisać mógł sobie co – mniej więcej – setny obywatel. Nie budzi więc zdumienia fakt, że my, dzieci rodziców „przedwojennych”, musieliśmy się zwać prędzej czy później.



Ojciec mój, o egzotycznym w PRL-u imieniu Bartłomiej, urodził się w Lublinie w 1909 roku i łatwo obliczyć, że „Bartek” całą swoją młodość (łącznie ze służbą w 24 Pułku Ułanów w Kraśniku) spędził w II Rzeczypospolitej. Wskutek rodzinnych kolei w czasie wojny dobrze poznał Niemców i Sowieców, a gdy przyszli nasi „wyzwoliciele”, był już człowiekiem w pełni ukształtowanym, czytaj: suwerennym. Kimś, dla kogo nie do pomyslenia było „wpisywać się” gdziekolwiek. Mama Jadwiga, jako absolwentka KUL-u, uzupełniała tę naszą rodzinną twierdzę, której obrona odbywała się cicho, codziennie i zupełnie instynktownie. Pewnie nie muszę dodawać, że to, co najczęściej było słychać w domu, to specyficznie zniekształcone głosy spikerów z Londynu, Monachium i Waszyngtonu. Wśród lektur czytało się to, co komuna „puszczała”: Wańkowicza, Grabskiego, Jasienicę, Brandstaettera, wspomnienia wojenne... Gdy dzisiaj sięgam pamięcią w lata 60-te, widzę wyraźnie, iż podstawa, podglebie mojej przyszłej formacji duchowej, uzyskane

może bardziej za sprawą genów niż świadomego wychowania, ma tu pierwszorzędne znaczenie dla omawianych tu działań.. Zarówno Marek Rej, z którym moja przyjaźń trwa już 45 lat, jak i nasz literacki mentor, Cezary Listowski, wywodzili się z bardzo podobnych rodzin. Tu warto rzec, iż ojciec Czarka, pan Narcyz Listowski, pedagog i poeta, był moim pierwszym z prawdziwego zdarzenia polonistą, i kto wie, czy właśnie on nie ponosi winy za wszystkie moje przyszłe dokonania literackie.

Zaś gdybym dalej szukał sprawców mojego typu wrażliwości, mojego nonkonformizmu, musiałbym wymienić nazwiska, które poznałem jeszcze w podstawówce: Edmundo de Amicis, Jules Verne, Defoe, Dumas, Hugo, Sienkiewicz, J. F. Cooper; poprzestańmy dziś na piewcy przyrody Appalachów!

Kilkuletnia praca u podstaw, oparta o przyjaźń i wspólnie wyznawany dekalog estetyczny i etyczny, zaowocowała w pewnym momencie konkretami. Duża część naszego grona włączyła się w redagowanie „Ścieżek”, literackiego dodatku do lolałnego „organu”, czyli „Głosu Świdnika”. Ten kilkumiesięczny okres stanowił kapitalną lekcję roboty redakcyjnej, formowania własnych stylów, ubierania w słowa swoich poglądów. Z pewnością o tym ktoś napisze szerzej, warto tu jednak wymienić imiona Marii i Jurka Tomaszków, którzy zadbali o plastyczny wyraz naszych kolumn literackich. Wielka była radość ze znajdowania swoich tekstów (drukowaliśmy także utwory licealistów) na łamach „normalnej” gazety!

Drugim naszym dzieckiem był Klub Dobrej Płyty IGŁA, który przez dobry rok (aż do mojego wyjazdu z Lubelszczyzny) prowadziłem z Markiem Rejem. „Ścieżki”, moim piórem, radośnie anonsowały powstanie Klubu w artykule p.t. „IGŁA w stogu miasta.” Cosobotnie spotkania przy naszych płytach gromadziły niezmiernie kilkudziesięciu licealistów, którzy przy świecach (lub bez) słuchali proponowanej przez nas muzyki, która choćby na dwie godziny przenosiła zebranych w świat bez cenzury, świat pełen życia, kolorów i niebanalnych dźwięków. Spotkania miały charakter muzyczny, ale nie traciłem ani jednej okazji, by przemycić młodzieży coś z literatury. Tak na przykład, gdy niemal zupełnie zakazany w Polsce Czesław Miłosz otrzymał prestiżową amerykańską nagrodę Neustadt, natychmiast w ruch poszły samizdatowe wybory wierszy przyszłego Noblisty. Jeśli mnie pamięć nie myli, bywanie w „Igle” stanowiło element lokalnego prestiżu i – śmiem twierdzić – stało się znaczącym poletkiem edukacji kulturalnej przyszłych świdnickich studentów.

Jako absolwent archeologii UMCS studiowałem wtedy na KUL-u filozofię teoretyczną, co nie było bez wpływu na moje wiadomości i zasób tego, czym mogłem dzielić się z przyjaciółmi. Heidegger, Marcel, Maritain, Max Scheler, ale także Teilhard de Chardin stanowili wyraziste tło wielu nocnych rozmów „o starych Polakach.”

Nie sposób nie wspomnieć też o roli w kształtowaniu postaw przynajmniej części mojej generacji dwóch lubelskich centrów Kościoła Rzymskokatolickiego, a mianowicie słynnych Wizytek i Duszpasterstwa Akademickiego u OO. Dominikanów na Złotej. U Wizytek naprawdę królował ks. Mieczysław Brzozowski, u którego wikarym był.. Waclaw Oszejka, czyli... Wacek. Kto choć raz wysłuchał kazania ks. Rektora np. 11 listopada, albo wziął udział w „obiedzie”, czyli poufnym spotkaniu z zaproszonymi gośćmi, ten szepnąć dziś może cichutko komuno wróć”. Drugi z ośrodków formacji inteligencji lubelskiej związany był z ojcem Ludwikiem Wiśniewskim; brałem tam udział w kilku spotkaniach, m.in. z Kisiem, odbyłem tam również z Jadwigą Żółkiewską nauki przedślubne. Do dziś dzwonią mi w uszach słowa Ojca na zakończenie kursu: - No, chłopaki, tylko pamiętajcie: nie partaczyc!

I teraz wracam do Herbertowskiej „potęgi smaku”. Wydaje się, że młody Polak mający szansę wiedzieć tyle, co my - o świecie, historii, sztuce - nie mógł poddać się powszechnej urawniłowce - miał oręż i siły, ocalić duszę i umysł. Mój tekst jest głosem świadka. Ocena tego, jak mo-

ralny, wewnętrzny sprzeciw grupki przyjaciół przekładał się na procesy społeczne w makroskali, choćby jednego miasta, jest już sprawą historyków.

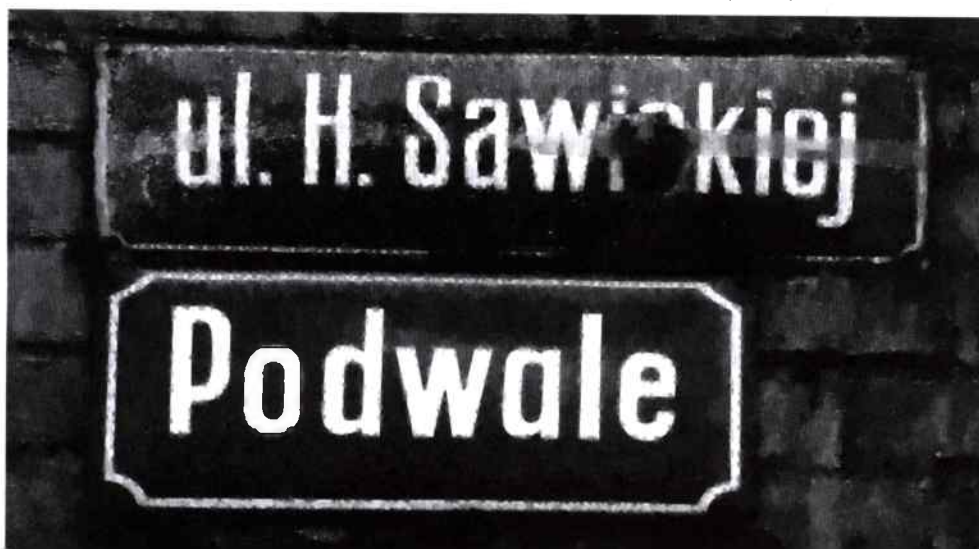
Nie, nie byliśmy (jako całość) zorganizowaną grupą opozycyjną na kształt np. środowiska lubelskich SPOTKAN. Nie byliśmy nawet zadeklarowanymi formalnie współpracownikami KOR-u, o czym szeptano tu i ówdzie. Faktem jest natomiast, że wymarzone wakacje w Londynie 1978 roku (ach, ten rock progresywny) Marka Reja i moje obfitowały w wizyty w przybytkach kolportażu niezależnej literatury, takich jak Księgarnia „ORBIS,” czy zbiory słynnego POSK-u. W efekcie tych poszukiwań wwoziłem przez szczelne sito Dworca Lotniczego na Okęciu plecak górski typu „elbrus”, wypełniony wydawnictwami bezdebitowymi, które z miejsca ruszyły „w Polskę”, a dokładniej – w Lubelszczyznę. Pamiętam, że największą popularnością cieszyła się „Lista katyńska”, „Czarna księga cenzury polskiej”, bezcenne numery ZAPISU i PULSU oraz książki Kołakowskiego. Ja sam zanurzyłem się w tomikach R. Krynickiego i St. Barańczaka, opublikowanych przez Kulturę Paryską; przypominam, że był to czas niedługo po wydaniu „Sztucznego oddychania”, którego cudowna edycja z ilustracjami Lebensteina stanowiła ozdobę mojej biblioteki.

Czym ryzykowaliśmy? W razie odkrycia zawartości naszych bagaży z pewnością mogliśmy się spodziewać np. dożywotniego odebrania paszportu. Skończyłby się wtedy sen o ulubionym mieście i następnych płytach z ukochaną muzyką. Młodym czytelnikom wyjaśnię w tym miejscu, że do 1989 roku trwał w „demoludach” narzucony obyczaj oddawania paszportu po powrocie zza granicy. Dodam jeszcze, że dziwnym trafem owe przepustki na Zachód otrzymaliśmy z przybytku przy ulicy Okopowej b e z z a d n e j p r o p o z y c j i godzącej w naszą godność. Zdarzało się bowiem niejednokrotnie, że przedstawiciele „inteligencji pracującej miast i wsi” w zamian za małą przysługę w postaci paszportu mieli po powrocie zrewanżować się małym raportem na względnie dowolny temat, dotyczący życia w kraju pobytu.

Dziś myślę z nutką lekkiego rozbawienia, że taki był właśnie nasz najistotniejszy wkład w - naprawdę heroiczną i pełną przykładów niezwyklej determinacji – walkę polskiego społeczeństwa z narzuconym przez komunistów systemem.

Kiedy przyszło mi zadebiutować kilkoma wierszami na łamach (którego?) numeru SPOTKAN, byłem już bogatszy o dogłębną lekturę poetów Nowej Fali, miałem oręż, który należało tylko ostrzyć na miarę swoich sił i zdolności...

[Po wielu latach, w roku 2003 w Raciborzu, miałem ogromną radość, z racji prowadzenia polsko-czeskiego projektu PROWINCJA – MATECZNIK SŁOWA, gościć Adama Zagajewskiego, Ryszarda Krynickiego i Ewę Lipską. Muszę przyznać, że moje lubelsko-świdnickie dygresje, związane wszak z ich pisarstwem, sprawiały naszym gościom sporo satysfakcji.]



MAGICMAN



Połą drogą jedzie zardzewiała szkoda, a za nią unosi się kurz, jak za jeźdźcem apokalipsy. – Już jedzie – poszeptują grupki ludzi stojących w przydrożnym sadzie. Dzieci zbiegają się i machają rękami.

W wiejskim gospodarstwie na granicy Czech i Moraw odbywa się rodzinna uroczystość. Samochód z napisem K+K zatrzymuje się nagle – tuż przy bramie i ze środka wyskakuje niczym spadochroniarz mały szczupły facecik w fioletowej koszuli. Minę ma kamienną jak pokerzysta. Na głowie błyszczy mu łysina, ale nad uszami sterczą kosmyki włosów tak sztywno, że przypomina klauna Ferdynanda. Twarz okopcona, ręce czarne od sadzy. Zaczyna obchód po gospodarstwie, a potem rzuca od niechcenia: „No to macie mnie tutaj, ale przed występem muszę obejrzeć teren, słońce muszę mieć za plecami, miejsce osłonięte od wiatru, bo praca pod gołym niebem jest nieprzyjemna. Muzykę mam własną, waszych muzykantów poproście o absolutną ciszę.” Proponujemy mu szklaneczkę wina i ciastka. Zdecydowanie odmawia: „Przed występem z zasady nie spożywam. Ręce nie mogą drżeć, a gdybym tak jeszcze dostał biegunki, musiałbym zrezygnować z najbardziej ambitnych numerów. Ale po przedstawieniu, proszę bardzo, mam tutaj koszyk, nie bronieć się przed żadnymi darami, wino macie chyba z Moraw, prawda?” Zaczyna wyjmować z auta swoje przyrządy. Nagle ktoś podchodzi i podaje tajemniczemu człowiekowi rękę: „Dzień dobry, panie Mićánek, ten komin już dobrze ciągnie! Jeszcze raz dzięki.” Facet reaguje gwałtownie: Co to? Czy my się znamy? Ja panu czyściłem komin? Tutaj przed panem stoi MAGIC MAN, zwycięzca powiatowego konkursu kuglarzy. Proszę to uszanować. Widzę, że macie tu święto, dlatego wybiorę kominiańskie, eee pardon, komiczne numery. A psa, proszę was, przywiążcie do budy.” Z auta wypada mu szczotka kominiańska, którą natychmiast chowa na do walizki.

Tu chciałbym wyjaśnić: na uroczystość zaprosiliśmy Henryka Mićánka, czyli magicmana mieszkającego w pobliskim mieście. Jego firma nazywa się K+K, to znaczy kominiaństwo + kuglarstwo. Kiedyś, oglądając w telewizji telewarieté z udziałem kuglarzy, spostrzegł, że też ma giętkie palce, i tak zaczęła się jego droga. A dziś objeżdża Czechy i oferuje swoje usługi – albo wyczyszczę wam komin albo poczaruję. Sukcesy święci wśród dzieci i emerytów. Zapraszany jest także na imprezy zakładowe. I czerpie zyski z tej swojej – dwu-kombinacji. Kiedyś Magicman został zaproszony przez piłkarzy na sylwestrowy wieczorek do hotelu i postanowił, że na początek imprezy wejdzie niespodziewanie na salę – spuszczać się przez otwór w kominku, który dobrze zna. Jednak o występie kuglarza tamtego wieczoru zapomniano, piłkarze prędko zabrali się do picia, i w chwili, gdy Magicman zaczął się spuszczać przez otwór wylotowy, ktoś na dole zapalił ogień w kominku. Na szczęście, ucierpiał wtedy na tym tylko kuglarski strój Mićánka.

Dziś pan Mićánek założył lśniący kombinezon z cekinami, różowo-złotą kamizelką, nasadził cylinder, włączył magnetofon z muzyką jak z telewizyjnej estrady Ein keśl bunes, i zaczął się kołysać, wyciągać z kieszeni róże, a z uszu długi sznurek. I w tym momencie z cylindra wypadają mu ukryte karty. Dzieci klaszczą, kuglarz się kłania. Wiatr co pewien czas odkrywa to, co miało

zostać ukryte. Mićánek nic sobie z tego nie robi, tylko improwizuje. Kładzie się na ziemię i węzowymi ruchami przykrywa karty chustą. Ale ze stodoły wyskakują kocięta, łapkami chwytają się ubioru Mićánka. Dzieci klaszczą, Mićánek nerwowo strząsa z siebie Boże stworzenia.

Po przedstawieniu pan Mićánek odbiera uzgodnione honorarium, podstawia kosz, pyta o stan kominów, a wszystkim rozdaje obrazki ze swoim portretem i podpisem: Członek Europejskiego Stowarzyszenia Kuglarzy z Siedzibą w Las Vegas. Potem daje znak ręką, półgębkiem oznajmia, że dziś ma jeszcze jakiś komin w Rápoticach i zardzewiałą szkodą znika po polnej drodze. Kurz unosi się za nim jak za magicmanem.

TLUMACZYŁ ANDRZEJ BABUCHOWSKI



POKOLENIE JP2



Przypadkowo włączone forum internetowe przywiodło mnie do wpisu usianego błędami ortograficznymi, ale jakże szczerego. Czy i nam gdzieś w cichości nie zdarzyło się myśleć podobnie?

„PRZEPRASZAM

Elener /10.04.2005 20:21/ Przepraszam, że tak żadko Cię dostrzegalam, przepraszam, że tak żadko modliłam się w Twojej intencji, przepraszam, że często wątpiłam, przepraszam, jeśli kiedyś znowu zwądpię, przepraszam za wszystkie dni, które zapomniałam poświęcić Bogu, przepraszam że przez jakiś czas będziesz u mnie na pierwszym miejscu, chociaż Ty na pierwszym miejscu zawsze stawiałaś Boga, przepraszam, że płaczę, mimo że Ty chciałbyś bym się radowała. Przepraszam, jeśli to tylko jednorazowy zryw. Przepraszam, bo nie jestem zbyt godna by Cię kochać, a osmielam się to czynić. Przepraszam, że mam pewien żal, bo nie było mi dane osobiście Cię zobaczyć.. Proszę, wybacz, lecz nie pozwól zapomnieć. Totus tuus” (pisownia oryginalna)

Wzruszające i prawdziwe, bo wszyscy upadamy i podnosimy się na nowo. To jest w wierze najpiękniejszy dar: szansa poprawy wciąż od nowa, dla każdego, bez względu na to, co za nami. Wpis pochodzi z 10 kwietnia 2005 roku, 8 dni po śmierci Ukochanego Ojca Świętego Jana Pawła II. Jak bardzo jest to aktualne teraz, kilka miesięcy później, gdy jesień wdziera się podmuchem wiatru na ulice i wkrada do naszych dusz nostalgiczną nutą. Nadszedł czas wspomnień. 1 listopada staliśmy nad grobami naszych bliskich. Każdy z nas tego dnia stał też myślami nad grobem Papieża w Rzymie. „Proszę wybacz, lecz nie pozwól zapomnieć” zapadło w moją pamięć. Tak samo jak zapadł na zawsze tamten dzień, gdy Racibórz żegnał Ojca Świętego. Wcześniej oglądaliśmy w telewizji, jak krakowskie Błonia migoczą tysiącem światełek, coś ścisnęło wtedy serce, wzruszało. Chyba każdy wtedy chciał tam być. Ale nie dlatego, że w Krakowie, tylko być wśród ludzi, dzielić ból. Chcieliśmy iść obok drugiego człowieka, śpiewać z drugim człowiekiem, ronić łzy z drugim człowiekiem, trzymać za ręce tworząc łańcuchy Nadziei. Czy mógł dać nam więcej Ten, który zawsze łączył, który był orędownikiem miłości i nadziei? Czy to, co przeżyliśmy nie było najpiękniejszym świadectwem, ale też wyrazem głęboko w nas wpisanej potrzeby bycia z drugim człowiekiem? Nie obok niego, nie przeciw niemu, ale z drugim człowiekiem, dla drugiego człowieka. Miałam wrażenie, że to zadziało jak jakiś katalizator, że chcieliśmy wyjść na ulicę, chcieliśmy być razem, wszyscy czekali, nasłuchiwali, gdzie w Raciborzu odbędzie się takie spotkanie. W żałobie, ale Razem. I w tych dniach nie miało żadnego znaczenia, czy łączymy się w pięknym Krakowie, w Pcimiu Dolnym czy też na raciborskim Placu Długosza. To ostatnie miejsce w ten wieczór, który wspominam, rozbułyło właśnie tysiącem świec, tysiącem światełek, podobnie jak wiele innych miast. Scena była zbudowana na podwyższeniu. Gdy tam się znalazłam, głos związał mi gardło, nigdy nie zapomnę tego widoku. To najpiękniejszy Racibórz jaki kiedykolwiek widziałam. Przedemną rzeka zapalonych świec. Wzruszonych, jeszcze oszołomionych i zrozpaczonych ludzkich serc. Miałam wrażenie, że ludzie jak serca trzymają w dłoniach

świece, jakby mówili Ojcu Świętemu: „Weź je, weź ze sobą, należą do Ciebie, oddajemy Ci ich część, która zaśnie przy Tobie, żebyś nie czuł się samotny.” Na środku w takt muzyki powiewała ogromna maryjna żółto-biała flaga. Ten obraz, ten papieski Racibórz widzę przed oczami i chyba zawsze jego wspomnienie zaszkli mi oczy...

Dziś, tu i ówdzie, szczególnie w mediach padają pytania o ocenę tamtego, jak niektórzy mówią, zrywu, tamtego fenomenu wiary. Poszczególne głosy chcą rozliczać efekty swoistych narodowych rekolcji, najchętniej niestety skrytykować i nazwać słomianym zapałem. Jestem daleka od tego typu ocen, bo w życiu każdego z nas po stracie bliskiego człowieka musimy wrócić do rzeczywistości. Czas leczy rany, czas zaciera ból, czas pomaga nam nie zwariować, ale czas nie każe nam zapominać. I to, że każdy z nas biegnie do swoich obowiązków nie znaczy, że zapomniał, nie znaczy, że nie przeżył autentycznie tamtej nauki, tamtej śmierci, bo była to dla nas wielka nauka o Umieraniu, pełnym pogodzenia, zaufania i Wiary, że to nie koniec. Przyznajmy, że nasze życie wróciło na normalne tory, świat nadal istnieje, nadal żyjemy, pracujemy, kochamy, ale też nadal oszukujemy, ranimy się, kłamamy. Ludzie nadal zabijają i kradną. Pozornie nic być może się nie zmieniło. Ale też to, co się zmieniło, nie będzie widoczne po pozorach. Koncert papieski 18 maja 2005 roku w Raciborzu też był inny niż spotkanie żałobne w kwietniu. Inna ilość osób, może inna atmosfera, choć też piękna. Każdy jak mógł pamiętał o swoim Papieżu. I każdy jak mógł dał mu coś swojego, bliskiego, część siebie. Po prostu- tak jak prezent na urodziny. Nie można oceniać po pozorach tego, co wydarzyło się w każdym z nas indywidualnie. Uważam, że ta ocena jest możliwa na płaszczyźnie czynów każdego z nas, a nie tego, ilu ludzi przybędzie w to czy inne miejsce. Te czyny zaś zależą przede wszystkim od całej naszej konstrukcji, od wyznawanych przez nas wartości, od siły naszego „ja”. Poza tym uważam, że sprawdzian z tego świadectwa zdamy tak naprawdę w obliczu cierpienia, w obliczu próby i wreszcie w obliczu śmierci. Wszelkie więc zbiorowe oceny są moim zdaniem nieuzasadnione, bo to, co ważne odbywa się gdzieś wewnątrz nas, często niezauważalnie dla innych i tak bardzo zależy od nas-od jakości tej gleby,

na którą padł ziarno Jana Pawła II, że trudno podejmować dyskusje, czy był to tylko jednorazowy zryw czy coś więcej. Nie jest odkryciem, że zło zawsze jest bardziej widoczne niż dobro, złośliwe słowa wszyscy zaraz zauważą i wychwycą, podejmą temat. Mając to na uwadze-niełatwo oceniać rzeczywistość i nas- pokolenie Jana Pawła II. Myślę, że warto pamiętać o starej zasadzie- ocenę i naprawę świata zaczniemy od siebie, od własnego podwórka. Ale chyba naszą narodową cechą jest umiłowanie krytyki, właśnie to zagładanie na podwórka innych oraz ocenianie- co, dlaczego i za ile. „Polaków łączy przede wszystkim kompleks Fiata. Ja mam Fiata, a mój sąsiad Mercedesa. Co z tego wynika? Uczynię wszystko, by sąsiad stracił Mercedesa, a nie



by dojsć do sytuacji, by mnie także było stać na takie auto” - przeczytałam na stronie internetowej reżysera Sylwestra Latkowskiego i jego metafora niestety wydała mi się trafna. Przeglądałam czasem internetowe fora na temat różnych znanych osób - ciężar obelg i nienawiści tam wypisywanych jest po prostu powalający. Jak wytłumaczyć ataki, niechęć, wręcz nienawiść wobec ludzi zupełnie tym osobom nieznanym? Gdzie jest granica między krytyką a obrażaniem? Okrucieństwo



niektórych sądów, radość z problemów i sytuacji życiowych „popularnych” zalewa wszystkie portale i dyskusje... Czy naprawdę utopilibyśmy siebie nawzajem w przysłowiowej łyżce wody? Dlaczego tak bardzo nienawidzi się tych, którzy coś osiągnęli? Niech ten kto krytykuje w taki sposób wyściubi nos z za swego komputera i próbuje coś zrobić - może zrealizować swoje marzenia, a nie wyżywać się za swoje niespełnione ambicje na tych, którym się udało! I dokładnie

jak napisał Latkowski - zamiast spróbować samemu coś osiągnąć wolimy ośmieszyć, wyszydzić i umniejszyć sukcesy innych, a nawet im je odebrać. I tak np. na pewnym forum wydano osąd nad urodą Magdy Mołek - prezenterki TVP1, dziś TVN, że jest szkaradna, okropna, odrażająca i ów ktoś nawet ją widział na żywo i....była naprawdę brzydka! Sprawy estetyczne są kwestią gustu, ale urody i wdzięku pani Magdzie nie można odmówić... Forum jednak było wprost zalane jej rzekomą brzydotą... To tylko jeden z wielu przykładów... W momencie, kiedy pisaliśmy księgi kondolencyjne dla Ukochanego Jana Pawła II, kiedy wszystkie fora zdominował temat naszego żalu, rozpaczy, naszych odczuć, wreszcie chęci podziękowania i pożegnania Papieża, kiedy większość stron internetowych przywdziała na znak żałoby po Jego śmierci symbol białej wstążeczki - nawet wtedy były miejsca, gdzie oczerniano Papieża, nie krytykowano za poglądy czy postawę w sposób kulturalny, tylko właśnie oczerniano, obrażano, wypisywano niestworzone, wysane z palca plotki! Pomyślałam wtedy, że jeżeli znalazło się tyle osób, niepotrafiących Go docenić jeśli już nie jako Głowy Kościoła i wspaniałego Duszpasterza, ale chociażby jako filozofa, pisarza czy po prostu jako dobrego człowieka, to naprawdę nie ma na to zjawisko siły! Tylko jaki sens ma nienawiść? Taki jedynie, że wiele osób wda się w taką dyskusję, wiele przykłaśnie i na tym koniec. W jej miejsce powstaje dziura, bo nienawiść wraca. Nie wiemy kiedy i pod jaką postacią, ale wraca. Nie wiemy też do kogo wraca, bo wszyscy kopiący chowają się za pseudonimami, nie mając odwagi podpisać się pod tym, co napisali. I w ten oto sposób mają skuteczne narzędzie, aby leczyć swoje frustracje, niespełnione marzenia lub po prostu dawać upust swojej złości. Nigdy nie zrozumieć mechanizmu, który każe komuś oczerniać innych tak po prostu, bez powodu. To normalne, że pewne rzeczy nam się nie podobają, że ich nie akceptujemy, ale na tym właśnie polega kultura i tolerancja, że nie wylewamy tej złości na tego, który nam się nie podoba. Po pierwsze z szacunku dla osiągnięć każdej takiej osoby, które przecież ta osoba w jakiś sposób sobie wypracowała, a po drugie z szacunku dla poglądów tych, którzy akurat taką działalność akceptują i podziwiają. Podstawowe założenie tolerancji - nie muszą akceptować, ale nie krytykują - wydawałoby się powinno być bliskie szczególnie nam młodym, tymczasem po lekturze internetowych forów można odnieść zgoła odmienne wrażenie.

On uczył nas tolerancji, On łączył wyznania, On odwiedzał ludzi, którzy byli tak inni, potrafił szanować każdego człowieka. On, a tak naprawdę, przez Niego TEN, w którego do końca uwierzył i któremu zawierzył. Nie sposób opisać tego wszystkiego, kim był dla nas Jan Paweł II. Kim jest dla nas. Każdy ma swoją historię związaną z Papieżem. Niektórzy widzieli go kilka razy, inni nigdy nie spotkali osobiście, jeszcze inni na honorowym miejscu w albumie trzymają zdjęcia z pielgrzymek czy prywatnych audiencji. Każdy też ma inną historię poznawania jego słów, książek, analizowania homilii... Dla większości z nas jednak ta strata stała się czymś tak dotkliwym i uderzającym w nas właśnie tak, jak boli, gdy odchodzi najbliższa, ukochana nam osoba. Bo też Jan Paweł II miał tę niezwykłą umiejętność, że gdy spojrzał na człowieka, zniknął wtedy cały świat i

przez tę chwilę ten jeden jedyny człowiek był najważniejszy na świecie. Ludzie kochali go za to, że potrafił pochylić się nad drugim człowiekiem. Jego przykład jest dla nas najpiękniejszym wzorem i wyzwaniem. Bardzo wymagającym, bo Papież był wymagający. Wobec siebie, wobec deklaracji: jestem chrześcijaninem, wobec ludzi - nawet tych niewierzących. To budziło szacunek w tak różnych kręgach. Nie było mi dane zobaczyć go z bliska, nie należą do tych szczęśliwców, którzy odwiedzili go na prywatnej audiencji czy ucałowali jego dłoń. Ale to nie ma znaczenia. Był 1999 rok, kolejna pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski. Papież przyjechał do Krakowa. Codziennie od 5 rano wystawałam przy trasach, którymi miał przyjeżdżać, udawało mi się dzięki temu zdobyć miejsce przy barierkach. Następowala we mnie kompletna cisza i niewytłumaczalne wzruszenie, gdy przejeżdżał obok w papamobile. Był kimś tak niezwykłym, że bez bezpośredniego spotkania, w wyobraźni czułam, jak patrzy na mnie, jak błogosławi robiąc znak krzyża nad moją głową. To była ta pielgrzymka, gdy w ostatniej chwili dotarła do nas - zgromadzonych na krakowskich Błoniach - informacja, że Jan Paweł II z powodu pogorszenia zdrowia nie odprawi Mszy Św. Na tej mszy św. miałam go zobaczyć po raz pierwszy. Później zobaczyłam go w słynnym oknie w siedzibie krakowskiej kurii na Franciszkańskiej. Pamiętam, że tłum zaczynał falować, gdy śpiewaliśmy i wszyscy przestawaliśmy się przeciskać, a zaczynaliśmy się spokojnie kołysać. I znowu gdy Ojciec Święty ukazał się w oknie, mimo że wszyscy zaczęliśmy krzyczeć, wokół mnie zaległa jakby kompletna cisza i zobaczyłam jego twarz i każdy ruch jakby w zwolnionym tempie. Był wtedy ze mną mój kolega z roku, niewierzący. Szczególnie mocno krytykujący kościelną hierarchię, a przede wszystkim papieżstwo i bogactwa Watykanu. O niezwykłej sile osobowości Jana Pawła II, o sile jego spojrzenia i słów przekonałam się właśnie na Tomku, który, gdy Papież zniknął już z okna, miał oczy pełne łez. Gdy wracaliśmy do domu, a nie udało nam się wtłoczyć do autobusu, w ogóle się nie odzywał, zamknął się w sobie i przyznał, że nigdy czegoś podobnego nie przeżył. Każdy ma inne obrazy w swojej pamięci, ale myślę, że są one tak silne i niezwykłe, że naprawdę nie ma znaczenia, ile razy go widzieliśmy i jak blisko Papieża byliśmy. Dla mnie ten moment kiedy Ojciec Święty przejeżdżał obok i ukazał się w swoim oknie na Franciszkańskiej jest tak ważny, jakby to było dotknięcie ręki. Na lotnisku w Balicach, gdy Jan Paweł II odlatywał, już się nie dopchałam, by go zobaczyć. Zobaczyłam tylko jak samolot wzbija się w powietrze. I znowu to uczucie, jakbym właśnie pożegnała się z kimś bliskim, jakbym machała ręką najbliższej osobie, która gdzieś na długo wyjeżdża...

Dlatego nie rozliczajmy się zbyt pochopnie z bycia dobrym czy złym pokoleniem JP2. Nie rozliczajmy się zbyt pochopnie z tego, co zmieniły w nas tamte dni. Nosimy tak różne historie związane z Janem Pawłem II. Łączy nas wspólne odczucie, że straciliśmy kogoś bardzo bliskiego. Pytajmy samych siebie - nie innych, nie jakichś ludzi obok - co robimy na co dzień z Jego nauką, z jego słowami? Pytajmy samych siebie w cichości. Pytajmy, gdy analizujemy, jak minął nam kolejny dzień. Bo życie toczy się dalej, nasze obowiązki są takie same. Może nawet mamy ich więcej. Pytajmy siebie w cichości. A jeśli nie zawsze się udawało być wiernym, prośmy: „wybacz... lecz nie pozwól zapomnieć. Totus tuus”



SZTUKA LATANIA



Błogosławiona ta godzina, kiedy do kina chodziło się z przypadku, czyli ze zbiegu okoliczności, łączącego w jedno nadmiar czasu, złą pogodę i odkrycie, że oto tu, w obcym mieście, zza rogu wychynął właśnie budynek, w którym wyświetlają ruchome obrazy z zawrotną szybkością dwudziestu czterech klatek na sekundę, co należałoby mimo wszystko sprawdzić. W taki też „sprawdzony sposób” obejrzałem onegdaj „Odwet” Tomasza T. Zygadły. Zapamiętałem z niego dwie rzeczy: słowa bileterki, że warto (oglądała film po raz trzeci, przycupnąwszy obok, na schodku u drzwi wyjściowych z sali) i scenę latania nad Pieninami, która zrobiła na mnie wrażenie jak „Przyjazd pociągu” braci Lumière. No, może jeszcze miasto i nazwę kina, ale imienia osoby, którą na ten film namówiłem – już nie. Film jakoś do końca do kanonu nie wszedł, widziałem go potem w telewizji chyba raz, w porze nader wymagającej nawet dla ambitnego dzieła, bo jakież inne wytrzyma rywalizację około północy z obrazami traktującymi o potrzebie jak najszybszego ograniczenia liczebności rodzaju ludzkiego metodą kałusz versus uzi, lub też odwrotnie – z filmami o radosnych i przyjemnych aspektach propagacji naszego gatunku.

Trzeba wiedzieć, że latanie przez Dunajec swoją tradycję ma. Pierwszy wzbił się nad Trzy Korony brat Cyprian – osiemnastowieczny zakonnik z Czerwonego Klasztoru - Leonardo da Vinci Karpat, jakże inny od współczesnych rzesz żalonych Leonardów di Capriów, którzy podczas spływu sadzają na dziobach tratw swoje ukochane, żeby zrobić zdjęcie im i flisakowi ukradkiem wybierającemu czerpakiem wodę. Rzeczonny mnich był po części wszystkim: alchemikiem, astronomem, a przede wszystkim botanikiem – to on stworzył jeden z najstarszych europejskich zielników, no i na koniec jeszcze wielkim awiomechanikiem, choć mój syn, urodzony sceptyk, twierdzi, że podobny efekt latania można uzyskać, zwyczajnie wybierając odpowiednie ziele z przyklasztornego ogródka. Tak czy owak, podług legendy „Skrzydlaty Mnich”, niczym Otto Lienthal, przeleciawszy nad Dunajcem machiną własnej konstrukcji, a co w tym najistotniejsze – do latania przeznaczoną, skierował się ku Tatrom. Tamże tragicznie, choć nie wszystkim, umarł - w skałę „Mnichem” nazwaną przemieniony. Na pewno zaś, co już z dokumentów wynika, Francis Ignac Jaschke dał się wiatrom przygnąć ze Śląska, a dokładniej z Polkowic. Poprzez umiłowanie wolności, zainteresowania i miejsce pochodzenia stał mi się ów Szaleniec Boży szczególnie bliski, nie dziwota zatem, że był to jeden z powodów, prócz potrzeby poczucia bliskości granicy, majestatu gór i kwestii lingwistycznych, dla których Czerwony Klasztor odwiedziłem ponownie.

Najnowsza mapa obiecywała przeprawę promową przez rzekę i korciło mnie, by na własne oczy zobaczyć, że teraz już na niewiele przydać się może w takim miejscu szlachetna, acz wielce ryzykowna, sztuka latania.

Oczywiście, że mógłbym kanikułę spędzić gdzie indziej, na przykład w jakimś ciepłym, południowym kraju, chociażby w Chorwacji, na plaży. Ale w końcu, jak rzekł pewien znany poeta, nie po to życie wyszło z morza, a człowiek z Afryki, żeby tam wracać. A tak zupełnie poważnie, niektóre z krajów śródziemnomorskich są dla mnie ciągle jeszcze tabu. Nie tak łatwo zapomnieć najnowszych tragicznych dziejów narodów byłej Jugosławii, nie chcę gdzieś na Wy-

brzeżu Dalmatyńskim, w kawiarni przy stoliku zastanawiać się, czym jeszcze przecież całkiem niedawno zajmował się obsługujący mnie kelner. Nie plantuję w myślach cmentarzy. Pamiętam. I to jest nieprzekraczalna granica podróży. Terra cognita, i to aż nazbyt. Limes.

Pojechałem więc tam, gdzie balast pamięci nie ciążył, czyli na wschód, wzdłuż coraz bardziej umownej granicy do miejscowości już wspomnianej, na Słowację. „Na”, albo może „do”, gdyż „na” nieco protekcyjnie mi się kojarzy: od zawsze jeździliśmy na Litwę, Ukrainę, Węgry - toż one takie „nasze”. Oj, a gdyby tak „na Szwecję”, „na Niemcy”, „na Czechy” - toż byłaby to inwazja więcej niż tylko przyimkowa! Jechałem tedy po dziurawej nawierzchni, która wedle tablicy informacyjnej niebawem przejść miała „rehabilitację”, myślałem w jakich godzinach czynny będzie ów prom, a samochodowe radio złośliwie rozprawiało o sportach „outdoorowych”, czyli uprawianych na wolnym powietrzu, do których latanie, przy przeprawie promowej już niepotrzebne, niechybnie się zalicza. W skupieniu czekałem, aż padnie słowo „indoorowy”, którego anglosaskiego brzmienia rozindyczony, a ściślej, jak prawdziwy mężczyzna, rozindorzony, pewnie bym nie zdzierzył i rehabilitacja komuś chybaby się przydała. Dziwnym trafem nie padło, ale wciąż budzę się w środku nocy z przeświadczeniem, że już w polszczyźnie jest i przez sen słyszę jego gulgot.

Promu nie było. Takoż i mostu. Moja nowo zakupiona mapa drogowa okazała się, z resztą nie tylko ta jedna, optymistycznie naiwna. Pomyślałem, że na drugi brzeg znowu trzeba będzie „latać” jakieś pół godziny kilkanaście kilometrów przez przejście graniczne w Niedzicy, do wsi Sromowce Niżne. A jednak było coś, co niepostrzeżenie potrafiło przelecieć ponad Dunajcem znacznie szybciej i to w linii prostej. To były słowa, niekoniecznie skrzydlate. Wiem, niezbyt to ładnie po polsku mówić „do wsi Sromowce”, ale co robić, jak strach toto odmieniać! Dwieście metrów za granicą, strach chyba jednak mniejszy, skoro na słowackiej ziemi odważyłem się spróbować końcówek, na początek w rozmowie z miejscowymi zresztą. Odrzekli mi, a jakże - po słowacku, że do Sromowców, to raczej nigdy, ale za to do Sromowiec, to chyba już w przyszłym roku, przeprawa będzie. I tak od obcokrajowców(?) nauczyłem się, której formy używać, choć mój komputer ciągle na czerwono podkreśla wężykiem obie, a tę poprawną uparcie, a do tego bardzo brzydtko, proponuje podzielić na dwa, jemu tylko współbrzmiające wyrazy: srom owiec. Może i odzwierciedla to poczucie humoru prezentowane ostatnimi czasy przez niektóre zespoły kabaretowe, ale mimo wszystko - jakoś tak nieładnie.

Summa summarum - nie musiałem przeprować się sam na polską stronę - odpowiednia forma gramatyczna przeleciała sama. Nie ona jedna. Inna przyfrunęła też do Polaka, który zadawszy w cukierni pytanie czy „nie **szłoby** kupić większej ilości lodów”, otrzymał słodką dla ucha odpowiedź cukierniczki, w nienagannej góralszczyźnie, że „z pewnością **się da**”. Zaczynałem mieć powoli wątpliwości, czy te wszystkie „skrzydlate słowa” są przylotne, czy też może gniazdzą i po tej, czyli tamtej, tj. podówczas mojej, czyli słowackiej stronie Dunajca. Pytanie było jakby nie na miejscu, bo z lekka narodowe i polityczne, a tu (i tam też) Unia i tablice z inwestycjami opartymi o europejskie fundusze, ino promu jak ni ma, tak ni ma. Bezpieczniej było mi wsiąść do samochodu i pognać przez Słowację szosą, co to „rehabilitacji” nie wymaga. (A może to i dobre słowo ta „rehabilitacja”, w końcu w Polsce, w odróżnieniu od innych krajów, budowa dróg to sprawa chora i wysoce polityczna). Zatrzymałem się dopiero w Starej Lubowni. Przynajmniej tak początkowo mi się wydawało. Trzeba było jednak zwiedzić zamek, skansen i odpocząć potem w restauracji, by tę pewność stracić. Zamek Lubomirskich i Zamoyskich, główna brama na wewnętrznym dziedzińcu przystrojono polskimi sztandarami i tylko przewodniczka ustaliła, że skoro grupa zwiedzających była na poły czeska a na poły polska, to dla jasności i ogólnego zrozumienia używać będzie, co w tej sytuacji oczywiste, słowackiego. Skansen zaczął budzić dalsze podejrzenia. Skoro byłem na Słowacji a zamek był polski, to niby naturalną kolejną rzeczy obiekty skansenu okazały się rusińskie. Proste. Na dodatek w nazwie restauracji od nazwy „Lubownia”

– przymiotnik „lubowelski”, choć w rodzimych tekstach widziałem „lubowniański”. Z braku dostępu do źródeł pisanych zerknąłem do Internetu. Strach. W Senacie też już mieli ten problem. Odsyłali mnie do stenogramów posiedzeń. Dziękuję, nie. Teraz to już naprawdę była polityczna sprawa.

Wszystko stąd, że polska wersja nazwy miasta to (Stara) Lubowla, więc stąd też wielce szlachetny przymiotnik „lubowelski”. „Lubowla” pobrzmiewała mi nazbyt wschodniosłowiańsko, ale koniec końców od zawsze mieliśmy skłonność do dekoracji naszymi znamienitymi herbami rodowymi wschodu, zachodowi pozostawiając plakaty hydraulików i pielęgniarek. Odbiło się to trochę na języku. Taki czasownik „być” na przykład da się pominąć w chińskim, rosyjskim i... polskim (patrz „Elementarz” Falskiego). Żartuję(?) A swoją drogą dziwne, że potrafimy pominąć „być”, ale „mieć” nie opuszczamy nigdy! No i co jest w końcu dla nas ważniejsze: „być” czy „mieć”? Oczywiście?

Kiedy byliśmy i mieliśmy nawet na Spiszu. Teraz ostatecznie wyszło mi na to, że polskie formy bardziej popularne są na Słowacji, a słowackie w Polsce. Kolejny przelot, jeśli nie odlot, albo i odwet za ten most przez Dunajec, którego w Czerwonym Klasztorze jeszcze nie ma. Odwet Latającego Mnicha. To duch brata Cypriana rzucał słowa na wiatr, z brzegu na brzeg.

Zupełny strach – wróciłem. Do Polski, do Niedzicy. Nasz celnik upewnił mnie, że granica jest. Uf, Teraz spokojnie mogłem zwiedzić „nasz” zamek! Nie całkiem, okazało się, że w zasadzie był węgierski, przewodniczka miała lekko słowacki akcent, aż w końcu powiedziała, pieczołowicie wymawiając końcówki, że Janosik był Słowakiem, miał na imię Juraj, został stracony w Liptovskom Mikuláši. Wiem, że mówiła prawdę, byłem w tym zacnym mieście kiedyś z dziećmi, jeszcze małymi, w muzeum, pani kustosz pokazała im wielki hak, omal nie zemdłały. Straszno. Cyprian kołował mi w głowie, zataczał coraz większe kręgi – miejsce robiło się jakby zakłete, lada moment mogłem potknąć się o kamień filozoficzny, którego przecież też szukał. Trzeba było uciekać. Do domu, na... Słowację... Do polskiego. Celnik nie rozumiał, ja już też nie. Na drodze tuż za tablicą oznaczającą miejscowość zatrzymał mnie jakiś rozchwiany turysta. Z trwogą w oczach pytał, czy to aby na pewno Czerwony Klasztor. Potwierdziłem, ale jakoś tak bez przekonania. Latający Mnich wziął pełny odwet, prawdziwszy niż ten filmowy.

Przestanie przerzucać słowa, kiedy będzie prom, albo most, taki outdoorowy z rehabilitowaną nawierzchnią, jeśli nie z funduszy UE, to za te „trzy korony” i te parę groszy, które z takim pożytkiem wydałem na Spiszu na naukę polskiego.



OBRAZY PAMIĘCI



Obrazy pamięci, tak właśnie chciałbym zatytułować cykl kilku, może kilkunastu wspomnień o nieistniejącym już realnie „Moim Raciborzu”. Są w nim ludzie, ludzie z mojego pokolenia, urodzeni w końcu lat czterdziestych, są też starsi „przedwojenni” z pokolenia moich rodziców, jest także siostra z jej koleżankami i kolegami.

W miarę upływu lat, czyli dorastania, zmieniał się sposób widzenia i zapamiętywania, obrazy stają się głębsze, nabierają wyraźniejszych barw, pojawia się plan drugi i trzeci, czasem urywek „ścieżki dźwiękowej”.

Opowieść obrazów kończy się nagle na początku lat 70-tych, kiedy opuściwszy Racibórz postanowiłem się usamodzielnic. Później krótki epizod powrotu - lata 80-te, ale próżno szukać dawnego „klimatu”. Poznikały gdzieś stare domy, zakamarki, zaułki, ulice zmieniały swój bieg, place zmieniły kształt, pobudowano osiedla zamieszkałe przez „nowych” Raciborzan.

A później przerwa, przerwa trwająca do dziś, wypełniana kilkudniowymi urlopowymi pobytami, podczas których spotkania z dawnymi przyjaciółmi, znajomymi odbywają się coraz częściej po obu stronach Styksu na wzgórzu lipowym pod Oicami.

I ponownie obrazy pamięci, mimo, że to nie tak dawno, że tylko 18 lat dodanych do poprzednich trzydziestu dziewięciu złanych w jedno beczasowe naczynie bez godzin, dni, miesięcy. Pamiętam zdarzenia, sytuacje, spotkania, nie pamiętam lat, dlatego z góry proszę tych, których wspomnę, o wyrozumiałość, aby nieścisłości nie tylko chronologiczne potraktowali z życzliwością i uśmiechem.

OBRAZ PIERWSZY. Zalane południowym słońcem podwórze ze skierowaną na północ bramą. Za bramą ruiny, wśród których błyszcząły bielą glazurowane mury wypalonej świątyni. Później dowiedziałem się, że to synagoga przy ulicy Szewskiej.

OBRAZ DRUGI: Z domu moich urodzin przy ulicy Trzeciego Maja (obecnie Podwałe biurowiec adwokacki) pamiętam wspaniały, składający się z setek kolorowych szybek, witraż drzwi opuszczanego w dniu przeprowadzki mieszkania.

OBRAZ TRZECI: Wzór sukienki, ostoi ciepła, spokoju i bezpieczeństwa, taką zapamiętałem bez twarzy moją babcią. Te trzy spojrzenia są dla mnie dlatego tak ważne, bo są to pierwsze zapamiętane chwile dzieciństwa, a mnie pewnie brakowało jeszcze paru tygodni do pełnych trzech lat. Błąka się jeszcze jedno, a mianowicie gdzieś pomiędzy obecnym szaletem targowym i ulicą Szewską w dół w stronę Mickiewicza, gdzie dziś jest małutki skwerek, była stacja benzynowa, a właściwie jej resztki w postaci sterczących z ziemi rur paliwowych. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że w czasach absolutnej prohibicji benzynowej (przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych) ojciec mój odsysał ręczną pompką z dna zbiorników resztki paliwa, służącego potem pierwszemu rodzinemu wehikułowi spalinowemu, jakim było „pierzakółko” (ówczesny motorower), a dla mnie to, co wydobywało się z rurki wydechowej stało się najpiękniejszym zapachem dzieciństwa; i tak zostało.

OBRAZ CZWARTY: OSTRÓG, ULICA. Ulica Bosacka na kilka lat stała się moją „małą ojczyzną”. Dziś jedna z prostszych ulic miasta, dawniej posiadała – co może potwierdzić tubylec i



wytrawne oko urbanisty, dosyć ostro wpisujące się w rozwartą literę „z“ dwa zakręty (dziś okolice hotelu). Sama nawierzchnia wykonana z oszlifowanej, zachodzącej na siebie półkolami granitowej kostki, była bardzo równa, bez dziur, dlatego bez „trzęsawki“ jeździło się po niej rowerem. Wystarczyła jednak kropla deszczu, aby ta wyglądająca na pozór niewinnie ulica, dla mniej doświadczonych kierowców stawała się często tragiczną pułapką. Dziś trudno mi powiedzieć dokładnie, ale gdzieś po lewej, jakby bliżej miasta, na wspomnianych zakrętach Bosackiej, była piekarnia Szymiczka. Wpadało się tam na długiej przerwie po sznekę. Taką „SZNEKĘ“ można było dostać tylko w Raciborzu i podejrzewam, że najpierw właśnie na Ostrogu, kto wie lepiej, proszę bardzo (!?). Kiedy później bułka kosztowała 50 groszy, to lukrowana z wstążką marmolady „szneka“, już 65 lub 75. W końcu też nie chodzi o cenę, czy lepsze nadzieje, bo „Raciborska Szneka“ była nie tylko dla mnie, ale wielu rówieśników stałą szkolną przewodniczką i cała odgórna akcja dożywiania przegrywała z nią z kretesem. Dla wyjaśnienia muszę powiedzieć, że produkty o „podobnym“ w całym kraju wyglądzie i może smaku, to chyba plecionki lub coś tak brzmiącego, ale to już nie TO!

OBRAZ PIĄTY: OCTOWNIA. Zamieszkaliśmy pod numerem 42-gim w jednopiętrowym biurowcu octowni. Od przodu budynku były dwa wejścia i przejazd na teren zakładu. Jedno z wejść, a mianowicie to z lewej, był to sklep tzw. spożywczy, zaś prawie obok prowadziło przez sień do biur na parterze i mieszkań na piętrze. Ciekawostką były tam schody bez półpiętra tak, że w chwili potknięcia się na pierwszym górnym schodku, leciało się na „pysk“ przez całą ich długość. Wiem coś o tym... mówię przez nos po bezinterwencyjnym zrosnięciu jego przegród, miałem szczęście!

OBRAZ SZÓSTY: PIECE. Funkcjonalnie rozplanowane pięciopokojowe mieszkanie, z ogromnym pokojem stołowym odgrodzonym od gabinetu szklaną, rozsuwaną ścianą, posiadało niestety jedną poważną wadę, a mianowicie: ogrzewanie piecowe. Piece, same w sobie arcydzieła sztuki zduńsko-kaflarskiej, nie były w stanie ogrzać przeznaczonej im powierzchni.

W dużym pokoju, na 60-ciu metrach kwadratowych stał jeden z nich, narożny, biały, zwieńczony koszem pełnym dojrzałych owoców z girlandami winogron, piękny, ale cóż z tego, kiedy „nie wyrabiał“. Podobnie rzecz się miała w całym mieszkaniu, a konsekwencja w postaci ciągu angin nie kazała na siebie długo czekać. Rekonwalescencje między jedną, a następną chorobą spędzałem najczęściej przy oknie, podziwiając tygodniami widok tej samej ulicy.

OBRAZ SIÓDMY: OKNO. Każde okno, już ze swego charakteru, jest ogranicznikiem widzianego przezeń świata, jednak to ćwiczenie czyni mistrza i dlatego udawało mi się na słuch, bez pudła, odróżniać marki nadjeżdżających, a nie widzianych jeszcze pojazdów. W owym czasie większość stanowiły motocykle, więc wyspecjalizowałem się w jawach, dekawkach, ifach, es-ha-elkach, awo, wprawiając w zdumienie swoim kunsztem dorosłych. Z samochodami była jeszcze łatwiejsza sprawa, bo nie było siły, aby pomylić dwusuw dekawki lub ify z czterosuwem skody-tudora, czy warszawy. Ciekawiej było, gdy przypadkiem zabląkał się na naszej ulicy sześciocylinnowy sportowy bmw-cabriolet dra Roszczakowskiego, ale i z tym można było sobie poradzić. Ciężarówka oplana najczęściej wyły skrzyniami biegów, a octowniany dodge miękko basował. Oczywiście nie muszę nikogo chyba przekonywać, że dźwięki zza okna były mi bliższe od etud fortepianowych ćwiczonych z uporem przez siostrę. Innej muzyki nie było, radio nastawione na Wolną Europę czy Londyn dawało koncerty zagłuszaczek, a na „kołchoźnika“ bezpartyjny ojciec nie zasługiwał, a może nie chciał zasłużyć.

OBRAZ ÓSMY: ORANŻADA. Gdzieś w połowie lat pięćdziesiątych, dokładnej daty nie pamiętam, ale wiem, że była to upalna niedziela lata, kiedy to czym kto mógł i jak kto mógł, całymi rodzinami wybierano się do Obory.

Nie wtajemniczonym objaśniam, że Obora to nazwa podmiejskiego lasu, miejsca popularnych krótkich wycieczek, rekreacji oraz spotkań.

Aby spędzić mile czas „na łonie natury”, od samego rana ulicą Bosacką w wiadomym kierunku, ciągnęły grupy pieszych, rowerzystów, a koło południa także zmotoryzowanych. Wyjątkowo jednak tego dnia można było zauważyć, że plecaki, tobołki z prowiantem, czy „czymś” tam jeszcze, jakby zmniejszyły swoje rozmiary lub nawet wcale ich nie było. Rozwiązanie zagadki było proste, bo: od teraz! od zaraz! miało być tak zawsze!, że stroną kulinarną wypadów za miasto zajmie się odbudowana po zniszczeniach i właśnie otwierana z kilkoma pokojami gościnnymi leśna restauracja.

Z wysokości mojego nosa mogłem stwierdzić, że nasza ulica wybrała się w „całości”. Strona octowni domami, po kolei: „znad mleczarni” państwo O. z dwiema córkami Bogusią i małą Halinką (Hajduczkiem pana O.), ich sąsiad z parteru, nasz rówieśnik Józio K. z siostrą Lusią, z następnego: Lonia K. z dużo od siebie starszym bratem Heńkiem i wreszcie z trzypiętrowca, Brontusi i Rysia G., Ewa M., Henio i Irenka S.

O autobusach czerwonych jeszcze nikomu się nie śniło, więc pan G. podwiózł swoją rodzinę srebrnym awo-sport, pan S. swoich czerwoną jawą, a mój tato odpalił naszego bianchi-500. Pozostali spacerkiem dotarli do Obory. Każde pokolenie ma swoje zasady, w myśl których wie najlepiej, co jest dobre, a co szkodzi ich „latoroślom”. Dzisiejsze mamy mają utrapienie z coca-cola, nasze miały z „oranzadą”, czyli jak mówiono: zabarwioną gazowaną wodą podprawną sacharyną i czymś jeszcze. Taka receptura słodko-kwaśnej „ambrozji” powinna odstraszyć nas raz na zawsze od uwielbianego napoju. Nie mając jednak innego sposobu, restrykcyjnie ograniczono nam konsumpcję, a zwolnienia bywały tylko „od wielkiego dzwonu”. W pewnej chwili udało nam się dostać wsparcie od nieświadomego swojej gafy pana G., który twierdził oficjalnie że, „oranzada to dobry sposób na gorączkę u dzieci” i swojemu synowi w razie potrzeby ordynuje to „lekarstwo”. Jak myśmy wtedy Brontusowi zazdrościli!

Otóż owego, pięknego dnia, już w Oborze, po przepchaniu się przez tłum ciekawskich, udało się naszej kompanii zdobyć stolik na tarasie nowej restauracji. Oczywiście miejsca dla dzieci siłą rzeczy zabrakło, więc aby bezboleśnie pozbyć się problemu, uchylono nam wrót „oranzadowego rajku”.

Po wypiciu, na otwarciu, po butelce 0,33 „na łebka”, okazało się, że ta studnia nie ma dna, a hojność zajętych rozmowami rodziców sięgała szczytów. Skończyło się chyba na trzeciej butelce, bo napój był dobrze gazowany, a do granic rozdęte żołądki zaczynały boleć.

Później, mimo przejściowych dolegliwości, a co za tym idzie spontanicznych przysięg, że „nie lubię już oranzady”, zaraz następnego dnia oczy same biegły śladami półciężarówki pana Szutera rozwożącej „boski napój”.

Suplement:

Wytwórnia wód gazowanych „potentata”, czyli p. Szutera, zatrudniająca dwóch, może trzech pracowników, znajdowała się, patrząc od ulicy Mickiewicza, po lewej stronie w garażu domu przy ulicy Szewskiej /między dzisiejszymi sklepami „Ula” i „Veritas”/. Tacy to byli wtedy kapitaliści!

Krzysztof Komorowski:

Urodzony w 1949, w Raciborzu. To właściwie powinno wystarczyć, aby nosić imię Raciborzanina. Choć są tacy, którzy to podważają, szukają korzeni głębiej, ale tym odpowiem, że nie chęć, a skierowanie do pracy dla ojca decydowało o pochodzeniu jego dzieci. A ja, swoją drogą, cieszę się, że tak wyszło:

- lata dziecięce: przedszkole, szkoła podstawowa, średnia a później studium nauczycielskie - to Racibórz.
- pierwsze obrazy, doznania, uczucia i te wcześniejsze i te późniejsze, bez wątpienia- Racibórz.
- już dojrzałe życie, studia- historia-Opole.
- żyliśmy!
- powrót do Raciborza, stan wojenny!
- śmierć bliskich
- epizod bez spełnienia - Wydział Oświaty w Raciborzu.
- świadomość, że emigrujemy.
- wyjazd w nieznaną, ale z determinacją.
- śmierć siostry i rodziców.
- 15- lat pracy z upośledzonymi i chyba tak już zostanie.

Hobby: ogród, podróże, „powroty do Raciborza”, trochę fotografii, wino czerwone- ahrske, kontakty ze starymi i nowymi Przyjaciółmi.

C.D.N.

MECKENHEIM, 28.10.2005.



CO TYDZIEŃ DZIESIĄTKI KSIĄŻEK, CORAZ TO NOWE TYTUŁY, NAZWISKA, ZALECAJĄCE SIĘ BARWĄ OBWOŁUTY! JAK W CIĄGU PÓŁROCZA WYBRAĆ DZIESIĘĆ Z NICH? A JAK – CZTERY?!! RZECZ JEST WYKONALNA, O ILE SZUKA SIĘ Z N A J O M Y C H , ZNACZY: AU-TORÓW O POKREWNYM SYSTEMIE WARTOŚCI I STYLU, KTÓRY GWARANTUJE KOMFORT OBCOWANIA Z PRAWDZIWĄ LITERATURĄ. W TYM NUMERZE PREZENTUJEMY NOWE, "JESZCZE CIEPŁE" TOMY WIERSZY DWÓCH JAKŻE WAŻNYCH DLA OBRAZU WSPÓŁCZESNEJ POEZJI POLSKIEJ AUTORÓW ORAZ DWIE KSIĄŻKI NASZEGO NACZELNEGO, PO LEKTURZE KTÓRYCH ZMIENIĆ (ALBO TYLKO ODŚWIEŻYĆ) POWINNA SIĘ PERCEPCJA CIĄGŁOŚCI KULTUROWEJ NA ZIEMI RACIBORSKIEJ. ZAPRASZAMY! (RED.)

NAD JEZIOREM CZASU

Zwraca uwagę, jeśli jest w zasięgu wzroku... Trzeba świadomie wyrzec nie, by ręce same nie zbliżyły się do książki, czyniąc od razu magiczne gesty, gładząc jej lekko wysrebrzoną obwolutę. Kolejne zaskoczenia czekają przy wertowaniu tomu. Zmysłowa przyjemność – niezwykle reprodukcje fresków Michała Świdra, każdy jak osobna historia – na kartach z papieru najwyższego gatunku, które pozwalają na chwilę zapomnieć, czym jest masowa produkcja książek. (Ukłony pod adresem wydawcy i edytora.)

„Imago mundi” to poemat Wojciecha Wencla, podzielony przez autora na dwanaście rozdziałów, które mogłyby żyć samodzielnie, bo każdy jest całością, złożone zaś obok siebie ukazują jedyny w swoim rodzaju obraz świata. Nie uładzony, bo czytamy w nim o klęskach człowieczeństwa (Oświęcim, szpital psychiatryczny, samotność we dwoje, rozpacz i „...wrogom na pohybel”) oraz o stanach biegunowo odmiennych przejawiających się w wysublimowanych uczuciach.

Poemat zdaje się przeczyć Heraklitowej mądrości -pantha rei- gdyż wchodząc w nurty jego czasu, mamy przekonanie, że wszystko trwa, może tylko zmienia się perspektywa. Czas nie jest więc rwącym potokiem, ale jeziorem o niezmierzonej linii brzegowej i wielu tajemnych zakamarkach. W jego przestworzach odnajdziemy Eden, udręczonego Hioba, jest Wergiliusz, Dante – nosiciel wizji ostatecznych. W bliskim sąsiedztwie rapują chłopcy w hiphopowych strojach, mężczyźni łowią ryby w mulistej strudze, śpią zmęczone dzieci, czekają prostytutki. Wszystko jest, istnieje - jak chce podmiot liryczny- „jeśli istniał Chrystus, wszystko istniało”. Sakralna wizja czasu, opiera się na przekonaniu, że człowiek może żyć pełnią swego „ja” jedynie w oparciu o trwałość i prawdy, które posiadają dawno ustanowiony praworzec. Obcowanie z poematem Wencla daje możliwość zaspokojenia towarzyszącego współczesnemu człowiekowi głodu transcendencji, głodu wieczności, przekonania, że można trwać.

Ponad światem wieje wiatr – oddech Boga. Różną przybiera on formę. Czasem przewraca okręty na wzburzonym morzu, huczy „jakby chciał nas strącić na samo dno otchłani”, „krąży jakby chciał mnie zabić”, „śpiewa na przystaniach piosenkę”, „zatoczył koło nad splekaną ziemią wiecznej krainy”, „był wiatrem z wierszy Wergiliusza”. Ożywia, nęka, nie daje zapomnieć o sobie.

Miłość, jedna z najbardziej znaczących dla tego poematu warto-

ści, wcielona w postać Dobrego Pasterza, pozwala człowiekowi upaść, pogubić się, zapomnieć, by miał szansę zostać odnaleziony. Żadnego przymusu, sama delikatność – biel śnieżynek dla oczyszczenia sumienia – „każda śnieżynka inna na miarę sumienia człowieka/ który właśnie wygrał swoje życie.” Rzeczywistość wykreowaną w utworze czytelnik może chłonąć wszystkimi zmysłami. Mnóstwo tu barw w różnych odcieniach: jest purpura fiolet, cegła, wiśnia, karmazyn, biel, egipska ciemność i dźwięków, odgłosów życia, natury: „drzewa dzwonią gałęziami”, „śmieją się dzieci”, „śpiewają syreny”, „dzwoni komórka”. Świat przekonuje, że jest prawdziwy.

Piotr Śliwiczki recenzując „Imago mundi” twierdzi, że „to depresyjny utwór. To rozpad i rozpacz.” Jego autora określa również jednoznacznie – „To konserwatysta zajęty wyszukiwaniem oznak Bożego Ładu”, który odwoływał się „do najbardziej oczywistych, a czasami wręcz uznawanych za obskuranckie zasobów”. Trudno zgodzić się z taką opinią, szczególnie, jeśli pamiętać, że wątki i „zasoby” biblijne stanowią o podstawach naszej kultury i należą do najbardziej płodnych w zachodnim kręgu kultury. Każda wielka literatura jest w pewnym sensie literaturą religijną, bo stanowi wyraz poszukiwań wartości absolutnych .

Lekturę poematu kończymy z cichym zadowoleniem, że mamy szansę żywo uczestniczyć w innych rozdziałach tego poematu. Zamykanie książki daje szansę na kolejne otwarcie... i trwanie w czasie poza czasem.

WOJCIECH WENCEL, „IMAGO MUNDI”, WARSZAWA-KRAKÓW 2005.



WIECZÓR AUTORSKI
WOJCIECHA WENCŁA,
RACIBORSKI DOM KULTURY
20.01.2005 R.





ANTENY WYCELOWANE W ŚWIAT

Jak dobrze jest spotykać starych znajomych, tak "starych", jak historia poezji Nowofalowej, czyli głosu pierwszej generacji literackiej, która otwarcie i konsekwentnie zakwestionowała dyktat i sens "realnego socjalizmu" w Polsce. Od pierwszych tomików Nowej Fali upłynęło już ponad 30 lat i zapominają o nich – zda się – sami autorzy, ale ranga nadana wtedy wypowiedziom poetyckim nie uległa dewaluacji i wyznacza standardy literackie także dziś, w zupełnie zmienionym świecie, w którym "Gdybyśmy umieli czytać wiersze równie uważnie, jak studiujemy menu w drogiej restauracji..."

WIECZÓR AUTORSKI
ADAMA ZAGAJEWSKIEGO,
RACIBORSKI DOM KULTURY
20.11.2003 R.

Adam Zagajewski rozmawia ze swoimi czytelnikami regularnie, jak serdeczny list wysyłając co dwa, co cztery lata nową książkę poetycką. I tak zjawiają się wydane właśnie "Anteny", kiedy mówimy sobie: - No, ciekawe, co tam u Pana Adama? A tam – podróże i wspomnienia, wspomnienia i podróże, i czasem trudny do dźwigania bagaż własnych rozterek, frustracji, niespełnień, które towarzyszą nam, czy jesteśmy u ojca w Gliwicach, przed obrazem Zurbarana w Prado lub w Londynie, albo w drodze – nomen omen – na Olimp. Piszę "nam", bo jeśli czytelnik "kupuje na pniu" estetyczny dekalog autora – Bacha, Miłosza, Schuberta, ciszę katedr i obrazów wielkich Włochów i Flamandów, nieodzowny głos kosa wreszcie – dalej żeglujemy już razem!

Nie sposób czytać "Anten" inaczej jak dziennik pokładowy kapitana okrętu, który żegluje nie tyle po to, by poznać świat – zna go przecież jak mało kto – ale by upewnić się, że wszystko jest na swoim miejscu, że "Bach znowu się obudził i śpiewa", a jeśli nie jest – ogłosić swoje votum separatum, czyli skorzystać z tego najbardziej niezbywalnego przywileju poetów w kontaktach ze światem. Z tym, że Zagajewski nie podnosi głosu, nie złorzeczy, co to, to nie – najwyżej odchodzi ścieżką stoików, jeśli czuje dysonans, lub błagę, kiedy "za dużo mówimy,/tak jak francuscy turyści, których słyszałem na stromym zboczu(...)" (Rozmowa).

Ale przyznać trzeba, że pośród cudów świata widzialnego dopada poetę p r z e s ł o ś ć , i wtedy "miseczki z kolorami" pokrywa gorzki popiół, osad wygnania, niespełnienia, zaprzeczania szans. I wtedy pytający Adam staje się spadkobiercą rodziców, kontynuatorem cichego lamentu pokoleń: "Pytam ojca: co robisz całymi dniami? Wspominam." (W małym pokoju). Trudno się oprzeć odczuciu, iż poeta świadomie podąża tu śladami swoich wielkich poprzedników: Miłosza, ale także i Herberta, z którym łączy go miejsce urodzenia, ale także, coraz częściej, dykcja.

Otwieramy tomik, czytamy wiersz "Życie nie jest snem" i do pełni wrażeń brakuje nam tylko ekstatycznego utworu Procol Harum "Żal za Walpurgią". Dwie rzeczy wydają się w tej książce znamienne, jakkolwiek potwierdzają wcześniejsze aspiracje tej – niewątpliwie "wysokiej" – mowy. To cudowne przenikanie czasów, które musi prowadzić czytelnika do konstatacji, iż świat jest jednością, oraz wywodzenie tajemnicy z najbardziej błahych i oczywistych rytuałów życia, gdzie czai się właśnie czysta, najprawdziwsza poezja. Ale tylko Adam Zagajewski o tym wie i widział jak "Umarli ścigali się na sankach/ i rzucali śnieżkami/ w nasze okna." (Zawieja).

A gdyby ktoś chciał wrzucić butelkę w kosmos z pisany portretem naszej cywilizacji, niech przeczyta, albo wyśpiewa, wykrzyczy kończący książkę wiersz (poemat?) "Anteny w deszczu"! Mnie osobiście żal trochę, iż snem tylko okazuje się to, że "Bóg wrócił" (Zależy który), bowiem i ten tom Adama Zagajewskiego lokuję w kategorii poezji, "która ocala", a więc ociera się o Sacrum. Ona nie przynosi nam – zgoda – odpowiedzi, ale jak pięknie w naszym imieniu pyta!

ADAM ZAGAJEWSKI, „ANTENY”, WYDAWNICTWO A5. KRAKÓW 2005.

WOŁANIA HUMANISTY NA (RACIBORSKIEJ) PUSZCZY

Niemal jednocześnie zostały wydane dwie książki związane z Raciborzem folklorysty, historyka literatury i poety, Janusza Nowaka. Oba zbiory zawierają wybrane wątki fabularne dotyczące zarówno samego Raciborza, jak i okolic dawnego księstwa. Autor zrezygnował z podań wierzeniowych, których bohaterami są strzygi, utopce i inne fantastyczne twory, skupiając się na podaniach historycznych i lokalnych, legendach i anegdotach o postaciach związanych z miejscową historią. Stronice książek zaludniają więc przedstawiciele śląskich Piastów – księżniczka Eufemia, jej ojciec Przemysław, raciborscy mieszczanie – piekarz Szczepan, kowal Paszek, uczonek zakonnik – ojciec Walenty, i wielu innych.

Teksty, podane w najbardziej typowych wariantach, uporządkowane zostały chronologicznie, choć w przypadku ludowych przekazów narracyjnych trudno mówić o wierności historycznej.

„Legends i podania dawnego Raciborza”, w zamierzeniu autora zbioru, mają pomóc czytelnikowi w nawiązaniu „mocnych związków emocjonalnych z otaczającą rzeczywistością i nasycaniu teje rzeczywistości elementami swojskości i bliskości uczuciowej”. (s. 6) Książka ta jest znacznie poszerzoną i zmienioną wersją broszurki „Raciborskie podania i legendy wydanej w 1988 roku nakładem TMZR.

W drugiej publikacji Nowak próbuje odsłonić „ducha” historii, który wspólnie z naukową historiografią współtworzy zbiorową pamięć mieszkańców Raciborza. W ośmiu esejach, poświęconych wybranym legendom i podaniom, przygląda się zarazem współczesnym raciborzanom. Ubolewa nad zanikiem kultu św. Marcelego, patrona miasta, postuluje „w imię dobrze rozumianej idei pielęgnowania tradycji” (s. 23) wskrzeszenie w Raciborzu kultu św. Stanisława.

Niezwykle pieczołowicie kreśli autor „zamyśleń” portret najsłynniejszej w dziejach raciborzanki, założycielki najstarszego bractwa religijnego na Śląsku, księżniczki Eufemii, którą porównuje do Świętej Katarzyny ze Sieny. Jednocześnie z uznaniem wypowiada się o nieprzeciętnych zdolnościach organizacyjnych i gospodarczych pięknej Ofki, sugerując wręcz, aby po wyniesieniu świątobliwej księżniczki na ołtarze obwołać ją patronką chrześcijańskich biznesmenów i menadżerów.

Postać Piastówny popularyzował już w XVII wieku „Życzliwy y dożywotni Bogomodlica” ojciec Walenty, spowiednik raciborskich dominikanek. W swojej „Praktyce duchowej”, obok rozważań poświęconych różnym formom i rodzajom modlitwy, przedstawił on biografię Ofki jako wzór do naśladowania dla mniszek z konwentu Św. Ducha. Również ten pobożny zakonnik mógłby być, jak sądzi Nowak, raciborskim kandydatem do wyniesienia na ołtarze, ponieważ jego ciało nie uległo po śmierci rozkładowi. Mógłby, lecz w dzisiejszym Raciborzu brak śladów czci ojca Walentego.

Coraz mniejszym szacunkiem mieszkańcy nadodrzańskiego grodu otaczają też słup Maryjny, ufundowany jako wotum za uratowanie miasta od skutków straszliwej zarazy z 1715 roku. Wokół kolumny organizowane są koncerty zespołów młodzieżowych, a na co dzień gromadzą się wagarowicze. Zaniepokojony tym faktem eseista przypomina przepowiednię, w myśl której ostatnim dniem istnienia świata będzie ten, w którym ani jeden człowiek nie przeżegna się na bożnie mijając kolumnę Maryjną w Raciborzu. I nie idzie tu o dosłowne znaczenie owej przestrogi, ale o stosunek do współczesnych ludzi do dziedzictwa pozostawionego przez przodków.



Brak „wkorzeniaenia” i utrata wspólnotowej pamięci prowadzą do utraty tożsamości. „Narody, które tracą pamięć, tracą życie” - przypomina Nowak, dodając, iż ta prawda odnosi się również do wspólnot, jakie tworzą mieszkańcy miast, zwłaszcza tych najstarszych.

Za niewątpliwą zaletę zbioru uznać trzeba ulokowanie raciborskich wydarzeń na szero-
kim tle historycznym. I tak gwałtowny zatarg między władcą świeckim, Henrykiem IV Probu-
sem, a hierarchą kościelnym, biskupem wrocławskim Tomaszem II, został wpisany w cały ciąg
średniowiecznych konfliktów, takich jak walka o inwestyturę między Henrykiem IV a papieżem
Grzegorzem VII, której finał miał miejsce w Canossie, spór Bolesława Szczodrego z biskupem
Stanisławem, zakończony mordem w kościele na Skałce czy zabójstwo biskupa Canterbury,
Tomasza Becketa, dokonane na zlecenie króla Henryka II. Raciborskie, choć niezwykle drama-
tyczne, prawdopodobnie za sprawą dyplomatycznego talentu arcybiskupa Świnki, znalazły swój
szczęśliwy i bezkrwawy finał. Do dziś przypominają o nim świątynie – ufundowany przez księ-
cia Henryka kościół pod wezwaniem Świętego Krzyża na Ostrowiu Tumskim we Wrocławiu i
ufundowana w Raciborzu przez wdzięcznego biskupa Tomasza II kolegiata z siedzibą na zamku
w kaplicy Św. Tomasza Becketa. Niestety, raciborska „perła śląskiego gotyku” została już po II
wojnie światowej w znacznym stopniu zdewastowana.

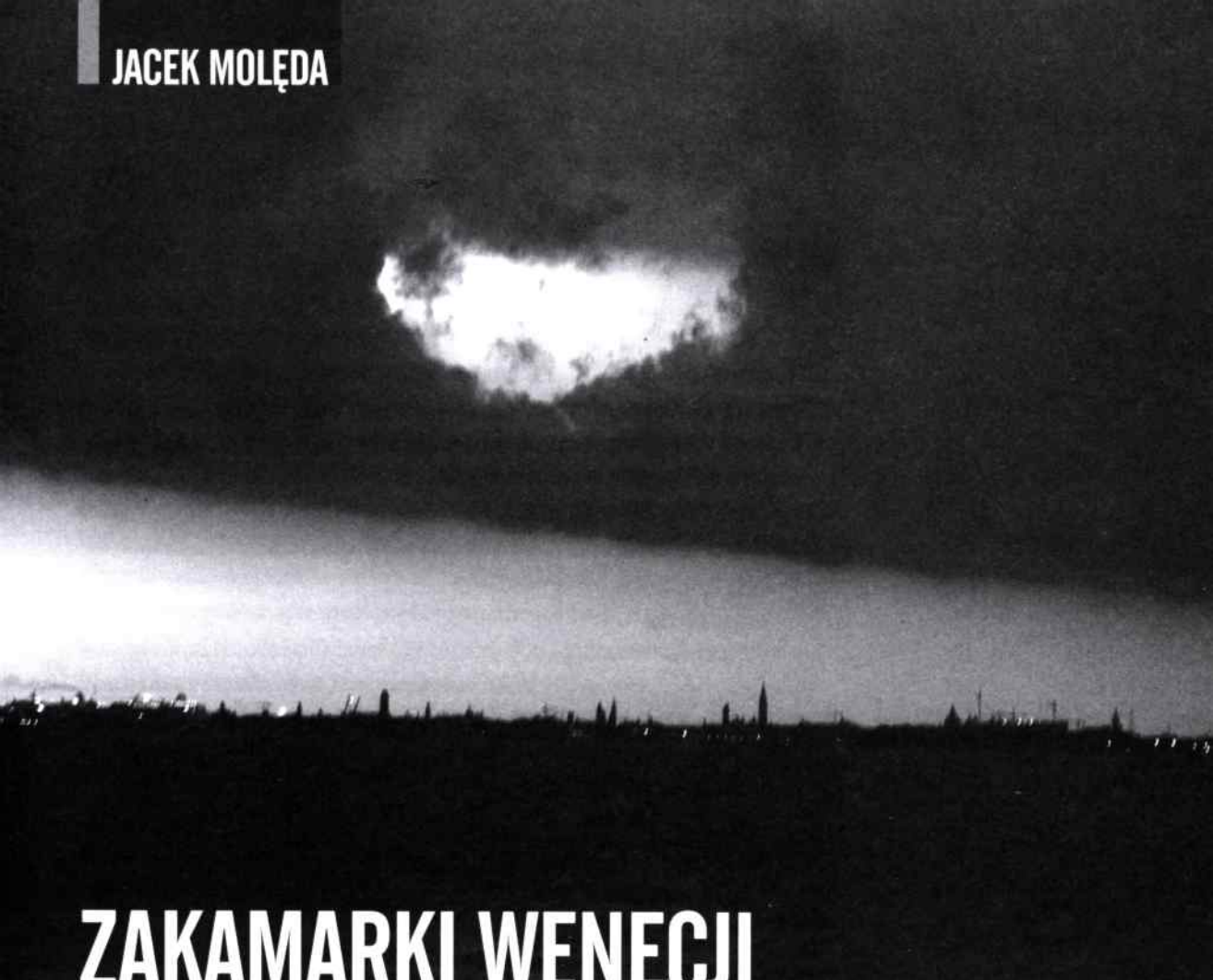
Z kolei kilkusetletnią kolumnę Maryjną połączyła ze współczesnością monumentalna
rzeźba Jana Borowczaka. Odsłonięty w lipcu 1973 roku pomnik Matki Polki oficjalnie miał być
hołdem złożonym Ślązaczkom, nieoficjalnie miał stać się „świeckim” odpowiednikiem kolumny,
a przez to umniejszyć jej znaczenie. Stało się jednak odwrotnie - interesująca pod względem ar-
tystycznym rzeźba zaczęła wywoływać mieszane uczucia i skojarzenia zupełnie nieprzewidziane
przez ówczesne władze. Z jednej bowiem strony przypomina o przedstawionej w wierszu Adama
Mickiewicza desperackiej walce syna Matki Polki z Rosją, z drugiej zaś wyprostowana dumnie
niewiasta z dzieckiem na rękę w żaden sposób nie oddaje prawdy o górnośląskich kobietach,
które spełniały się jako pobożne matki i żony.

W „zamyślenia” nad raciborskimi legendami wplótł Janusz Nowak własne wiersze. Te
swoiste intermedia zatrzymują czytelnika w klimacie zadumy przepełnionej troską i niepokojem
o przyszłość, w której zabraknąć może pamięci o przeszłości, a ta „czarna godzina ochoczo nad-
ciąga”.

PRZYPISY

JANUSZ NOWAK, Legendy i podania dawnego Raciborza. Wydawnictwo SCRIBA. Racibórz 2004, ss. 80.

JANUSZ NOWAK, Świątobliwa Księżniczka i inne opowiadania. Osiem zamyśleń nad raciborskimi legendami. P.P.Poldruk. Racibórz 2004, ss. 79.



ZAKAMARKI WENECCJI

30 września, w Raciborskim Centrum Kultury miał miejsce „Wieczór Wenecki”. Powiedziałyby ktoś, że ani to odpowiedni czas, ani miejsce, a z pewnością nie temat. Nie oszukujmy się, piątkowy wieczór jest przecież po to, by dwudziestolatek upewnił się, że nikt nie siedzi w pubie przy jego stoliczku i nie pije z jego szklaneczki, a czterdziestolatek wstąpił do apteki, znieczulił nasilający się od poniedziałku ból kręgosłupa i zapadł się w fotelu przed telewizorem, albo pogrzążył w zaległej prasie. Pod koniec wieczoru poziom kultury obydwu okazuje się być wprost proporcjonalny do dokładności trafiania kijem bilardowym w bile, lub pilotem w kanały tematyczne i informacyjne.

Niejakim zaskoczeniem była więc ponad setka ludzi obecnych na wieczorze w RCK. Rozpoczął się on od projekcji filmu „Ogród rozkoszy ziemskich” Lecha Majewskiego, twórcy, co w pełni potwierdza najnowszy film, kompletnego – reżysera, muzyka, poety i weneccjanina z wyboru, który odwiedził Racibórz bodaj po raz czwarty w ciągu ostatnich dwóch lat, wspierając tym samym zwolenników tezy, że centrum jest na prowincji. Poetycka intymność obrazu filmowego, która niepostrzeżenie przenosiła widza z płótna Hieronima Boscha na płótno ekranu, równie niezauważalnie przeniosła emocje i uwagę uczestników na wernisaż fotografii Marka Rapnickiego. Wystawa obejmowała około 80 pieczołowicie wybranych zdjęć z około 400, które autor zrobił na przełomie maja i czerwca tego roku. 60 z przedstawionych fotografii dotyczyło samej Wenecji, pozostałych 20 Toskanii i Umbrii. Wyboru zdjęć do ekspozycji dokonał uznany fotografik, Bolesław Stachow, udowadniając, że fotoedycja nie jest tylko sprawą dobrego opanowania rzemiosła, ale przede wszystkim procesem twórczym. Obecnych na wystawie oczarowała nie tylko sama jej treść, ale także jej oprawa. Całość ekspozycji spięta była klamrą dwóch subtelnych wierszy autorstwa Marka Rapnickiego (poezja, tak jak umiejętność i potrzeba dzielenia się pięknem, to kolejna rzecz, która łączy go z Majewskim), które znakomicie wprowadzały w wystawę („Nawet, gdyby



jutro”) i pozwalały się z nią pożegnać („Wygnanie z bajki”). Muzyka Monteverdi’ego w tle i żywe rzeźby w strojach weneckich i nieodłącznych maskach, znakomicie udawane przez młodziutkich aktorów z grupy teatralnej „Tetraedr” Grażyny Tabor, pozwoliły przenieść się wszystkim obecnym na długie chwile do Wenecji. I była to podróż prawdziwa. Prawdziwsza od tej, którą niektórzy odbyli już jako turyści, bo podróż do zakamarków dla turystów na co dzień niedostępnych. Podróż do miejsc wspólnych dla Lecha Majewskiego i Marka Rapnickiego, nieco odległych od Canale Grande, placu Św. Marka, czy mostu Rialto. Topograficzny układ zdjęć i opowieść Lecha Majewskiego o Wenecji zachęcały do odkrywania kolejnych dzielnic. Na chwilę otrzymaliśmy od obydwu współautorów klucze do “Wenecji dla wtajemniczonych”, na chwilę Wenecja zdjęła dla nas maskę i pokazała swoje oblicze.

Dla wytrwałych na koniec, w nagrodę, odbył się pokaz filmu dyplomowego Lecha Majewskiego „Rycerz” z roku 1980.

Obie Wenecje - tę Lecha Majewskiego i tę Marka Rapnickiego łączy wiele podobieństw. To Wenecje prywatne, bez tłumów odwiedzających, a zdaje się nawet bez samych Wenecjan, Wenecje zagubionych dzielnic i kanałów, które słowem i obrazem zapewniają o swojej autentyczności, nawet u nas, na prowincji. Dlatego czasem warto zmienić przyzwyczajenia, nawet w piątkowy wieczór.



KONCERTY JANA STRAUSSA W RACIBORZU

O raciborskich koncertach króla walca wspomina Richard Ottinger w artykule o życiu muzycznym miasta opublikowanym w monografii „Ratibor Stadt und Land an der oberen Oder” (Bonn 1994): „C.K. nadworny kapelmistrz Strauss (syn) kilkakrotnie koncertował ze swoją kapelą w Raciborzu”. Autor nieco przesadził: faskę dworu Strauss zyskał znacznie później, a w grodzie nad Odram koncertował tylko dwa razy.

Polska literatura muzyczna zupełnie pomija Raciborz na trasach koncertowych sławnego muzyka, np. Lucjan Kydryński w książce „Jan Strauss” (Kraków 1979), opisując jego pobyt na Śląsku rejestruje tylko dwa występy we Wrocławiu 21 października 1850 roku, tymczasem owe koncerty odbyły się 18 i 21. O Raciborzu, gdzie odbył się pierwszy i ostatni spośród pięciu śląskich występów, autor nawet nie wspomina, nie pisze też o koncercie w Katowicach, który miał się odbyć 22 lub 23 października.

Do śląskiego tournée doszło w następujących okolicznościach. Młody, 25-letni ambitny artysta nigdy jeszcze nie koncertował przed cesarzem, a ponieważ zanosilo się na spotkanie cara Mikołaja I z cesarzem Franciszkiem Józefem w Warszawie, Jan Strauss pragnął się tam udać z nadzieją wystąpienia wreszcie przed obliczem swego monarchy. Aliści po drodze zaplanował kilka koncertów na Śląsku, więc 16 października wraz z orkiestrą opuścił Wiedeń.

Kilka dni przed pierwszym koncertem w tygodniku „Allgemeiner Oberschlesischer Anzeiger” ukazało się następujące ogłoszenie: „Jan Strauss syn z Wiednia ze swoją kapelą przejazdem da również tutaj koncert, o czym z góry niniejszym powiadamy mieszkanców Raciborza i okolic. Zamówienia na pierwsze miejsca już teraz przyjmuje księgarnia A. Kesslera”. Ten anonis nie kosztował, ponieważ właściciel księgarni był zarazem wydawcą raciborskiej gazety. W przededniu koncertu w tymże piśmie ogłoszono:

„Jan Strauss syn z Wiednia przejazdem do Warszawy da również tutaj koncert ze swoją kapelą w czwartek dnia 17 października 1850 o godzinie 7 wieczorem w „Księżu Pruskim”, na który bilety można otrzymać w księgarni Kesslera i w cukierni Freunda. Ceny miejsca: numerowane miejsca 15 groszy srebrnych, parter 10 gr. sr., galeria 5 gr. sr. Gimnazjaliści płacą przy kasie 6 gr. sr.”

Sprawa koncertu znanego wiedeńczyka w hotelu „Książę Pruski” w Raciborzu rychło stała się głośna w całej prowincji, tym bardziej, że występ połączono z odbywającymi się 16 października wielkimi uroczystościami urodzinowymi króla Fryderyka Wilhelma IV, rozpoczętymi strzałami z moździerzy, kontynuowanymi paradą wojska i bractwa strzeleckiego, oficjalną akademią i

Wspomnienie o Ryszardzie Kinclu

Gdyby żył, byłby zapewne współpracownikiem „Almanachu Prowincjonalnego” i być może udałoby się Go namówić do pisania tekstów stricte literackich. Bo wiem Ryszard Kincel miał duszę artysty i talent literata. Ogromnie szkoda, że nie zaczął parać się tworzeniem utworów fabularnych, np. powieści historycznych. Osiągnąłby na tym polu bezsprzecznie wielkie sukcesy. Jednak temperament rzetelnego i skrupulatnego badacza dziejów Śląska nie pozwalał mu na oddanie się „ekscesom” literackim.

Ryszard Kincel, urodzony 8 listopada 1933 r. w Orłowie k. Lipna, był człowiekiem od najmłodszych lat rozmiłowanym w historii. Studia z tego zakresu ukończył w Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1976 roku został zaliczony w poczet doktorów nauk humanistycznych Akademii Krakowskiej po obronie dysertacji (pionierskiej w owym czasie) na temat turystyki sudeckiej w XVIII i XIX wieku.

W okresie studiów zadebiutował na łamach „Głosu Olsztyńskiego”, a następnie współpracował z bardzo wieloma czasopismami polskimi, czeskimi i niemieckimi. Jego liczne szkice, recenzje, omówienia i przyczynki znaleźć można zarówno na łamach poważnych periodyków naukowych, jak i dzienników lokalnych.

Od połowy lat siedemdziesiątych związał się z Raciborzem. Najpierw pracował w tutejszym Muzeum, a w 1979 roku został dyrektorem Miejskiej Biblioteki Publicznej. Tej ważnej raciborskiej placówce kulturalnej był wierny do końca – w roku 2000 przeszedł na emeryturę.

Pełnił wiele funkcji społecznych, np. w 2000 r. został wybrany prezesem Opolskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Inicjował wiele działań, zwłaszcza edytorskich, Towarzystwa Miłośników Ziemi Raciborskiej. Zawsze służył radą i pomocą innym autorom zajmującym się opisywaniem dziejów Raciborza i Śląska.

Bardzo szeroka była skala Jego zainteresowań badawczych. Obejmowała prace poświęcone dziejom turystyki sudeckiej (np. pionierskie studium Sarmaci na Śnieżce z 1973 r., czy arcyciekawa książka, wydana w 1994 r., *U śląskich wód. Z dziejów śląskich uzdrowisk i ich tradycji polskich*), rozprawy związane z historią rzemiosła śląskiego (np. *Dzieje raciborskiego konwisarstwa – 1978*, czy też *Kto dobre piwo warzył – 1992*), monografie i studia na temat ciekawych postaci z dziejów Śląska (np. *Kłopotliwy*

książę Sulkowski – 1984). Ryszard Kincel przyczynił się ogromnie do popularyzacji osoby i twórczości Josepha von Eichendorffa, dzięki opublikowaniu kilku książek wybitnemu śląskiemu romantykowi poświęconych (np. *Joseph von Eichendorff – wielki poeta spod Raciborza* – 1991) oraz wydaniu w 1989 roku zbioru wierszy Eichendorffa w polskich tłumaczeniach (była to bodaj pierwsza w Polsce powojenna edycja tekstów Eichendorffa), a w 1991 roku *Górnośląskich baśni i podań* we własnym przekładzie (dodam nieskromnie, że Pan Ryszard zaszczylił mnie zaproszeniem do napisania komentarza folklorystycznego do owych podaniowych fabuł).

Ryszard Kincel był znakomitym tłumaczem i edytorem. W 1974 roku wydał przetłumaczony przez siebie głośny dziennik Waltera Tauska z okresu oblężenia Wrocławia w 1945 r. (*Dżuma w mieście Breslau*). Jednym z ostatnich Jego osiągnięć była edycja listów ks. Augustyna Weltzla do Vincenca Praska (1999 r.), opatrzona niezwykle rzetelnym komentarzem. Tworowski proboszcz, wybitny historyk, ks. Augustyn Weltzel, stał się dla Ryszarda Kincla niepodważalnym autorytetem i wzorem.

Pan Ryszard był człowiekiem prawnym, zdolnym do altruistycznych gestów. We współpracy z innymi osobami nigdy nie przenosił różnic politycznych czy ideowych, które zresztą dobitnie artykułował w prywatnych dyskusjach i sporach, na płaszczyznę zawodową. Mogło się wydawać, że jest w nim pewien ironiczny dystans do świata i ludzi, jednak był to pozór. Miał w istocie duszę poety, ukrywał swoją nadwrażliwość i skłonność do silnych wzruszeń pod maską chłodnego racjonalisty.

Był Pan Ryszard wspaniałym stylistą. Oddawał tekst do druku po wszechstronnym wyczyszczeniu i doprowadzeniu do doskonałości.

Znosił wielkie cierpienie, jakie spadło na Niego w ostatnim okresie życia, z imponującym spokojem.

Ryszard Kincel pod wieloma względami przypominał wspaniałych dziewiętnastowiecznych uczonych, zajmujących się różnymi aspektami historii: był tak jak oni solidny i rzetelny, a jednocześnie nie bał się dopuszczać do głosu emocji. Jego teksty, tak jak prace dawnych polihistorów (a więc autorów obdarzonych ogromną erudycją) i „starożytników” (nazywano tak publicystów piszących na tematy historyczne), zachowują ową cudowną równowagę między obiektywną uczonością, a swoistym entuzjazmem wynikającym z fascynacji żyjącymi w minionych stuleciach ludźmi i ich sprawami.

jan

balem w restauracji Jaschkego, a zakończonymi wieczorową iluminacją miasta. Toteż wrocławska „Slesische Zeitung” pisała 17 października: „Racibórz 17 października. Dziś wieczór Jan Strauss z kapelą swego ojca (sic) przejazdem do Warszawy da koncert jako poprawiny uroczystości urodzinowej Jego Królewskiej Mości, co przynęcająco ogłasza plakat, bilety kosztują 15 i 10 groszy srebrnych. Że publiczność raciborska mało się różni od publiczności innych miast, można z tego wnioskować, iż owe bilety szybko się rozchodzą, podczas gdy koncerty Górnośląskiego Towarzystwa Muzycznego z ceną 2 ½ groszy srebrnych za wstęp nigdy nie były ciasno zapełnione (...)”.

O przyjęciu koncertu przez publiczność Raciborza, o jego repertuarze nie mamy wiadomości, ale już następnego dnia orkiestra Jana Straussa prawdopodobnie z programem podobnym do raciborskiego występowała we Wrocławiu a opis tego koncertu, kilka utworów tam zagranych, ale przede wszystkim uszczypliwą krytykę Straussa „muzyki konwersacyjnej”, czyli muzykowania do kotleta, znamy z recenzji napisanej przez Zoila podpisanego „C” i zamieszczonej 20 października 1850 r. w „Schlesische Zeitung”.

Recenzja wrocławianina nastrojonego na wyższy ton jest tak oryginalna, że warto ją przytoczyć w całości:

„Dnia 18 wieczorem byliśmy w Ogrodzie Zimowym na koncercie danym przez kapelę Straussa. Wszystkie miejsca były zajęte. Kapela gra dobrze i delikatnie oraz ma wśród swoich członków zdolnych artystów. Flety, oboje, klarnety, rogi, fagoty, a zwłaszcza trąbki są bardzo dobrze reprezentowane: kwartet smyczkowy również gra absolutnie czysto, jednak w piątek był słabo obsadzony i prawie przytłumiony przez instrumenty blaszane, które wytworzyły bardzo dobry dźwięk i się wcale nie oszczędzały. Jak usłyszeliśmy już podczas drugiego koncertu orkiestra zostanie uzupełniona tutejszymi siłami. Jeżeli chodzi o wartość artystyczną przedstawionych utworów, to z punktu widzenia znawcy prawie niczego nie można zarzucić. Tańce kapela gra, co zrozumiałe samo przez się, zupełnie znakomicie w prawdziwie narodowy sposób, i może dla wielu dam ochoczych do tańca było udręką spokojnie utrzymać nóżki pod stołem. Mianowicie bardzo dobrze podobał się nam walc: Sängerbahnen Straussa syna. Obie uwertury oraz potpourri: Fligende Blätter najlepiej pominęmy milczeniem, aczkolwiek wszystko zostało dobrze wykonane. Naturalnie dla znawcy taki koncert jak w piątek jest ledwie do wytrzymania, ponieważ program zupełnie nie zawierał wartości artystycznych. Przy tym z żalnością myśleliśmy o poprzednim wieczorze, gdy kapela teatralna na tym samym miejscu wykonała mocną obsadą symfonię Schuberta i Jubel – Overture Webera ku całej chwale kompozytorów i sztuki. Jednakże w naszym mieście jest pewno jeszcze wielu kochających tylko wesołą muzykę konwersacyjną: oni mogą pójść do pana Straussa i dobrze wyjdą na wspaniałym wykonaniu. N.B. Właśnie czytamy program drugiego koncertu i znajdujemy w nim uwerturę do Leonory Beethovena i Jubel – Overture Webera: to nas cieszy”.

O prawdopodobnym koncercie Jana Straussa we wsi Katowice nie ma wiadomości w prasie, ale stamtąd było już blisko do granicy prusko – rosyjskiej, gdzie jak pisze Lucjan Kydryński: „na granicy zakwestionowano paszporty muzyków, uznano, że nie są ważne na terenie Królestwa Kongresowego, i rosyjska policja po prostu usunęła całą orkiestrę z pociągu. Młodzi, rośli mężczyźni z Wiednia, będącego dopiero co widownią rewolucyjnych zajęć, wydali

się Rosjanom w najwyższym stopniu podejrzanymi. Muzycy zatrzymali się w najbliższej gospodzie, tylko sam Strauss otrzymał zezwolenie na wjazd do Warszawy po to, aby wyjaśnić sprawę i ewentualnie uzyskać zgodę na przepuszczenie swych towarzyszy”.

O tej przygodzie Jan Strauss później chętnie opowiadał, dodając coraz to barwniejsze szczegóły: jego artystów rzekomo wzięto za szpiegów, przetrzymywano ich w świńskim chlewie itp. W każdym razie sprawa wkrótce została wyjaśniona: warszawski wydawca kompozytora, Lieblein, interweniował u cesarzowej Marii Fedorownej, znającej Straussa z Wiednia, i artyści rychło dojechali do Warszawy.

Tamtejsze koncerty Jana Straussa doczekały się wielu omówień, ale warto przypomnieć, że w owych dniach muzyk skomponował trzy utwory, m.in. „Warszawską polkę”, którą dedykował swojej wybawicielce z kłopotów, cesarzowej Marii Fedorownej.

Równy miesiąc po pierwszym koncercie, 17 listopada 1850 r., doszło w Raciborzu do drugiego występu Jana Straussa, który po występach w Warszawie wracał ze swoją orkiestrą do Wiednia: podjęcie decyzji o ponownym koncercie w mieście świadczy z pewnością o tym, iż pierwszy występ został dobrze przyjęty i nie należało się obawiać o frekwencję. Tygodnik raciborski anonsował 15 listopada:

„W niedzielę 17 listopada wielki koncert Jana Straussa w sali Księcia Pruskiego. Początek po południu o godzinie 3 ½. Szczegóły podaje plakat”.

Hotel „Księżę Pruski” stał przy ul. Odrzańskiej: w porównaniu do pierwszego ogłoszenia, w drugim nastąpiły dwie zmiany: w pierwszym dyrygent został nazwany Janem Straussem synem, w drugim Janem Straussem; pierwszy koncert odbył się wieczorem, drugi po południu. Prawdopodobnie zdecydował o tym rozkład jazdy pociągów na linii Berlin - Wiedeń, artyści tego samego dnia pragnęli powrócić do stolicy nad pięknym i modrym Dunajem. Na temat drugiego koncertu młodego a już sławnego muzyka nic nie wiemy.

Koncerty Jana Straussa przyczyniły się na pewno do edukacji muzycznej raciborskiej publiczności, choć wybredni melomani nie zostali rzuceni na kolana przez wiedeńskiego mistrza. Kiedy pod koniec 1850 roku zapowiadano w miejscowej gazecie zimowe koncerty abonamentowe znanej kapeli Górnośląskiego Towarzystwa Muzycznego pod batutą Labusa, w ogłoszeniu zachęcającym do wykupywania abonamentów podpisanym przez „Wielu przyjaciół muzyki” pisano: „Górnośląskie Towarzystwo Muzyczne zasłużyło na całe uznanie! Doświadczyliśmy tego chyba dostatecznie, ponieważ sam pan Strauss dostarczył przyczynku do tego przekonania”.

CHLEB I SÓL

JAROSŁAW M. RYMKIEWICZ

OGRÓD W MILANÓWKU, KONIEC LISTOPADA 1

OD REDAKCJI

...ILEŻ BARW I ODCIENI PROWINCJI! 3

GŁOSY Z MIASTA

RACIBÓRZ, OAZA, PUSTYNI...?

MONIKA JANOWSKA

..... 5

JOANNA GUZIAŁ

..... 6

LESZEK WYKA

WWW.RACIBORZ.KULTURA – PRAWDA CZY FAŁSZ? 7

BOLESŁAW STACHOW

IKONOSTAT 17

FRANCISZEK STAL

Z WILNA DO KOMUNISTYCZNEGO WIĘZIENIA
(ZE WSPOMNIENI POR. STALA – CZ. II) 25

KS. JERZY SZYMIK

PROWANSJA. WIERSZE 33

Z ZIEMI POLSKIEJ DO WŁOSKIEJ

MAREK RAPNICKI

21.37 39

MAREK RAPNICKI, MICHAŁ FITA

KARTKI Z ITALII
(DWAŁGOS REDAKCYJNY O WYPRAWIE MARZEŃ) 41

KS. ALFRED M. WIERZBICKI

PEWNEGO DNIA W ROVERETO 64
SZLAKIEM CARAVAGGIA 65

KS. JERZY SZYMIK

BIEGUN PRZYCIĄGANIA CZYLI KONTEMPLACJA DLA NADZIEI
JANA PAWŁA II PROJEKT CHRYSOLOGII NA III TYSIĄCLECIE 69

JANUSZ NOWAK

ZAPOMNIANE PIĘKNO RZYMSKIEJ LITURGII 77

KRZYSZTOF GŁADKOWSKI

PERSONALISTYCZNE PODSTAWY MYŚLI
SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ JANA PAWŁA II 83

MAREK RAPNICKI

DWIE RZĘKI. NA SZLAKU ZE ŚWIADKAMI ŚWIĘTOŚCI 91

MICHAŁ FITA

METREM DO PAPY 95

KS. JERZY SZYMIK

PRZEKROCZYĆ PRÓG ZDUMIENIA.
O „TRYPTYKU RZYMSKIM” JANA PAWŁA II 97

MAREK RAPNICKI

WIERSZE 102

JACEK MOŁĘDA

WIERSZE 105

O ZBIGNIEWIE HERBERCIE I JEGO TWÓRCZOŚCI

HERBERT DENGEL

CZY WŁADZA MOŻE BYĆ ZBAWIONA?
(PRÓBA ODCZYTANIA WIERSZA ZBIGNIEWA HERBERTA
„DAMASTES Z PRZYDOMKIEM PROKRUSTES MÓWI”) 108

SŁAWOMIR JANOWSKI

BARBARZYŃCA W PODRÓŻY.
ROZWAŻANIA NA MARGINESIE LEKTURY ESEJU
ZBIGNIEWA HERBERTA „BARBARZYŃCA W OGRODZIE” 113

MAREK RAPNICKI

O „CIENIU ARCYDZIEŁ NA MAKARONIE”,
CZYLI Z HERBERTEM W ORVIETO 117

JAROMIR ŠAVRDA

WIERSZE 121

PETR HANOUSEK, LIBOR MARTINEK

„SLEZSKÉ SLUNKO”.
LITERATURA NA ZIEMI OPAWSKIEJ W LATACH 1990 – 2003 125

KRZYSZTOF LISOWSKI

W MALACHITOWEJ GROCIE 130
BUDZIK PLATONA. ESEJ PODRÓŻNY (FRAGMENTY) 131

SŁAWOMIR JANOWSKI

BOLESŁAW MICIŃSKI – KRYTYK EUROPEJSKIEJ CYWILIZACJI 139

MAREK PRZYBYŁA

WIERSZE 144

JACEK MOŁĘDA

POETA POWINIEN UMIEĆ PRZYHAMOWAĆ I ZACHWYCIĆ SIĘ
ROZMOWA Z MIROSLAVEM ČERNÝM 147

MIROSLAV ČERNÝ

WIERSZE 149

KORNELIA LACH

CZY NIEMOWLĘ NOSI STRÓJ OBRZĘDOWY? 151

ANNA CIEPIEL

WIERSZE 154

JANUSZ NOWAK

GDYNIA GŁÓWNA OSOBOWA 156

MAREK RAPNICKI

PLECAK PEŁEN BIBUŁY 158

MIŁOŚ DOLEŻAŁ

OBRAZKI Z CZECH
MAGICMAN 162

MARZENA KORZONEK

Z DZIENNIKA
POKOLENIE JP2 164

JACEK MOŁĘDA

MADE IN POLAND
SZTUKA LATANIA 168

KRZYSZTOF KOMOROWSKI

OBRAZY PAMIĘCI
OBRAZY PAMIĘCI 171

ZNAD GÓRNEJ PÓŁKI

MONIKA JANOWSKA

NAD JEZIEMEM CZASU 175

MAREK RAPNICKI

ANTENY WYCELOWANE W ŚWIAT 176

STEFANIA JAGŁO

WOŁANIA HUMANISTY NA (RACIBORSKIEJ) PUSZCZY 177

JACEK MOŁĘDA

ZAKAMARKI WENECJI 179

RYSZARD KINCEL

KONCERTY JANA STRAUSSA W RACIBORZU 181
WSPOMNIENIE O RYSZARDZIE KINCLU 181



Rys. JANUSZ RZODECZKO

Rada programowa:

BOLESŁAW STACHOW, ADAM SZECÓWKA,
LESZEK WYKA

redakcja:

redaktor naczelny – JANUSZ NOWAK
sekretarz redakcji – MAREK RAPNICKI
redaktor techniczny – MICHAŁ FITA

adres redakcji:

Raciborskie Centrum Kultury
ul. Chopina 21, 47-400 Racibórz
almanach@rck.com.pl
raciborskiecentrumkultury@neostrada.pl
tel. 0 - 32 415 25 40

stale współpracują:

VÁCLAV BURIAN (Ołomuniec)
MIŁOŚ DOLEŻAŁ (Praga)
SŁAWOMIR JANOWSKI
KORNELIA LACH
KRZYSZTOF LISOWSKI (Kraków)
JOANNA MAKSYM - BENCZEW
LIBOR MARTINEK (Opawa)
JACEK MOŁĘDA
BENEDYKT MOTYKA
LESZEK SZCZASNY
KS. JERZY SZYMIK (Katowice)
DAWID WACŁAWCZYK
WOJCIECH WENCEL (Gdańsk)
KS. ALFRED M. WIERZBICKI (Lublin)

fotografie:

B. STACHOW – 2, 4, 6, 12, 17, 18, 19, 21, 22, 23, 24, 31, 71, 72, 85, 104, 123,
124, 140, 143, 150, 151, 153, 159, 161, 163, 165, 166, 167, 176, 180
MAREK RAPNICKI – 28, 35, 38, 39, 40, 41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48,
49, 52, 54, 55, 57, 58, 59, 60, 63, 81, 82, 92, 93, 94, 98, 100, 102,
103, 107, 112, 114, 115, 116, 118, 119, 120, 174, 175, 179
MICHAŁ FITA – 25, 37, 38, 42, 43, 44, 47, 48, 50, 51, 52, 53, 56, 57, 58,
60, 90, 148, 157, 175, 177
KATARZYNA DULIAN – 95
Servizio Fotografico de „L'Osservatore Romano”
- ARTURO MARI – 96
z arch. ALFREDA M. WIERZBICKIEGO – 64, 66
z arch. JERZEGO SZYMIKA – 33
z arch. JAROMIRA ŠAVRDY – 121
z arch. KRZYSZTOFA LISOWSKIEGO – 132, 135, 137
z arch. MARKA PRZYBYŁY – 144
z arch. MIROSLAVA ČERNEGO – 147
z arch. MARZENY KORZONEK – 164
z arch. KRZYSZTOFA KOMOROWSKIEGO – 171

Projekt okładki według własnego zdjęcia
pt. „Samotna w Rzymie” – MICHAŁ FITA

Opracowanie graficzne i skład – MAREK PLEWCZYŃSKI

Wybór i opracowanie zdjęć – BOLESŁAW STACHOW

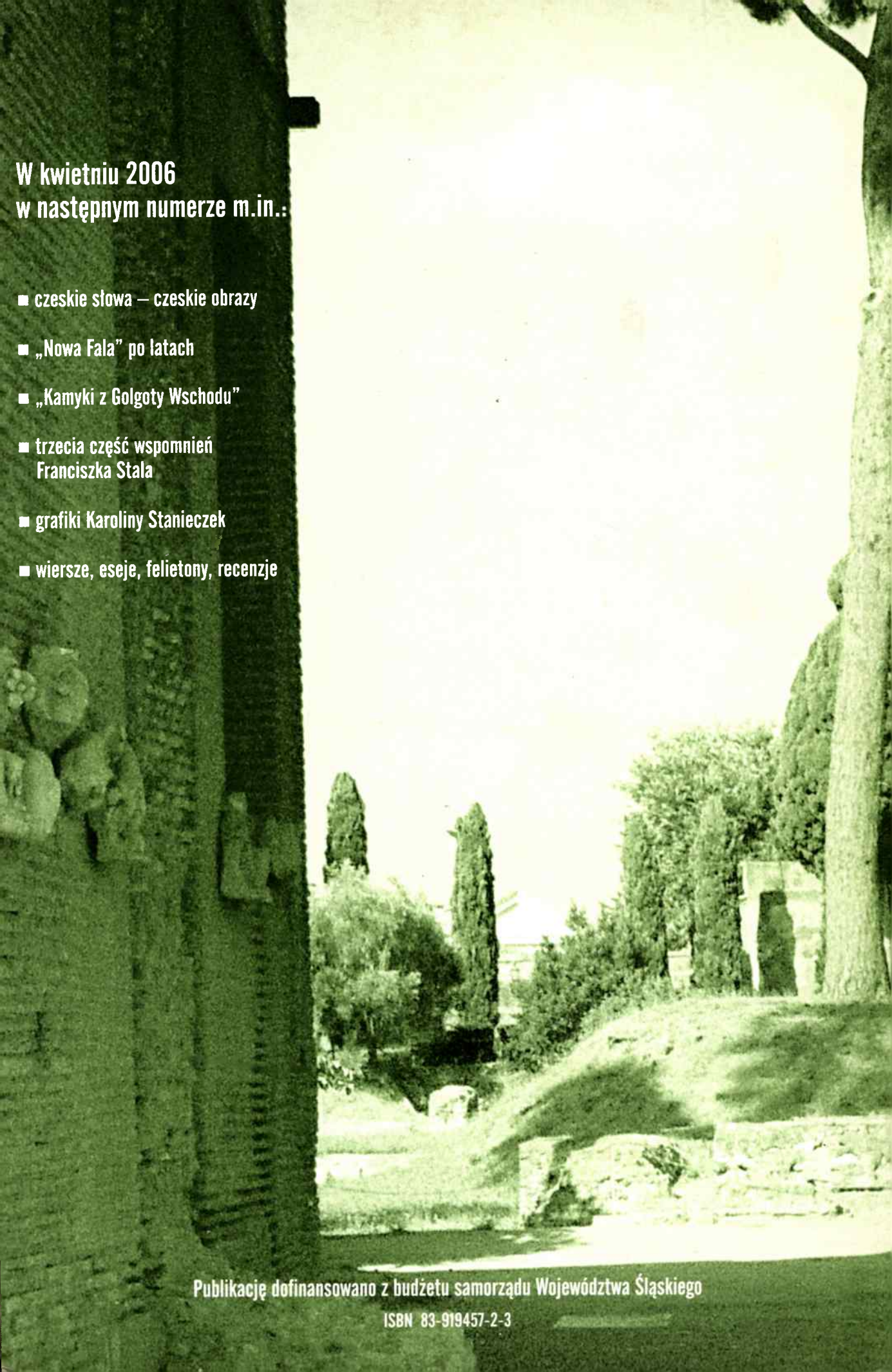
wydawca:

Raciborskie Centrum Kultury

druk:

Baterex s.j.
ul. Rudzka 45, 47 – 400 Racibórz

ISBN 83-919457-2-3



**W kwietniu 2006
w następnym numerze m.in.:**

- **czeskie słowa – czeskie obrazy**
- **„Nowa Fala” po latach**
- **„Kamyki z Golgoty Wschodu”**
- **trzecia część wspomnień
Franciszka Stala**
- **grafiki Karoliny Staniecsek**
- **wiersze, eseje, felietony, recenzje**

Publikację dofinansowano z budżetu samorządu Województwa Śląskiego

ISBN 83-919457-2-3